



**Louise Shaffer**

*Szcześliwy traf*

# ROZDZIAŁ 1

Nowy Jork

2008

- Właśnie spryskałam sobie pachy lakierem do włosów - powiedziała Carrie.

Chciała wierzyć, że piskliwy ton jej głosu w żadnym wypadku nie oznacza hysterii. Wszystko jest pod kontrolą. Zadzwoiła przecież tylko do narzeczonego, z którym właśnie się rozstała, żeby opowiedzieć mu zabawną historię. On wciąż był jednym z jej najlepszych przyjaciół, a z naprawdę dobrymi kolegami można się chyba trochę pośmiać. - Wydawało mi się, że to dezodorant. Pomyślałam sobie: „O rany, ten dezodorant jest strasznie lepki”. Wtedy spojrzałam na opakowanie. Dziwne - nie przypuszczałam, że w ogóle mam w domu lakier do włosów. Nigdy nie używałam czegoś takiego. Sprawia, że moje włosy wyglądają jak drucziana szczotka.

- Carrie? Wszystko w porządku? - Z oddali docierał do niej głos Howiego.

I nagle poczuła, że jednak nie wszystko jest z nią w porządku. A jak ci się wydaje, Howie, jak mogę się czuć? Dziesięć dni temu zmarła moja matka.

Carrie wzięła głęboki oddech.

- W porządku - powiedziała.

- Na pewno? - Howie wydawał się zaniepokojony. Nie był też do końca przytomny. A w ogóle, która może być godzina? - Dlaczego jesteś na nogach o czwartej trzydzieści nad ranem? - dodał, odpowiadając na jej pytanie.

- O Boże, przepraszam. Nie wiedziałam... - Urwała.

Przez głowę zaczęły jej się przewijać tysiące usprawiedliwień. Widzisz, Howie, ostatnio budzę się dość wcześnie... Nie, Howie, tak naprawdę, to nie mogę spać. Jeść też nie - nic, poza chipsami. Uzależniłam się od nich, kiedy całymi dniami krążyłam po szpitalu...

Znowu się rozgadała. To było, co prawda, tylko wewnętrzne rozgadanie, ale zawsze, kiedy nie mogła zapanować nad myślami, oznaczało, że lada chwila straci panowanie nad sobą. Rozmyślanie o szpitalu i ostatnich dniach jej matki wydawało się, delikatnie mówiąc, nie najlepszym pomysłem. Tydzień temu Carrie zdołała przetrwać mszę i pogrzeb, a wczoraj nabożeństwo żałobne właśnie dlatego, że niczego nie rozpamiętywała. Ta strategia pozwoliła jej dziś rano wstać z łóżka i pomogła jej się ubrać. Wszystko szło całkiem dobrze - oczywiście poza niefortunnym wypadkiem z rzekomym dezodorantem. Ale teraz czekało ją porządkowanie mieszkania matki. Chociaż może jeszcze nie od razu. Nie o czwartej trzydzieści.

- Wracaj do łóżka, Howie. Przepraszam, że cię obudziłam.

Wszystko w porządku. Jestem Carrie Manning. Mam trzydzieści siedem lat. Owszem, mogę być dziś trochę spięta, bo moja matka... nie żyje. Ale nie ma co do tego wracać. Nie teraz. Teraz pomyślę o tym, że przetrwałam wczorajsze nabożeństwo bez żadnych łez. Doskonale się spisałam. Nie rozkleiłam się nawet, kiedy zaczęli śpiewać *Panis Angelicus*.

- Carrie? - głos Howiego w słuchawce sprawił, że wróciła do rzeczywistości. - Kochanie, chyba nie jesteś już wściekła z powodu tych kwiatów, prawda?

No dobrze, nie całe nabożeństwo poszło tak dobrze, jak powinno.

- Nie byłam wściekła. Po prostu się zdenerwowałam.

- Jeśli wolisz tak to nazwać, Carrie...

- Wyraźnie zazaczyłam w nekrologu: „Bez kwiatów”. Tak było napisane. W „New York Timesie”. Umieściłam tam listę wszystkich organizacji charytatywnych matki, żeby ludzie mogli przekazać darowizny.

- Tak, widziałem.

- Zrobiłam dokładnie to, czego sobie życzyła. Czasopismo „Living Life” wybrało ją kiedyś na Człowieka Roku w kategorii „Działalność charytatywna”. To zresztą zostało napisane na grobie: *Rose Manning, Człowiek Roku, 1986*.

- Wiem, Carrie...

- Trzeba było spełnić jej wolę i trzymać się wszystkich wskazówek dotyczących organizacji pogrzebu. I ja to zrobiłam. Zrobiłam to, do cholery!

- Absolutnie.

- Wszyscy wiedzą, co matka myśli o kwiatach. Szczególnie o różach. Dlaczego ktoś miałby przysłać jej kosz białych róż?

- Widocznie po prostu nie wiedział...

- Po tym artykule, który napisała o dzieciach z Gwatemali? Tym o pięciolatkach, które zbierają róże, a potem cierpią na straszne choroby układu oddechowego i robią im się pęcherze pełne środków owadobójczych?

- Kochanie, uspokój się.

- Wiesz, co mama mówi za każdym razem, kiedy widzi te tanie róże w sklepach i barach na ulicy. Nosi ze sobą w torebce ulotki, żeby móc pokazać je właścicielom...

- Nosiła je.

- To właśnie powiedziałam.

- Nie, powiedziałaś, że je nosi. Nie ten czas, Carrie.

I nagle wszystko stało się rzeczywiste - wszystko, czego nie dopuszczała do siebie ani podczas nabożeństwa, ani na mszy, ani w mauzoleum. Teraz już nie dało się przed tym uciec. Jej matki już nie było. A Carrie została sierotą. Nagle w pokoju zrobiło się zimno. W powietrzu unosił się zapach lakieru do włosów.

- Carrie? Chcesz, żebym przyjechał i pobyl z tobą trochę?

- Nie. Dziękuję.

- Mógłbym przywieźć ci kawę - tę z knajpy na rogu, czarną i gorzką. Nic z tych kiepskich imitacji Starbucksa.

- Jesteś najlepszym eks na tej planecie - ale naprawdę wszystko w porządku. Poza tym musisz się wyśpać. Pewnie masz dziś milion pacjentów z leczeniem kanałowym.

- Tylko jednego.

- Wracaj do łóżka. Musisz mieć pewne ręce. A ja muszę przez to przejść. Nie dramatyzuj, Carrie.

Takich słów używała jej matka, kiedy Carrie była mała i za bardzo się czymś denerwowała. „Dramatyzujesz, kochanie - mawiała wtedy Rose. - Czy na pewno nie próbujesz po prostu zwrócić na siebie uwagi? To ego, Carrie. Nigdy nie wolno pozwolić, by rządziło nami ego. Zakonnice usiłowały mnie tego nauczyć, kiedy byłam w twoim wieku, i teraz żałuję, że ich nie słuchałam. Pamiętaj, ty i ja jesteśmy zwykłymi ludźmi”.

To było kłamstwo. Matka Carrie nie miała w sobie nic zwykłego. Gdyby wyszukać w słowniku hasło „niezwykły”, z pewnością znalazłoby się tam zdjęcie Rose Manning. A do tego nigdy nie musiała kiwnąć palcem, żeby zwrócić na siebie uwagę - to się po prostu działo. Przez lata wystarczył sam jej wygląd. Kiedy Rose Manning była młoda, jej uroda zwałała z nóg. Carrie zamknęła oczy i wyobraziła sobie matkę: wysoka, smukła sylwetka stworzona do modnych kreacji - chociaż Carrie nie pamiętała Rose noszącej *couture* - dalej wielkie, zielone oczy w kształcie migdałów, wysokie, idealnie wyrzeźbione kości policzkowe i mleczna cera. Gęste, rudozłote włosy Rose były zawsze ułożone w błyszczącą burzę z tyłu głowy, usta wydawały się delikatne, choć mimo to pełne, a orli nos był po prostu doskonały. Wszystko to tworzyło niesamowite połączenie elegancji i eteryczności - sprawiające, że gdziekolwiek się pojawiła, rozmowy milkły. Ludzie podziwiali ją przez dziesięciolecia. W chwili śmierci miała sześćdziesiąt cztery lata, a jeszcze rok wcześniej, zanim przegrała z rakiem, potrafiła wprawić w osłupienie całą salę. Robiła to bez wysiłku - po prostu była.

Jednak matka Carrie zdecydowanie wykraczała poza stereotypowy obraz olśniewającej piękności. Miała wewnętrzną siłę, której jej córka nigdy nie potrafiła nazwać ani zrozumieć. Ubrana w jeden ze swoich kompletów, składający się z prostej spódnicy i bluzki - nie poświęcała zbyt wiele czasu na dobór garderoby - po całej nocy spędzonej na walce o los bezdomnych, którzy trafili do przytułku, Rose mogła wkroczyć na pełne rekinów z Wall Street zebranie zarządu i przyćmić wszystkich. Carrie otworzyła oczy.

- Jak tam jest, w Katonah? Ładnie? - zapytała Howiego. Oboje byli mieszczuchami, ale po tym, jak Carrie odwołała ślub, Howie przeniósł się na przedmieścia, mówiąc, że potrzebuje zmian. Carrie nie potrafiła zrozumieć, jak ktoś mógłby z własnej woli porzucić Manhattan, ale ponieważ Howie był jej przyjacielem - dzięki Bogu, bo nie miała pewności, czy poradziłaby sobie teraz bez niego - starała się okazać zainteresowanie.

- Założę się, że jest ładnie - powtórzyła.

- Trudno powiedzieć. Jest jeszcze ciemno.

- A wczoraj było ładnie, zanim położyłeś się spać?

- Myślę, że tak. Przed moim domem rośnie wielki krzew. Był tam już, kiedy kupowałem to miejsce. Właśnie zaczął okrywać się żółtymi kwiatami. Facet z naprzeciwka twierdzi, że to forsycja.

- Cieszę się, że jesteś szczęśliwy, Howie.

Rzeczywiście się cieszyła. Naprawdę. Nawet jeśli trochę bolało ją to, że może być szczęśliwy bez niej. Ale to normalne, prawda? Teraz najważniejszy był fakt, że Howie pozostał jej przyjacielem i zrozumiał, że zrezygnowała ze ślubu wyłącznie dla jego dobra. Pod względem emocjonalnym była wrakiem człowieka i nie chciała, żeby katastrofa, jaką niewątpliwie trzeba nazwać jej życie, stała się także jego udziałem. Na szczęście kochany Howie rozumiał, że odeszła z miłości do niego.

- Mówię poważnie. Cieszę się, że jesteś szczęśliwy - dodała.

- Dzięki - na chwilę zamilkł, po czym mówił dalej, ostrożnie dobierając słowa: - Słuchaj... kochanie, może poczekaasz parę tygodni ze sprzątaniami mieszkania matki? Odpocznij trochę.

Jeżeli nie zrobię tego od razu, nigdy nie będę w stanie się do tego zabrać.

- Wszystko w porządku. Naprawdę.

- Oczywiście! - odezwał się, chyba za bardzo zdecydowanie. - Wiem o tym!

- Dzięki. Dobranoc, Howie... a właściwie... dzień dobry. - Już miała odłożyć słuchawkę, ale powstrzymała ją jego głos:

- Carrie? Dobrze ci wczoraj poszło. Naprawdę dobrze sobie radziłaś podczas nabożeństwa.

- Dziękuję - powiedziała, odkładając słuchawkę.

Ale Howie się mylił. Wzrok Carrie przesunął się w kierunku drzwi, gdzie na podłodze stał kosz białych róż.

- Chce je pani zabrać? - zapytał ksiądz po zakończeniu nabożeństwa. Powinna była wtedy bez cienia wahania poprosić go, żeby je wyrzucił. Ale kwiaty były śliczne - miękkie płatki w kolorze złamanej bieli z odrobiną różu w środku. W ciągu tych dni, które minęły od śmierci Rose, wygłoszono wiele mów na jej cześć. Na pogrzeb przyszedł tłum ludzi, którzy ją szanowali i podziwiali. Ale zgodnie z wolą zmarłej nie pojawił się tam żaden osobisty akcent, ani razu nikt nie odniósł się do tego, że Rose Manning była czymś więcej niż ikoną - że była też wdową, córką i matką. Nikt nie pożegnał się z nią ekstrawaganckim i pięknym osobistym gestem - z wyjątkiem kogoś niezorientowanego, kto postanowił przysłać kosz białych róż.

- Tak, chcę - odpowiedziała Carrie kapłanowi, zabierając kosz z jego rąk. I wróciła z różami do domu.

Zawiodłam cię, mamó. Przepraszam.

\*

Potykaçąc się wielokrotnie, Carrie brnęła przez tor przeszkód, jakim była jej sypialnia. Kiedy tuż przed trzydziestką wyprowadziła się wreszcie od matki, postanowiła, że musi stworzyć własną, przytulną przestrzeń. Chciała zaszaleć i kupiła kilka ogromnych mebli. Niestety, pominęła problem wymiarów swojego mieszkania. Gigantyczne łóżko ledwo zmieściło się w sypialni, w efekcie dolna szuflada komody przestała się otwierać - żeby się do niej dostać, trzeba było przykucnąć w szafie. Jeśli chodzi o pościel, Carrie kupiła osiem białych poduszek i białą kołdrę puchową. Planowała „Zmysłowy Luksus” - jej najlepsza przyjaciółka Zoe twierdziła jednak, że wyszła z tego „Bezkształtna Klucha”.

W salonie ustawiła kolejne zwaliste, ogromne fotele i sofę. Carrie usłyszała od kogoś, że jeśli powiesi lustro na ścianie nad sofą, pokój będzie wydawał się większy. Posłusznie zastosowała się do tej rady. Skutek był taki, że dolna rama lustra sterczała ze ściany, w związku z czym, kiedy goście siadali na kanapie, musieli się pochylać - inaczej ryzykowaliby guzy na głowie.

Carrie ostrożnie przycisnęła się do łazienki. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Nie była tak piękna jak Rose przed laty, ale niespecjalnie się tym przejmowała. Zoe już dawno poradziła sobie z tym problemem, mówiąc: „Kto, do cholery, może dorównać urodzie twojej matki?”. Nawet w czasach, kiedy każda kobieta z odpowiednią ilością gotówki mogła kupić sobie nos i piersi swoich marzeń, Rose pozostawała klasą samą dla siebie. Poza tym - jak taktownie zauważyła Zoe - Carrie nie wyglądała wcale tak tragicznie. Choć mierzyła metr sześćdziesiąt dwa i była raczej urocza niż dystygowana, natura obdarzyła ją dość atrakcyjnym biustem. Poza tym miała naprawdę niezłe nogi. Nos był może nieco za długi, ciemnobrązowe oczy trochę zbyt głęboko

osadzone, a kręcone włosy - też ciemnobrązowe - zawsze przekształcały się koło trzeciej po południu w kompletny chaos. Ale uśmiech miała fantastyczny. Oczywiście, kiedy z niego korzystała. „A to nie zdarza się zbyt często - powiedziała kiedyś Zoe, podsumowując charakterystykę przyjaciółki. - Nie możesz sobie pozwolić na pozę lodowej księżniczki, jak twoja matka. I nie zaszkodziłoby, gdybyś się czasem umalowała”.

Carrie przeszukała apteczkę i w końcu udało jej się odkopać róż i maskarę - rzadko ich używała. W torebce znalazła błyszczący, spędziła z nim minutę czy dwie, po czym poszła do kuchni i zaczęła się guzdrać ze śniadaniem złożonym z jej ulubionych chipsów śmietanowo-cebulowych. Wciąż jednak było daleko do szóstej. Z jakiegoś powodu Carrie nie chciała jechać do mieszkania matki przed szóstą. Nie chciała też zostać u siebie. Znała tylko jedną osobę - poza nieszczęsnym Howiem - która mogła być o tej porze na nogach. Włożyła więc kurtkę i wyszła.

Rzeczywiście: Zoe była już na nogach i pracowała. Carrie nie mogła mieć wątpliwości, bo kiedy zadzwoniła do drzwi, przyjaciółka stanęła przed nią w roboczym ubraniu: flanelowej piżamie w czerwone róże, fartuchu obficie poplamionym czekoladą i siatce ochronnej na blond włosach. Zoe miała metr osiemdziesiąt trzy wzrostu i była na dodatek chuda, dlatego w tej kreacji wyglądała dość nietypowo. Widząc, co się dzieje, zaczęła zdejmować rękawiczki chirurgiczne. Przyglądała się Carrie z troską i współczuciem - zachowywała się wobec przyjaciółki tak jak wszyscy przez ostatni rok.

- Cześć. Jak się...

- Nowa zasada - przerwała jej szybko Carrie. - Nie pytaj mnie, jak się mam, dobrze?

Zoe chciała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie.

- I nie będziemy rozmawiały o nabożeństwach żałobnych ani pogrzebach - dodała Carrie. - Ani o matkach.

Zoe przytaknęła.

- A mogę zapytać, dlaczego przyszłaś?

- Raczej nie.

- W porządku. Chodź do kuchni.

Tak naprawdę całe mieszkanie Zoe było jedną wielką kuchnią. W kącie upchnęła łóżko polowe, stała tam też szafa, w której trzymała garderobę. Reszta niewielkiej kawalerki została wypatroszona. Następnie wstawiono tam dwie chłodnie, piec godny prawdziwej restauracji, kilka ogromnych pojemników pełnych cukru i kakao oraz duży stół, przy którym mogły swobodnie pracować dwie osoby. Przy jednej ze ścian znajdowały się bele złotej bibuły i skrzynki pełne ręcznie malowanych pudełek na słodycze. Zoe otworzyła pracownię cukierniczą i sprzedawała czekoladowe trufle z dodatkiem ziół najmodniejszym, najbardziej ekskluzywnym sklepom i restauracjom na Manhattanie. Tego dnia już od piątej rano wyjmowała z chłodni blachy pełne zamrożonych kulek, składających się z mieszaniny czekolady i śmietanki zwanej *ganache*. Następnie zanurzała je w roztopionej, słodko-gorzkiej czekoladzie - najlepszej, jaką Belgia miała do zaoferowania - po czym obtaczała je w kakao. Masa *ganache* aromatyzowana była niezliczonymi dodatkami, takimi jak lawenda i woda różana, a nawet - jak w przypadku jednego z klientów, meksykańskiej restauracji - ostrymi papryczkami chili.

Carrie wiedziała to wszystko, bo sama przez dwa lata z niemałym trudem zwlekała się z łóżka o świcie, żeby zanurzać i obtaczać trufle. Była wtedy współniczką Zoe - razem założyły ten biznes i pracowały zgodnie,

aż pewnego dnia Carrie poczuła, że ściany kuchni zaczęły ją osaczać. Błagała Zoe, żeby zrozumiała, że nadal ją uwielbia, ale musi w życiu odnaleźć trochę więcej sensu, niż mogły mu nadać czekoladki. Zoe próbowała jej to wyperswadować, przypominając, że są przecież o krok od podpisania pierwszego ważnego kontraktu z siecią modnych sklepów na Manhattanie - kontraktu, na który obie ciężko harowały - i że Carrie pozbawi się dużych pieniędzy, jeżeli teraz sprzeda udziały. Carrie nie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego czuje, że musi porzucić biznes, który sama wymyśliła. Wiedziała po prostu, że jeśli zwinie jeszcze jedną truflę w kolejny kawałek złotej bibułki - zacznie ciskać po mieszkaniu Zoe garnkami z czekoladą. Odeszła, a sześć tygodni później jej przyjaciółka, już jako jedyna właścicielka, podpisała upragnioną umowę. Teraz mogła sobie pozwolić na zatrudnienie ludzi do pakowania czekoladek, ale mimo sukcesu, jaki odniosła, nadal sama zanurzała w czekoladzie i obtaczała w kakao każdą truflę. Wkrótce miała też odzyskać swoje mieszkanie - planowała wynająć na Brooklynie profesjonalną kuchnię.

Kiedy Zoe zanurzyła pierwsze truflę w polewie, gorąca czekolada syknęła i Carrie poczuła zapach zamrożonego *ganache*. Wzięła głęboki oddech.

- Bazylia? - zapytała.

Pochłonięta pracą Zoe nawet nie podniosła głowy.

- To nadal najpopularniejszy smak - powiedziała. - W Bean and Brown błyskawicznie znikają z półek.

Położyła truflę na kawałku pergaminu i zabierała się do obtaczania ich w kakao.

- Poczekaj - powiedziała Carrie. Otworzyła szafkę pod zlewem, w której leżały siatki na włosy i rękawiczki, i włożyła strój roboczy. - Pójdzie szybciej, jeśli zrobimy to razem.

Zoe rzuciła jej rozbawione spojrzenie, ale litościwie nie powiedziała nic więcej. Pracowały obok siebie - w dobrze znanym rytmie, który powtarzały kiedyś przez setki poranków aż do chwili, gdy w lodówce znalazło się pięć blach wypełnionych gotowymi truflami.

- Nie straciłaś wyczucia - zauważyła Zoe, kiedy zdejmowały gumowe rękawiczki. - Wiesz, ile osób zdążyłam wyrzucić w ciągu ostatnich czterech miesięcy właśnie dlatego, że nie miały wyczucia?

Zawahała się, po czym dodała:

- Wiesz... Carrie, gdybyś chciała... mogłabyś odkupić swoje udziały.

Wielu ludzi wściekłoby się na Carrie za to, w jaki sposób odeszła tuż przed szansą podpisania wielkiego kontraktu. Ale

Zoe знаła ją od podstawówki i rozumiała, że jej przyjaciółka ma duże problemy z doprowadzeniem czegokolwiek do końca. Była przy tym, jak Carrie rozkręcała serwis zajmujący się wyprowadzaniem psów, sklep z ubraniami *vintage* - to z innym, mniej wyrozumiałym współnikiem - i przyglądała się z boku jej krótkiej, burzliwej karierze asystentki. Usiadła na jednym ze stołków, które otaczały stół.

- Mówię poważnie - powtórzyła. - Chciałabyś wrócić?

Przez chwilę wydawało się, że to fantastyczna propozycja. Przez ostatni rok Carrie poświęciła większość czasu opiece nad matką. Myślała tylko o niej. Lekarze Rose szybko postawili diagnozę: dla tej pacjentki nie ma nadziei. Usłyszawszy ten wyrok, Carrie postanowiła zadbać o to, na co jeszcze miała wpływ. Chciała, żeby śmierć jej matki była „dobrą” śmiercią - chociaż gdy się nad tym zastanawiała, nie miała pewności, czy taka istnieje. Rose pozostała w swoim mieszkaniu tak długo, jak pozwolili na to specjaliści, bo tego właśnie

pragnęła najbardziej. Spędziła w szpitalu tylko ostatnie dwa tygodnie życia. Carrie do tego stopnia pochłonęła udręka jej choroby, że kiedy wszystko się już skończyło, zauważyła, że nagle ma mnóstwo czasu - nieskończoność godzin, których nie umie wypełnić. Nigdy w życiu nie czuła się tak zagubiona. Gdyby znowu została współniczką Zoe, miałyby pracę i miejsce, do którego mogłaby codziennie wracać, i... I po dwóch tygodniach - tego była pewna - znowu marzyłaby o odejściu.

Carrie poczuła w piersi narastający, bolesny ciężar.

- Firma bardzo się rozrosła. Nie stać mnie na to, żeby wrócić - powiedziała.

- Zapłaciłabyś tyle, ile ja, kiedy wykupiłam twoje udziały. Bolesny ciężar ruszył w kierunku gardła.

- Jesteś dla mnie zbyt dobra - wymamrotała Carrie. Chciała, żeby Zoe przestała, przestała natychmiast.

W sytuacji, w jakiej się teraz znajdowała, taka życzliwość to było dla niej naprawdę za dużo. Wymówki, złośliwe uwagi - z tym jeszcze mogłaby sobie poradzić, ale tyle dobroci... czuła, że traci równowagę.

- Po jaką cholere chciałabyś znowu ze mną pracować? - zapytała dość agresywnie. - Schrzałam wszystko, czego się tylko dotknęłam. Rzuciłam studia. Nie wytrzymałam nawet sześciu miesięcy w szkole gastronomicznej.

- Ale wymyśliłaś świetny przepis na trufle bazyliowe...

- Próbowałam w setkach miejsc, sama nawet nie wiem w ilu, i zawsze uciekałam. Te nasze czekoladki to trzecia rzecz, którą zaczęłam budować od podstaw - wszystkie trzy rzuciłam. Nawet nie dałam rady być z Howiem, a to przecież najśłodszy facet na świecie. Jestem kompletną, absolutną wariatką i... - urwała. - I dlaczego jeszcze się na mnie nie rzuciłaś?

- A dlaczego miałabym to zrobić?

- Jęczę i marudzę. Dlaczego nie pouczasz mnie, że nie powinnam się nad sobą litować? Od tego są przyjaciółki - powinny stawiać nas do pionu. Dlaczego nie mówisz mi, że sama dokonałam tych wyborów i muszę wziąć za nie odpowiedzialność, i wreszcie dorosnąć, tak jak mi zwykle doradzałaś?

- Stara zasada - odparła spokojnie Zoe. - Przyjaciółka nie poucza przyjaciółki, której matka właśnie zmarła.

I wtedy Carrie straciła panowanie nad sobą. Rozplakała się. Łkała głośno i długo. Kiedy wreszcie przestała, Zoe powiedziała, że to pewnie właśnie dlatego do niej przyszła.

- Zresztą miałaś problem z Rose jeszcze przed jej śmiercią - dodała.

- Już nie mam - odpowiedziała Carrie.

- Dopiero teraz, kiedy jej nie ma... To zacznie się nasilać, bo nigdy sobie z nią wszystkiego nie wyjaśniłaś, a wiesz, jak bardzo tego potrzebujesz.

Carrie wiedziała. Ale nie chciała znowu zacząć płakać.

- Niestety, teraz trudno będzie odbyć długą, szczerą rozmowę.

- Musisz zamknąć ten etap, Carrie. Potrzebujesz tego.

- Nie mów do mnie jak psycholog z telewizji. Jeśli chcesz wiedzieć, zamykam ten etap. Dziś jadę posprzątać mieszkanie.

- Sama? Nie rób tego.



- Dlaczego każdy mi to powtarza? Dam sobie radę. - Zoe spojrzała na nią. - Wszystko w porządku. Naprawdę.

Po chwili Zoe skinęła głową i wyjęła z chłodni kolejną blachę bazyliowych truflii. Zanurzały je w czekoladzie i obtaczały w kakao do chwili, kiedy wybiła dziewiąta i Carrie nie mogła już sobie powtarzać, że jest za wcześnie, żeby pójść do mieszkania Rose.

- Mogę cię zapytać o jedną rzecz związaną z pogrzebem? - zapytała Zoe, kiedy odprowadzała Carrie do windy.

- A mogę cię powstrzymać? - Carrie przygotowała się na kolejną scenę rodem z psychologicznego talk-show.

- Zaprosiłaś swoją babcię?

Pytanie było trochę gorsze, niż oczekiwała.

- Nie mogłam - odpowiedziała po chwili. - Matka by tego nie chciała.

- Myślisz, że twoja babcia mogłaby mimo to przyjechać?

- Dlaczego pytasz?

- Wydawało mi się, że widzę kogoś z tyłu... ta kobieta wyglądała trochę jak na zdjęciach, które kiedyś widziałam... tych z ostatniego okresu kariery twojej babci.

- Gdyby miała się pojawić, wiedzielibyśmy o tym wszyscy. Nie ma co do tego wątpliwości. Towarzyszyłaby jej przynajmniej orkiestra dęta.

- Chyba za nią nie przepadasz.

- Takie są fakty. Podobno nikt nie miał takich wejść jak Lu Lawson.

# ROZDZIAŁ 2

Nowy Jork

2008

Carrie złapała taksówkę i kazała się zawieźć do mieszkania matki na 82. Ulicę. Jechała do domu, w którym dorastała. Oparła się wygodnie i od razu przypomniała jej się postać Lu. Myśl, że wybitna matka jej wybitnej matki mogła pojawić się na nabożeństwie żałobnym, wyprowadzała Carrie z równowagi, podobnie jak incydent z koszem białych róż. Jakiś czas po przyjściu Carrie na świat jej matka i babka, jak to się mówi w starych filmach, „oddaliły się od siebie”. Nie miała pojęcia, jak do tego doszło. Wiedziała tylko, że konflikt między nimi zaczął się mniej więcej w okresie, kiedy zmarł jej ojciec.

Myśli Carrie pomknęły w stronę Bobby'ego Manninga, jej tajemniczego ojca, o którym marzyła do chwili, kiedy była na tyle duża, by zrozumieć, że matka wolałaby, żeby tego nie robiła.

- Kochał cię - odpowiadała zwykle Rose na wszelkie pytania Carrie dotyczące ojca.

Raz powiedziała parę słów więcej :

- Bobby i twoja babcia byli wyjątkowi i bardzo do siebie podobni.

Ponieważ oboje stali się prawdziwymi legendami show-biznesu, to stwierdzenie nie wydawało się małej Carrie szczególnie zaskakujące. Uderzyła ją raczej gorzka wyczuwalna w łagodnym głosie matki.

Jednym z licznych elementów, które uczyniły życie Carrie tak pogmatwanym - czy raczej „zaburzonym”, jak określała to Zoe - był fakt, że pochodziła z teatralnej arystokracji. I to z obu stron. Matką Rose była Lu Lawson, jedna z największych gwiazd komedii muzycznych Broadwayu w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Natomiast ojciec Carrie, błyskotliwy Bobby Manning, napisał w latach sześćdziesiątych i na początku lat siedemdziesiątych sześć musicali, które stały się absolutnymi hitami. Nie miał na koncie ani jednej klapy. Ale to jeszcze nie wszystko: Bobby był fenomenem, jedynym takim człowiekiem w branży. Większość musicali w tamtym okresie tworzyły dwuosobowe zespoły: jeden człowiek pisał tekst i piosenki, a drugi komponował muzykę. Bobby nie miał partnera - tworzył wszystko sam, zarówno słowa, jak i muzykę. W wywiadach tłumaczył, że pozwala mu to uniknąć irytujących nieporozumień i kłótni. Jednak większość ludzi z branży uważała, że pracował sam, bo był geniuszem. Do tych najgłośniejszych talent Bobby'ego w okresie jego świetności należała kobieta, która zapewniła mu debiut: jego teściowa, Lu Lawson. Zresztą miała powody, żeby go wychwalać. Wystąpiła w jego pierwszym musicalu, *The Lady*, i dzięki tej roli zdobyła nagrodę Tony. W tym samym roku Tony'ego dostał także Bobby.

Po tym, jak *The Lady* zgarnęła wszystkie nagrody, „Play-bill” - biuletyn rozdawany w teatrach przed spektaklami - zamieścił materiał poświęcony Bobby'emu i Lu. W tekście tym Bobby przyznał, że stworzył musical dla Lu, jeszcze zanim ją poznał, kiedy był nikim i nie mógł nawet marzyć, że największa gwiazda amerykańskiej sceny postawi właśnie na niego. Dodał też kokieteryjnie, że nadal nie może uwierzyć we własne szczęście. Na zdjęciu towarzyszącym artykułowi kurczowo ścisnął swoją statuetkę, wybałuszając oczy ze zdumienia, dzięki czemu jego skromność stawała się jeszcze bardziej ujmująca. Lu z kolei twierdziła, że to ona

miała szczęście. Te wyrazy wzajemnego uznania składali sobie dwa miesiące po ślubie Bobby'ego z córką Lu, Rose. Temat ślubu nie pojawił się w prasie, ponieważ panna młoda nie chciała rozgłosu. Poza tym to duet Bobby'ego Manninga z Lu Lawson znajdował się w centrum uwagi. Świat show-biznesu miał swoje priorytety.

Rose nie opowiadała córce ani o wzruszająco zgodnej współpracy zięcia z teściową, ani o ich sukcesach. Na ścianach mieszkania Rose i Carrie nie wisały oprawione plakaty sztuk teatralnych Bobby'ego. Przepadły statuetki Tony - Carrie próbowała ich kiedyś szukać, ale nic to nie dało. No i oczywiście w mieszkaniu nie było żadnych zdjęć Lu Lawson. Zresztą brakowało tam jakichkolwiek zdjęć rodzinnych. Carrie latami zastanawiała się, dlaczego, ale był to kolejny temat, którego nie lubiła poruszać jej matka, więc Carrie nauczyła się zachowywać te pytania dla siebie. Zachowała w pamięci kilka wyblakłych obrazów ojca - zmarł, kiedy miała trzy lata. Wspominała też babcię, która zniknęła z jej życia w tym samym okresie. Gdyby ktoś jednak o nich zapytał, nie potrafiłaby powiedzieć, jak wyglądali. Kiedy dorastała, wydawało się jej, że to nie ma znaczenia. A przynajmniej nie poświęcała tej sprawie zbyt wiele uwagi.

Kiedy skończyła trzynaście lat, w Londynie planowano wznowienie *The Lady*. Nie było to zresztą nic wyjątkowego. Spektakle jej ojca wznawiano bezustannie, ale tym razem Carrie i Rose dostały - jako goście honorowi - zaproszenie na premierę. Rose natychmiast zawiadomiła organizatorów, że niestety nie będzie mogła się pojawić. Ale Carrie zrozumiała nagle, że wcale nie odpowiada jej takie rozwiązanie.

- Dlaczego nie możemy pójść? - zapytała. Spodziewała się, że matka zacznie wyliczać spotkania, których nie powinna opuścić, zbiórki pieniędzy, w których musi uczestniczyć, przemowy, które zobowiązała się wygłosić. Ale Rose ją zaskoczyła. Zamiast mówić o zobowiązaniach, powiedziała:

- Ta premiera nie będzie taka, jak myślisz. Naprawdę nic nie stracisz.

- Ale oni wznawiają *The Lady*. Mama Zoe mówi, że to był wielki hit.

- Dawno temu. - Rose wzruszyła ramionami. Carrie zaczęła bronić ojca, którego nigdy nie знаła:

- Zdobył wiele nagród. Rose lekko zmarszczyła czoło.

- Ludzie teatru lubią obdarowywać się wzajemnie nagrodami - wyjaśniła. - Dzięki temu mają nadzieję, że sami jakąś zdobędą. To naprawdę niewiele znaczy.

Zamilkła na chwilę, po czym dodała:

- To wszystko tylko kwestia ego.

Ego było tą słabością, przed którą Rose ostrzegały w dzieciństwie zakonnice. W życiu Carrie stało się słowem tabu. A jednak Carrie nie ustąpiła nawet wtedy, kiedy padły najcięższe oskarżenia.

- Ale ten spektakl musiał być dobry, skoro zdobył tyle nagród.

Rose westchnęła.

- Twój ojciec pisał musicale, kochanie - powiedziała łagodnie. - W tamtych czasach ludzie uważali, że są zabawne, ale z tego, co słyszałam, niezbyt dobrze zniosły próbę czasu. Zresztą nic w tym dziwnego, większość komedii muzycznych tamtego okresu była dość głupia. Tak samo jest obecnie. To raczej prosta rozrywka...

- Ale przecież musicale taty pokazują też w Operze. Wystawiają je w Londynie i Japonii, na całym świecie. To nie może być głupie.

- Gdzie o tym słyszałaś? - Do matki dotarło wreszcie, że nie będzie łatwo uciec od tego tematu.

- Ludzie tak mówią. Wszyscy wiedzą, kim był mój tata.

- Rozumiem - odpowiedziała Rose. - No cóż, od dziś, gdyby ktokolwiek o niego pytał, mów po prostu, że był utalentowany. To szczerą prawdą.

Rose odwróciła się, dając do zrozumienia, że to koniec rozmowy, ale Carrie się nie poddawała.

- Ludzie mówią, że moja babcia też była utalentowana - dodała wyzywająco. - Wiem, że z nią nie rozmawiasz, nie spotykasz się ani nic, ale wszyscy twierdzą, że Lu Lawson to wielka gwiazda.

Carrie zobaczyła, że Rose sztywnieje.

- Moja matka miała licznych wielbicieli - odparła beznamiętnie. - A więc tak, można powiedzieć, że była gwiazdą.

Po czym skierowała się w stronę drzwi. Ale Carrie nie mogła ustąpić. Zbyt długo zastanawiała się, dlaczego w ich mieszkaniu nie wiszą żadne zdjęcia Bobby'ego ani Lu.

- Czy kiedykolwiek byłeś z nich dumna, mamó? - usłyszała swój wybuch.

Wielkie zielone oczy, które się ku niej zwróciły, wypełniał tak wielki ból, że Carrie musiała odwrócić wzrok.

- Ta część mojego życia jest zamknięta raz na zawsze - powiedziała Rose. - Jestem przekonana, że roztrząsanie przeszłości do niczego dobrego nie prowadzi.

Zaraz potem wyszła z pokoju.

W sobotę Carrie okłamała matkę.

- Pani Forester zaprosiła mnie, żebym przyszedł posiedzieć z Zoe - powiedziała. Pani Forester była matką Zoe i nie zrobiła nic podobnego, ale Carrie wiedziała, że Rose tego nie sprawdzi. Carrie miała zdecydowanie więcej swobody niż inne dzieci w jej wieku. Rose uważała, że jej córka jest odpowiedzialna i dojrzała. Tylko Carrie wiedziała, że jest inaczej, ale ponieważ chciała, żeby matka pozostawała w świecie iluzji, zwykle zachowywała się dojrzałe i odpowiedzialnie. To z kolei dowodziło, że Rose się nie myliła - zazwyczaj. Ale nie dziś. Rose jednak nie mogła mieć o tym zielonego pojęcia. Czekał ją pracowity dzień i była już spóźniona na pierwsze spotkanie. Zmarszczyła tylko brwi, słysząc o „siedzeniu u Zoe” - takie zajęcia uznawała za stratę cennego czasu. Carrie miała tylko wrócić o czwartej, żeby mogły razem pomóc przy obiedzie w schronisku. Rose przypomniała jej o tym i wybiegła w pośpiechu.

Carrie odczekała, aż matka zniknie z pola widzenia, po czym wyruszyła sama do miasta. Zamiast iść na północ od 83. Ulicy w stronę mieszkania Foresterów na 88. Ulicy, skierowała się do centrum, do Biblioteki Sztuk Widowiskowych w Centrum im. A. Lincolna. Postanowiła, że przeprowadzi własne badania i dowie się wreszcie czegoś o Bobbym Manningu i Lu Lawson.

Znała zasady obowiązujące w bibliotekach. Korzystała już z biblioteki szkolnej: przychodziła tam zawsze, kiedy nauczyciel zadawał nowy projekt. Mimo to nie była pewna, czy te same reguły obowiązują w bibliotekach dla dorosłych i czy w ogóle wpuszczą tam kogoś w jej wieku. Dlatego też przygotowała sobie zawczasu historyjkę o szkolnym projekcie i list - który sama napisała - od nieistniejącej nauczycielki angielskiego, z prośbą, by Carrie Manning mogła bez przeszkód prowadzić konieczne poszukiwania. Gdyby ktokolwiek stanął jej na drodze, była nawet gotowa się rozplakać.

Zarówno łyzy, jak i fałszywy list okazały się niepotrzebne. Kobieta w informatorium uśmiechnęła się i skierowała Carrie do Kolekcji Teatralnej Billy'ego Rose'a na trzecim piętrze. Tam życzliwy młody człowiek zapytał, po co przyszła, po czym zniknął. Po kilku minutach był z powrotem: miał ze sobą trzy grube antologie, stos roczników teatralnych, które zaczynały się od 1948 roku, i dwie naprawdę duże teczki z wycinkami prasowymi. W pierwszej znajdowały się świadectwa kariery Bobby'ego, w drugiej materiały dotyczące Lu. Wycinki - głównie recenzje teatralne i inne artykuły - były chaotycznym zbiorem kartek, najwidoczniej nikt nie zadał sobie trudu, żeby je uporządkować. Właśnie z tego powodu Carrie zdecydowała się zacząć od książek. Z bijącym sercem otworzyła najgrubszą z antologii i zaczęła czytać.

Nie wierzyła własnym oczom. Już wcześniej wiedziała, że jej ojciec i babcia byli znani, ale nigdy by nie przypuszczała, że aż tak! Rozdział poświęcony Lu Lawson miał dwadzieścia dwie strony. Jej debiut opisywano słowami „przełom”, „zachwycająca”, „niezrównana”. Historyk teatru, który był autorem antologii, twierdził, że już na początku kariery „stała się uosobieniem tego, co najlepsze w postaci zadziornego dziewczątka w komedii muzycznej”. W późniejszym okresie - pisał dalej - przeobraziła się w „prawdziwą królową gatunku”. Jak odnotowała z satysfakcją Carrie, historyk wcale nie uważał, że musicale są głupie. „Największy wkład Ameryki w magiczny, fascynujący świat teatru” - pisał.

Publikacja, którą oglądała, była bogato ilustrowana, znajdowało się tam wiele zdjęć Lu. Podekscytowana Carrie chciała je jak najszybciej zobaczyć. Kiedy spojrzała na pierwsze z nich - aż jęknęła ze zdziwienia. Patrząc na twarz babci, widziała siebie: wyglądały niemal identycznie. Na zdjęciu przedstawiającym uśmiechniętą Lu Lawson widziała swoje usta, nos, oczy... Zaczęła szybko przewracać kolejne strony. Znalazła kilka dużych zdjęć Lu, zdradzających, że nie była wysoka, ale miała ładny biust i wspaniałe nogi. Trzynastoletnia Carrie liczyła na to, że odziedziczy te atrybuty po babci.

Wszystkie znajdujące się w albumie zdjęcia były czarno-białe - najwięcej z nich przedstawiało Lu w wystudiowanych pozach, które przybierała podczas spektakli teatralnych. Im dłużej Carrie je oglądała, tym większe ogarniało ją rozczarowanie. Książka nie mogła przecież odpowiedzieć na jej pytania. Jak brzmiał wtedy głos mojej babci? - chciała zapytać Carrie. Jak wyglądała, kiedy nie pozowała do zdjęcia? Kim była? A przede wszystkim: czemu zawód aktorki teatralnej był czymś tak wyjątkowym? Co czyniło teatr tak magicznym i niezrównanym? Zawiedziona Carrie przeszła do rozdziału poświęconego jej ojcu.

Bobby był na szczycie znacznie krócej niż Lu - zmarł w dość młodym wieku. Mimo to pisano o nim jako o człowieku, który wyprzedził swoją epokę i zrobił dla komedii muzycznej więcej niż ktokolwiek inny od czasów Richarda Rodgersa i Oscara Hammersteina. „Odejście Bobby'ego Manninga to ogromna strata - pisał autor książki. - Nie sposób przewidzieć, czym byłby dziś teatr, gdyby Manning nadal tworzył”.

Ciekawe, kim bym teraz była, gdyby żył - pomyślała Carrie. Ledwo pamiętała ojca. Nie była nawet pewna, czy to wspomnienia, czy fantazje, w które uciekała, nie mogąc poruszać tego tematu z matką. Jako mała dziewczynka wyobrażała sobie, że jej ojciec wyglądał jak dziennikarz Dan Rather - wieczorne wiadomości były jedynym programem telewizyjnym, który Rose oglądała.

Carrie znalazła w antologii wiele zdjęć Bobby'ego i poświęciła im tyle samo uwagi, co zdjęciom babci. Jej ojciec miał ciemne, gęste włosy, szczupłą twarz, długi nos i szerokie, pełne usta. Ilustracje, które oglądała, pozwalały sądzić, że zwykle chodził w smokingu, często bywał w restauracjach i na przyjęciach. Carrie stanęło

nagle przed oczami mgliste wspomnienie elegancko ubranego mężczyzny, siadającego na tylnym siedzeniu długiego, czarnego samochodu i wołającego przez ramię: „Dobranoc, księżniczko!”. Kiedy już samochód - czy to była limuzyna? - odjechał, w powietrzu jeszcze przez dłuższy czas unosił się zapach cytrusowej wody kolońskiej. Ale przecież limuzyna, którą zapamiętała, mogła równie dobrze pojawić się w jakimś filmie. A tego typu wody kolońskiej używało wielu mężczyzn. Carrie westchnęła. Oglądanie zdjęć ojca okazało się równie bezsensowne jak badanie fotografii Lu Lawson. Nadal nie miała pojęcia, jaką osobą był tak naprawdę Bobby ani w jaki sposób stał się sławny. Ani dlaczego oczy jej matki wypełniał ból, kiedy o nim mówiła. Ani dlaczego nie chciała chodzić na żadne wznowienia jego musicali.

Zniechęcona Carrie rozejrzała się wokół siebie. Tak bardzo liczyła na to, że coś znajdzie. Po tylu latach, w czasie których nie zadawała żadnych pytań i nie wiedziała o swojej rodzinie tego, co innym dzieciom wydawało się oczywiste - myślała, że odkryła wreszcie sposób, żeby odnaleźć pewne odpowiedzi i żeby matka nie miała pojęcia o jej zdradzie. Ale na kartkach antologii nie widziała żadnych wskazówek. Carrie wcale nie zamierzała zamknąć książki z hukiem - ale tak zrobiła.

Miły młody bibliotekarz na drugim końcu sali złapał jej wzrok i uśmiechnął się pokrzepiająco. Zdawał się mówić, że jeszcze nie czas się poddawać. Spojrzała na leżący przed nią stos książek i dwie teczki, po czym znów westchnęła. Bibliotekarz miał rację - musiała być cierpliwa. Matka zawsze jej to powtarzała. Carrie sięgnęła po teczkę, na której widniało nazwisko jej babci, i zaczęła przeglądać kolejne wycinki.

Poddała się po godzinie. Artykuły z gazet i czasopism okazały się jeszcze mniej pomocne niż antologia. Postanowiła wrócić wcześniej do domu i zrobić sobie coś do jedzenia - miałyby pretekst, żeby nie jeść obiadu w schronisku. Kiedy odkładała teczki, z tej podpisanej „Bobby Manning” wypadła duża szara koperta. Widniał na niej napis: „Zdjęcie, nie zginać”. Carrie wyjęła fotografię owiniętą w papier. Ktoś przykleił do niej podpis - znajdował się u dołu. Natomiast na górze Carrie zauważyła odręczny dopisek: „Odrzut z sesji zdjęciowej do głównego artykułu z czasopisma «Fashionable Woman Today». 12 lutego 1969 r. Strona pierwsza”.

Carrie odwinęła papier - i spojrzała na zdjęcie z niedowierzaniem. Spodziewała się zobaczyć Bobby'ego Manninga, ale na kolorowej fotografii ujrzała wspaniałą młodą dziewczynę z grzywą lśniących, rudozłotych włosów i gęstymi sztucznymi rzęsami zdobiącymi zjawiskowe zielone oczy. Oczy, które Carrie tak dobrze знаła.

„Rose Manning ma bajeczną kolekcję biżuterii, ale podkreśla, że największą dumą napawa ją pierścienek zaręczynowy, który dostała od swojego mężulka Bobby'ego” - tak brzmiał podpis pod zdjęciem. Widniał na nim Rose pozująca na jasnym tle jedwabnej draperii. Miała na sobie białą lśniącą sukienkę, tak krótką, że długie włosy niemal dotykały skraju tej wspaniałej kreacji. Na ramię zarzuciła niedbale białe puszyste futro, a tej kompozycji dopełniały białe botki do kolan na wysokim obcasie. Jej matka patrzyła w obiektyw jak prawdziwa kapryśna gwiazda. Wyciągała lewą rękę: na jej serdecznym palcu skrzył się pierścienek z ogromnym diamentem. Tę pozę mogło oddać tylko jedno słowo: „sexy”.

Rose Manning, którą znała jej córka, twierdziła, że diamenty to dowód próżności. Dodawała też zwykle, że ludzie, którzy wydobywają je w kopalniach, zmuszani są w gruncie rzeczy do pracy niewolniczej. Twierdziła również, że malowanie się to strata cennego czasu i oznaka zepsucia. Nigdy w życiu nie uśmiechałaby się do aparatu, mając na sobie sukienkę, która ledwo zakrywała jej bieliznę. Carrie wepchnęła zdjęcie z powrotem do

koperty i zaczęła szukać w teczce poświęconej Bobby'emu Manningowi brakującej części artykułu z „Fashionable Woman Today”. Nie znalazła go tam. Podeszła do bibliotekarza i pokazała mu zdjęcie.

- Tu jest napisane, że to pierwsza strona. - Carrie pokazała mu podpis. - Czy to nie oznacza, że powinno być tego więcej?

- Prawdopodobnie. Ale Bóg wie gdzie. Ludzie zawsze robią bałagan w tych teczkach. Całe życie nic tylko porządkuję te zbiory. Zrobmy tak: dziś mam za dużo na głowie, żeby się tym zająć, ale rozejrzę się w przyszłym tygodniu i jeżeli znajdę resztę artykułu, zadzwonię do ciebie. - Podał Carrie ołówek i kartkę. - Zapisz mi swój telefon.

Natychmiast wyobraziła sobie, jak jej matka odbiera telefon i dowiaduje się, że Carrie prowadzi poszukiwania w Centrum im. A. Lincolna.

- Nie trzeba - powiedziała szybko. - Wrócę w przyszłą sobotę.

Zanim bibliotekarz zdążył zareagować i zadać jakiegokolwiek niewygodne pytania, uśmiechnęła się z wdziękiem i pospieszenie wyszła. Ale jadąc windą, czuła się jeszcze bardziej zagubiona niż w chwili, gdy wchodziła do tej przekłętej biblioteki. Teraz musiała jeszcze do wszystkich kłębiących się w jej głowie pytań dorzucić nowy, zdumiewający obraz: jej matka jako Rose Manning Seksowny Kociak.

Kiedy dotarła na plac przed biblioteką, spostrzegła kilka betonowych ławek. Wciąż lekko oszołomiona, usiadła na jednej z nich. Próbowwała zrozumieć to, co przed chwilą zobaczyła, kiedy nagle zauważyła strumień ludzi kierujących się do budynku sąsiadującego z kompleksem Lincoln Center. Zaciekawiona, odłożyła chwilowo na bok tajemnicę dziwnego zdjęcia matki, wstała i podążyła za tłumem.

W budynku znajdowały się dwa teatry: Teatr Vivian Beaumont oraz Teatr Mitzi E. Newhouse. Kobiety - bo przez plac spieszyły do wejścia głównie kobiety - przyszły na sobotni, popołudniowy spektakl w Vivian Beaumont. Carrie nigdy nie widziała przedstawienia w teatrze, ale pani Forester uwielbiała chodzić na spektakle i często brała ze sobą Zoe. To dzięki temu Carrie wiedziała, że popołudniówki grano właśnie w soboty.

Wmieszała się w tłum miłośników teatru i w pewnej chwili wpadła na dwie kobiety zawzięcie dyskutujące w oczekiwaniu na wejście. Jedna z nich wydawała się wystarczająco stara, żeby mogła być babcią, a druga na tyle młoda, żeby Carrie mogła udawać jej córkę. Carrie z całych sił starała się sprawiać wrażenie, jakby przyszła z nimi i w ich towarzystwie wkroczyła do teatru głównym wejściem. Kiedy już znalazła się w środku, zapomniała nagle o wszystkim poza sceną, którą miała przed oczami. Właśnie tego szukała w książkach i artykułach w bibliotece! Chodziło o publiczność! W miarę, jak ludzie wlewali się do foyer Vivian Beaumont, to miejsce zaczynało wibrować od kłębiącej się energii. Składał się na nią między innymi gwar setek rozmów, unoszący się nad krążącymi po foyer ludźmi. Chodziło jednak o coś więcej niż gwar - o to niepowtarzalne napięcie, o wyjątkowy nastrój ogarniający widzów, którzy czekają na coś wspaniałego. Carrie napawała się tą atmosferą.

Rozległ się dzwonek i otworzyły się drzwi w tylnej części foyer: prawdopodobnie właśnie tam znajdowało się wejście na widownię. W drzwiach pojawiła się kobieta i ludzie zaczęli ustawiać się w kolejce, żeby podać jej bilety. A Carrie bardzo chciała - po prostu musiała - dostać się do środka. Całą sobą czuła, że tylko w ten sposób zdoła zrozumieć swojego ojca i babcię, i to, czym się zajmowali.

Rozejrzała się, szukając wzrokiem duetu matki z córką. Kobiety ustawiły się już w kolejce i nadal rozmawiały. Carrie odwróciła się i spojrzała na bileterkę. Była znudzona swoją pracą i nie zwracała szczególnej uwagi na to, co dzieje się wokół niej. Teraz albo nigdy. Z bijącym sercem Carrie podeszła do „swoich” kobiet tak blisko, jak tylko miała odwagę, i zaczęła przesuwając się wraz z kolejką w stronę wejścia na widownię. W ciągu kilku minut dotarli do drzwi, przy których sprawdzano bilety. Serce Carrie łomotało teraz tak głośno, że nie mogła uwierzyć, że stojąca obok kobieta go nie słyszy. Jeszcze chwila i wyciągnie Carrie z kolejki, nazwie kłamczuchą, oszustką albo kimś jeszcze gorszym. Może nawet sprowadzi Rose. Dziewczynka zacisnęła pięści i przygotowała się na katastrofę. Ale kiedy mijała bileterkę, ta nawet nie podniosła głowy. Carrie zrobiła jeszcze parę kroków i minęła drzwi wejściowe. Była w środku! Teraz mogła wreszcie odetchnąć. Uspokoila się i rozejrzała dookoła.

Widownia teatru Vivian Beaumont okazała się naprawdę ogromna - już w pierwszej chwili zrobiło to na niej duże wrażenie. Sięgająca tylnej ściany scena wciniała się w widownię, dzięki czemu publiczność mogła widzieć ją z trzech stron. Rzędy foteli zostały podzielone na pięć otaczających scenę sektorów, które tworzyły razem trzy czwarte okręgu. Podłoga widowni, pokryta grubą wykładziną, była nachylona w stronę sceny, tak żeby widzowie z tylnych rzędów widzieli aktorów, patrząc ponad głowami tych, którzy siedzieli przed nimi. Kolejne miejsca znajdowały się na balkonie, który okalał teatr z trzech stron.

Jeden z bileterów podszedł do towarzyszek Carrie, by wskazać im właściwy kierunek. Carrie szybko się wycofała. Zauważyła grupę osób zdających się kręcić w oczekiwaniu. Zgodnie z tym, co opowiadała jej Zoe, byli to widzowie z wejściówkami. Carrie weszła pomiędzy nich i czując się chwilowo bezpiecznie, spojrzała na odsłoniętą scenę, na której ustawiono kilka mebli.

Tymczasem na widowni narastało napięcie. Jakaś spóźniona para próbowała odnaleźć swoje miejsca - wszyscy inni już siedzieli i przeglądali program albo rozmawiali. Konwersacje zlewały się w szum, który unosił się w całej sali. Nagle jednak światła zaczęły gasnąć. W teatrze natychmiast zapanowała cisza. Carrie uderzyło, jak szybko i gwałtownie nastąpiła ta zmiana. Teraz wszystkie oczy skierowane były na scenę. Na sali zapanowały ciemności, a napięcie narastało dalej, aż Carrie nabrała przekonania, że teatr nie zniesie go już ani chwili dłużej. Ale sekundę później scenę zalało światło. Publiczność czekała w napięciu na rozwój wypadków. Po chwili okazało się, że meble na scenie stanowią część wyposażenia salonu. Wtedy wybuchła burza oklasków i Carrie wiedziała, że zaczynają się czary. Magiczną atmosferę tworzyły w dużej mierze światła ustawione tak, że wszystko, co znajdowało się na scenie, zdawało się należeć do świata baśni. Magiczny był też sposób, w jaki odmieniona została publiczność. Wcześniej pojedyncze osoby pozostawały sobie obce, kiedy jednak oświetlono scenę, wszyscy stanowili jedną widownię, w której nie dało się zauważyć śladu podziałów sprzed spektaklu. Był w tych ludziach rodzaj dziecięcej ekscytacji i ciekawości. Carrie miała ochotę przebiec między rzędami i uściskać wszystkich po kolei.

Wtedy jednak podeszła do niej bileterka, oświetliła ją latarką i szeptem poprosiła o bilet. Chwilę później wyproszono ją z teatru. Szczęśliwa, że jej kara ograniczyła się tylko do chwilowego wstydu, puściła się biegiem do domu. Doświadczyła tego, czego naprawdę szukała. Poczula magię teatru.

Jeszcze tego samego wieczoru, po tym, jak razem z Rose zdążyły już pomóc w schronisku i wróciły do domu, Carrie przypominała sobie zdjęcie matki, na które trafiła w bibliotece. Rose wyszła właśnie z łazienki w



swoim starym szenilowym szlafroku. Zawsze przebierała się zaraz po wejściu do mieszkania - dzięki temu mogła dłużej używać jednego kompletu ubrań. Nadal miała na sobie czólenka na niskim obcasie, które nosiła na co dzień. Carrie przyjrzała się jej uważnie, starając się pogodzić obraz matki z tym wspaniałym wizerunkiem kobiety na zdjęciu.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - zapytała Rose.

- Tak sobie, bez powodu - odpowiedziała Carrie.

## ROZDZIAŁ 3

Nowy Jork

2008

Taksówka zahamowała gwałtownie. Carrie, wyrwana nagle ze wspomnień, wyjrzała przez okno. Była już na miejscu - pod domem matki. Zapłaciła, wysiadła z samochodu i spojrzała na budynek, w którym mieszkała przez ponad dwadzieścia lat. Wprowadziły się tu zaraz po śmierci Bobby'ego. Mieszkanie znajdowało się na piątym piętrze - budynek nie miał windy - i przypominało wagon kolejowy: drzwi wejściowe otwierały się na wąski przedpokój, którym przechodziło się do niedużego salonu. Stamtąd prowadziła droga do ciasnej kuchni i małej łazienki, a ciąg ten zamykała jedyna sypialnia. Rose oddała ją Carrie, oznajmiając, że sama może spać w salonie na rozkładanej kanapie. Tak też się stało. Spała tam przez te wszystkie lata, kiedy mieszkały razem, i przez cały ten czas Carrie nie usłyszała z jej ust ani słowa skargi. Carrie pamiętała z dzieciństwa poczucie winy, jakie wywoływał w niej obraz matki, która co wieczór rozkładała kanapę i upychała ubrania w szafie. Jednak kiedy stała się zbuntowaną nastolatką, czerpała satysfakcję z faktu, że Rose nie potrafiła uwolnić się od kompleksu męczennicy. I choć nigdy nie miała śmiałości o to zapytać, Carrie była pewna, że po tym, jak wyprowadziła się z domu, matka nadal spała w salonie. Nawet podczas choroby poleciła, żeby właśnie tam ustawiono jej szpitalne łóżko.

Carrie stanęła na pierwszym z sześciu schodków prowadzących do domu, w którym się wychowała. Zauważyła, że jest tu bardzo czysto. W latach osiemdziesiątych lokatorzy wykupili swoje mieszkania - od tego czasu zdecydowanie poprawił się stan tego miejsca. Kiedy Carrie była dzieckiem, schodki przed wejściem pokrywała gruba warstwa brudu, a także jeszcze bardziej obrzydliwe pozostałości po chorych narkomanach. Co rano Rose schodziła z mopem i kubłem wody, żeby zmyć najgorsze nieczystości.

Losy dawnego domu Carrie odmieniło zresztą nie tylko wykupienie mieszkań przez lokatorów i przejście budynku pod zarząd spółdzielni. W czasach, kiedy Rose wprowadziła się na 83. Zachodnią, agentka nieruchomości określiła tę część Upper West Side mianem dzielnicy marginesu. Małej Carrie odradzano jazdę na rowerze - nie, żeby miała rower - tutejszymi ulicami, bo ktoś mógłby ją napaść. Matkę uprzedzano, żeby zawsze nosiła przy sobie trochę gotówki, którą w razie napadu mogłaby oddać. W tamtych czasach mądrość ulicy mówiła, żeby pod żadnym pozorem nie drażnić bandyty.

Dziś przy kolejnych przecznicach wyrosło mnóstwo eleganckich restauracji i sklepów. Nianie spacerowały z niemowlętami w wózkach wartych co najmniej tysiąc dolarów, mijając zamożnych singli z modnymi psami u boku.

Carrie weszła na schodki. Wyjęła z torebki wysłużone klucze. Teraz pora wspiać się na górę, pokonać pięć pięter i wreszcie uporządkować rzeczy Rose. Jej matka zamierzała zrobić to sama. „Kiedy wrócę ze szpitala, nakleję na wszystko etykiety, żebyś wiedziała, co wysłać odpowiednim organizacjom charytatywnym” - szepnęła do Carrie ostatniego ranka, kiedy czekały na karetkę. Ale Rose nie wróciła już ze szpitala. Carrie próbowała odsunąć od siebie obraz matki rozglądającej się po raz ostatni po brzydkim, małym salonie. „Byłam tu taka szczęśliwa” - powiedziała wtedy.

Carrie włożyła klucze z powrotem do kieszeni i usiadła na niemal czystym podeście. Idiotka - powtarzał jakiś głos w jej głowie. Ale nie była w stanie wejść do środka. Jeszcze nie. Oparła się o boczną ścianę i znowu pogrążyła się w rozmyślaniach.

Tak jak ustaliła z bibliotekarzem, tydzień po tym, jak znalazła zdjęcie matki, Carrie wróciła do Centrum im. A.Lincolna. Zgodnie z obietnicą mężczyzna zdołał odszukać brakującą część artykułu z „Fashionable Woman Today”.

- Jakiś idiota umieścił go pod „Mary Martin” - powiedział z wyraźnym znużeniem w głosie. - Zakładam, że da się pomylić Martin z Manning, ale tylko pod warunkiem że ma się IQ na poziomie karczocha.

Bibliotekarz podał Carrie artykuł.

Sam tekst nie był zbyt długi, ale dodano do niego osiem stron ilustracji - wszystkie zdjęcia przedstawiały wspaniałą, młodą Rose Manning. Carrie patrzyła na nie, próbując sobie przypomnieć okres, w którym musiały zostać zrobione. Okres przed śmiercią Bobby'ego Manninga.

Pierwszych kilka fotografii w niczym jej nie pomogło. Było tam jedno zdjęcie Rose w ogromnych okularach słonecznych, z chustką na głowie, siedzącej w czerwonym kabriolecie - Carrie nie rozpoznała go, chociaż, jak przeczytała, Bobby miał dokładnie taki sam, tyle że czarny. Po zdjęciu samochodu następowały kolejne dwie strony, przedstawiające kolekcję biżuterii Rose - każda błyskotka była prezentem od Bobby'ego. Każda upamiętniała jedno z jego osiągnięć: premierę, nagrodę... Carrie nie przypominała sobie żadnego z tych przedmiotów.

Na kolejnej stronie widniał napis: „Rose pokazuje wejście do swojego penthouse'u przy Park Avenue”. Towarzysząca mu fotografia przedstawiała matkę Carrie w holu wspaniałego apartamentu. Za nią widać było mahoniowe schody. Ponad jej głową - ogromny żyrandol kapiący od kryształów. Ściany i sufit holu pokrywała jedwabna fioletowa tkanina w tureckie wzory. Carrie przypomniała sobie nagle, jak dotyka egzotycznego materiału, który wydyma się jak balon. Przypomniała sobie - a przynajmniej tak jej się wydawało - jak siedzi na masywnych schodach i macha do kogoś na pożegnanie. Przypomniała sobie - a przynajmniej tak jej się wydawało - zapach cytrusowej wody kolońskiej. W napięciu przewracała kolejne strony. Zobaczyła jadalnię ze ścianami pokrytymi listkami złota, salon z drzwiami balkonowymi otwierającymi się na panoramiczny taras z widokiem na cztery strony Manhattanu, ogromną kuchnię i olbrzymią sypialnię. Niektóre z tych wspaniałości wydawały się znajome, ale także i w tym przypadku - nie miała pewności. Czy to zdjęcia odświeżyły jej pamięć, czy też wyobraźnia płatała jej figle?

Wreszcie, na ostatniej stronie, zobaczyła dwa pomieszczenia, które dobrze znała: w tym pokoju mieszkała jako dziecko. Różowe falbany wykończone białą koronką były tu niemal wszędzie - na zasłonach, przy kołyszce i na ślicznym bujanym fotelu. Oprócz sypialni znajdował się tam osobny pokój do zabawy. Pomieszczenie wypełniały pluszowe maskotki, gry planszowe, książki, mała kuchenka i lodówka, miniaturowe serwisy do herbaty, maleńkie garnki i rondle, dom dla lalek i wózek; telewizor i sprzęt stereo z całą stertą dziecięcych płyt; góry lalek: Barbie i Kenów, lalek firmy Madame Alexander i lalek z gałganków; lalek z pełnymi garderobami, własnymi domami i samochodami; niemieckich lalek porcelanowych w kostiumach z epoki, które pewnego dnia mogły zyskać ogromną wartość dla kolekcjonerów.

Stały tam zabawki, których Carrie nigdy nawet nie dotknęła, jeszcze nierozpakowane, ułożone na półkach sięgających od podłogi do sufitu. Siedząc w bibliotece w Centrum im. A. Lincolna, trzynastoletnia Carrie przypominała sobie tamte czasy.

Schody były twarde i Carrie powoli zaczynała boleć pupa. Mimo to nie wstała. Nie wyjęła kluczy, nie otworzyła drzwi wejściowych kamienicy z elewacją z piaskowca i nie weszła do środka. Nadal nie czuła się gotowa, żeby przemierzyć pięć pięter dzielących ją od pustego mieszkania Rose.

- Nigdy nie pytałaś matki, dlaczego zamieniła penthouse przy Park Avenue na tę ciasną norę, w której mieszkaliście? - zapytała pewnego razu Zoe, kiedy miały po szesnaście czy siedemnaście lat.

- Nie chciałyby, żebym ją pytała - odpowiedziała Carrie.

- Mieszkaliście w pieprzonym pałacu, a ona ci to odebrała. Nie wkurzało cię to nigdy?

- Ona nie uważała, że cokolwiek mi odebrała. Wydawało jej się, że zapewnia mi idealne życie.

- A ty jej wierzyłaś? Tak po prostu, pokornie i bezrefleksyjnie to przyjęłaś?

Ale Carrie wcale nie przyjęła wszystkiego pokornie. Niezupełnie. Czuła się winna, bo zdawała sobie sprawę, że pełne poświęceń życie jej matki było szlachetne i godne podziwu - wszyscy tak twierdzili - ale Carrie chciała wiedzieć cokolwiek o okresie, zanim Rose stała się szlachetna i godna podziwu. Przez lata zbierała wszystkie dostępne elementy historii matki i starała się złożyć je w całość, chwytając strzępki własnych wspomnień i łączyła je z tym, co mogła przeczytać. A o Rose Manning pisano naprawdę dużo.

Ostatni artykuł poświęcony matce Carrie opublikowało czasopismo „People” tydzień po jej śmierci. Tekst był poskładany z fragmentów, najwyraźniej pisano go w pośpiechu, ale mimo to autor zdołał precyzyjnie przedstawić metamorfozę Rose - od eleganckiej żony gwiazdy show-biznesu do pełnej poświęcenia działaczki społecznej. Carrie wepchnęła wcześniej czasopismo do torebki. Teraz wyjęła je i choć przeczytała już artykuł tyle razy, że znała go na pamięć, wróciła do niego po raz kolejny.

„Kiedy Rose Manning była królową swojego apartamentu przy Park Avenue - zaczynał się tekst - stała na czele tej części elity Manhattanu, która łączyła sztukę, pozycję towarzyską i pieniądze. Chodziła na najlepsze przyjęcia, urządzała wytworne bankiety i regularnie jadała lunchy w La Toque Blanche. W porze kolacji zaszczyciała zwykle swoją obecnością Sardi's albo którąś z nowojorskich knajpek teatralnych, zawsze u boku swojego męża Bobby'ego - chodzi tu oczywiście o Bobby'ego Manninga, gwiazdę muzyczną Broadwayu. Rose stale gościła w rankingach najlepiej ubranych kobiet i wraz z mężem regularnie pojawiała się w rubrykach towarzyskich wszystkich najważniejszych nowojorskich gazet. I, rzecz jasna, chodzili oboje na każdą premierę na Broadwayu.

Przyjaciele twierdzą, że w tamtych czasach Rose nie sprawiała wrażenia szczególnie poważnej, a jej zmartwienia zdawały się ograniczać do kwestii związanych z najnowszą modą. Była żoną gwiazdy teatru i odpowiadała jej ta rola.

Ale nagle, w 1973 roku, Bobby Manning zmarł na atak serca. Miało to miejsce w pewien upalny lipcowy weekend. Manning przebywał wtedy w domku letniskowym swojej teściowej, w północnej części stanu Nowy Jork, gdzie kończył pracę nad najnowszym musicaliem. Tej nocy, kiedy pojawiła się wiadomość o jego śmierci, światła Broadwayu zgasły na pięć minut, a w jego pogrzebie na cmentarzu Campbell uczestniczyło 680 osób. Wydawało się, że po tej smutnej ceremonii Rose Manning zniknęła z horyzontu. Jej przyjaciele uznali, że z powodu żałoby wycofała się z życia towarzyskiego. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że w tym czasie Rose po cichu sprzedawała swój apartament na Park Avenue, futra, samochód, biżuterię i garderobę pełną ubrań najlepszych projektantów - cały zysk przekazując archidiecezji nowojorskiej. Przeprowadziła się z córką do małego mieszkania w kiepskiej i niebezpiecznej części miasta, żeby móc przekazywać jak najwięcej pieniędzy na potrzeby ubogich".

Artykuł nie kończył się na tym, ale Carrie знаła już ciąg dalszy tej historii. Rose nie musiała iść tak daleko w swojej dobroczynności. Dostawała naprawdę pokaźne tantiemy z musicali i piosenek Bobby'ego Manninga. Była wśród nich prawdziwa żyła złota: bożonarodzeniowa piosenka napisana do musicalu *The Lady*, która przynosiła zyski rok po roku. Za życia Bobby wydawał wszystko, co zarabiał - o tym wiedział każdy - ale po śmierci jego nazwisko przynosiło takie dochody, że Rose mogłaby spokojnie zatrzymać mieszkanie, wspomagając jednocześnie dowolną liczbę organizacji charytatywnych. Ale ona postanowiła pójść na całość. I nie chodziło tylko o działalność dobroczynną. Odcięła się od wszystkich przyjaciół i znajomych z branży teatralnej. Wydawało się, że próbuje zapomnieć o dawnym życiu i zacząć zupełnie nowe. I nikt nie wiedział dlaczego.

Z początku Rose zamierzała zniknąć - Carrie zawsze w to wierzyła, mimo że Zoe nieodmiennie wyśmiewała ten pomysł. Kiedy Rose przekazała swój niezwykle hojny czek archidiecezji, podkreśliła, że chce pozostać anonimowa. Poprosiła, żeby pieniądze zostały wykorzystane na kupno starego domu znajdującego się w pobliżu jej kościoła. Miał on zostać przekształcony w przytułek dla ubogich. Nie pozwoliła jednak ojcu Xavierowi umieścić na nim swojego nazwiska. Nie zgodziła się nawet, żeby uwzględniono ją na liście darczyńców w parafialnym biuletynie.

W tamtym okresie zamierzała zacząć pracować, żeby móc utrzymać siebie i Carrie. Bobby przekazał Rose cały swój majątek pod zarząd powierniczy - dostawała dzięki temu comiesięczne wypłaty. Nie mogła z tego zrezygnować, ale każdy cent, jaki przychodził z funduszu, przekazywała na rzecz nowego przytułku. Chciała sama na siebie zarabiać, jak cała reszta świata. To właśnie powiedziała ojcu Xavierowi. W czasach, kiedy stała się ikoną, ojciec wielokrotnie cytował te słowa podczas rozmów z rozmocjonowanymi dziennikarzami, którzy prosili go o opowieść o Rose Manning. Ta decyzja sprawiła, że postać matki Carrie jaśniała jeszcze silniejszym blaskiem niż do tej pory, choć nigdy nie zrealizowała w pełni pierwotnych założeń.

Problem polegał na tym, że Rose wcześniej nie zarobiła nigdy samodzielnie ani grosza i nie skończyła żadnych studiów. A ponieważ nie chciała korzystać z dawnych koneksji Bobby'ego - ani swojej matki - miała dość ograniczone możliwości. Ale, jak powiedziała ojcu Xavierowi, tysiące kobiet znajdowały się w podobnej sytuacji i nie była w niczym lepsza od nich.

Szukając upragnionej posady, zaczęła jednocześnie pracować jako wolontariuszka w przytułku, którego zespół szybko zrozumiał, jak ważna jest jej pomoc. Nie było zadań zbyt trudnych dla Rose Manning. Z malutką córką u boku wydawała posiłki, czytała bajki do poduszki i ocierała łzy - dzieci i dorosłych. Kiedy Carrie i Rose złapały w przytułku wszy, stały w kolejce po szampon tak jak wszyscy inni podopieczni, a Rose opowiadała dowcipy. Zawstydziała wytworne restauracje i sklepy, skłaniając je do oddawania resztek jedzenia do kuchni archidiecezjalnej organizacji charytatywnej, a lokalny komisariat zmusiła do trenowania drużyny baseballowej złożonej z dzieci z przytułku. Potrafiła nawet przetkać psującą się toaletę na trzecim piętrze. Robiąc to wszystko, uśmiechała się promiennie, a kiedy ojciec Xavier zapytał ją pewnego razu, czy jest pewna, że chce, by mała Carrie stykała się z obrazami takiego cierpienia, Rose odpowiedziała zupełnie szczerze: „Ojczy, nie mogłabym dać jej wspanialszego prezentu. Uczy się radości dawania już teraz, w młodym wieku. Żałuję, że nikt nie dał mi takiej szansy. Musiałam czekać tak długo, żeby odkryć to szczęście”.

Dla wszystkich stało się jasne, że Rose odnalazła swoje powołanie, mimo to nadal upierała się, że będzie samodzielnie zarabiać na siebie i córkę. Wreszcie ojciec Xavier wziął ją na stronę i przypomniał jej o grzechu pychy, mówiąc, że Bóg dla każdego z nas ma jakiś plan i że może się założyć, iż w tym planie nie ma Rose pracującej jako sprzedawczyni czy kelnerka w restauracji, jeśli robi tyle dobrego w ramach swojej działalności społecznej. Na koniec zacytował odpowiednie, ostatecznie rozstrzygające tę kwestię słowa Matki Teresy i świętego Franciszka.

Tego dnia, opuszczając schronisko, Rose już się nie uśmiechała. W nocy Carrie obudził płacz. Pobiegła do salonu. Matka patrzyła przez okno, więc Carrie nie widziała jej twarzy, ale słyszała jej głośny, rozpaczliwy szloch.

- Mamusiu? - szepnęła Carrie, stojąc w drzwiach. Rose odwróciła się gwałtownie i otarła łzy.

- Wracaj do łóżka, Carrie - powiedziała, po czym znowu odwróciła się do okna. Ale światem Carrie wstrząsnął widok łkającej matki. Podbiegła do niej i próbowała objąć jej talię rękami. Ta jednak odepchnęła ją od siebie. Nie zrobiła tego zbyt mocno - Carrie zawsze starała się o tym pamiętać - ale dłonie, które chwyciły ją za ręce, wydawały się jak ze stali.

- Zostaw mnie samą - szepnęła Rose. - Po prostu zostaw mnie samą!

Znowu się odwróciła i zaczęła wyglądać przez okno na 83. Ulicę. Zdawało się, że zapomniała o obecności Carrie. Dziewczynka przyglądała jej się przez chwilę, która wydawała się nieskończonością. Wreszcie Rose wciągnęła głęboko powietrze.

- No dobrze - powiedziała w ciemności. - Muszę wziąć jego pieniądze.

Kiedy Carrie wymknęła się na palcach z salonu i wróciła do łóżka, Rose nawet się nie odwróciła.

Po tej nocy promienny uśmiech Rose na jakiś czas zniknął. Carrie pamiętała, że odczuwała pogorszenie nastroju matki. Nie w jakiś konkretny sposób, ale po prostu czuła, że Rose przechodzi trudny okres. Nastrój matki zaczął się poprawiać, w miarę jak zbliżało się Boże Narodzenie. Miała mnóstwo nowych planów dla przytułku. Chciała spędzić tam razem z Carrie pierwszy dzień świąt i rano przebrać się za Świętego Mikołaja. Kupiła dla wszystkich podopiecznych ciepłe kurtki, rękawiczki, buty, bieliznę i dzinsy. Nazywała ich teraz „naszą rodziną”. Kupowała im niezbędne artykuły, takie jak mydło czy pasta do zębów, ale też zapewniała im drobne luksusy, na przykład wodę toaletową Jeana Naté, ładne szaliki i błyszczące spinki. Rose zależało, żeby

Carrie również uczestniczyła w rozdawaniu prezentów. Przeprowadziły poważną rozmowę, podczas której matka zwróciła jej uwagę, że w ich nowym mieszkaniu naprawdę nie ma miejsca na wszystkie zabawki, które Carrie zabrała ze swojego pokoju na Park Avenue. Miały teraz całe kartony, których nawet nie zdołały rozpakować, pełne zabawek w oryginalnych pudełkach. Czy więc nie sądzi, że zrobiłaby coś w duchu tych wspaniałych świąt, przekazując te nieużywane przedmioty dzieciom, które mają tak niewiele? Nawet jeśli mogłyby kupić im inne prezenty, nie o to przecież chodzi. Boże Narodzenie polega na dawaniu, a Rose jest przekonana, że kiedy Carrie zobaczy radość na twarzach dzieci, poczuje niesamowite szczęście. Carrie miała wtedy cztery lata i wielu rzeczy, które mówili dorośli, po prostu jeszcze nie rozumiała. Ale niezależnie od tego, o czym była mowa, wiedziała na pewno, że chodzi o uszczęśliwienie jej matki. Zgodziła się więc. Ku radości Rose wybrała kilka swoich ulubionych zabawek, które chciała zatrzymać, i usiadła z matką, żeby zapakować resztę skarbów w czerwony papier w renifery.

Carrie pamiętała tylko, że czuła się trochę niepewnie, widząc, jak jej dobytek znika w górze paczek o jaskrawych kolorach. Ale Rose się uśmiechała, a Carrie nie chciała, żeby na twarz matki powrócił smutek. Poza tym nie sądziła, że oddaje zabawki na zawsze. Łudziła się, że całe przedsięwzięcie to po prostu rodzaj zabawy, w której pluszaki i lalki zostaną opakowane, następnie rozpakowane, po czym wrócą do niej - prawowitej właścicielki.

Carrie cieszyła się z czapki Świętego Mikołaja, którą włożyła w schronisku, kiedy razem z matką rozdawały prezenty w świetlicy. Czuła szczęście dzieci rozdzierających kolorowy papier i krzyczących z radości. Później, kiedy już wszystkie prezenty rozpakowano, usiadła i czekała, aż jej dobytek zostanie zwrócony. Kiedy to nie nastąpiło, zdziwiła się trochę, ale nie przejęła się szczególnie. Gdy tylko dorośli zniknęli w kuchni, gdzie mieli kończyć przygotowania do świątecznej kolacji, zaczęła krążyć po sali i odbierać swoje zabawki.

Dzieci z przytułku przywykły do rozczarowań i większość z nich oddawała prezenty bez większych protestów. Ale pięcioletni Angel Rodriguez nie poddał się tak łatwo. Uczepił się swojego prezentu - wielkiego, pięknego pluszowego dinozaura - jakby od tego zależało jego życie.

Bitwa, która rozgorzała, okazała się zadziwiająco wyrównana, biorąc pod uwagę to, że Angel był chłopcem rok starszym od Carrie, a życie przyzwyczyliło go do walki z rodzeństwem i przyjaciółmi o wszystko, co posiadał, ona natomiast nigdy wcześniej nie uczestniczyła w prawdziwej bójce. Zanim dorośli zdążyli przybiec do świetlicy, Carrie leżała na ziemi, ale tymczasem zdążyła odkryć, że jej zęby mogą służyć jako broń. Angel wypuścił z rąk dinozaura. Dobrych kilka minut potrwało, zanim Rose i mama Angela zdołały rozdzielić dzieci.

Rose była oburzona. Podniosła zabawkę i zaciągnęła Carrie w kąt pomieszczenia.

- Jak mogłaś, Carrie? - szepnęła. - Jak mogłaś zabrać cokolwiek temu biednemu chłopcu?

- To moje - zaszlochała Carrie, usiłując sięgnąć po dinozaura, który po tym starciu niewątpliwie jej się należał.

- Rozmawialiśmy przecież o tym. Zgodziłaś się oddać zabawki, którymi nigdy się nie bawisz...

- Chcę je dostać z powrotem! - krzyknęła Carrie. - Są moje!

W pięknych zielonych oczach jej matki pojawiły się zawód i smutek. Kiedy się odezwała, także jej głos okazał się smutny i pełen zawodu.

- Carrie - powiedziała - Angel nie ma domu. Zanim tu trafił, kładł się spać głodny. Ty zawsze miałaś wszystko, czego potrzebowałaś.

Po chwili jej matka dodała coś, co powtarzała przez kolejne trzydzieści trzy lata życia Carrie:

- Oczekuję, że będziesz lepszym człowiekiem. - Podała dziewczynce dinozaura. - Jestem pewna, że kiedy to przemyślisz, sama zechcesz zrobić to, co należy.

Po czym odeszła.

Carrie chciała zrobić to, co należy, a przede wszystkim chciała sprawić radość matce. Ale wcale nie zamierzała rezygnować z dinozaura. Po drugiej stronie pokoju Angel, ssąc kciuk, siedział na kolanach swojej mamy, która szeptała mu coś do ucha, próbując go uspokoić. Carrie spojrzała na swoje buty. Miały klamerki i była przekonana, że mogłyby one sprawić dość duży ból, gdyby kogoś porządnie kopnęła. Miała szansę wygrać bitwę o dinozaura w ciągu kilku sekund.

Ale kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że Rose podeszła do obozu nieprzyjaciela. Uśmiechała się, starając się dodać Carrie otuchy i czekając, aż odda zabawkę Angelowi. Dziewczynka zwlekała tak długo, jak tylko miała odwagę. Rose nadal się uśmiechała. Wreszcie Carrie skapitulowała i wolno przeszła przez pokój. Wyciągnęła dinozaura w stronę chłopca. Mama Angela zerknęła na nią i powstrzymała syna przed pochwyceniem łupu, ale Rose powiedziała miękko:

- Carrie chciałaby, żeby Angel go wziął. Prawda, kochanie?

Jej oczy błyszczały. Carrie kiwnęła głową. Angel złapał dinozaura i w tej właśnie chwili fotograf, który miał za zadanie przygotować dla kościelnego biuletynu świątecznego relację z pierwszego Bożego Narodzenia w przytułku, zrobił urocze zdjęcie: mała Carrie Manning w czapce Świętego Mikołaja wręcza jedną z własnych zabawek niejakiemu Angelowi Rodriguezowi. Angel pochwycił swój łup i rzucił Carrie triumfalne spojrzenie. Dziewczynka zaczęła się zastanawiać, jak mocno musiałaby go kopnąć, żeby połała się krew.

Ale chwilę później fotograf zrobił drugie zdjęcie, jeszcze słodsze niż poprzednie: piękna mama Carrie podnosi swoją córeczkę, bierze ją na ręce i mówi radośnie:

- Moja kochana dziewczynka! Carrie, będziesz bardzo szczęśliwa, że to zrobiłaś!

Nikt nie wiedział, że te dwa ujęcia wyznaczyły początek kariery Rose jako filantropki. Stały się też początkiem kariery Carrie jako oszustki.

# ROZDZIAŁ 4

Nowy Jork

2008

Carrie poruszyła się na podeście. Po tych wszystkich latach zastanawiała się nadal, co by się stało, gdyby fotograf przegapił tamten moment. Wizerunek Rose i Carrie trafił bowiem w tajemniczy sposób do gazetki rozdawanej klientom sklepów spożywczych i butików na Upper West Side. Rose i ojciec Xavier nigdy się nie dowiedzieli, jak do tego doszło - fotograf przysięgał, że nie miał z tym nic wspólnego. W każdym razie zdjęcia wywołały ogromne zamieszanie. Niewątpliwie jednym z powodów był fakt, że historia matki i córki oddających się działalności charytatywnej mogła wzruszyć każdego. Jednak nie to stało się głównym powodem zamieszania. Chodziło oczywiście o to, że wdowa po Bobbym Manningu, która od tak dawna nie występowała publicznie, objawiła się nagle jako anioł niosący pomoc ubogim. Wieść zaczęła krążyć, historia pojawiła się w kilku gazetach i stacjach radiowych („Królowa celebrytów przemieniona w królową filantropów” - to tytuł jednej z audycji). Archidiecezja została zasypana korespondencją z pytaniami o Rose. W końcu kobieta razem z ojcem Xavierem stworzyli wzór listu, własnoręcznie podpisany przez matkę Carrie - znajdowały się tam wszystkie ważne informacje dotyczące przytułku. Ludzie czytający o cierpieniach tych, którzy znaleźli pomoc w archidiecezji, zaczęli masowo przysyłać darowizny. Hierarchowie kościoła zauważyli tę zmianę. Rose poproszono o wygłoszenie mowy w imieniu przytułku w czasie uroczystego lunchu wydawanego przez Starling Enterprise, jedną z największych organizacji charytatywnych w mieście.

- Nie mogę - powiedziała Rose do Connie Haggerty, pracownicy opieki społecznej, która kilka razy w tygodniu pomagała wieczorami w przytułku. - To ojciec Xavier powinien to zrobić.

Siedziały w gabinecie dyrektora, pustym, ponieważ archidiecezjalna organizacja charytatywna ciągle nie mogła znaleźć człowieka, który, nie dostając ani dolara pensji, stanąłby na jej czele. Piły kawę rozpuszczalną z mlekiem w proszku. Connie Haggerty przez chwilę przyglądała się Rose.

- Co sądzisz o tym miejscu? - zapytała. - Uważasz, że to, co tu robimy, ma sens?

Rose myślała nad tym tygodniami, dzień i noc, więc kiedy tylko usłyszała to pytanie, od razu wygłosiła płomienną mowę:

- To, co robimy, jest jak leczenie raka syropem na kaszel. Dajemy kobietom i ich dzieciom dach nad głową na sześćdziesiąt dni, po czym próbujemy im zorganizować mieszkania komunalne. Większość z nich w ciągu roku wróci do miejsca takiego jak to, bo nie rozwiązujemy problemów, które ich tu sprowadziły. Powinniśmy oferować szkolenia zawodowe, doradztwo, terapię, naukę języka, leczenie alkoholizmu i uzależnienia od narkotyków, przedszkole dla maluchów matek, którym udało się stanąć na nogi... - Rose zwolniła nieco, kończąc swoją litanię. - To wszystko kosztuje. A większość pieniędzy na to miejsce pochodzi ode mnie. Tyle że brakuje mi aż kilku milionów, żeby to wszystko zapewnić. Musimy sięgnąć po pomoc z zewnątrz.

- Powiedz to wszystko w taki sposób jak przed chwilą, a ludzie ze Starlinga będą ci jedli z ręki - powiedziała Connie.



- Ale przecież ojciec Xavier zna się na tym dużo lepiej...

- Słuchałaś jakiegoś jego wystąpienia? Nie sądziłam, że istnieje aż tyle cytatów ze świętego Franciszka. Poza tym zdecydowanie lepiej wyjdiesz na zdjęciach.

W końcu Rose wygłosiła przemówienie dla Starling Enterprise i wyszła stamtąd z jednym z największych czeków, jakie ta organizacja kiedykolwiek przekazała Kościołowi katolickiemu. Archidiecezja poprosiła Rose, żeby wygłosiła kolejne mowy w trzech innych fundacjach - teraz reprezentowała kościelne organizacje charytatywne z całego miasta. Za każdym razem odnosiła sukces. Po tych oszałamiających wystąpieniach archidiecezja zwróciła się do niej z prośbą, żeby objęła stanowisko dyrektora przytułku, bo wtedy, wygłaszając przemowy, mogłaby używać podnoszącego wiarygodność tytułu. Nikt nie liczył na to, że Rose rzeczywiście zajmie się sprawami przytułku, ale okazało się, że ma prawdziwy talent do zarządzania. Connie Haggerty dostała etat, a możliwości pomocy znacznie się zwiększyły.

Kilka lat po tym, jak Rose została dyrektorką, magazyn „New York” poprosił ją o udzielenie wywiadu. Była rozdarta, bo ta sytuacja wydawała jej się niebezpiecznie bliska folgowaniu własnemu ego. Z drugiej jednak strony miała świadomość, że reklama przekłada się na pieniądze, a reklama, jaką mógł jej zapewnić „New York”, będzie naprawdę skuteczna. Włożyła więc najprostszy strój, składający się z bluzki i spódnicy, przyprowadziła reportera do swojego skromnego mieszkania w jednej z najgorszych części miasta i podała mu sałatkę, którą kupiła w lokalnym sklepie. Następnie ustaliła, że on ma na imię Al, a ona Rose - nie znosiła ceremonii - po czym siedząc obok Carrie, oznajmiła Alowi, który był już całkowicie nią urzeczony, że może zapytać ją, o co tylko zechce.

Zaczął od pytania, którego się spodziewała. Mimo że Bobby zmarł kilka lat temu, duża część Nowego Jorku zawsze miała ją postrzegać jako wdowę po znakomitości.

- Pani Manning - powiedział reporter - pani zmarły mąż był jedną z największych sław Broadwayu, pani matka to też gwiazda, a mimo to postanowiła pani rzucić to wszystko. Myślę, że wielu ludzi zastanawia się, dlaczego. Rose miała już przygotowaną odpowiedź:

- Al, chciałabym ci coś pokazać - powiedziała, prowadząc go do niewielkiej kuchni, gdzie stanęli razem przy lodówce. Jej drzwi pokrywały dziecięce rysunki, wszystkie narysowane kredkami. Niektóre były jaskrawe i fantazyjne, inne zostały wyrwane z kolorowanek i skrzętnie wypełnione bladymi pastelami.

- To rysunki, które zrobiły dla mnie dzieci z przytułku - wyjaśniła Rose. - Dają mi je, żebym mogła powiesić je na swojej lodówce, bo żadne z nich nie ma lodówki. Obiecałam im, że będą tu wisiały do czasu, aż każde z nich będzie miało własną kuchnię. To moja misja, którą nazywamy z dziećmi Projektem Lodówka. Proszę, powiedz mi, którą premierę na Broadwayu, którą suknię znanego projektanta czy przyjęcie można uznać za równie ważne, co nadzieja tych dzieci na własne domy i normalne, porządne życie? A ja mam ten przywilej, że dzielę ich nadzieje. Czy mogłabym prosić o coś więcej?

Reporter Al notował jak szalony, ale gdyby zapytał Carrie, dziewczynka chętnie przedstawiłaby nieco inne spojrzenie na Projekt Lodówka.

Projekt Lodówka powstał - jak wiele innych rzeczy w życiu Rose - zupełnie przypadkiem. Właściwie to był „szczęśliwy traf”. Stało się to, kiedy Carrie miała sześć lat. Choć Rose pełniła już obowiązki dyrektora

przysyłki i nieoficjalnego rzecznika organizacji dobroczynnych archidiecezji, nalegała, żeby spędzać po kilka godzin dziennie z bezdomnymi dziećmi.

- Muszę zawsze pamiętać, dlaczego robię to wszystko - tłumaczyła Connie.

Kiedy Kenisha McKnight i jej rodzina przybyli do przysyłki, Rose wzięła tę dziewczynkę o smutnych oczach pod swoje skrzydła. Historia McKnightów różniła się od tych, które zwykle słyszała. Nie pojawiał się w niej alkohol, nałogi ani maltretowanie - tylko powolne umieranie ojca, który nie miał ubezpieczenia zdrowotnego, i matki, która nie zarabiała tyle, by móc po jego śmierci wyciągnąć rodzinę z kłopotów. Dwaj bracia Kenishy zdołali przystosować się do nowego życia w przysyłce, ale dziewczynka przesiadywała zwykle sama i nie odzywała się do nikogo. Rose widziała już takie rzeczy: jedno dziecko brało na swoje barki porażkę i cierpienie całej rodziny. Postanowiła spróbować nawiązać z nią kontakt.

Odniosła pierwszy sukces, kiedy dała małej książeczkę do kolorowania i kredki. Kenisha wybrała najdelikatniejszy odcień pasteli i zaczęła skrupulatnie wypełniać rysunek kolorem, starając się nie wyjść poza wyznaczone kontury, po czym wręczyła obrazek Rose. Zachwycona swoim sukcesem Rose oznajmiła, że to najlepszy prezent, jaki kiedykolwiek dostała. Nagle - w chwili natchnienia - dodała, że zabierze go do domu i powiesi na lodówce. Smutne oczy Kenishy rozblęskły. Podarowała Rose drugi rysunek, który udekorował jej lodówkę, a Rose zrobiła nawet jego zdjęcie dla Kenishy, która zaczęła jadać posiłki z resztą dzieci. Wkrótce także inne dzieci z przysyłki chciały, żeby ich rysunki wisiały na lodówce dyrektorki. Tak narodził się Projekt Lodówka. Wszystkie te wydarzenia dały Rose wiele szczęścia. Z jej twarzy nie zniknął szeroki uśmiech, który jej córka tak bardzo kochała. Carrie postanowiła, że sama też da mamie powód do radości. Zdecydowała, że i ona namaluje coś do powieszenia na lodówce. Ale nie będzie to jakiś głupi mały rysunek, tak blady, że ledwie go widać. Nie: ona stworzy prawdziwe arcydzieło.

W państwowej szkole, do której chodziła Carrie, zachęcano do kreatywności. W jej klasie znajdowały się przepastne szuflady pełne przyborów do malowania i rysowania. Mimo to nauczycielka Carrie, pani Margulies, miała pewne wątpliwości co do skali projektu, który proponowała Carrie, i usiłowała ją przekonać, by ograniczyła jego rozmiary. Dziewczynka odmówiła.

- To dla mojej mamusi - wyjaśniła.

Pani Margulies zgodziła się z nią, że w takim razie projekt musi być wyjątkowy. Dodała, że jej mama ma dużo szczęścia, skoro dostanie tak wspaniały prezent. Carrie przytaknęła z dumą.

Ostateczny efekt okazał się rzeczywiście imponujący. Był duży - na tyle duży, żeby zakryć całą górną część lodówki. Dzieło Carrie nie miało tematu przewodniego: obraz został wypełniony fantazyjnymi smugami fioletu, żółci, pomarańczu, zieleni i błękitu. Następnie, wciąż nie do końca zadowolona, Carrie wycięła ze złoto i srebrnego papieru małe gwiazdki i przykleiła je na obrazie. Wreszcie przyczepiła całość do najbardziej jaskrawego czerwonego kartonu, jaki tylko mogła znaleźć. Kiedy skończyła, cofnęła się i spojrzała na swoje dzieło, w pełni usatysfakcjonowana. Ten obraz był godny jej pięknej matki. Miała pewność, że ją uszczęśliwi.

- Jest świetny, szkoda, że nie mogę go powiesić na tablicy na korytarzu - powiedziała pani Margulies. Ale Carrie oczywiście zamierzała zabrać swoje dzieło do domu.

Opakowała je w gazety, żeby nie zniszczyło się w drodze ze szkoły, po czym zaczęła niecierpliwie czekać na powrót matki. Kiedy Rose wróciła, jak zwykle przyniosła nowy nabytek w ramach Projektu Lodówka i

ruszyła wprost do kuchni, żeby przyczepić rysunek w odpowiednim miejscu. Ledwie powstrzymując podekscytowanie, Carrie wpadła za nią do kuchni.

- To dla ciebie! - wykrztusiła i wręczyła matce swoje arcydzieło. - Podoba ci się?

- Śliczne - powiedziała Rose. Nie uśmiechnęła się promiennie jak do dzieci z przytułku, ale przytuliła Carrie. Później przyjrzała się uważniej obrazowi. - W Szesnastce wspaniale pobudzają kreatywność, prawda?

Po czym oddała Carrie obraz.

To wszystko? - pomyślała Carrie. Po tygodniach pracy, po długich godzinach oczekiwania na zachwyty matki nie mogło się przecież na tym skończyć.

- Ale podoba ci się? - zapytała. - Naprawdę ci się podoba?

- Oczywiście, że tak. I jestem wdzięczna losowi, że mieszkamy w okolicy, w której jest jedna z najlepszych szkół podstawowych w mieście. Musimy zawsze pamiętać, jak wiele mamy szczęścia.

Po czym, zamiast zdjąć rysunki z Projektu Lodówka i zrobić miejsce na prezent od Carrie, Rose zabrała go do salonu i oparła przy komodzie, w której trzymała ubrania. Carrie wiedziała, że mogłaby poprosić matkę, żeby powiesiła jej obraz na lodówce, ale chciała, żeby Rose zrobiła to sama z siebie - o to w tym wszystkim chodziło.

Carrie czekała trzy dni. Przez trzy dni Rose przynosiła do domu kolejne szkice i bazgroły z przytułku, przyklejała je na drzwiach lodówki - miała ich już teraz tak wiele, że musiała je zamieniać - i robiła im zdjęcia, które potem pokazywała dzieciom. Przez cały ten czas obraz Carrie stał oparty o szafkę w pokoju. Czwartego dnia Carrie złamała się i zaczęła płakać. Kiedy Rose dowiedziała się, dlaczego, była zrozpaczona.

- Ależ Carrie, dlaczego chciałabyś wziąć udział w Projekcie Lodówka? - zapytała. - Ty i ja mamy przecież kuchnię. - Po chwili dodała: - Poza tym pewnie o tym nie pomyślałaś, ale twój obraz jest tak duży, że musiałybyśmy zdjąć rysunki wszystkich innych dzieci. Jestem pewna, że byś tego nie chciała, prawda?

Carrie oszustka szybko zerknęła na pełną niepokoju twarz matki, na jej zmarszczone brwi. Powstrzymując łzy, powiedziała:

- Nie. Nie chciałabym tego. Absolutnie nie. - Kłamstwo to zostało wynagrodzone promiennym uśmiechem, którym Rose obdarowywała dzieci z przytułku.

Tydzień później Carrie podarła swój obrazek i wyrzuciła go do kosza na śmieci na rogu ulicy. Jej matka nawet nie zauważyła, że zniknął. A w każdym razie nigdy o tym nie wspomniała.

Reporter zakończył wywiad. Odkładając na bok dyktafon, odwrócił się nagle w stronę Carrie. Kiedy zadawał to pytanie, mogło się wydawać, że czyta w jej myślach:

- Carrie, a co ty sądzisz o Projekcie Lodówka?

Oczywiście Carrie nie zamierzała wyznawać mu, że chciała, żeby jej matka zdjęła z lodówki wszystkie inne rysunki i powiesiła jej obrazek.

- Uważam, że to wspaniale, że mam w domu Projekt Lodówka - odpowiedziała ujmująco. - Dzięki niemu pamiętam, jakie szczęście spotkało mnie w życiu. Nie tylko dlatego, że mamy wiele rzeczy. Jestem też dumna, że moja mama tyle robi dla innych ludzi.

Carrie widziała, że reporter był pod wrażeniem. Ale jej matka nie wyglądała na szczególnie szczęśliwą.

- Po prostu cieszę się, że mogę uczestniczyć w pracy mojej mamy - dokończyła szybko i zerknęła na Rose.

Oczywiście gdy tylko reporter wyszedł, Rose usiadła na kanapie i skinęła na Carrie, prosząc, żeby usiadła obok niej.

- Carrie, musimy porozmawiać o tym, jak należy się zachowywać, kiedy człowiek znajdzie się w centrum uwagi - powiedziała pełnym niepokoju głosem. - Ludzie mogą interesować się nami ze względu na naszą pracę. Ale nie można dopuścić, żeby to namieszało nam w głowie. Wiem, że to czasem kuszące, i wydaje mi się, że przed chwilą poddałaś się temu uczuciu. Właśnie dlatego próbuję cię ostrzec. Rozmawiamy z prasą dlatego, że to reklama dla przytułku i rodzin. Nie chodzi o nas. Jeśli o tym zapomnimy, zmieni się to w czysty egocentryzm.

Z biegiem lat także sama Rose musiała coraz baczniej strzec się przed czyhającym na nią zagrożeniem, jaki stanowił „czysty egocentryzm”. Skuteczność, z jaką zbierała pieniądze, była zadziwiająca. Gwiazdy i politycy lubili pokazywać się z nią podczas imprez charytatywnych. Rose Manning podziwiano ze względu na to, że nie tylko pięknie mówiła, ale też stosowała zasady, o których mówiła, we własnym życiu. Na Boże Narodzenie ona i Carrie zastanawiały się, ile wydałyby na prezenty, po czym przekazywały tę kwotę przytułkowi. To samo robiły na urodziny. Pytana o to - zwykle przez zakochaną w niej prasę - Rose mówiła, że taki sposób świętowania daje jej szczęście. Carrie oszustka gorliwie przytakiwała. Później, kiedy Carrie była nastolatką i chciała dostać nową parę butów albo płytę, na pięknej twarzy Rose pojawiał się zawód i pytała ją z dezaprobatą:

- Czy jest ci to naprawdę potrzebne, kochanie? - a wtedy Carrie wycofywała się szybko i mówiła, że nie, tak naprawdę to nie, jeżeli pomyśli się o potrzebach dzieci, które nie mają na jedzenie.

Tylko raz Carrie nie dała za wygraną. Chodziła do państwowej szkoły podstawowej, ale państwowe licea na Manhattanie to było za wiele - ich niski poziom był w Nowym Jorku tajemnicą poliszynela. Nawet Rose miała wątpliwości, czy Carrie powinna pozostać w systemie edukacji publicznej, ale chciała, żeby jej córka chociaż spróbowała, zanim wybierą miłą szkołę parafialną. Carrie odmówiła. Jej najlepsza przyjaciółka Zoe miała chodzić do drogiej Dearborn School i to właśnie tam chciała pójść. Żaden powtarzany nie wiadomo ile razy obraz nędzy nie był w stanie jej przekonać. Rose wygłosiła długi wykład o bezdomnych dzieciach, które mają przecież takie samo prawo do edukacji i które mimo to muszą krążyć od szkoły do szkoły, nigdy nie zagrzewając w nich miejsca na tyle długo, żeby odebrać porządne wykształcenie. Odwołała się do trudnego położenia młodych ludzi, zmuszonych do chodzenia do strasznych szkół w dzielnicach, w których gangi prowadzą ze sobą regularną wojnę. Ale zawód i smutek Rose nie miały na córkę żadnego wpływu. Carrie oznajmiła, że jeśli jej matka nie zapłaci za Dearborn, będzie ubiegała się o stypendium. Miała same najlepsze oceny i radziła sobie znakomicie we wszystkich testach, więc było całkiem prawdopodobne, że zrealizuje swoje groźby i pozbawi możliwości edukacji jakieś dziecko, które rzeczywiście potrzebowało pomocy. Rose zgodziła się więc posłać Carrie do Dearborn.

Szkoła nie okazała się tak wspaniała, jak przypuszczała Carrie. Bogatych dzieci nikt nigdy nie uczył radości, jaką dają wyrzeczenia i poświęcenie. Rozumiały, dlaczego uczeń ze stypendium nie ma obowiązkowej kurtki Charivari, a podczas przerwy bożonarodzeniowej nie jeździ na narty do Aspen, ale Carrie nie była prze-

cież biedna. Dzieci z Dearborn długo usiłowały rozgryźć, jakie powinna zająć miejsce w ich rzeczywistości. Ostatecznie poniosły porażkę. Zaszufładowały ją więc jako dziwną i przez sześć lat ignorowały. Jej jedyną prawdziwą przyjaciółką pozostała Zoe.

## ROZDZIAŁ 5

Nowy Jork

2008

Carrie tak długo opierała się o ścianę, że rozboleł ją kark. Wstała, wyprostowała się i zaczęła szukać w kieszeniach kluczy do mieszkania matki. Nagle usłyszała znajomy głos:

- Tak myślałam, że cię tu znajdę.

Carrie uniosła głowę i zobaczyła Zoe, tym razem już bez siatki na włosy i roboczej piżamy. Jej przyjaciółka stała na stopniu poniżej.

- Zanim tu przyszedłam, szukałam cię w Starbucksie przy Amsterdam Street - powiedziała Zoe, siadając na jednym ze schodków. - Myślałam, że kiedy już zrozumiesz, że nie jesteś w stanie zmierzyć się z widokiem mieszkania matki, spróbujesz zyskać na czasie i pójdziesz na latte.

- Latte w Starbucksie to diabelska siła, zesłana, żeby zniszczyć naszą cywilizację - powiedziała Carrie. - Pamiętasz, jak nie można było przejść przez miasto, nie wpadając na ciasteczka Mrs Fields? Setki małych, rodzinnych sklepików zniknęły dlatego, że wyparły je te ciasteczka, zwykle zresztą niedopieczone. Znałam takiego Węgra, który przez czterdzieści lat miał piekarnię przy Columbus.

- Czy to nie jego zamknięto za handel narkotykami?

- Chodzi mi o to, że tę plagę zesłano z odległych krain, takich jak Kalifornia i Spokane, żeby obedrzeć miasto ze wszystkiego, co czyni je miastem. Mrs Fields stała się dziś tylko wspomnieniem, a Starbucks skończy tak jak inne przelotne mody, ale najpierw odbierze nam wszystkie stare greckie kawiarenki, a...

- A ty wciąż nie możesz się zmusić, żeby wejść do mieszkania matki - zauważyła Zoe. - Chcesz wiedzieć, skąd to wiem? Po pierwsze: rozgadałaś się; po drugie, zawsze, kiedy zaczynasz wywody na temat amerykańskiej Manhattanu, naprawdę boisz się czegoś innego; a po trzecie, siedzisz przy tym ohydny wejściu od ponad godziny.

- Dla twojej wiadomości te schodki są sprzątane każdego ranka.

- Ale to Nowy Jork. Mogliby je sprzątać co pięć minut i nadal nie byłyby dość czyste, żebyś mogła spędzić na nich resztę życia. - Zoe wstała. - Carrie, albo wejdiesz tu teraz ze mną, albo wracasz do domu.

- Masz czas? - zapytała Carrie.

- Zrobiłam sobie wolne. Carrie podała Zoe klucze.

Każdy, kto wszedł do tego mieszkania, musiał poczuć tę jedyną w swoim rodzaju atmosferę wnętrza, w którym nikt już nie mieszka. Rose nie miała wielu mebli; stała tu tylko kanapa, na której spała, komoda, w której trzymała ubrania - tam właśnie marniało kiedyś arcydzieło małej Carrie - staroświecki kufer służący jako

stolik do kawy i dwa krzesła. Wszystkie te sprzęty zostały upchnięte pod ścianami, żeby zrobić przejście dla sanitariuszy, kiedy po raz ostatni przyjechali zabrać Rose do szpitala. Carrie od razu chciała przesunąć kanapę z powrotem na jej dawne miejsce. Widziała zagłębienia, jakie nogi sofy zostawiły w starym dywanie. Po chwili przyjrzała się uważniej. Na dywanie leżało coś białego i lśniącego. Podniosła tajemniczy przedmiot. Wzięła głęboki oddech. Odwróciła się do Zoe i pokazała jej to, co trzymała w dłoniach.

- To różaniec matki - powiedziała. - Ten, który dostała od swojej babci podczas Pierwszej Komunii. Zawsze trzymała go w tym małym pozłacanym pudełku wyłożonym czerwonym aksamitem... - Carrie ponownie musiała odetchnąć. - Zaczęła go znowu używać, kiedy na dobre zachorowała.

Zoe, której rodzice byli w młodości hipisami, nie знаła się zbyt dobrze na sprawach związanych z religią.

- Ach tak - powiedziała grzecznie.

- Widocznie musiała go upuścić, kiedy zabierali ją do szpitala... - Carrie zamilkła, bo zbierało jej się na płacz.

- Wiesz... - zaczęła Zoe, ale Carrie potrząsnęła głową.

Wepchnęła różaniec do kieszeni.

- Matka zawsze trzymała większość ubrań w szafie i komodzie - powiedziała swoim najbardziej objętym głosem. - Zajmę się tym. Sprawdzisz w tym czasie kufer?

Zoe skinęła głową i w milczeniu ruszyła w stronę szkrzyni. Carrie - równie cicha - otworzyła szafę, w której czarno-białym rzędkiem wisiały bluzki i spódnice Rose. Ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że od miesięcy nie widziała matki w jej uniformie - przez głowę przemknął jej obraz Rose z ostatniego okresu, w szpitalnej koszuli nocnej i starym szenilowym szlafroku. Musiała się naprawdę pilnować, żeby w popłochu stąd nie uciec. Zmusiła się, żeby sięgnąć do szafy, i zdjęła bluzkę z wieszaka. Zauważyła, że jest jej łatwiej, kiedy już trzyma rzeczy matki w rękach. Okazało się, że to tylko zwykłe ubranie. Nawet nie ma zapachu Rose. Carrie nie była pewna, czy inaczej dałaby radę to wszystko znieść. Złożyła bluzkę i zaczęła zdejmować resztę ubrań z wieszaków.

W ciągu kilku minut opróżniła całą szafę - została już tylko jedna rzecz. Wisiała z tyłu, dokładnie tam, gdzie Carrie się jej spodziewała. Sięgnęła i ostrożnie wyjęła beżową szyfonową suknię wieczorową. Góra skrojona była na kształt zapinanej pod szyję szmizjerki. Suknia miała długie rękawy oraz satynowy kołnierzyk i mankiety. Spódnica była długa, uszyta z dwóch warstw szyfonu, opadających aż do podłogi. Suknia należała do tych klasycznych strojów, które nigdy nie wychodziły z mody, bo nigdy tak naprawdę modne nie były. Rose kupiła ją na początku lat osiemdziesiątych i wkładała ją przez kolejnych dwadzieścia pięć lat na każdą uroczystą okazję. Nie lubiła bali i olśniewających bankietów, którymi bogaci ludzie nagradzali się za swoje dobre uczynki.

- Mogliby po prostu przekazywać nam gotówkę - narzekała. - Wydawaliby na to mniej pieniędzy, a my nie musielibyśmy marnować czasu.

Ale bale charytatywne były nie do uniknięcia. Wobec tego Rose kupiła sobie tę jedną suknię i nosiła ją przez kolejne sezony. Ten sposób ubierania się na przyjęcia, tak jak wszystkie inne decyzje, które podejmowała, błyskawicznie stał się częścią jej wizerunku. Prasa fotografowała Rose w sukni *vintage*, a jej szlachetność i

urok w jakiś tajemniczy sposób zdawały się przenosić na wszystkich, którzy przebywali z nią w jednym pomieszczeniu.

- Ta suknia budziła szacunek - powiedziała kiedyś Zoe. Poza tym Rose doskonale wyglądała w beżu.

Carrie uniosła kreację, żeby rąbek nie ubrudził się kurzem z dywanu.

- Wygląda na nienoszoną, prawda? - zwróciła się do Zoe. - Po dwudziestu pięciu latach... jak ona to, u diabła, zrobiła?

Kiedy Zoe odpowiedziała, jej głos zabrzmiał dość dziwnie:

- Hmm... Carrie - zaczęła - chyba powinnaś tu przyjść i coś zobaczyć.

Carrie odłożyła suknię do szafy i podeszła szybko. Zoe wyjęła coś z kufra, coś starannie owiniętego w ochronną bibułę. Carrie odwinęła ją i zobaczyła beżową szyfonową suknię o dokładnie takim samym kroju, u góry naśladowującą szmizjerkę z długimi rękawami, sięgającą do ziemi, z satynowym kołnierzykiem i mankietami. Wyjęła ją z papieru i otrzepała.

- To klon - powiedziała. Zoe przytaknęła.

- Kazała odtworzyć suknię.

- Kilka razy - zauważyła Zoe. - W kufrze są jeszcze dwie.

- To dzięki temu zawsze wyglądała tak dobrze. Ta suknia stała się jej znakiem firmowym, więc go powieliła. Wszyscy myśleli, że ma tylko jedną...

- Jest jeszcze coś - wtrąciła Zoe.

- Jeśli zamierzasz mi powiedzieć, że używała maskary i błyszczyka, to już o tym wiedziałam - warknęła Carrie. Nie mogła oderwać oczu od sklonowanej sukni.

- Spójrz - powiedziała Zoe.

Carrie miała przed sobą książkę z okładką z białej sztucznej skóry, wyglądającą jak album. Rzuciła suknię na ziemię i wzięła go do ręki. Album wypełniały wycinki prasowe. Wycinki poświęcone Rose Manning.

Carrie usiadła na podłodze obok sukni.

- Zbierała artykuły, które o niej pisano - powiedziała do siebie.

Zoe usiadła obok niej.

- Wygląda na to, że zaczęła to robić dopiero w latach osiemdziesiątych - oznajmiła kojąco, starając się uspokoić przyjaciółkę. - A więc miałaś rację. Na początku rzeczywiście chciała zachować dyskrecję.

- Powtarzała, że kiedy ludzie mówią nam, jak wspaniali jesteśmy, nie możemy pozwolić, żeby przekształciło się to w czysty egocentryzm...

- No co, trzymała po prostu trochę wycinków prasowych. Carrie, ona przecież pomogła masie ludzi...

- Mówiła, że trzeba pamiętać, że nie robimy tego dla siebie. Tylko dla przytułku i tych wszystkich rodzin. Nasze motywy powinny pozostać nieskazitelne... Myślałam, że naprawdę w to wierzy.

- Wierzyła. Po prostu nie była aż tak nieskazitelna, jak myślałaś.

- Ale wmawiała mi, że jest - zaprotestowała dziecinnie Carrie.

- To przecież tylko album...

- Wierzyłam jej. Wszyscy jej wierzyli.

- Może wyjdziemy stąd na chwilę? - Zoe najwyraźniej uznała, że przyjaciółka nie jest w najlepszym stanie.

Carrie wyjęła różaniec z kieszeni.

- Matka nigdy nie przystępowała do komunii - powiedziała.

- Przecież nie musimy dziś uporządkować całego mieszkania.

- Nigdy ci nie opowiadałam, że matka nie przystępowała do komunii, prawda?

- Możemy wrócić, kiedy będziesz na to gotowa...

- Chodziła na mszę co niedziela, czasem nawet w ciągu tygodnia. Chodziłam razem z nią...

- Możemy pójść na lunch.

- Ja przystępowałam do komunii, a ona nigdy. Ani razu.

- Na rogu 86. Ulicy i Broadwayu jest świetna knajpka...

- Kiedy wszyscy inni podchodzili do ołtarza, miała taki wyraz twarzy, jakby czuła ogromny ból... ale siedziała dalej na swoim miejscu i tylko się modliła.

- No dobrze, ale przecież modlitwa to dobra rzecz, prawda?

- Ale nie zastąpi komunii! Kiedyś katolicy traktowali rezygnację z przyjmowania komunii jak poważny grzech.

- Carrie...

- Nigdy jej o to nie zapytałam. Nigdy nie zapytałam o mojego ojca ani babcię... Nigdy jej o nic nie pytałam.

- Wiem, Carrie.

- Kim ona była? Najważniejszą osobą w moim życiu. A ja nic o niej nie wiedziałam.

- Więc się dowiedz. Najwyższy czas.

W końcu Carrie poddała się i zrezygnowała z porządkowania mieszkania. Zamiast tego poszła z Zoe do małej restauracji, gdzie złamała swoją dietę opartą na chipsach i zjadła bajgla z serem. Zabrała ze sobą album, różaniec i trzy suknie Rose. Wepchnęła wszystkie te rzeczy do toreb na zakupy, więc kiedy razem z Zoe siedziały w Star Coffee, otaczało je morze beżowego szyfonu. Później Carrie zataszczyła torby do swojego mieszkania. Zaniósła je do sypialni i zaczęła się zastanawiać, co robić dalej. Zawartość albumu z wycinkami zamierzała przepuścić przez niszczarkę do papieru, którą planowała kupić, różaniec powędrował do szuflady, ale w jaki sposób miała pozbyć się trzech identycznych beżowych sukni? Wykluczyła możliwość oddania ich do sklepu z używaną odzieżą, bo ktoś mógłby je przecież rozpoznać.

Chronimy mroczne sekrety mamusi? - szedł jakiś głos w jej głowie. Powiedziała mu, żeby szedł do diabła, wepchnęła torby pod łóżko i położyła się. W kawiarni Zoe powtórzyła raz jeszcze, że Carrie dla własnego dobra powinna dowiedzieć się więcej o przeszłości matki. To była jedna z tych rad, które wydają się rozsądne i oczywiste - do czasu, kiedy zastanowimy się, jak je zrealizować. W Nowym Jorku mieszkały prawdopodobnie setki osób twierdzących, że przyjaźniły się z Rose Manning, ale czy ktokolwiek naprawdę ją znał? Carrie zaczęła przypominać sobie pogrzeb matki. Przekształcił się on w jeden wielki pean pochwalny na cześć działalności Rose, ale był kompletnie pozbawiony osobistego tonu. Jedynym wyjątkiem okazały się...



Carrie wstała z łóżka i pobiegła do salonu. Kosz białych róż stał w kącie, w tym samym miejscu, gdzie go zostawiła. Do tiulowej kokardki przyczepiono bilecik. Carrie otworzyła go i pospiesznie przeczytała. Kwiaty przysłał niejaki wuj Paulie. Ale przecież Rose była jedynaczką - nie miała brata, który mógłby być wujkiem Carrie. To samo dotyczyło Bobby'ego Manninga. Carrie raz jeszcze przyjrzała się karteczce, tym razem powoli badając charakter pisma. Jej treść brzmiała następująco: Małej Rose, od kochającego wujka Pauliego. Kwiaty przysłał wujek Rose. Carrie usiłowała przypomnieć sobie poszukiwania, które przeprowadziła jako trzynastoletka. Z tego, co pamiętała, Lu Lawson miała sześciu braci, a jej rodzina pochodziła z New Haven w stanie Connecticut. Lu naprawdę nazywała się Lucia Leporello. Te informacje wydawały się dość skąpe, ale na początek musiały wystarczyć.

Carrie sięgnęła po telefon i wykręciła numer informacji w stanie Connecticut.

## ROZDZIAŁ 6

### Connecticut

2008

Jako przyzwyczajone do komunikacji miejskiej dziecko Manhattanu Carrie nie miała za sobą rytuału przejścia, jaki stanowi kupno pierwszego auta. Szczęśliwie się złożyło, ponieważ Rose za żadne skarby nie kupiłaby córce samochodu. W efekcie Carrie zgłosiła się do szkoły nauki jazdy dopiero, gdy zaczęła chodzić do szkoły gastronomicznej - Instytut Kulinaryny mieścił się w północnej części stanu Nowy Jork. Nigdy jednak nie nauczyła się jeździć na tyle dobrze, żeby móc rozluźnić się za kierownicą. Nie potrafiła zapomnieć, że kieruje machiną, która może kaleczyć i zabijać. Kiedy skończyła naukę w instytucie, w pierwszej kolejności sprzedała samochód i przestała prowadzić - bez wątpienia była to wielka przysługa wyświadczona przez Carrie społeczeństwu.

Ale teraz znowu znalazła się za kierownicą - tym razem wynajętego volvo, bo ktoś powiedział jej, że to bezpieczne samochody. Jechała w stronę przedmieść New Haven, gdzie miała się spotkać ze swoim ciotecznym dziadkiem Pauliem. Odnalezienie go okazało się całkiem proste. Nigdy nie opuścił miasta, w którym się urodził. W informacji w New Haven mieli na liście tylko jednego Paula Leporello. Carrie wykręciła jego numer, a on odebrał po drugim dzwonku. Okazało się, że mieszka w miejscu o nazwie Seaview Manor i zapewnił Carrie, że chętnie opowie jej o rodzinie.

- To będzie absolutna strata czasu - jęknęła Carrie, rozmawiając potem z Zoe. - Seaview Manor to przecież dom spokojnej starości, a wujek Paulie ma osiemdziesiąt trzy lata. Robię całą tę wyprawę do Connecticut tylko po to, żeby porozmawiać ze starcem, który pewnie nawet nie pamięta swojego imienia, o tym, dlaczego moja matka sklonowała swoją suknię balową i trzymała w tajemnicy album z wycinkami prasowymi. Nie pomoże mi. Nie będzie miał pojęcia, dlaczego moja matka i babcia nie rozmawiały ze sobą przez trzydzieści cztery lata.

- Nie możesz się już wycofać - oznajmiła stanowczo Zoe.

- Czy wspominałam ci, że będę jechała naprawdę dużymi autostradami? Limit prędkości będzie pewnie astronomiczny.

- Rozmawiamy o Connecticut, a nie o autostradach. Trzymaj się prawego pasa.

- On najwyraźniej nic nie wiedział o mojej matce. W przeciwnym wypadku nie wysyłałby tych róż, na Boga.

- Dobrze, zapomnij o swoim wujku. Zadzwoń do Lu Lawson i od niej się wszystkiego dowiedz.

- Czy wyście się z Howiem zmówili? On ciągle powtarza mi to samo.

- Howie to mądry facet.

- Ale Lu jest za stara. Pewnie pamięta niewiele więcej niż wujek Paulie.

- Jest od niego trzy lata młodsza. I trzyma się na tyle dobrze, żeby mieszkać we własnym domu.

Ale Carrie nie mogła zadzwonić do babci. Wystarczyło, że myszkowała wokół przeszłości matki, usiłując odkryć sekrety, które Rose starała się raz na zawsze pogrzebać. Telefon do kobiety wykreślonej przez matkę z jej życia oznaczałby pośmiertną zdradę, a tego by Carrie nie zniosła.

- Wiem, że w świecie Rose Lu Lawson na zawsze pozostanie wrogiem publicznym numer jeden - mówiła dalej Zoe ale kiedyś będziesz przecież musiała porozmawiać z babcią. To w końcu rodzina.

Carrie spojrzała na swoją przyjaciółkę. W latach sześćdziesiątych matka i babcia Zoe chodziły wspólnie na marsze pokojowe. Kiedy Zoe była mała, ona i pani Forester spędzały ze sobą mnóstwo czasu podczas sobotnich popołudniówek. Carrie uważała Zoe za najbliższą przyjaciółkę, ale istniały pewne sprawy, których nawet ona nigdy nie mogłaby zrozumieć.

- Nie mogę spotkać się z Lu, bo... Nie mogę zmienić planów - wyjaśniła Carrie. - Powiedziałam wujkowi Pauliemu, że przyjadę, kupiłam nawet mapę Connecticut.

- Masz świadomość, że ta wymówka jest nie tylko kiepska, ale też kompletnie bezsensowna, prawda?

- Tak, ale najlepsza, jaką mam.

Tak więc Carrie usiłowała teraz trzymać się prawego pasa Merritt Parkway - ale okazał się on też niestety tym pasem, z którego włączały się do ruchu inne samochody. Carrie nigdy nie mogła zapamiętać, czy powinna w takiej sytuacji zwolnić, czy też przyspieszyć, żeby je wyprzedzić. Mijała kolejne miasta stanu Connecticut, wypatrując zjazdu, który - była tego pewna - przegapi. Pomstowała na siebie w duchu za to, że wpadła na pomysł tak głupiej wyprawy.

Okazało się, że Seaview Manor zdecydowanie różni się od dickensowskiego domu starców, jaki wyobrażała sobie Carrie. Jej oczom ukazał się duży budynek z białym szalunkiem, przypominający raczej wiktoriańską willę niż dom opieki. Zbudowano go na klifie nad oceanem. Nawet z samochodu widok był spektakularny. Carrie otworzyła okno i wciągnęła słone powietrze.

Wystrój wnętrza pozostawał wierny charakterowi wiktoriańskiej willi. Znajdowało się tu mnóstwo wiklinowych mebli ozdobionych koronkami i obłożonych wygodnymi poduszkami, wszędzie stały duże donice, a w nich rosły kolorowe kwiaty. Przy stołach w pobliżu frontowych okien toczyły się dwie karciane batalie, a przed telewizorem w głębi pomieszczenia siedziało kilka osób śledzących program kulinarny. Dopiero po chwili Carrie zdała sobie sprawę, ile balkoników i lasek stoi opartych o krzesła i ile spośród foteli wyposażonych zostało w koła. Ruszyła w stronę recepcji, ale zanim zdążyła się odezwać, ktoś zawołał:

- Carrie?!

Wujek Paulie poruszał się żwawo - nie potrzebował laski ani balkonika. Był też bardzo elegancki - eleganccy mężczyźni zawsze robili na Carrie wrażenie. Nosił bawełnianą kamizelkę o koralowym odcieniu, spod której wystawała koszula odpowiadająca kolorem jej białym pasom. Miał też koralową jedwabną apaszkę - o jeden ton ciemniejszą niż kamizelka. Stroju dopełniały białe mokasyny. Wujek musiał farbować włosy - miały odcień kasztanowy - ale gęste loki były bez wątpienia naturalne. Jedynymi elementami świadczącymi o wieku zdawały się w jego przypadku okulary i aparaty słuchowe.

Wujek Paulie objął Carrie tak mocno, że mało nie upadła, po czym powiedział:

- Wszędzie bym cię rozpoznał. Jesteście z Lu jak dwie krople wody.

- Ty też strasznie ją przypominasz - odpowiedziała, kiedy odzyskała równowagę. Oboje zaśmiali się z zakłopotaniem.

- To nos - wyjaśnił. - I usta, i podbródek. No, i jestem drobny, mam tylko metr siedemdziesiąt. A w każdym razie kiedyś miałem. Teraz wolę nie zadawać żadnych pytań, kiedy lekarz mnie mierzy. Zaczęłam się kurczyć... - Poklepał się z żalem po niewielkim brzuchu. - Ale, niestety, nie wszędzie.

Spojrzał na Carrie i jego oczy wypełniły się łzami.

- Dobrze cię wreszcie poznać, Carrie - powiedział łagodnie.

- Ciebie też - odrzekła. Jej oczy również się zaszkliły. Zabrał ją na taras, z którego rozciągał się widok na ocean.

Po chwili zastanowienia posadził ją przy stole, skąd panorama była najszersza. Na środku stołu umieszczono parasol, a wujek Paulie spędził dobrych kilka minut, ustawiając go tak, żeby słońce jej nie raziło. Sam nie potrzebował cienia: jego okulary należały do tych, które ciemnieją w świetle słonecznym.

Carrie patrzyła na niego - poruszał się zadziwiająco sprawnie, zupełnie jakby był dwa razy młodszy niż w rzeczywistości. W końcu nie wytrzymała:

- Przecież ty nie potrzebujesz pomocy. Jesteś w świetnej formie! - Po czym szybko dodała: - Przepraszam, to nie moja sprawa...

Ale wujek Paulie był zachwycony jej słowami.

- To prawda - powiedział radośnie. - Jestem nadal zupełnie sprawny. I całkiem nieźle się poruszam. Może nie tak jak kiedyś, ale co z tego, przecież to spotyka każdego...

Odwrócił się, wystawiając plecy na słońce. Ciemne okulary rozjaśniły się na tyle, że zobaczyła jego oczy.

- Tak naprawdę nie muszę tu mieszkać. Ale mam przyjaciela, Dorna... Kilka lat temu zauważyłem, że czasem nie pamięta, czy jest wtorek, czy niedziela. Zapomina o lekach, wjeżdża samochodem w drzewa. Jego żona zmarła, niech spoczywa w pokoju, a wszystkie dzieci wyjechały z New Haven i zamartwiały się o niego. Dom nie chciał zamieszkać z żadnym z nich, ale wiedziałem, że jeśli dalej tak pociągnie, zabije się. Więc zacząłem zastanawiać się nad sobą. Pomyślałem, że istotnie, jestem na razie zupełnie samodzielny, ale kto wie, ile to jeszcze potrwa? Kobieta, z którą żyłem dziesięć lat, też zmarła... Czy chcę czekać do chwili, kiedy będę jak Dom? Więc zadzwoniłem do niego i powiedziałem: „Hej, przyjacielu, robimy się za starzy na te wszystkie bzdury. Pamiętasz dom spokojnej starości nad wodą, o którym kiedyś słyszeliśmy? Przenieś się tam, jeśli i ty

tam zamieszkaż". I tak zrobiliżmy. Tu nie jest źle. Kilka razy w tygodniu jeździżmy do kasyn w Trumbull, a stamtąd autobus zabiera nas do starej dzielnicy, jeżli chcemy pograć w *bocce*. Lekarze dają Domowi dużo swobody, bo wiedzą, że mam na niego oko. - Wuj uśmiecnał się. - Poza tym chyba w żadnym miejscu tego typu proporcja kobiet i mężczyżn nie jest tak dobra jak tu.

Jego farbowane kasztanowe włosy miały rudawy odcień. Wydawało się, że ukryte za ciemnymi szklami oczy mają łagodny wyraz, a uśmiecch należał do najbardziej uroczych, jakie Carrie widziała. Oklaski dla rodziny Leporello - pomyślała.

- Jesteś wspaniałym przyjacielem - powiedziała.

Wujek Paulie machnął lekceważąco ręką, ale widziała, że te słowa sprawiły mu przyjemność.

- Robię, co mogę. Ale nie przyjechałaś tu, żeby służyć o mnie.

- No cóż, jest trochę spraw, o które chciałam zapytać... - Nie miała pojęcia, jak zacząć rozmowę.

Wujek Paulie przyglądał jej się badawczo, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale najwyraźniej sam nie wiedział, od czego zacząć. W końcu zaryzykował:

- Wcześniej, kiedy mówiłaś, że wyglądam jak Lu... czy ty... To znaczy, czy Rose kiedykolwiek...? - nie skończył pytania.

Carrie pokręciła głową.

- Nie, nigdy nie poznałam Lu. A w każdym razie niczego takiego nie pamiętam. Widziałam po prostu jej zdjęcia.

Westchnął.

- No cóż, wszędzie wisiało mnóstwo jej zdjęć.

- Nie w moim domu - powiedziała Carrie. - Musiałam iść do biblioteki, żeby je obejrzeć.

- I dlatego tu jesteś. Chcesz wiedzieć, co wydarzyło się między twoją matką a babcią.

- Tak.

- Tego ci nie powiem. Nie wiem, o co się pokłóciły... To znaczy, domyślałam się, że tak się stało, chociaż nawet tego nie jestem pewien. - Przez chwilę patrzył w ocean. - Co wiesz o swojej prababci, a mojej matce? - zapytał.

- Właściwie to nic - odpowiedziała zaskoczona Carrie.

- Urodziła się we Włoszech, w małym miasteczku pod Neapolem. Wychowywała się w klasztorze i przyjechała tu, kiedy miała szesnaście lat. Przyjechała, żeby wyjść za mojego ojca - ich małżeństwo zostało zaaranżowane. Tata zapłacił za jej podróż. Był o dziewiętnaście lat starszy, dorosły człowiek. A ona - jeszcze dziecko...

Wujek Paulie potrząsnął głową i raz jeszcze spojrział na ocean.

- Zastanawiałem się czasem, co pomyślała, kiedy zeszła z pokładu tego statku i zobaczyła go po raz pierwszy.

- Dlaczego się na to zgodziła? - zapytała Carrie.

Wujek Paulie odwrócił się w jej stronę i zdjął okulary, żeby przetrzeć oczy.

- W starym kraju nie uznawano jej za dobrą partię. Fakt, była ładna i inteligentna. Umiała pisać i czytać - dopilnowały tego zakonnice. Ale jej matka śpiewała w operze w dużym mieście, Neapolu. I nie miała ślubu z ojcem twojej prababci. To dlatego wysłała córkę na wychowanie do zakonnice.

- Moja prababcia była nieślubnym dzieckiem? - powtórzyła Carrie, zafascynowana tym smakowitym kąskiem w historii rodzinnej.

- Wiem, że dzisiaj to nic wielkiego. Na połowie ślubów w Hollywood drużbą zostaje trzyletni syn młodej pary... ale wtedy, och, cóż to była za hańba! I niezależnie od tego, jak wspaniała była mama, nigdy nie zdołała o tym zapomnieć. - Włożył okulary, wstał i podał jej dłoń. - Przyjechałaś samochodem, prawda? - zapytał.

Carrie skinęła głową i pozwoliła, by pomógł jej wstać.

- Zróbmy sobie małą przejażdżkę. Chcę ci coś pokazać.

Droga, którą wybrał wujek Paulie, prowadziła przez New Haven. Carrie w panice przejechała przez labirynt jednokierunkowych uliczek, modląc się w duchu, żeby nie spowodować wypadku. Jej pasażer zdawał się jednak nie zauważać, ile razy cudem uniknęli stłuczki. Mianował się przewodnikiem wycieczki i pokazywał Carrie zakamarki miasta nietknięte jeszcze destrukcyjną rewitalizacją lat sześćdziesiątych, wygłaszając krótkie wykłady o historii każdego z nich. Obejrzeliby część kampusu Yale - *potpourri* stylów architektonicznych, w którym zdawał się dominować gotyk i styl georgiański - i przejechali obok skweru z trzema kościołami, który, jak poinformował wujek Paulie, znalazł się w Państwowym Rejestrze Zabytków. Wreszcie, kiedy Carrie myślała już, że jej dłonie przyrosły do kierownicy, przewodnik oznajmił, że mogą się zatrzymać. Znajdowali się na szerokiej ulicy, przy której stały domy wyglądające, jakby zbudowano je na początku minionego wieku. Okalały je duże, gościnne werandy. Budynki stały tak blisko chodnika, że od frontu pozostawało miejsce dosłownie na kilka krzewów. Dzielnica wydawała się niejednorodna - niektóre domy lśniły świeżą farbą i przyciągały wzrok nowymi dachami, inne desperacko wołały o remont.

- Ta ulica przechodziła trudne chwile w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych - wyjaśnił wujek Paulie. - Ale teraz wszyscy ci młodzi ludzie - myślę, że można ich określić jako *yuppies* - widzą, jak może tu być pięknie, dlatego kupują stare domy i je remontują. Spójrz na ten.

Wujek Paulie wskazał duży budynek stojący po drugiej stronie ulicy. Ten miał szczęście i przeszedł gruntowny remont. Został pomalowany jasnoszarą farbą, wzrok przyciągały ciemnozielone wykończenia i naprawdę efektownie odrestaurowane drzwi wejściowe z lśniącymi mosiężnymi detalami. Nad nimi znajdował się półkolisty witraż, a obok widniał dumnie mosiężny numer.

- Duży - zauważyła Carrie, skromna właścicielka mieszkania.

Wujek Paulie przytaknął.

- Tak. Kiedy byłem dzieckiem, ten dom był dla włoskiej rodziny naprawdę imponujący, taka też wydawała się cała dzielnica. Większość naszych rodaków mieszkała przy Woodster Street i Franklin Avenue - naszej własnej Little Italy. Ale to pewnie dlatego, że moja rodzina pięła się w górę po szczeblach drabiny społecznej.

- To był twój dom?

- I Lu. I twojej matki, kiedy była mała.

- Nigdy bym nie pomyślała. - Carrie podeszła bliżej do szarzielonego, pięknego budynku.

- Tatę było na niego stać, bo interesy szły całkiem dobrze - mówił dalej wujek Paulie. - Kiedy zmarł, miał trzy sklepy spożywcze. Jego rodzina przyjechała do tego kraju tuż po wojnie secesyjnej. Więc mimo że byli biedni, i tak miał przewagę, rozumiesz? No, i okazał się dobrym biznesmenem.

Carrie oderwała wzrok od domu i rozejrzała się wokół siebie.

- To była wasza ulica - powiedziała, starając się zakodować sobie w głowie tę informację. - To tutaj wszyscy się wychowaliście.

Wujek Paulie przytaknął.

- Tata i mama wprowadzili się tu w latach dwudziestych. Wtedy mieszkali w tej dzielnicy głównie Irlandczycy, a dalej stały domy starych jankeskich rodzin: Griswoldów, Russellów i innych. Dwie przecznice dalej znajduje się polski kościół. W latach pięćdziesiątych, kiedy komuniści rządili w Polsce, ksiądz w St. Stanislaus grał polski hymn na koniec każdej mszy, a wszystkie te maleńkie staruszki stały tam w chustkach na głowach, śpiewając ze łzami w oczach.

Carrie znowu spojrzała na dom swojej rodziny.

- Jest piękny. Bardzo podobają mi się te kolory.

- Mój przyjaciel Dom i ja poznaliśmy parę, która go kupiła - dwóch chłopaków, dasz wiarę, jak bardzo się wszystko zmieniło? - i nauczyliśmy ich grać w *bocce*. Chcieli się dowiedzieć, jak dawniej wyglądało to miejsce. Znaleźli moje nazwisko i zadzwonili do mnie. Powiedziałem im, że mama co dwa lata malowała go na szaro i zielono. - Spojrzał na dom, wspominając dawne czasy. - Wygląda dokładnie tak jak kiedyś - powiedział. - Cieszyłaby się z tego. To miejsce było... - spojrzał na Carrie z uśmiechem - jej królestwem.

Wujek Paulie raz jeszcze odwrócił się w stronę domu i przez dłuższy czas patrzył na niego w milczeniu.

- Mówiłaś, że chcesz się dowiedzieć, co zaszło między twoją matką i babcią - odezwał się wreszcie. - Musisz jeszcze bardziej cofnąć się w czasie. Wszystko zaczęło się od mojej matki. Kiedykolwiek o nich myślę - o mamie, która miała na imię Mifalda, o Lu i o Rose - widzę je, jakby stały obok siebie. Trzy młode dziewczyny, przekazujące wszystko, co dobre i to, co złe, z pokolenia na pokolenie. Nie mogły od siebie uciec - a wiem, że były chwile, kiedy wszystkie o tym marzyły. Ale jeśli chcesz cofnąć się do początku tej historii, musisz zacząć od mamy.

# ROZDZIAŁ 7

New Haven, Connecticut

1936

W kuchni zrobiło się gorąco i duszno. Był poniedziałek - dzień prania. Mifalda nienawidziła tego dnia. Wstała, żeby rozprostować bolące plecy. Miała nową pralkę, ale nadal musiała pochylać się nad głębokim zlewem pełnym gorącej wody i wybielacza. Szorowała plamy na tarze i dopiero potem wkładała ubrania do pralki. Ten drobny szczegół pomijano w reklamach pralek. A przy szóstce dzieci - w tym pięciu chłopcach - brudnych ubrań były stosy.

Mifalda prała w niewielkim pomieszczeniu tuż przy kuchni. Nie było tam wentylacji, a para z pralki połączona z zapachem wybielacza bardzo utrudniała oddychanie. Mifalda odwróciła się do kobiety pracującej obok. Kiedy urodziła czwartego syna, jej mąż Carmine powiedział, że powinna mieć kogoś do pomocy. Zatrudnił Annę, mało doświadczoną dziewczynę, której rodzina pochodziła z Polski i która przyjechała do Ameryki dopiero niedawno. Z początku Mifalda błagała Carminego, żeby zatrudnił kogoś mówiącego po włosku - wtedy mogłaby rozmawiać w języku, za którym tak tęskniła. Ale Anna okazała się tańsza i chociaż Carmine rozpieszczał swoją młodą żonę - tak przynajmniej zawsze twierdziła jego świętej pamięci matka - bardzo trzeźwo oceniał koszty.

Ostatecznie Mifalda polubiła niedoświadczoną Polkę. Anna była w jej wieku, dzięki czemu znalazły wiele wspólnych tematów. Ponieważ Mifalda mieszkała w Ameryce dużo dłużej - obywatelstwo miała już wtedy od czternastu lat - każdego popołudnia, kiedy robiły sobie przerwę na kawę, mogła udzielać Annie drobnych rad dotyczących życia w tym kraju. Odkryła, że miło jest być kimś doświadczonym. Poza tym Anna bez słowa skargi wykonywała wszystkie najbardziej uciążliwe prace.

Powietrze w małej pralni stało się nie do zniesienia.

- Pójdę zerknąć na sos - uprzedziła Annę Mifalda, po czym uciekła do kuchni.

Także i tutaj czuło się zapach dochodzący z pralni, ale przynajmniej można było się uwolnić od wrażenia, że sufit zamyka się tuż nad głową. Usiadła przy kuchennym stole i zaczęła się wachlować. Na zewnątrz trzymał mróz i chociaż miała ogromną ochotę, nie mogła otworzyć okna i wypuścić z pomieszczenia całego ciepła - nie przy tej cenie za węgiel. Kuchnia była ogromna. Kiedy kupili dom, Carmine kazał wyburzyć ścianę oddzielającą ją od jadalni, dzięki temu stała się większa. Całe wyposażenie było bardzo nowoczesne. Mifalda miała kuchnię gazową, maszynę do szycia, lodówkę z zamrażarką na górze, elektryczny toster, a w małej pralni stał na półce najnowszy model żelazka elektrycznego. Kiedy tylko Carmine słyszał o jakimś nowym sprzęcie, natychmiast go kupował. Wiedziała, że robi to także dlatego, że ją kocha i chce, żeby była szczęśliwa. Oczywiście ważny też był w tym przypadku rozmach, z jakim wyposażał dom - wyraźny dowód sukcesu właściciela. Lubił opowiadać kolegom o rzeczach, które kupował Mifaldzie. Uwielbiał też wspominać - zupełnie od niechcienia - że jego żona ma do pomocy polską służącą. Sprawiało mu przyjemność, kiedy jakiś przyjaciel wpadał z wizytą, a jego śliczna młoda żona w wykrochmalonej sukience podawała ciasto, które upiekła według prze-

pisu teściowej. Lubił siadać ze znajomym na ganku i rozmawiać o polityce i interesach, patrząc, jak Mifalda robi na szydelku koronkę do obszycia powłoczek na poduszki, które w przyszłości miały stać się częścią posagu jego córki.

Carmine zasługiwał na domowe szczęście. Jego ojciec zmarł, kiedy Carmine był jeszcze dzieckiem. Od dwunastego roku życia pracował - w ten sposób starał się pomóc matce. Mieszkał u niej i odkładał małżeństwo do czasu, aż otworzy swój pierwszy sklep spożywczy. Kiedy to zrobił, postanowił poczekać jeszcze trochę, do chwili, aż zostanie właścicielem budynku, w którym znajdował się sklep, i będzie mógł zamieszkać z matką w przestronnym mieszkaniu na piętrze. Później dalej odkładał ślub, aż został dumnym właścicielem kolejnych dwóch sklepów. Kiedy wreszcie Carmine postanowił się ożenić, mógł już swojej świeżo poślubionej żonie kupić piękny dom.

Oczywiście ten sukces miał swoją cenę. Carmine poświęcał pracy długie godziny. Każdego ranka jeszcze przed świtem jechał na targ na nabrzeżu, gdzie kupował świeże produkty. Do domu wracał czasem po północy. Regularnie bywał w Nowym Jorku, gdzie prowadził interesy z ważnymi importerami oliwy z oliwek i innych specjalów, którymi handlował. To właśnie dzięki temu utrzymał się w biznesie mimo pojawienia się nowych, ogromnych supermarketów. Oferował wysokiej jakości produkty, jakich jego klienci nie kupiliby w byle sklepie. Mógł utrzymywać dość niskie ceny, ponieważ pracował głównie sam. I opłacało się to - nawet w najcięższym okresie wielkiego kryzysu wydatki domowe Mifaldy zostały ograniczone zaledwie o kilka dolarów tygodniowo. Jedynym wyrzeczeniem, na jakie się zdecydowała, było kupienie tańszej wełny na płaszczyk zimowy dla córki.

Mifalda wstała, rozejrzała się po swojej efektownej kuchni i pomyślała - jak co dzień - że ma dużo szczęścia. Człowiek taki jak Carmine, potrafiący zapewnić rodzinie dostatnie życie, mógł wybierać spośród wielu kobiet z New Haven. Ale mimo że urodził się w Ameryce, chciał mieć żonę z kraju, z którego się wywoził. To, że wychowały ją zakonnice, było tylko dodatkowym atutem.

- Jesteś staroświecką dziewczyną. Podoba mi się to - oświadczył Mifaldzie, kiedy po raz pierwszy zostali sami. Mówił po włosku tak jak ona, w dialekcie neapolitańskim. Tak naprawdę myślał: Chcę mieć staroświecką żonę, która została nauczona, że powinna znać swoje miejsce. Chcę żony, która jest cicha i nie będzie próbowała przesadnie zwracać na siebie uwagi. Nie powiedział tego, ale ona wiedziała, że właśnie dlatego zgodził się na aranżowane małżeństwo z dziewczyną, której nawet nie poznał. Dziewczyną dwa razy młodszą od niego.

A ona była wdzięczna, że może uciec od zakurzonego, prowincjonalnego włoskiego miasteczka, w którym się urodziła i od klasztoru, w którym się wychowała. W tym regionie nie znaleziono środków na utrzymywanie sierocińca, więc Mifalda była jedynym dzieckiem mieszkającym u zakonnicek. Modliła się razem z nimi, jadła takie same skromne porcje - chodziła wtedy wiecznie głodna - i nosiła bezkształtne kitle z szorstkiego czarnego materiału, z którego siostry szyły swoje habity. Za jednym razem szyto dla niej dwa takie stroje i miała je nosić do czasu, aż będą tak poszarpane, że nie da się ich zacerować, albo do chwili, kiedy z nich wyrośnie. Brzydkie ubrania naznaczyły ją w społeczności, w której już i tak wyróżniała się jako bękart ladacznicy. Codzienne chodzenie do szkoły stało się dla niej szczególnym rodzajem udręki. Przy drodze między klasztorem



a miasteczkiem najchętniej gromadzili się miejscowi chuligani, a jeśli ją zauważyli, ich drwiny raniły ją bardziej niż ostrza sztyletów.

„Patrzcie ją, same kości!“. „A do tego cuchnie“. A potem ktoś zaczynał powtarzać naprawdę okropne rzeczy. „Córka dziwki“. „Putana!“.

Raz mała Mifalda podniosła grudę błota i cisnęła nią w stronę swoich prześladowców. Zakonnice ją za to zbiły.

- Wdałaś się w matkę - powiedziały jej między kolejnymi razami. - Musisz zawsze się strzec. Powinnaś traktować swoje cierpienia jako dar od Naszego Pana, dar, który ma nauczyć cię pokory. Znoś je potulnie.

Boże, jakież te zakonnice bywały surowe!

Mifalda wstała i podeszła do okna. Miała w ogrodzie altanę, gdzie jej synowie uprawiali winogrona - Carmine robił z nich domowe wino. Była tam też grządka pomidorów. Jedno i drugie pokrywała teraz gruba warstwa śniegu i lodu. Przy takiej pogodzie pranie z pewnością by zamarzło, gdyby próbowała rozwiesić je na zewnątrz, więc wiedziała, że razem z Anną będą je rozwieszały w piwnicy, gdzie synowie zamontowali jej do tego specjalny sznur.

Podeszła do kuchenki, żeby zamieszać sos - przygotowany według przepisu teściowej. Na blasze stygła *parmigiana* z bakłazana, którą zrobiła o piątej rano. Zamierzała pokroić ją na kawałki i podać dzieciom, kiedy przyjdą ze szkoły podczas południowej przerwy. Tymczasem w pralni Anna przepuszczała koszulę przez wyciśmaczkę, składając ją tak, żeby guziki nie zostały wciągnięte i połamane. W świecie Mifaldy panował idealny porządek. Wszystko przebiegało tak, jak powinno.

Mam tyle szczęścia - pomyślała raz jeszcze. - Nie zasługuję na to wszystko.

Czuła jednak, że jeśli nie ucieknie chociaż na chwilę od zapachu mokrego prania i sosu pomidorowego teściowej, zacznie ciskać otaczającymi ją przedmiotami. Spojrzała na zegar wiszący na ścianie w kuchni. Było tuż po dziesiątej i wiedziała, że dzieci powinny wrócić do domu dopiero za dwie godziny. Gdyby się pospieszyła... Chwyliła kurtkę i szybko ruszyła do drzwi. Przez ramię krzyknęła do Anny:

- Właśnie sobie przypomniałam, że potrzebuję czegoś ze sklepu!

Anna wiedziała, że Mifalda mogła po prostu zadzwonić do Carminego i poprosić, żeby przywiózł do domu, cokolwiek by sobie zażyczyła, ale tylko uśmiechnęła się do niej smutno. Może wiedziała, jak to jest, kiedy całe dni spędza się w idealnym domu - który powoli staje się więzieniem.

Na dworze było zbyt zimno na cienką kurtkę, którą włożyła Mifalda, ale szczypiące suche powietrze sprawiało jej przyjemność, wreszcie wyrwała się z wilgoci panującej w kuchni. Przez chwilę miała ochotę beztrudno pobiec przed siebie, sprawdzić, czy nadal potrafi to robić tak jak w dzieciństwie. Ale nie była już dzieckiem i miała na sobie eleganckie buty - buty dorosłej kobiety, która urodziła sześcioro dzieci. Poza tym nawet w dzieciństwie zakonnice nie pozwalały jej swobodnie biegać - ten przywilej nie przysługiwał dziewczynce, która musiała szczególnie uważać, żeby nie przykuwać uwagi obcych. Dziewczynce, która nie powinna nigdy robić czegoś, co przypomniałoby ludziom o jej hańbie.

Park znajdował się tylko trzy przecznice od jej domu. Mifalda dotarła tam szybko i wydała cichy okrzyk przerażenia. Ścieżkę biegnącą przez park pokrywał śnieg. Mogła po nim chodzić - został ubity - ale jeżeli nie odśnieżono ścieżek, całkiem możliwe, że śniegu nie odgarnięto też z dużego stawu na środku parku. A przecież

właśnie tam zmierzała. Po tym, jak zdołała wreszcie wyrwać się na chwilę, Bóg okazałby się naprawdę złośliwy, gdyby pozostawił staw pokryty śniegiem. Pobiegła śliską alejką.

Staw był czysty! Niecierpliwie przebiegła wzrokiem po jego zamrożonej powierzchni. Przez chwilę wydawało jej się, że Bóg mimo wszystko postanowił być złośliwy i że nikogo tam nie ma, ale wtedy na lód wjechała na łyżwach dziewczynka. Miała na sobie czerwoną sukienkę do kolan. Kołnierzyk i skraj sukienki wykończone były futrem. Uszy dziewczynki chronił przed mrozem mały czerwony kapelusik, też podbity futrem. Mifalda znajdowała się zbyt daleko, żeby zobaczyć jej buzię, ale wiedziała już, że dziewczynka ma niebieskie oczy, zadarty nos i marchewkowe włosy - cechy typowo irlandzkie. Mifalda nazywała ją w myślach Małą Irlandką.

Irlandczycy - jak się dowiedziała, kiedy przyjechała do Ameryki - żyli w Stanach dłużej niż Włosi. Prowadzili kościoły katolickie i szkoły parafialne, i wynosili się nad nowych przybyszy z rejonu Morza Śródziemnego. Ci z kolei rewanzowali im się szczerą nienawiścią. Ale niezależnie od złych rzeczy, które o Irlandczykach opowiadał jej mąż, Mifalda wiedziała w głębi serca, że ci ludzie, smarujący chleb masłem zamiast oliwy z oliwek, byli bardziej amerykańscy niż ona i Carmine. Nie dziwiło jej zatem, że irlandzka dziewczynka umiała jeździć na łyżwach.

Dziewczynka ciężko nad tym pracowała. Ćwiczyła codziennie rano. Mifalda wiedziała o tym, bo kiedy tylko mogła, wymykała się z domu i przychodziła nad staw, żeby ją obserwować. Czasem łyżwiarka kreśliła koła na lodzie na jednej nodze. Zatrzymywała się co jakiś czas i sprawdzała ślady, które pozostawiła na gładkiej powierzchni. Robiła to z ogromnym wdziękiem, na czubkach palców, ale Mifalda czekała na coś innego. Po pewnym czasie dziewczynka zaczynała przemieszczać się lekkimi ślizgami, tak szybkimi, że zdawała się nie dotykać tafl. Wyciągała ręce, a jej sukienka falowała na wietrze. Właśnie ten obraz przyciągał Mifaldę do parku.

Dziś dziewczynka zrezygnowała z kół i od razu przeszła do szybkiej jazdy. Jak to jest, być tak wolnym? Nosić krótką sukienkę, odsłaniać ładne nogi i fruwać w powietrzu? Jest ode mnie młodsza, ale ja w jej wieku miałam już męża, o którego musiałam dbać, i dom, którym musiałam się zajmować - pomyślała Mifalda. - Nigdy nie miałam okazji cieszyć się wolnością. A przecież nogi mam równie ładne.

Nagle Mała Irlandka odwróciła się i ustawiła stopę na lodzie w taki sposób, żeby skoczyć. Mifalda wiedziała, że za chwilę łyżwiarka obróci się w powietrzu wokół własnej osi i wyląduje na jednej nodze. Wstrzymała oddech. Dziewczynka już wielokrotnie próbowała to robić i często przy tej okazji upadała. Ale wydawało się, że ten raz będzie należał do udanych. Skoczyła, obróciła się, opadła delikatnie jak ptak siadający na gałęzi, po czym znów zrobiła piruet. Mifalda patrzyła na jej triumf i czuła, że jeździ razem z nią - dwie dzikie, wolne istoty, które nie musiały robić prania ani szorować podłóg, tylko po prostu latały w przestworzach, pokazując ładne nogi. Na myśl o tym rozradowana Mifalda roześmiała się głośno.

Mała Irlandka zdziwiła się, kiedy ją usłyszała - nie była dotąd świadoma, że ktoś ją obserwuje. Zatrzymała się na środku stawu i zaczęła się rozglądać. Mifalda chciała uciec, ale nie mogła się ruszyć.

Dziewczynka zauważyła ją.

- Hej! - zawołała.

Jakakolwiek siła trzymała dotąd Mifaldę w miejscu - puściła ją natychmiast. Pobieгла przed siebie pokrytą śniegiem ścieżką. Uciekała znad stawu, uciekała przed dziewczynką, która nadal za nią wołała. Wybiegła z parku i biegła dalej ulicami, aż stanęła pod swoim domem. Dużym, ciepłym domem, który jej dobry mąż kupił dla rodziny, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo. Nie zasługiwała na ten dom. Zadrżała - nie tylko z zimna.

Tak naprawdę zawsze było z nią coś nie tak - zakonnice miały rację. Mifalda na swój sposób kochała męża, a dzieci uwielbiała do tego stopnia, że aż czuła ból, myśląc o nich. Łatwiej wychowywało jej się pięciu chłopców niż najmłodszą dziewczynkę. Może dlatego, że córka była tak bardzo do niej podobna, a może po prostu tak musi być między dwiema kobietami. W każdym razie to właśnie oni - zarówno chłopcy, jak i dziewczynka - nadali jej życiu sens.

Pamiętała ich, kiedy byli noworodkami. Każde z dzieci jawiło jej się jako mały cud o aksamitnej skórze, delikatnej, okrągłej twarzyczce i małych, tłustych rączkach i stópkach. Bała się o nie, kiedy chwiały się na małych nóżkach. Odczuwała głęboką satysfakcję, kiedy dzięki jedzeniu, którym mogła ich karmić, chłopcy wyrosli na barczystych i silnych mężczyzn. Puchła z dumy, kiedy cała jej piękna rodzina ubierała się elegancko i szła w niedzielę do kościoła. Jeżeli kiedykolwiek wątpiła w dobroć Boga - a były chwile, kiedy pranie i sprzątanie zaczynało ją przerastać i zastanawiała się, czy On w ogóle myśli o kobietach - to zdrowe, ładne dzieci przywracały jej wiarę w sens życia.

Nienawidziła tylko prac domowych. Nie przeszkadzało jej gotowanie dla całej rodziny, ale nie chciała zmywać tych wszystkich garnków, zastawy, srebrnych sztućców, kieliszków. Nie miała ochoty słać łóżek, myć okien czy prasować prześcieradeł, jak to powinna robić dobra żona i matka. Niekończąca się monotonia tych samych obowiązków, powtarzanych dzień w dzień, tydzień po tygodniu - sprawiała, że Mifalda miała ochotę krzyczeć tak głośno, żeby pokoje jej pięknego domu odpowiedziały echem. A to było złe.

Czasem myślała, że gdyby miała więcej córek, które mogłyby jej pomagać - chłopców nie poprosiłaby przecież o wykonywanie prac domowych - miałyby szansę stać się lepszą osobą. Może gdyby w okolicy mieszkała jej rodzina albo siostry, które by ją odwiedzały, żeby poplotkować i pośmiać się, może wtedy umiałyby zaakceptować takie życie. Ale nic takiego nie stało się jej udziałem. Poza tym, jeżeli cokolwiek było z nią nie tak, chodziło o coś więcej niż tylko pranie i sprzątanie.

Nie miała ochoty się uśmiechać i zgadzać z Carminem, kiedy twierdził, że prezydent Roosevelt rujnuje kraj. Nie chciała też siedzieć cicho, zajęta szydełkowaniem, podczas gdy jej synowie i ich przyjaciele rozmawiali o baseballu. Przez lata, które spędziła w Ameryce, nauczyła się nie tylko mówić po angielsku, ale też czytać i pisać w tym języku. Codziennie przeglądała gazetę i miała swoje zdanie na różne tematy. Nie chciała wечно stać w cieniu - pragnęła uwagi. Marzyła o tym, żeby ludzie słuchali tego, co mówi, śmiali się z jej żartów i - choć wstyd jej było to przyznać - pragnęła być podziwiana. Ale porządna kobieta nie powinna przecież mieć takich potrzeb. To były uczucia putany - śpiewaczki operowej, która nie mogła wychować swojego dziecka, bo nie miało ojca.

Mifalda poczuła, że coś ciepłego cieknie jej po nodze. Spojrzała w dół i zobaczyła krew. Upadła na ubity śnieg, kiedy biegła przez park - musiała wtedy skaleczyć się w kolano, chociaż tego nie pamiętała. Podała sobie pończochę. Zasłużyła na to, biegając jak głupia w środku dnia. Miała za swoje. Uznała, że to odpowiednia kara za jej marzenia - choćby przelotne - o tym, żeby być młodą i wolną.

Weszła szybko do domu. Wiedziała, że kiedy już zabandażuje nogę, zdąży jeszcze przygotować szarlotkę, nim dzieci wrócą ze szkoły. Jeżeli ostygnie wystarczająco, udekoruje ją cytrynowym lukrem, tak jak lubią chłopcy.

Anna i Mifalda skończyły prac ostatnie prześcieradła dopiero pod koniec dnia. Kiedy układały moką masę w koszu na pranie, Mifalda usłyszała trzaśnięcie drzwi kuchennych. Wysoki, słodki głos śpiewał: *Panis angelicus fit panis hominum; Dat panis coelicus figuris terminum*. Córka Mifaldy wróciła do domu. Dziewczynkę nazwano Lucią po matce Carminego, ale szybko oświadczyła wszystkim, że mają jej więcej nie nazywać tym obco brzmiącym imieniem. Dziewięcioletnia Lucia stała się teraz, wyobraźcie sobie, Lu.

- Jak ta postać w komiksach? - zapytała sarkastycznie Mifalda. Córka wyjaśniła jej, chichocząc, że chodziło jej właśnie o Little Lulu.

Mifaldę martwiło, że jej najmłodsze dziecko odrzuciło imię babci. Co prawda nie lubiła swojej teściowej, ale szanowała tradycję przekazywania imion w rodzinie. Jej rozpieszczona córka nie miała pojęcia, czym może stać się życie bez poczucia przynależności do określonego świata.

W odpowiedzi na jej zarzuty Carmine zauważył, że chłopcy zamerykanizowali przecież swoje imiona: Francesco stał się Frankiem, Ezio nazwał się Edem, Nico kazał do siebie mówić Nick, a Paolo - Paulie. Tylko Carmine junior pozostał przy imieniu, które mu nadano na chrzcinach. Jej mąż uważał, że Mifalda „robi z igły widły” - tego amerykańskiego powiedzenia Mifalda szczególnie nienawidziła. Carmine zbyt pobłażliwie traktował córkę, między innymi dlatego, że była dziewczynką, najmłodszą w rodzinie. Poza tym powoli zaczynał się starzeć. Carmine był po pięćdziesiątce i nie miał już siły, żeby przywoływać ją do porządku. To zadanie w coraz większym stopniu spadało na Mifaldę. A Lucia - no dobrze, Lu, skoro tak chciała - potrzebowała dyscypliny. Była w końcu córką swojej matki.

- *O res mirabilis! Manducat Dominum* - śpiewała Lu, odkładając książki i szukając jakiejś przekąski w lodówce. - *Pauper, pauper, servus et humilis*.

Jej czysty, słodki głos wyśpiewywał wysokie tony z niesamowitą lekkością. Jak łyżwiarka mknąca po lodzie, swobodna i pełna gracji...

- Lu, schodzimy do piwnicy, żeby rozwiesić pranie. Chodź, pomożesz nam! - zawołała Mifalda.

Śpiew ucichł. Lu wsadziła głowę do pralni. Mifalda zauważyła, że jej córka z trudem hamuje podniecenie. Ale Lu zawsze zwlekała z ważnymi wieściami, czekając na odpowiednią chwilę - kiedy skupi na sobie całą uwagę otoczenia.

- Nie mogę, mamó - powiedziała. - Wpadłam do domu tylko na pół godziny. - Zamilkła na chwilę, po czym odeszła, mówiąc zdecydowanie zbyt nonszalanckim tonem: - Potem muszę wrócić do szkoły i zacząć próby.

Te słowa wywabiły Mifaldę z pralni.

- Próby do czego? - zapytała.

Lu odwróciła się... och, Madonno, jakże twarz tego dziecka mogła się rozświecić, kiedy było szczęśliwe!

- Będę śpiewała solo podczas Koronacji Matki Boskiej! - oznajmiła z przejęciem.

Koronacja Matki Boskiej stanowiła ważne wydarzenie w szkole parafialnej przy kościele St. Mary's, do której chodziły dzieci Mifaldy. Co roku w maju - miesiącu maryjnym - parafia urządzała uroczystości, podczas których posąg Najświętszej Dziewicy koronowano wieńcem kwiatów. Odczytywano litanie - zwykle robiła to jakaś bardzo ważna dla parafii osoba - wysłannik biskupa udzielał błogosławieństwa, dzieci ze szkoły szły w procesji do figury, po czym przychodził czas na muzykę. W przeszłości wynajmowano zawodowych śpiewaków, ale jeżeli można było wierzyć Lu, w tym roku miało stać się inaczej.

- Panna Gaspari mówi, że nasz szkolny chór jest równie dobry jak jakkolwiek chór dziecięcy we Włoszech - paplała radośnie Lu. - Ona wie najlepiej, w końcu była tam i słyszała!

Nazwisko Gaspari wydało się Mifaldzie znajome. Wiedziała, że już je gdzieś słyszała, ale nie mogła sobie przypomnieć, przy jakiej okazji.

- Panna Gaspari mówi, że w tym roku to my, dzieci, będziemy śpiewać podczas Koronacji - ciągnęła Lu.

Nagle Mifalda przypomniała sobie, skąd zna to nazwisko. Rodzina Gasparich należała do najbardziej wpływowych włoskich rodzin w New Haven. Senior rodu, Gaetano Gaspari, założył na początku XX wieku sieć teatrzyków wodewilowych w Connecticut i Massachusetts. Sprzedał je wszystkie przed wielkim kryzysem - uratował się w samą porę, jak mawiał Carmine - więc stał się bardzo bogaty i wybudował dla swojej rodziny kompleks złożony z dwunastu rezydencji, w których mieszkał obecnie z dziećmi i wnukami. Jego synowie byli właścicielami restauracji, hoteli i kilku domów w centrum New Haven, a wszystkie córki wyszły za prawdziwe szchy i miały nieprawdopodobnie wystawne wesela, opisywane w nowojorskich kronikach towarzyskich. Ale co któraś z Gasparich miała wspólnego z córką Mifaldy?

- Panna Gaspari to nauczycielka muzyki z St. Mary's. Uczy nie tylko w podstawówce, ale też w liceum - odpowiedziała jej Lu na niewypowiedziane na głos pytanie.

- Myślałam, że uczą was zakonnice.

- Panna Gaspari jest wyjątkowa. Robi to za darmo, bo chce wzbogacić kulturalnie dzieci z włoskiej społeczności, które nie były tak uprzywilejowane jak ona - powiedziała Lu pretensjonalnym tonem, najwidoczniej mającym imitować głos nauczycielki. Lu nie naśladowała ludzi po to, żeby z nich kpić. Po prostu właśnie w ten sposób wszystko słyszała. - Tylko ja mam występ solo - dodała radośnie. - Będę śpiewała *Panis Angelicus*. Wystarczyło, żeby panna Gaspari zagrała mi to dwa razy i wszystko zapamiętałam. Mówi, że nigdy nie widziała nikogo, kto uczyłby się muzyki tak szybko jak ja. Mówi, że mam wyjątkowy słuch i...

- Dlaczego tylko ty będziesz solistką? - przerwała jej Mifalda. Czasem Lu mówiła zbyt szybko jak dla niej.

- Panna Gaspari mówi, że mam najlepszy głos w szkole i że to wspaniały instrument. I to prawda, mamo! Siostra Maria Józefina powtarza, że mój głos daje radość, a wszyscy w szkole wiedzą, że ona nienawidzi dzieci.

Lu nie próbowała się chwalić - tego Mifalda była pewna. Ale widziała wyraźnie, że całe to zainteresowanie przewróciło jej córce w głowie. A to mogło okazać się niebezpieczne. Oczywiście te dwie kobiety, które zachęcały Lu, nawet o tym nie pomyślały. Jedna była bogatą nauczycielką z wymyślnymi pomysłami, a druga - zakonnica! Nie miały pojęcia, jak bardzo trzeba mieć się na baczności, żeby walczyć z własnymi słabościami -

dzikością krwi, którą trzeba kontrolować każdego dnia - kiedy dostrzega się je w swoim dziecku. Nie wiedziały, jak ogromną odpowiedzialnością może okazać się zapewnienie bezpieczeństwa córce.

- Nie wiem, czy wypada, żebyś śpiewała i popisywała się... - zaczęła powoli Mifalda.

- Mamo, nie słyszałaś, co powiedziałam? Nikt nie śpiewa tak dobrze jak ja. Panna Gaspari mówi, że mam wyjątkowy dar. Mówi, że za kilka lat powinnam zacząć uczyć się u maestra DiTullia.

- U kogo?

- Rosa Ponsell miała u niego lekcje przez jakiś czas, wiesz, ta śpiewaczka operowa...

Mifalda słyszała o Rosie Ponsell. Każdy z włoskiej społeczności w New Haven słyszał o dziewczynie z Connecticut, która zaczynała, występując w ich mieście, a potem stała się jedną z niewielu amerykańskich śpiewaczek operowych na tyle dobrych, żeby występować w Metropolitan Opera House u boku europejskich gwiazd, takich jak Enrico Caruso. Madame Ponsell była zapewne dobrą artystką i dumą swojego stanu, ale Mifalda Leporello nie zamierzała pozwolić swojej córce na lekcje śpiewu - czy jakiegokolwiek inne lekcje - sam na sam z mężczyzną. Największą cnotą młodej dziewczyny była jej niewinność. Ten dar miała zachować dla przyszłego męża, bez niego nikt by jej nie zechciał. Mifalda wiedziała, że moda nakazuje dziewczętom beztroskie podejście do takich rzeczy jak dobra reputacja, ale miała też świadomość, jak trudne staje się życie bez niej. Poza tym Lu odziedziczyła przecież po matce „dziką krew”.

Co ważniejsze, córka Mifaldy nie będzie uczyła się śpiewu po to, żeby wyjść na scenę - ani nawet myślała o czymś takim. Jakim prawem jakaś stara panna i zakonnica wypełniają serce jej dziecka takimi nonsensami? Czy te wykształcone panie nie rozumieją, że w ten sposób mogą zrujnować życie młodej dziewczyny?

Po raz drugi tego dnia Mifalda chwyciła płaszcz i ruszyła w stronę drzwi. Zdecydowana mała postać stanęła jej na drodze.

- Co robisz? - zapytała Lu.

- Odsuń się od drzwi, Lucia.

- Mamo, jeśli to zepsujesz, nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam ci wybaczyć - oznajmiło jej najmłodsze dziecko. Nie była to dziecięca groźba. Lu powiedziała to poważnie, niemal z troską. Mifaldę ogłuszyły te słowa. Żaden z jej synów nigdy się tak do niej nie odezwał. Ale przecież jej chłopcy nie kłócili się z nią tak często jak Lu.

- Mówię poważnie, mamo - ostrzegła ją córka.

Mifalda nie wierzyła w sens bicia dzieci - ją samą bito zbyt wiele razy, kiedy była mała - ale nie mogła sobie pozwolić, żeby takie nieposłuszeństwo uszło Lu bezkarnie. Cofnęła rękę. Zerknęła na drobną, wyprostowaną figurkę córki, po czym napotkała jej stanowcze spojrzenie. To nie jej wina - pomyślała. - Ona jest taka jak ja. Kiedy po chwili pochyliła się i odsunęła dziecko od drzwi, zrobiła to delikatnie.

- Nakryj do stołu, Lu - powiedziała. - Twoi bracia i ojciec niedługo wrócą.

Wychodząc z domu, czuła jednak na sobie wzrok córki.

Mifalda nigdy nie pojawiała się w szkole, do której chodziły jej dzieci - dotąd nie wydarzyło się nic, co wymagałoby takiej interwencji. Jej synowie byli dobrymi chłopcami - może nie należeli do najzdolniejszych uczniów, ale ciężko pracowali i całkiem dobrze się sprawowali. Wydawało się dość logiczne, że pierwszy raz, kiedy Mifalda miała problemy ze szkołą St. Mary's, chodziło o Lu.

Znalazła aulę - jak nazwała tę salę dziewczyna za biurkiem przy głównym wejściu. Chór właśnie ćwiczył. Mifalda weszła po cichu i usiadła z tyłu. Dzieci śpiewały *Panis Angelicus*. Dyrygowała nimi kobieta młodsza od Mifaldy może o dziesięć lat. Była wysoka, miała jasną cerę i rudoblond włosy. Kolor ten był charakterystyczny dla mieszkańców północnych Włoch, pochodzących z Piemontu albo Wenecji. We Włoszech północ była tą bogatą, kulturalną częścią kraju, a ludzie wywodzący się z tego regionu patrzyli z wyższością na mieszkańców południa, takich jak Mifalda, uważając ich za nieokrzesanych wieśniaków.

Podczas gdy dzieci śpiewały, panna Gaspari zdawała się kogoś wypatrywać. Kazała uczniom dwukrotnie powtarzać utwór, udzielając im wskazówek, które - w ocenie Mifaldy - niewiele zmieniały. W końcu zerknęła na zegarek.

- Wygląda na to, że nasza solistka dziś do nas nie dołączy - powiedziała sztucznie radosnym głosem. - W takim razie to ja z wami zaśpiewam.

Chór zaczął od nowa i po kilku sekundach dołączyła do niego nauczycielka. Kiedy zaczęła, brzmiało to niemal jak dziecięca rymowanka. Tyle tylko, że była to boska muzyka i była naprawdę piękna. Panna Gaspari miała ładny głos - nie tak wspaniały jak Lu, ale nawet kiedy to ona zaczęła prowadzić, pieśni naprawdę z przyjemnością się słuchało. Mifalda mogła sobie wyobrazić, jak dobrze brzmiałby ten utwór, gdyby to strzelisty sopran Lu spletał się ze śpiewem chóru. Szkoda, że nie będzie miała takiej okazji.

Utwór się skończył i panna Gaspari po raz ostatni zerknęła przez ramię, po czym głośno westchnęła i zwolniła dzieci. Rozbiegły się, jakby przed chwilą wypuszczono je z więzienia. Kiedy nauczycielka zaczęła zbierać nuty, Mifalda ruszyła w jej stronę.

- Panna Gaspari? - zapytała. Nauczycielka spojrzała w jej stronę. O Madonno, jakaż ona była wysoka! Mifalda wyprostowała się tak, jak tylko mogła. Och, jaki wspaniały kostium miała na sobie ta kobieta! Granatowy, idealnie skrojony, uszyty z cudownie delikatnego materiału... Pod żakietem nosiła jedwabną bluzkę w różowo-granatowe paski, z kokardą przy kołnierzyku. Jej pończochy też były jedwabne. Mifalda była świadoma, że sama ma na sobie domową sukienkę - co prawda wykrochmaloną i wyprasowaną tego ranka, ale wciąż domową - a także fartuszek, który zapomniała zdjąć. Na dodatek pod bawełnianą pończochą widać było zabandażowane kolano.

Panna Gaspari życzliwie uśmiechnęła się do Mifaldy.

- W czym mogę pomóc? - zapytała lekko pretensjonalnym tonem, który naśladowała Lu. Setki lat konfliktów między północą a południem Włoch - konfliktów, które powinny pozostać w starym kraju - odezwały się w Mifaldzie.

- Nazywam się Leporello - powiedziała własnym pretensjonalnym głosem.

- Mama Lu! - zawołała młoda kobieta. - Czy wszystko z nią w porządku? Niepokoiłam się, bo nie przyszła na dzisiejszą próbę.

Niepokój wydawał się szczery. A i tak uważa mnie za prostą chłopkę - pomyślała Mifalda.

- Moja córka, Lucia, ma się dobrze - powiedziała oficjalnym tonem, choć miała wrażenie, że jej akcent słyhać jeszcze wyraźniej. - Została w domu, gdzie przygotowuje obiad dla braci i ojca. - A teraz rzeczywiście mówię jak niedouczona chłopka, jedna z tych kobiet, które zabierają dzieci ze szkoły, żeby pracowały w polu, pomyślała. - Wszyscy jej bracia studiują - dodała, wiedząc, że to bezsensowna uwaga. Mimo to nie mogła się

powstrzymać. - Zgadząmy się z mężem w tej sprawie. I chcemy, żeby także Lucia odebrała odpowiednie wykształcenie. Ale ma swoje obowiązki i...

- Zechce pani usiąść - nauczycielka znowu uśmiechnęła się do niej uprzejmie, tak że Mifalda miała ochotę ją spoliczkować. Ale niegrzecznie byłoby odmówić, więc usiadła na jednym z krzeseł w pierwszym rzędzie.

Panna Gaspari usiadła dwa krzesła dalej i złożyła ręce jakby do modlitwy. Zapewne szukała słów, które pozwolą jej porozumieć się z tak niewdzięcznym rozmówcą jak siedząca przed nią nieokrzesana chłopka.

- Proszę pani, wydaje mi się, że wiem, na czym polega problem - zaczęła wreszcie młoda kobieta. - Moja babcia pochodziła z Włoch i kiedy oznajmiłam jej, że chcę zostać nauczycielką, była przerażona. Nie potrzebuję pieniędzy, a jej zdaniem to jedyny powód, który usprawiedliwiałby pracę kobiety. Według niej kobieta powinna pozostać w domu ojca, który z kolei powinien utrzymywać ją do czasu, aż ten obowiązek przejmie jej mąż. Ale mnie to nie wystarczało.

Przez sekundę Mifalda miała ochotę powiedzieć: Mnie też nie! To mi nie wystarcza! Zastanawiała się, jak by to było, gdyby powiedziała tej silnej młodej kobiecie o wszystkich skrywanych tęsknotach, których nie potrafiła nawet nazwać - pragnieniu życia pełnego przygód i zainteresowania innych ludzi, życia, które nie miałoby nic wspólnego z gotowaniem i sprzątaniami... Ale po chwili spojrzała na piękną twarz panny Gaspari - a zielonooka nauczycielka była niezwykle piękna - i dostrzegła na niej współczujący uśmiech. Dotarło do niej, że bogata dziewczynka, która pracuje dla rozrywki, nigdy jej nie zrozumie.

- Czasy się zmieniają, proszę pani - mówiła dalej panna Gaspari miłym, cierpliwym, a zarazem irytującym głosem. - Kobiety mogą w dzisiejszych czasach dokonywać wyborów i...

- Lu nie może zaśpiewać podczas Koronacji Matki Boskiej, bo tego dnia jedzie z ojcem do Nowego Jorku - przerwała jej Mifalda. - Mój mąż stale tam jeździ, żeby załatwiać interesy, a tym razem zabiera Lu ze sobą. Nowy Jork to ogromne miasto, pełne rozrywek. Edukacyjnych rozrywek. Wie pani? - Mifalda wstała, rozprostowując fartuch. - Przykro mi, że nie będzie mogła dla pani śpiewać. Ale jestem pewna, że znajdzie pani kogoś na jej miejsce. W końcu to nie będzie bardzo ważne święto - powiedziała, po czym pospiesznie wyszła z auli.



# ROZDZIAŁ 8

New Haven

2008

Wujek Paulie opierał się o wynajęty samochód, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, zatopiony we wspomnieniach. Patrzył na szaro-zielony dom.

- Czy Lu pojechała do Nowego Jorku z waszym ojcem? - zapytała Carrie.

Czar prysł i Paulie odwrócił się do niej.

- A, tak - powiedział. - Rozumiesz, gdyby Lu nie pojechała, wyszłoby na to, że mama skłamała. A kłamstwo to przecież coś złego. Mama bardzo poważnie podchodziła do kwestii tego, co dobre, a co złe.

Spojrzał znowu na swój stary dom, pokręcił głową i roześmiał się.

- Problem polega na tym, że ta pierwsza wycieczka Lu okazała się dla mamy początkiem końca.

- Jak to?

- Tata miał wielką frajdę z tego, że zabrał Lu do Nowego Jorku. Strasznie jej się tam spodobało - od pierwszej chwili, kiedy zobaczyła miasto, miała pewność, że to jej miejsce na ziemi. Więc od tamtej pory, kiedy tylko tata tam jechał, zabierał ją ze sobą. A pewnego razu wziął ją na spektakl, musical napisany przez Cole'a Portera. No i Lu oszalała na jego punkcie. Przez całą drogę powrotną nuciła w pociągu piosenki z tego musicalu, wymyślając nowe słowa. Zawsze potrafiła to robić. Miała taką wyjątkową umiejętność - słyszała piosenkę dosłownie raz i już знаła melodię. Ze słowami szło jej trudniej. Zwykle musiała je mieć przed sobą. Ale cokolwiek byś zanuciła, ona potrafiłaby po chwili to powtórzyć.

Więc Lu i tata wracają do domu pociągiem, a Lu nuci melodie z musicalu, dodając do nich własne słowa i naśladując zapamiętane ze spektaklu gesty - usiłowała nawet tańczyć w przejściu między siedzeniami. Tata dochodzi do wniosku, że jest absolutnie urocza. I odtąd chodzą na przedstawienia za każdym razem, kiedy jadą do Nowego Jorku - oczywiście nie mówiąc o tym mamie.

Przez kilka lat chodzą tak do teatru w tajemnicy przed mamą. Pewnego dnia panna Gaspari, która nadal uczy Lu, proponuje, że zorganizuje jej przesłuchanie, żeby sprawdzić, czy maestro DiTullio zechce zostać jej nauczycielem. Lu nawet nie pyta mamy. Idzie prosto do taty, a on mówi, że oczywiście, czemu nie? Mama wpada w gniew, kiedy się o tym dowiaduje, ale co może zrobić? To tata jest mężczyzną w tym domu.

- DiTullio słyszy, jak Lu śpiewa, i przyjmuje ją. Lu zostaje jego uczennicą. Ale żeby trochę ułagodzić mamę, rodzice ustalają, że będą co tydzień towarzyszył siostrze podczas lekcji. Mam tam siedzieć przez całą godzinę, aż skończy, po czym odprowadzać ją do domu. W każdą sobotę rano, kiedy wszyscy moi kumple grają w piłkę na podwórku!

Wujek Paulie zamyślił się.

- Ale nawet ja wiedziałem - podjął po chwili - że naprawdę niełatwo dostać się do DiTullia, a nauka u niego to dla Lu spełnienie marzeń. Bo wiesz, dla tych ludzi z New Haven, którzy interesowali się muzyką i takimi rzeczami, DiTullio był wielką szychą. Co roku organizował recital dla swoich uczniów, a ludzie kupo-

wali na niego bilety jak na normalny koncert. Mama nie chciała, żeby Lu brała w tym udział, bo za bardzo przypominało jej to zawód aktorki, który uznawała za profesję dla dziewcząt nie do końca... no cóż, porządnym, jeśli wiesz, co mam na myśli. Ale tata twierdził, że mama robi z igły widły, więc Lu ostatecznie zaśpiewała podczas recitalu i okazała się najlepsza ze wszystkich. Zdecydowanie najlepsza.

Wujek Paulie znów przerwał, opuścił ręce, po czym znowu skrzyżował je na piersiach. Carrie wstrzymała oddech, żeby go nie rozpraszać, czekając, aż podejmie opowieść.

- W tamtych czasach uczniowie maestra DiTullia mieli ogromne wzięcie podczas wydarzeń takich jak śluby i urodziny - mówił dalej. - A po tym pierwszym recitalu wszyscy w New Haven chcieli, żeby śpiewała dla nich właśnie Lu. Więc tata pomyślał: czemu nie? Pod warunkiem że występy będą się odbywały w ciągu dnia, a nie po zmroku i Lu nigdy, przenigdy nie dostanie za nie pieniędzy. Nawet tata nie posunąłby się tak daleko. Poza tym miałem jej zawsze towarzyszyć i pozostawać w pobliżu, żeby ludzie wiedzieli, że to dziewczyna, którą rodzina się opiekuje. Tylko że wtedy miałem już naprawdę dość zajmowania się nią i pilnowania jej, kiedy śpiewała. Zacząłem wymykać się wcześniej, żeby spotykać się z kumplami. Mówiłem jej, gdzie będziemy siedzieli, żeby mogła do mnie przychodzić po występach, i wracaliśmy razem do domu. Ale już jej nie pilnowałem. - Znowu zamilkł i spojrzał w dal. - I okazało się, że mama miała rację. Powinienem być to robić.

- Jak to? Co się stało?

Wujek Paulie odsunął się od samochodu i zerknął na zegarek.

- Jesteś głodna? - zapytał.

- Skoro o to pytasz, to faktycznie, umieram z głodu.

Wujek Paulie wsiadł do samochodu po stronie pasażera i starannie zapiął pasy.

- Chodź - powiedział. - Zabiorę cię do najlepszej knajpy w mieście.

Ruszyli przed siebie i pojechali przerażającymi jednokierunkowymi uliczkami. Wreszcie dotarli do bardzo starej części miasta. Wujek Paulie pokierował Carrie w stronę małego parkingu na tyłach kompleksu sklepów i restauracji, po czym cicho pogwizdując, wyswobodził się z pasów.

- Prowadzenie auta to chyba nie jest twoja najmocniejsza strona, kochanie? - zapytał, wysiadając z samochodu.

Zaprowadził ją do maleńkiej knajpki. W witrynie widniał czerwony napis „MAURIZIO'S”. Hasło poniżej głosiło po prostu: „Najlepsza pizza na świecie”.

- I to prawda - zapewnił ją wujek Paulie, wchodząc do środka.

Usiedli przy stoliku obok muralu przedstawiającego Zatokę Neapolitańską. Malowidło z naprzeciwka prezentowało z kolei Wybrzeże Amalfitańskie. Wujek Paulie, nie konsultując tego nawet z Carrie, zamówił dużą pizzę.

- Będiesz nią zachwycona - obiecał. - Rodzina Mauriziów założyła pizzerię jako jedna z pierwszych w New Haven. Kiedyś nazywaliśmy to miejsce „placek pizza”, bo to właśnie oznacza słowo *pizza* - placek. Maurizio robi ciasto dokładnie tak, jak kiedyś robili ją jego dziadkowie... ale z biegiem lat zmienił trochę swoje przepisy. Kiedyś na ciasto kładło się tylko sos, tarty ser, oliwę z oliwek i trochę suszonego oregano. Żadnej mozzarelli, mięsa, nic takiego. Kiedy dorastałem, słyszałem, jak starsi ludzie narzekali. - Wujek Paulie zgarbił się i opuścił ramiona, i powiedział, naśladowując mocny włoski akcent: - „Ej, czemu oni kładą mozzarellę na

placku z pomidorami? Tak się nie robiło dawniej na Franklin Street!". - Roześmiał się, rozbawiony własnym dowcipem, po czym wzruszył ramionami. - Ja lubię pizzę z mozzarellą. Lu i ja zawsze należeliśmy do zwolenników postępu.

- A wracając do Lu, miałeś mi opowiedzieć...

- Jak ją zawiodłem. Wiem. - Westchnął głęboko, po czym wrócił do swojej opowieści. - To się wydarzyło, kiedy miała szesnaście lat, w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku. Wiele rzeczy się do tego czasu zmieniło. Po pierwsze, tata zmarł w czterdziestym roku. Miał atak serca. Nigdy nie chorował, przez ani jeden dzień swojego życia, ale nagle go zabrakło i mama stała się głową rodziny. Nie wyobrażasz sobie nawet, jak ogromną zmianę oznaczało to w naszym domu, bo wcześniej to tata wszystkim się zajmował. A poza tym wybuchła wojna - druga wojna światowa. To zmieniło cały świat.

## ROZDZIAŁ 9

New Haven

1943

Mifalda włożyła słomiany kapelusz i zaczęła szukać małej motyki, którą zostawiła gdzieś w korytarzu na tyłach domu. Przyzwyczała się do trzymania jej tam, odkąd sadzenie i pielnie pomidorów stało się jej obowiązkiem. Przed wojną Carmine zatrudniłby jakiegoś chłopca z sąsiedztwa, żeby wykonywał za nią cięższe prace, ale teraz wszyscy chłopcy byli w wojsku - także synowie Mifaldy. Najstarszy z nich, Carmine junior, służył w straży przybrzeżnej, a Nick stacjonował w Waszyngtonie, więc nie martwiła się o nich szczególnie, choć Nick mógł w każdej chwili zostać wysłany za granicę. Ale Frank pracował w bazie transportowej gdzieś w Anglii, co przerażało ją ze względu na bombardowania. A Eddie - jej błyskotliwy Eddie, który przez całe studia w akademii medycznej dostawał stypendia i został lekarzem - był w siłach powietrznych w Kalifornii i miał zostać wysłany na jakąś wyspę na Pacyfiku jako chirurg. Nikt nie wiedział, kiedy to nastąpi i gdzie dokładnie go przydzielą. Już sam ten fakt nie pozwalał Mifaldzie zasnąć, ale kiedy już myślała, że nie może być gorzej, dostała list od Eddiego.

Mifalda porzuciła poszukiwania motyki i zdjęła kapelusz. Pomidory poczekają. Wróciła do środka, nałapała sobie szklanek lemoniady z lodówki i usiadła przy stole.

List Eddiego był kolejnym dowodem na panujące wokół szaleństwo. Jej syn zawiadamiał, że poznał dziewczyną - nie Włoszkę, ale, dzięki Bogu, katoliczkę - i że postanowił się z nią ożenić. Nie było czasu na wesele ani wzajemne poznawanie rodzin. Miał iść na wojnę i chciał wziąć ślub. I zrobił to. Ot, tak po prostu. Mifalda miała nagle synową, której nigdy nawet nie widziała. Wypiła łyk chłodnego, kwaśnego napoju i pokręciła głową. To były szalone czasy - szalone i straszne.

Jakby tych nieszczęść było mało, wciąż nie zdołała poradzić sobie z szokiem, jaki przyniósł atak serca męża, niech spoczywa w pokoju - choć zawsze przeczuwała, że to on, dużo starszy od niej, odejdzie pierwszy. Teraz musiała znaleźć kogoś, kto prowadziłby za nią interesy. Jako kobieta nie mogła robić tego sama, a Paulie,

jedyny chłopiec, który został w domu, miał zaledwie siedemnaście lat i planował wstąpić do wojska, kiedy tylko pojawi się taka możliwość. W końcu poprosiła dawnego księgowego Carminego, żeby przejął nadzór nad sklepami, choć wiedziała, że to kompletny idiota. Być może właśnie z powodu tych problemów nie poświęcała w tamtym okresie dostatecznie dużo uwagi Lu.

Mifalda uważała, że Lu wymknęła się spod kontroli. Jej córka śpiewała i występowała coraz częściej. Na początku ludzie prosili ją o krótką przemowę albo skecz na przyjęciu albo chrzcie. Lu robiła to chętnie i wszyscy twierdzili, że jest urodzoną aktorką. Usłyszało o niej kierownictwo lokalnego teatru, wystawiającego przedstawienia dla dzieci w sobotnie poranki. I tak oto Mifalda dowiedziała się nagle, że jej córka dostała główną rolę w dziecięcym przedstawieniu *Kot w butach*. Następnie okazało się, że Lu urozmaica swoje występy, robiąc gwiazdy i efektownie zeskakując ze sceny po finałowej piosence. Wszyscy o tym mówili - i oczywiście się nią zachwycali. Lu dostała ofertę od innej lokalnej grupy teatralnej - wystawiającej poważne spektakle - ale Mifalda dowiedziała się o tym wystarczająco wcześnie, żeby temu zapobiec.

Wtedy ludzie z United Service Organizations, organizującej występy rozrywkowe dla żołnierzy, poprosili Lu, żeby dla nich śpiewała. Armia przekształciła Uniwersytet Yale w szkołę oficerską - Mifalda nie miała pewności, jak do tego doszło - ale nagle w mieście zaroilo się od młodych kadetów, którzy mieli wkrótce wyruszyć na wojnę. Wszyscy chcieli podtrzymać ich na duchu. Dostarczanie tym młodzieńcom rozrywki stało się patriotycznym obowiązkiem. To przynajmniej powtarzała Lu. Według Mifaldy młodzi mężczyźni stanowili ogromny problem. Nie chciała, żeby jej córka paradowała przed nimi - czy robiła na ich oczach gwiazdy - niezależnie od tego, jak bardzo mogło się to wydać niepatriotyczne. Ona i Lu często się o to kłóciły i zwykle przedstawiały się do siebie odzywać, a Mifalda musiała zwracać się do Pauliego: „Poproś swoją siostrę, żeby podała tarty ser”.

Wreszcie, w akcie desperacji, wysłała Lu do Kalifornii, żeby jej córka odwiedziła Eddiego i jego nową żonę. Miała nadzieję, że może podczas jej nieobecności ludzie znajdą sobie kogoś nowego, kto by ich zabawiał, śpiewał i wyczyniał brewerie na scenie. A może sama Lu o tym zapomni? Ale ludzie nie znaleźli nikogo innego, a Lu nie zapomniała. Kiedy tylko wróciła do domu, otrzymała zaproszenie, którego nawet Mifalda nie mogła storpedować. Nie wiązało się z żadnym honorarium, a jej córka miała śpiewać na rodzinnym weselu, co robiła już setki razy. I oczywiście Paulie miał jej jak zwykle pilnować.

Mifalda opróżniła szklankę i podeszła do zlewu, żeby ją wypłukać. Później, po wszystkim, co nastąpiło - po tym, jak dowiedziała się, że Paulie nie pilnował Lu, a Lu nie pilnowała samej siebie - zastanawiała się, czy jej córka zrobiłaby to, co zrobiła, gdyby Carmine wciąż żył. Lu kochała matkę - Mifalda wiedziała o tym, mimo wszystkich kłótni - ale dziewczyna uwielbiała przede wszystkim ojca. Za nic w świecie by go nie skrzywdziła.

Jednak te pytania miały pojawić się dopiero później. W tamtej chwili Mifalda zerknęła na zegar kuchenny i pomyślała, że Lu powinna właśnie zacząć swój popis na weselu. I chociaż nigdy nie widziała, jak jej córka śpiewa podczas publicznych występów, wyobraziła ją sobie wyprostowaną, z błyskiem w oku, jak wychodzi przed tłum zgromadzonych w sali gości.

# ROZDZIAŁ 10

New Haven

1943

Lu wyszła na niewielkie podwyższenie, które pełniło funkcję sceny w restauracji Villa Veneto, i spojrzała na zgromadzonego w sali tłum. Przed wojną pomyślałaby, że to niedużo ludzi jak na wesele. Ale w obecnej sytuacji, w czasach, kiedy trudno było znaleźć rodzinę, która nie wysłała na front przynajmniej jednego syna, a żywność była racjonowana - wystawne przyjęcia należały do rzadkości. W 1943 roku każda większa uroczystość robiła ogromne wrażenie. I mimo że na stołach nie było masła, a większość gości przyjechała do restauracji tramwajem, żeby nie marnować cennej benzyny - grał specjalnie wynajęty zespół, mający nawet pianistę. I była też Lu. O występ poprosiła ją panna młoda - jej ukochana panna Gaspari. Przejęta Lu czuła się zaszczycona. Ale tylko do momentu, kiedy przedstawiono jej listę utworów wybranych przez pannę Gaspari.

Westchnęła i rozejrzała się po pomieszczeniu pełnym przyjaciół i znajomych jej nauczycielki. Za chwilę miała zacząć ich zabawiać, a wiedziała, że wcale im się to nie spodoba. Nawet maestro DiTullio, który przecież uwielbiał pannę Gaspari - teraz była panią Benedetto, chociaż on oczywiście był z nią po imieniu, więc dalej mówił do niej po prostu Adele - nie mógł uwierzyć, że dokonała takiego wyboru.

- Chce, żebyś śpiewała muzykę kościelną na przyjęciu weselnym? - zapytał.

Przygnębiona Lu kiwnęła głową.

- Nauczyła mnie *Panis Angelicus*, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Mówi, że ten utwór ma dla nas szczególne znaczenie.

- Ale wszystkich innych uśpi. Szczególnie o drugiej po południu, jeśli będą pili od jedenastej - kręcił z niedowierzaniem głową. - Adele to dobra kobieta, jedna z najlepszych, jakie znam. Ale przecenia ludzi. Pamiętaj: jeśli uda ci się zachęcić publiczność, może jakoś przejdzie reszta tych utworów - dodał, przewracając oczami. - Chociaż nie mam pojęcia, jak masz wprowadzić ich w dobry nastrój, śpiewając *Panis Angelicus*... - Zamilkł na chwilę, po czym powiedział: - No cóż, nieważne. Czasem bywa tak, że publiczność cię po prostu nie chce. To zdarza się nawet najlepszym.

Ale nie mnie! - pomyślała Lu, stojąc przed mikrofonem na środku sceny w restauracji Villa Veneto. Publiczność zawsze ją kochała, bo Lu kochała publiczność. Ludzie czuli, że chce ich uszczęśliwić. Próbowała kiedyś wytłumaczyć to Pauliemu:

- Jeśli dzięki mnie zapomną na chwilę o synu, który poszedł na wojnę, albo o strasznych rzeczach, które czytali w gazetach, to tak, jakbym była Bogiem. - Zachichotała, bo zabrzmiała w tym niemal pycha. - To nawet lepsze niż bycie Bogiem, przecież Bóg sprawia, że cierpią - dodała żartobliwie. Ale po części traktowała te słowa poważnie.

A teraz miała zacząć śpiewać. I chociaż publiczność nie będzie z tego powodu cierpieć, jej śpiew nie sprawi, że ci ludzie zapomną o synach, którzy walczą na wojnie, ani o strasznych rzeczach z gazet. A to z kolei spowoduje, że Lu będzie żałowała. Zawsze starała się tego uniknąć. Mama żałowała wielu rzeczy, które wyda-

rzyły się w jej życiu - Lu zdawała sobie z tego sprawę - ale ona po prostu to zaakceptowała, a Lu nie zauważyła, żeby przyniosło jej to jakąkolwiek korzyść.

Lu raz jeszcze spojrzała na tłum gości. Najwyraźniej mieli ochotę się bawić i oczywistym wyborem powinien być jakiś jazzowy kawałek, jak *Don't Sit Under the Apple Tree*. Ale może jednak znajdzie sposób, żeby ich rozruszać. W końcu to wesele, a ludzie na weselach robią się sentymentalni. I, jak przewidział maestro, wszyscy pili co najmniej od południa. Więc gdyby tylko udało jej się wprowadzić ich w nieco płaczliwy nastrój... Odwróciła się, żeby spojrzeć na pannę Gaspari - teraz już panią Benedetto - siedzącą na honorowym miejscu. Wpatrywała się w Lu, szeroko się uśmiechając, i czekając, aż salę wypełnią pierwsze dźwięki *Panis Angelicus*. Lu wiedziała, co musi zrobić. Pochyliła się nad mikrofonem i powiedziała: „Panie i panowie, w tym szczęśliwym dniu, moja nauczycielka - teraz już pani Benedetto - poprosiła mnie, żebym zaśpiewała pewną szczególną pieśń, której mnie kiedyś nauczyła. Poproszę ją teraz, żeby tu podeszła i zaśpiewamy ją dla państwa razem”. Lu uznała, że jeżeli słuchanie panny młodej, śpiewającej na własnym weselu, nie zmiękczy tego towarzystwa, to już nic nie pomoże.

Przekonanie pani Benedetto, żeby weszła na scenę i zaśpiewała razem z nią, okazało się całkiem proste. W ciągu dosłownie chwili kobieta, która była dla Lu kimś zdecydowanie ważniejszym niż zwykłą nauczycielką, która wierzyła w nią bardziej niż ktokolwiek inny, nawet tata - znalazła się u jej boku. I kiedy czekały, aż rozbrzmi muzyka, Lu zdała sobie sprawę, że nie myśli już o rozruszaniu gości. Dotarło do niej, że bezpowrotnie utraci panią Benedetto, która właśnie wyszła za mąż. A mężatki przecież nie pracują w szkole. Po zakończeniu dzisiejszej uroczystości Lu na zawsze przestanie być jej najlepszą uczennicą.

Pianista zaczął grać pierwsze akordy *Panis Angelicus*. Lu i jej nauczycielka odwróciły się ku sobie, a Lu dostrzegła w wielkich zielonych oczach pani Benedetto, że ona także wie, co traci. Uśmiechnęły się do siebie - gdyby tego nie zrobiły, z pewnością by się rozplakały. Po czym zaczęły śpiewać. Śpiewały utwór, który jedna z nich wybrała, ucząc drugą dawno temu, śpiewały utwór ich kościoła i dzieciństwa. Były dwiema Włoszkami - różnica wieku nie miała tu znaczenia - które śpiewały wspólnie, bo tak mieli w zwyczaju robić ich rodacy. Włosi właśnie w ten sposób śmiali się, płakali i modlili. Śpiewali, żeby zapomnieć, że kończy się coś cennego, i po to, żeby pamiętać, jakie znaczenie miało to dla nich dawniej. Później Lu - która nigdy nie potrafiła zapomnieć o swojej publiczności - odwróciła się do tłumy gości. Melodia *Panis Angelicus* wibrowała, łącząc się z łacińskim tekstem utworu, a głos Lu unosił się coraz wyżej, w miarę jak śpiewała stare słowa. Lu całą sobą starała się nakłonić siedzących przed nią ludzi, żeby poddali się pięknu tej muzyki i tej chwili. Chodźcie ze mną - nakazywała, całą siłą, którą potrafiła z siebie wykrzesać. - Chodźcie ze mną w górę i zapomnijcie o wszystkim, co was zasmuca. Chodźcie i przypomnijcie sobie zapach róż, blask gwiazd na ciemnym niebie i pierwsze tchnienie wiosny. Chodźcie i przypomnijcie sobie wszystko, co was uszczęśliwia. Jej głos wznosił się powoli, a głos nauczycielki utrzymywał ją przywiązaną do ziemi, czekając, aż będzie gotowa wrócić na dół.

Kiedy duet skończył śpiewać, w całym pomieszczeniu nie było nikogo, kto nie miałby łez w oczach. A kiedy pani Benedetto wróciła na swoje miejsce, przy akompaniamencie braw i powszechnej radości, publiczność została już wprowadzona w odpowiedni nastrój, żeby wysłuchać pozostałych utworów z programu Lu.

Czterdzieści pięć minut później, kiedy Lu zakończyła występ i została nagrodzona brawami, zesza ze sceny i zaczęła szukać wyjścia do kuchni. Za kuchnią znajdowała się niewielka spiżarnia, gdzie muzycy odpo-

czywali pomiędzy numerami. To właśnie tam planowała spędzić resztę popołudnia. Pani Benedetto chciała, żeby Lu usiadła przy jej stole, poznała bliskie jej osoby i nie uciekała od razu jak służba. Lu odmówiła.

Tak naprawdę poza sceną dziewczyna była dość nieśmiała. Ale to nie tylko nieśmiałość sprawiła, że chciała jak najszybciej uciec z głównej sali restauracji. Nie wiedziała, dlaczego nalega na samotność przed i po występie, ale czuła, że gdyby musiała poznawać ludzi, dla których wcześniej śpiewała, i rozmawiać z nimi twarzą w twarz - jej magia straciłaby swoją siłę. Zarówno dla niej, jak i dla nich. A magia była najważniejsza. Dlatego Lu chciała szybko uciec z sali, zanim pani Benedetto wyłowi ją wzrokiem z tłumu.

- Chodź ze mną - usłyszała jakiś głos z boku. Odwróciła się i zobaczyła młodego mężczyznę, starającego się dotrzymać jej kroku. - Zabiorę cię do kuchni. Założę się, że jeszcze nic nie jadłaś.

Przyjrzała mu się uważniej. Był szczupły, ale nie chudy - umięśnione ramiona okrywała dobrze skrojona marynarka. Miał oliwkową cerę i gęste, ciemne włosy, wijące się wokół szczupłej twarzy. Jego nos był dość duży, ale nie na tyle, żeby go szpecił, usta pełne, a w oczach czał się lekki wyraz cynizmu. Uśmiechał się do niej.

- Nie mogę jeść przed występem - przyznała. Było w tym mężczyźnie coś, co pozwalało Lu czuć się swobodnie w jego towarzystwie, mimo że widziała go pierwszy raz w życiu.

- Wielcy nigdy nie mogą - powiedział ze zrozumieniem. - Musisz być strasznie głodna.

Nagle się zawstydziła.

- Przestali już... podawać jedzenie... - wyjąkała, a on uśmiechnął się jeszcze szerzej. Był młodszy, niż jej się z początku wydawało.

- Tak, ale mam tu chody - uspokoił ją. - To miejsce należy do mojego taty. - Wyciągnął dłoń. - Twoja nauczycielka to moja ciotka Adele. Jestem Ricky Gaspari.

Gałąź klanu Gasparich, do której należał Ricky, była powszechnie znana w New Haven. Do jego ojca Vincenta Gaspariego należały trzy popularne restauracje, w tym najmodniejsza - Villa Veneto. Znajdowała się na skarpie powyżej wybrzeża West Haven, a jeśli jadło się obiad na tylnym tarasie, woda była na wyciągnięcie ręki i miało się wrażenie, jakby siedziało się na plaży. Poza spektakularnym widokiem i doskonałym jedzeniem sukces restauracji wynikał z faktu, że ojciec Ricky'ego wybudował ją przy linii tramwajowej biegnącej przez centrum New Haven. Do Villi Veneto można było dotrzeć z równą łatwością, co do Savin Rock, pobliskiego wesołego miasteczka.

Sam Vincent także stanowił jedną z atrakcji restauracji - witał klientów w drzwiach, pamiętał ich imiona, flirtował z kobietami i traktował wszystkich jak swoich przyjaciół. Oczywiście to był wyłącznie spektakl. Każdy z włoskiej społeczności New Haven miał świadomość, że Vincent Gaspari jest tak naprawdę wyrachowanym, niezwykle ambitnym człowiekiem, ale przedstawienie, które urządził, okazywało się na tyle dobre, że nikogo nie obchodziło, do jakiego stopnia jest szczere.

Matka Ricky'ego nie cieszyła się zbyt dużą popularnością, choć powszechnie zgadzano się, że to uczciwa, pobożna kobieta. Przekazywała datki Kościołowi - zawsze była gotowa pomóc, kiedy zakonnice potrzebowały nowego grzejnika na wodę albo dachu. Ale mówiono, że w Guisipinnie Gaspari jest jakiś chłód. We Włoszech jej rodzina miała bardzo wysoką pozycję - pochodziła oczywiście z północy - i nigdy nie pozwalała o tym zapomnieć.

Dwaj starsi bracia Ricky'ego zupełnie się od niej różnili. Joe i Tommy Gaspari byli bliźniakami. Dla pierwszego pokolenia amerykańskiej młodzieży włoskiego pochodzenia z New Haven bliźniacy Gaspari stali się bohaterami. W liceum zyskali sobie sławę jako piłkarze. Po ukończeniu szkoły obaj poszli na studia do Yale, gdzie umocnili swoją reputację sportowców w drużynie uniwersyteckiej. Fakt, że byli studentami uniwersytetu należącego do prestiżowej Ligi Bluszczowej, budził niekwestionowany szacunek rówieśników Lu.

Nie było tajemnicą, że Yale przyjmował tylko ograniczoną liczbę młodych ludzi o zbyt wielu samogłoskach w nazwiskach. Akceptowano studentów o „obcym” - niejankeskim - pochodzeniu i garstka wywodzących się z Włoch rodzin z New Haven szczyła się absolwentami Yale w swoich szeregach. Ale większość spośród tych pracowitych chłopców mieszkała w domu i nie uczestniczyła w życiu kampusu. Synowie dobrych amerykańskich rodzin nie bratali się z synami imigrantów, a od synów imigrantów oczekiwano, że będą to rozumieci. Ale nie bliźniacy Gaspari. Oni nie tylko dysponowali apartamentem w Saybrook College w kampusie Yale, ale też należeli do jednej z najlepszych korporacji uniwersyteckich. Tommy słynął z tego, że miał dziewczynę pochodzącą z Nowej Anglii, której genealogia sięgała czasów podpisania Deklaracji Niepodległości. Bliźniakom pomagał też niewątpliwie fakt, że rodzina Gasparich była bogata, a ich klan żył w Ameryce od pokoleń. Członkowie włoskiej społeczności New Haven - nawet ci, którzy uznawali Gasparich za snobów - byli z nich dumni. Kiedy dzień po ataku na Pearl Harbor bliźniacy wstąpili do wojska - Joe do marynarki, a Tommy w szeregi spadochroniarzy - duma rozpierała wszystkich.

Ricky zaprowadził Lu do restauracyjnej kuchni, gdzie posadził ją przy dużym drewnianym stole i podał jej lazanię, pachnącą równie dobrze jak ta, którą robiła Mifalda.

- Na pewno słyszałaś o moich braciach - oznajmił pełnym uwielbienia tonem młodszego brata, który Lu znała z własnej rodziny. - Obaj są strasznymi palantami - dodał szybko.

Skinęła głową.

- Gdyby Tommy i Joe wyglądali tak jak ja, nie zaszliby daleko - ciągnął Ricky. - Mają wygląd Gasparich, jasną skórę, rude włosy i zielone oczy. A ja? Nikt nie wie, skąd się wziąłem.

Miał rację. W żaden sposób nie przypominał swoich bosko przystojnych braci, których zdjęcia Lu widziała w „New Haven Register”.

- W tej rodzinie jestem czarną owcą - dodał.

Zamierzała zapewnić go, że jest bardzo przystojny, kiedy zdała sobie sprawę, że w tej części kuchni nie ma nikogo poza nimi. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek została sama na sam z chłopcem, który nie należał do rodziny. Nowość tej sytuacji sprawiła, że poczuła się nieswojo i zaczęła się zastanawiać, czy ona i Paulie dobrze zrobili, ignorując nakazy mamy. Wtedy Ricky sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów. Zobaczyła, jak długie i silne ma palce, zauważyła włosy na jego ręce w miejscu, w którym kończył się rękaw jego marynarki - i przestała myśleć o mamie.

Przyglądała się, jak Ricky wprawnym ruchem zapala papierosa, po czym wypuszcza dym w taki sposób, żeby jej nie przeszkadzać. Kiedy bracia Lu szli na szybkiego papierosa za rogiem, zawsze wydawało jej się to co najmniej prostackie, ale Ricky robił to inaczej, w pewnym sensie elegancko... i z klasą... i... nagle straciła apetyt. Odsunęła talerz z lazanią. Ricky zdawał się czytać w jej myślach.

- Ile masz lat? - zapytał głosem, który stał się znieczeka ochryply. Założyła, że to przez papierosy.



- Szesnaście. A ty? - zdołała powiedzieć.

- Siedemnaście.

- Wyglądasz na starszego.

Przyglądał jej się przez chwilę, która dłużyła się w nieskończoność, po czym zgasił papierosa, wstał i podał jej dłoń.

- Chodźmy stąd - zaproponował.

Chwyciła jego dłoń. Była ciepła i silna. Miał długie palce. Nie zapytała, dokąd idą. Otworzył tylne drzwi kuchni i ruszyła za nim. Znowu poczuła się nieswojo - tak jak w chwilach, kiedy za kulisami drżała z podekscytowania i czekała niecierpliwie, aż wyjdzie na scenę i zaśpiewa.

Przed głównym wejściem do restauracji Villa Veneto rozciągał się trawnik, na którym ustawiono krzesła, ławki i kilka huštawek. Ale ku zdziwieniu Lu Ricky skierował się w przeciwną stronę. Ciepła, mocna dłoń poprowadziła ją na parking znajdujący się obok restauracji. Podeszli do motocykla.

- To mój - powiedział z dumą. - Chcesz się przejechać?

Lu nigdy nie jeździła motorem, ale wiedziała, co musiałyby zrobić, gdyby skorzystała z jego oferty. Widziała wcześniej dziewczynę z sąsiedztwa, która jeździła tak ze swoim chłopakiem, obejmując go w pasie, z nogami przy jego kolanach, przyciśnięta do pleców mężczyzny. Za każdym razem, kiedy mijali Lu na ulicy, śmiali się i wydawali się tak świetnie bawić, że zawsze im zazdrościła. Teraz myślała tylko o słowach mamy, która zawsze powtarzała, że ta dziewczyna nie ma wstydu.

Ricky przerzucił nogę przez maszynę jak John Wayne dosiadający konia po czym usadowił się wygodnie.

- Wskakuj - powiedział. - Naprawdę łatwo złapać równowagę. Musisz po prostu się mnie trzymać i...

Zamilkł w środku zdania. Zrozumiał, że oboje pomyśleli o tym, gdzie będzie trzymała ręce... i nogi. Zaczerwienił się.

- Słuchaj, jeśli nie masz ochoty...

- Nie - przerwała mu szybko. - Chcę się przejechać.

I nie kłamała. Podciągnęła spódnicę powyżej kolan i usiadła za nim.

Wystarczyło kilka okrążeń wokół parkingu, żeby nauczyła się utrzymywać równowagę na motorze. Siedziała wyprostowana, dbając o to, by między nią a Rickym był stosowny dystans. Zupełnie inaczej niż dziewczyna z sąsiedztwa. Ale i tak musiała się go trzymać. Musiała też poruszać się razem z nim w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyła - nawet podczas tańca. Mama powiedziałaby, że to hańba. Ale mamy przy niej nie było. Ruszyli z parkingu z rykiem silnika i skierowali się na południe drogą wzdłuż wybrzeża.

- Dokąd jedziemy?! - zawołała Lu, starając się przekrzyczeć wiatr.

- Savin Rock! - odkrzyknął.

Savin Rock uchodziło za miejsce, do którego chłopcy zabierali swoje ukochane.

Wesołe miasteczko znajdowało się niedaleko od Villi Veneto. Lu i Ricky mogli się tam po prostu przejść. Ale siedząc za nim na motorze, kiedy tak pędzili drogą przed siebie, czuła ciepło jego pleców i widziała, jak wiatr mierzwi loki na jego szyi. Loki, których mogłaby dotknąć. Wjechali w ostry zakręt i objęła go trochę mocniej.

Kiedy wreszcie zatrzymali się w sercu Savin Rock, Ricky wydawał się cichszy, jakby po drodze stało się coś, czego się nie spodziewał. Zaparkował motor, zapalił kolejnego papierosa. Wypalił go w milczeniu. Ona w tym czasie wdychała świeże, słone powietrze i czekała, aż Ricky postanowi, co chce robić dalej. Wreszcie, kiedy już miała go zapytać, czy zmienił zdanie i chce wracać do Villi Veneto, wziął ją za rękę i ruszyli przed siebie ulicą.

W 1943 roku wesołe miasteczko Savin Rock najlepsze czasy miało już dawno za sobą. Czterdzieści lat wcześniej było wspaniałym, baśniowym światem kolejek górskich, zjeżdżalni, samochodzików, wykwintnych restauracji, stoisk z tanim jedzeniem, wodewilowych spektakli, pokazów sztucznych ogni, deptaków i karuzel, w tym wspaniałej karuzeli znanej jako Latające Konie przy Beach Street. Niestety, z biegiem lat pożary zniszczyły wiele atrakcji, zniknęło też kilka eleganckich restauracji wybudowanych przy pomostach, które zmiotły huragany. Podobnie jak wiele innych miejsc oferujących rozrywkę, po wielkim kryzysie stary lunapark nie odzyskał dawnego blasku. Ale dzięki pobliskiej linii tramwajowej pozostał popularny wśród młodych ludzi - szczególnie w czasach, kiedy reglamentacja benzyny uczyniła z komunikacji publicznej podstawową formę transportu. Grupy młodzieży - w tym wielu chłopców w mundurach - przechadzały się pośród stoisk z watą cukrową, strzelnic i sklepików z pocztówkami, śmiejąc się, żartując i jedząc. Przychodziły też pary, niektóre obejmując się, inne trzymając się za ręce. Czasem chłopak był poważny, a dziewczyna wyglądała, jakby zamierzała się rozplakać. Jeśli on miał na sobie mundur, łatwo było się domyślić, dlaczego.

Ricky lawirował między ludźmi, prowadząc za sobą Lu. Nie należała ona do osób, które posłusznie za kimś szły, nie wiedząc nawet dokąd - ale tym razem, z tym chłopcem było inaczej.

Weszli na karuzelę. Usiadła na pięknym karmelowym koniu ozdobionym różowymi kwiatami. Koń Ricky'ego był biały, miał szerokie nozdrza i pozlacane wodze. Ricky wygrał dla nich darmową przejażdżkę - zdołał złapać mosiężne kółko przy sąsiednim stoisku. Bardzo poważnie podszedł do tego zadania, ustawiając się ostrożnie, tak żeby móc poderwać jeden z pierścieni - większość z nich była ze stali - przy każdym podejściu. Lu nie mogła pohamować dumy, że mu towarzyszy. Jego powaga bardzo jej się podobała.

Nigdy wcześniej nie była w Savin Rock. Mama nie należała do wielbicieli wesołych miasteczek, a tata zwykle pracował zbyt ciężko, żeby móc zapewnić dzieciom taką rozrywkę. Lu wiedziała, że powinna mieć wyrzuty sumienia, iż wymyka się tak ukradkiem z chłopakiem, którego nawet nie zna. Ale nie czuła się winna. Ani trochę.

Ricky zabrał ją na hot doga do stoiska Jimmie's, bo - jak twierdził - nie można odwiedzić Savin Rock, nie zatrzymując się na hot doga u Jimmy'ego. Kupił jej też watę cukrową i loda, którego zjedli wspólnie, śmiejąc się, podczas gdy ten się topił. Lu nie przeszkadzało nawet, że poplamiła sobie spódnice. Ale mimo że mieli jeszcze do wyboru wiele innych karuzel i przekąsek oraz słodyczy, Ricky wziął ją znowu za rękę i poszli na plażę. Rozłożył marynarkę na piasku, żeby mogli usiąść. Patrzyli w morze. Wcale nie była zaskoczona, kiedy ją pocałował, chociaż nigdy wcześniej tego nie doświadczyła. W pierwszej chwili nie wiedziała, jak powinna się zachować, ale kiedy Ricky delikatnie rozchylił miękkie usta, zrozumiała, że powinna zrobić to samo. Pachniał tytoniem i lodami. To połączenie przyprawiło ją o zawrót głowy. Wtuliła się w niego. Chciała, żeby nigdy nie przestawał. Ale po chwili Ricky ją odepchnął.

- Nie - powiedział szorstko. - Nie jesteś dziewczyną, które całuję w taki sposób.

- Dlaczego nie? - zapytała. Ale spojrzał na nią tak, że się odwróciła.

- Wiesz, dlaczego - powiedział, jakby był na nią zły.

Miała ochotę się rozplakać, ale wtedy wyciągnął dłoń, delikatnie pogłaskał ją po policzku i wszystko znów było w porządku. Odwrócili się znowu w stronę morza. Na twarzy miała piasek z jego palców.

- Wiesz, że zostaniesz gwiazdą? - zapytał po kilku minutach, tak jakby rozmawiali o tym od dawna i w końcu doszli wspólnie do tego wniosku. Spojrzał na nią, mrużąc oczy, ponieważ świeciło ostre słońce. - Nie chodzi tylko o to, że masz piękny głos. To, co zrobiłaś dziś z cocią Adele, potrafiłaby tylko prawdziwa gwiazda. Właśnie tak by to rozegrała. To nie jest coś, czego można się nauczyć.

Przez chwilę zamierzała powiedzieć, że to nic wielkiego. Jej bracia powtarzali bez przerwy, że nie ma nic gorszego niż zarozumiała dziewczyna, i że kiedy słyszy od chłopca komplement, powinna go zignorować i znaleźć sposób, żeby go odwzajemnić. Ale instynkt podpowiadał Lu, że Ricky czułby się zawiedziony, gdyby bawiła się z nim w takie gierki. A rozmowa o jej przyszłości aktorskiej wydawała się zbyt ważna, żeby mogła kłamać w tej sprawie.

- Chcę zostać gwiazdą - oznajmiła poważnie. - Na Broadwayu. I myślę, że należę do tych osób, które osiągają to, czego chcą.

- Ja też - odrzekł.

- Wiem. - Nie zapytał jej, skąd wie. Nie musiał. Rozumieli się bez słów.

- Nie pójdę do Yale jak Tommy i Joe - ciągnął Ricky. - Za miesiąc skończę osiemnaście lat. Wtedy zaciągnę się do wojska, żeby móc odegrać swoją rolę w tej wojnie i mieć to już za sobą. Potem pojedę do Kalifornii, pracować w branży filmowej.

- Chcesz zostać aktorem? - Po raz pierwszy pomyślała, że Ricky popełnia jakiś błąd. Instynkt aktorski podpowiadał jej, że on się do tego nie nadaje. Uśmiechnął się tylko.

- Nie musisz udawać. Wiem, że byłbym beznadziejnym aktorem. Pojadę tam, żeby zostać operatorem. Nasza rodzina ma nadal trochę znajomości w show-biznesie, a jeden z przyjaciół mojego dziadka obiecał, że załatwi mi pracę.

Spojrzała na niego, na jego ostry profil rysujący się na tle nieba i morza.

- Nie wydaje mi się, żeby wystarczyła ci praca dla kogoś innego - stwierdziła z namysłem. - Potrzebna ci samodzielność, musisz zostać kimś ważnym.

Roześmiał się i zaraz potem ją objął.

- Znajdę drogę na szczyt, będę szedł krok po kroku do celu. Praca operatora to dopiero początek. Pewnego dnia zostanę producentem i założę własne studio. - Objął ją mocniej. - A ty przyjedziesz do Kalifornii i wystąpisz w jednym z moich filmów.

- Jeżeli zdołam wyrwać się z Broadwayu - powiedziała. Nawet w marzeniach nie miała zamiaru być traktowana jak czyjaś własność.

- Och, zobaczysz... zadbam o to, żeby ci się opłacało dla mnie pracować - zapewnił śmiało. Znowu odwrócił się w stronę oceanu. - Moja mama na pewno będzie załamywała ręce, że jej syn znalazł się w show-biznesie. Tommy i Joe zostaną lekarzami. Według niej to odpowiednio szlachetne zajęcie. Droga zawodowa godna Gasparich.

- Myślałam, że chłopcy mogą robić, co tylko chcą. To dziewczęta obowiązują reguły.

- Wiesz, my, chłopcy z rodziny Gasparich, jesteśmy uprzywilejowani. Musimy spłacać swój dług społeczeństwu. Kiedy miałem siedem lat - po Pierwszej Komunii - pomyślałem, że chcę zostać księdzem. Mama była zachwycona tym pomysłem.

- Czemu zmieniłeś zdanie?

Odwrócił się do niej i uśmiechnął, ale jednocześnie się zaczerwienił.

- Odkryłem dziewczęta...

Znowu zakręciło jej się w głowie, tak jak wtedy, kiedy ją pocałował.

- Och... - powiedziała, żałując, że nie wpadła na nieco bardziej wyszukaną odpowiedź. - A ojciec? Jak on sobie wyobraża twoją przyszłość?

- Tata ma inne ambicje. Chce, żebyśmy wszyscy dobrze się ożenili - najchętniej z miłymi jankeskimi dziewczętami ze starych amerykańskich rodzin, takimi, które nie umieją gotować makaronu. I żebyśmy dali początek dynastii Gasparich studiujących w Yale. - Pokręcił głową. - Tego też nie chcę. Nie chcę niczego, co by mnie krępowało.

- Ja też nie - przyznała Lu. A słysząc samą siebie, zrozumiała, że naprawdę poważnie traktuje tę deklarację. - Mama wszystko dla nas poświęca, nie mogę na to patrzeć. Nie chcę poświęcać swojego życia dla kogoś.

Wtedy pocałował ją po raz kolejny. Później w ciszy wrócili do motoru. Tym razem, kiedy jechali z powrotem, obejmowała go mocno.

Kiedy weszli znowu do holu Villi Veneto, wszyscy ściskali ubraną do podróży panią Benedetto i płakali. Wesele powoli się kończyło. Lu ruszyła w stronę tłumu łkających przyjaciół i krewnych, ale Ricky ją zatrzymał.

- Chcę cię znowu zobaczyć - szepnął. - Mogę do ciebie zadzwonić?

Ale Lu nie potrafiła sobie nawet wyobrazić reakcji mamy, gdyby dowiedziała się, że do jej córki dzwoni chłopak.

- Przyjadę do Savin Rock tramwajem - obiecała. - W przyszłą sobotę.

I tak wszystko się zaczęło. Ponieważ było lato, Lu miała zdecydowanie więcej wolnego czasu niż w ciągu roku szkolnego, a wymykanie się z domu i spędzanie czasu z Rickym okazało się dużo prostsze, niż się spodziewała. Paulie przeżywał swoją własną przygodę - z dziewczyną z sąsiedztwa, o której mama mówiła, że nie ma wstydu - więc kryli się wzajemnie z Lu. A mama miała inne sprawy na głowie. Eddie został ostatecznie wysłany gdzieś na Pacyfik, ale nie dostali jeszcze od niego żadnego listu. A księgowy, którego wynajęła do nadzorowania sklepów spożywczych, kompletnie sobie nie radził, więc mama musiała się martwić i tym. Ponieważ jej uwaga była tak rozproszona, Lu mogła wymykać się z Rickym na całe popołudnia.

Zawsze spędzali ze sobą czas w miejscach publicznych - Ricky na to nalegał. Jego bracia mieli domek na plaży w pobliżu Savin Rock i zanim poszli do wojska, dali mu klucze. W każdej chwili mógł tam zabrać Lu, ale nigdy tego nie zaproponował. Zamiast tego spotykali się w wesołym miasteczku, gdzie spacerowali bez celu, a później szli na plażę. Tam całowali się, doprowadzając się nawzajem do szaleństwa, zanim jedno z nich - zwykle Ricky - tego nie przerwało. Czasem zabierał ją do kina, ale żadne z nich nie potrafiłoby później od-

tworzyć fabuły oglądanego filmu. Włączyli się po dzielnicach, w których nikogo nie znali, aż trafiali do opuszczonego parku, gdzie mogli być sami. Czasem całowanie i pieszczoty szły nieco dalej, niż zamierzali, i kiedy musieli się od siebie odrywać, Ricky zwykle przeklinał, a Lu miała ochotę się rozplakać. Ricky powtarzał, że muszą z tym skończyć. Przysięgał, że następnym razem naprawdę obejrzą film. Będą podziwiali kwiaty i drzewa w parku. Będą rozmawiali - i nic poza tym. Ale kiedy zostawali sami, znowu zaczęli się całować. Lu miała wrażenie, że wypełniają w ten sposób czas, czekając na coś, co nieuchronnie miało nadejść. Okazało się, że miała rację.

Pewnego dnia umówili się na popołudniowy seans w kinie Loews Poli w centrum New Haven. Lu pierwsza dotarła na miejsce. Tak się zdarzało już wcześniej. Ricky często zostawał na plaży w domku swoich braci i musiał jechać do miasta tramwajem albo na motorze. Ponieważ w domku nie miał telefonu, nie mógł jej uprzedzić, że się spóźni. Lu nie martwiła się więc - przynajmniej z początku. Później jednak minuty zmieniły się w godzinę. Potem w dwie. A potem w cztery. Lu czekała przez trzy seanse. Wreszcie, nie mogąc dłużej znieść pełnych współczucia spojrzeń bileterki, wyszła.

Lu przyszło do głowy, że mogła zostać wystawiona - a nawet porzucona. Może długie, frustrujące popołudnia zmęczyły wreszcie Ricky'ego. Ale po chwili odepchnęła tę myśl. Gdyby chciał przestać się z nią spotykać, powiedziałby jej o tym wprost. Nie zaplanowałby spotkania i nie pozwoliłby jej później czekać bez końca, aż wreszcie zacznie się czegoś domyślać. Poza tym Ricky nie miał zamiaru z nią zrywać - tego była pewna. Ale mimo to... nie pojawił się. Kiedy dotarła do domu, niepokój zaczął narastać. Tyle rzeczy mogło mu się przytrafić. Mógł zachorować. Mógł mieć wypadek na motorze... jeździł zdecydowanie za szybko... Musiała jak najszybciej dowiedzieć się, co mu się przydarzyło, ale nie mogła zadzwonić do niego do domu. Nikt z jego rodziny o niej nie wiedział.

Pomogła matce nakryć do stołu, po czym usiadła do kolacji, zastanawiając się, czy powinna zatelefonować do pani Benedetto. Ale co miała jej powiedzieć? Nie mogła przecież wyznać dawnej nauczycielce, która ją kochała i wierzyła w nią, że od miesięcy spotyka się potajemnie z Rickym.

Jej myśli przerwał głos Pauliego:

- Tommy Gaspari zaginął - oznajmił.

- *Madonna!* - Jej matka z hukiem upuściła na talerz nóż i widelec. Rozmowy o wojnie bardzo ją martwiły.

- Jesteś pewien? Skąd wiesz? - zapytała Lu.

- Słyszałem dziś na boisku.

- Kiedy zaginął? - pytała dalej Lu, mimo że twarz mamy była blada jak papier. W innym przypadku natchmiast zmieniłaby temat, ale chodziło przecież o brata Ricky'ego. Nic dziwnego, że nie pojawił się w kinie!

- Chłopaki na boisku nie byli pewni - powiedział Paulie. - Tommy należy do Siódmej Armii. Dowódcą jest Patton. A Tommy jest spadochroniarzem, więc wszyscy twierdzą, że mógł uczestniczyć w inwazji na Sycylię. - Paulie szybko zerknął na mamę. - Mówili, że rodzina Gasparich dowiedziała się dziś o tym i że stary Gaspari wykorzystuje kontakty w Waszyngtonie, żeby uzyskać więcej informacji...

- Jedzcie - przerwała ostro Mifalda. - *Ziti* wam wystygnie.

Po kolacji umyły i wytarły z matką naczynia, po czym Paulie dał gestem znak Lu, żeby przysłała na górę do jego pokoju. Kiedy weszła, siedział na łóżku, przyglądając się rozłożonej przed sobą mapie. Szepcząc, żeby nie usłyszała ich mama, pokazał Lu półwysep Pachino, zatokę Gela i zatokę Noto. Rzuczał hasła takie jak „czołgi Sherman”, „DUKW”, „bataliony” i „plutony”. Lu ledwo go słyszała. Podczas kiedy brat opowiadał jej o przyczółkach i okrętach desantowych, przypomniła sobie wyraz oczu Ricky'ego za każdym razem, kiedy mówił o bliźniakach - szczególnie o Tommym.

Następnego ranka Lu wyszła wcześniej z domu i ruszyła tramwajem na plażę. Z łatwością znalazła domek bliźniaków - Ricky kiedyś jej go pokazał - i zapukała do drzwi. Wiedziała, że jeżeli go tam nie zastanie, będzie musiała szukać w domu Gasparich. Ale Ricky otworzył. Musiał wcześniej płakać.

- Przepraszam - powiedziała. Stał przed nią jak skrzywdzone małe dziecko. Objęła go i zamknęła za sobą drzwi.

Wnętrze domku było całkiem zwyczajne; niewielki salon z kominkiem, kuchnia i dwie małe sypialnie. Meble były zniszczone i stare, głównie wiklinowe i drewniane. Na podłodze leżało linoleum, co miało ułatwić zamiatanie piasku naniesionego z plaży, a spłowiła sofa w salonie nieco się już zapadała. Lu zauważyła to wszystko, ale nie miało to dla niej znaczenia. W tamtej chwili wiedziała tylko, że obejmuje Ricky'ego tak mocno, jakby usiłowała wydobyć ból z jego ciała i sama go przejąć. Kiedy zaczęli się później całować, czuła się inaczej niż kiedykolwiek przedtem. A kiedy ruszyli do jednej z małych sypialni, nie było w tym niczego złego.

- Możemy przestać... - szepnął w progu.

- Nie chcę - odpowiedziała.

Tommy'ego Gaspariego znaleziono całego i zdrowego trzy tygodnie później. Ale do tego czasu dla Lu i Ricky'ego wszystko już się zmieniło i nie mogli już tego cofnąć.

Lu nigdy nie miała pewności, kiedy dokładnie zrozumiała, że ona i Ricky nie są w sobie zakochani - nie tak, żeby chcieli spędzić razem resztę życia. Lubili chodzić ze sobą do łóżka i Lu bardzo dobrze poznała domek na plaży, bo Ricky ostatecznie zgodził się, że nie muszą dłużej krążyć godzinami po New Haven i Savin Rock. Ale kiedy mówił o swojej przyszłości w Kalifornii, nigdy nie używał słowa „my”. A kiedy ona marzyła o życiu gwiazdy w Nowym Jorku, nigdy nie widziała go u swojego boku. Byli zbyt młodzi, żeby myśleć o stabilizacji - wiedziała, że to była jedna z przyczyn. Ale chodziło o coś jeszcze. Oboje byli egoistami. Chcieli dla siebie tak wiele, że musiały minąć długie lata, zanim mieliby czas na prawdziwą miłość. Z jakiegoś powodu nigdy nie musieli o tym mówić. Wydawało się, że są tego świadomi. Prawdopodobnie właśnie dlatego tak bardzo się lubili i tak dobrze się ze sobą czuli.

Lato mijało, a kiedy Lu akurat nie śpiewała i nie chodziła na lekcje, spędzała czas w małej, zalanej słońcem sypialni w domku na plaży. To w czasie jednego z tych popołudniowych spotkań Ricky zapytał ją, czy chciałaby wziąć udział w przesłuchaniu do show w Nowym Jorku.

- Jeden z dawnych przyjaciół dziadka z czasów wodewilu wznawia operetkę z lat dwudziestych, zatytułowaną *The Maiden Ship*. Potrzebują śpiewaczek do kilku ról epizodycznych - powiedział. - Spektakl będzie wystawiany w małym teatrze w Greenwich Village. Co prawda to nie Broadway, ale...

- Tak! - przerwała mu. - Tak! Tak! Tak!

- Nie chcesz przynajmniej wiedzieć, jakich dokładnie głosów szukają?

- Będę dokładnie taka, jak zechcą!

- Szukają sopranów.

- Idealnie! Ricky, jesteś aniołem! Jesteś lepszy niż anioł! Jesteś Świętym Mikołajem i Ziegfeldem i Bilym Rose w jednym! Jesteś...

- Jestem przyszłym rekinem show-biznesu. I nie zapominaj o tym.

Postanowili, że Ricky spotka się z nią na rogu w pobliżu domu rankiem tego dnia, w którym miało się odbyć przesłuchanie, i zaprowadzi ją na dworzec kolejowy.

- Chciałbym pojechać z tobą do miasta, ale nie mogę - wyjaśnił. - Gdybym to zrobił, musiałbym powiedzieć rodzicom, że zorganizowałem ci to przesłuchanie. Dowiedzieliby się, że mam kontakt z dawnymi kolegami dziadka z show-biznesu.

Lu skinęła głową. Wiedziała, że nie tylko ona ukrywa pewne obszary swojego życia przed własną rodziną. Ale zdawała sobie też sprawę, że nie tylko dlatego Ricky z nią nie jechał. Ich złote lato właśnie się kończyło. Za kilka tygodni Ricky skończy osiemnaście lat i wstąpi do wojska. Ona też patrzyła już w przyszłość. Jeżeli przesłuchanie pójdzie dobrze, pojedzie do Nowego Jorku i zacznie własne życie. Będzie tęskniła za Rickym, ale ponieważ ich romans i tak musiał się pewnego dnia skończyć, wydawało się, że było to najlepsze rozwiązanie. Szczególnie jeżeli uda jej się dobrze wypaść na przesłuchaniu.

Dopiero kiedy wracała do New Haven, trzymając w dłoniach kartkę z dokładną godziną i miejscem spotkania - pomyślała o mamie. Podróż do Nowego Jorku i z powrotem plus samo przesłuchanie zajmie z pewnością większą część dnia. To co innego niż zniknięcie na kilka godzin, żeby spotkać się z Rickym w West Haven. Niezależnie od tego, jak zajęta innymi sprawami była mama, z pewnością zauważy całodzienną nieobecność córki. Nie mogła tego przed nią zataić. Lu pozostało tylko się modlić, że mama dowie się o przesłuchaniu dopiero po fakcie.

Wieczorem przed wyjazdem Lu zebrała wszystkie rzeczy niezbędne na ten wielki dzień: nowiutki kostium, najlepsze buty, spinki do włosów, lusterko, szminkę, kredkę do oczu i buteleczkę kremu, którego dziewczęta używały, żeby ich nogi wydawały się mniej blade - nylon był reglamentowany i nikogo nie było stać na pończochy. Wetknęła wszystkie te rzeczy do poszewki na poduszkę i ukryła tobolek w pralni obok kuchni. Sypialnie znajdowały się na piętrze, a mama miała lekki sen i słyszała każdy dźwięk. Bezpieczniej będzie, jeśli ubierze się na dole.

Kiedy Lu obudziła się następnego ranka, było jeszcze ciemno. Na paluszkach przemknęła tylnymi schodami na dół do pralni, gdzie upięła włosy i przebrała się w nowy strój. Wiedziała, że pogniecie się on w pociągu, ale nie mogła nic na to poradzić. Nie miała w Nowym Jorku miejsca, w którym mogłaby się przebrać. Użyła szminki - mama nie wiedziała, że Lu ma tę przemyconą szminkę, którą zawsze malowała usta na występy - po czym oparła najpierw jedną, a później drugą nogę na pralce, żeby rozsmarować krem. Modliła się przy tym, żeby się nie pobrudzić.

Wkładała właśnie buty, kiedy usłyszała hałas dochodzący z kuchni. Serce zabiło jej mocniej. Mając złudną nadzieję, że to Paulie obudził się wcześniej, wyszła z pralni.

Mama nie była ubrana. Lu nie pamiętała, kiedy ostatnio widziała swoją matkę w szlafroku i kapciach, z długimi włosami zaplecionymi w pojedynczy warkocz opadający na plecy. Niezależnie od tego, jak wcześniej jedli śniadanie, Mifalda pojawiała się zawsze w domowej sukience, z włosami upiętymi w kok za pomocą dużych szylkretowych szpilek. Ale nie tego ranka.

Skąd ona wiedziała? - pomyślała Lu. - Zachowywałam się tak cicho, tak ostrożnie. Jak ona to robi, że zawsze, zawsze wie?

Jej matka nie podniosła głowy. Trzymała w rękach nuty, które Lu zostawiła przypadkiem na stole kuchennym. Zaledwie dzień wcześniej maestro DiTullio zapisał wszystkie najważniejsze zmiany tonacji i tempa na stronie z utworem, który planowała zaśpiewać. Dzięki temu podczas przesłuchania w Nowym Jorku jej akompaniator powinien wiedzieć, jak grać. Mama ścisnęła teraz nuty tak mocno, że pogmiotła okładkę.

Lu zebrała siły przed bitwą, która miała nadejść. Próbowwała powtarzać sobie, że lepiej mieć to z głowy już teraz, ale wiedziała, że to nieprawda. Lubiła przed występem zachowywać spokój, a kłótnia mogła ją tylko niepotrzebnie zdenerwować. Ale nie miała wyjścia.

- Dzień dobry, mamo - powiedziała.

Matka położyła nuty na stole i głęboko odetchnęła. Zanim zdążyła zacząć krzyczeć, Lu uprzedziła ją i wyznała całą prawdę o przesłuchaniu.

- Jadę dziś śpiewać do Nowego Jorku, mamo - zakończyła bez tchu. - Zostanę aktorką. To moja wielka szansa.

Wyprostowała się i czekała, aż wybuchnie bomba.

Ale mama ją zaskoczyła. Nie było żadnego wybuchu gniewu, żadnych krzyków. Matka przyglądała jej się spokojnie, jakby w jakiś sposób się tego spodziewała. Czy tak było? Czy mama ją rozumiała? Ta myśl wydawała się nieprawdopodobna. Mama zawsze wydawała jej się skałą, przeszkodą, którą musiała obejść, żeby żyć własnym życiem. Czyżby jej matka wiedziała, jak to jest, kiedy jest się młodym i ma się marzenia? Czy mogła być dumna z córki, której talentem wszyscy się zachwycali? Oczywiście Lu zaszczyli łzami. Och, mamo, gdybyś tylko mogła choć raz stanąć po mojej stronie - pomyślała. - Wszystko ci wynagrodzę. Zostaniesz matką gwiazdy Broadwayu. I twoje poświęcenia nie pójdą na marne.

- A więc - zaczęła jej matka. Głos miała równie spokojny jak twarz, ale nagle ten spokój zaczął ją przerażać. - Ta twoja „wielka szansa”, skąd się wzięła?

- Nie... nie rozumiem... - zająknęła się Lu.

- Kim on jest? - zapytała mama. - Kim jest mężczyzna, który dał ci tę „wielką szansę”?

I wtedy Lu zrozumiała, jak głupia była, myśląc choćby przez chwilę, że mama mogłaby stanąć po jej stronie. Bo oczywiście matka od razu założyła, że jakiś mężczyzna próbował wykorzystać Lu. Tak właśnie widziała świat. I po raz pierwszy, odkąd ona i Ricky zaczęli sypiać ze sobą w domku na plaży, Lu zobaczyła ich związek oczami mamy. Mama nie dostrzegłaby dziewczyny, która chciała pocieszyć chłopaka, czy chłopaka i dziewczyny, którzy się uwielbiali, ale byli zbyt mądrzy, żeby wmawiać sobie, że są gotowi na małżeństwo. Nie zrozumiałaby, że Ricky troszczył się o Lu i że załatwił jej przesłuchanie dlatego, że w nią wierzył. Mama zobaczyłaby dziewczynę, która otrzymała swoją „wielką szansę”, oddając się bogatemu chłopcu, rzucającemu jej



jakiś ochłap, kiedy postanowił się wycofać. Dla mamy Lu była dzika i pozbawiona szacunku do samej siebie. A do tego naiwna.

Lu wyprostowała się jeszcze bardziej i spojrzała matce w oczy.

- Mój przyjaciel zadzwonił do pewnych ludzi i poprosił, żeby posłuchali, jak śpiewam - powiedziała.

- Jak nazywa się ten przyjaciel?

- Mamo, muszę iść, bo ucieknie mi pociąg. - Lu podeszła do stołu, żeby wziąć nuty, ale dłoń matki, dużo silniejsza, niż Lu mogłaby sobie wyobrazić, chwyciła jej rękę i obróciła ją. Gwałtowność tego ruchu zrobiła na niej wrażenie.

- Nie wyjdiesz z tego domu! - Głos matki przestał być przerażająco spokojny. Mifalda zaczęła krzyczeć. - Pójdiesz do swojego pokoju i zostaniesz tam do czasu, aż pozwolę ci wyjść!

- Nie, mamo - Lu usłyszała własny, twarde głos i zdziwiła ją jego stanowczość.

- Jestem twoją matką i nakazuję ci... Lu wyszarpnęła rękę z uścisku.

- Nie zrobię tego, co mi każesz, mamo. Nie tym razem. Chcesz, żebym stała się taka jak ty. Nie zamierzam. Tata i chłopcy zawsze myśleli, że zajmowanie się nami cię uszczęśliwia, ale ja wiedziałam...

Bez żadnego ostrzeżenia Mifalda spoliczkowała ją. Mocno. Ten ruch był tak szybki i gwałtowny, że przez chwilę Lu nie miała nawet pewności, czy rzeczywiście do niego doszło. Po chwili spłynęła na nią fala bólu. Drugi raz tego dnia oczy Lu wypełniły się łzami. Ich przyczyną był nie tylko ból, ale i szok. Nigdy nie spotkało jej coś takiego. Mama zawsze powtarzała, że nie wierzy w bicie dzieci - szczyliła się tym - a tata za nic w świecie nie tknąłby swojej ukochanej córeczki. Ale mama ją spoliczkowała. Lu piekła całą twarz i czuła krew tętniącą w jej żyłach. Rozcięła sobie zębami górną wargę - nie na tyle mocno, żeby spowodować krwawienie, ale usta pewnie jej spuchną. Wiedziała też, że rozboli ją głowa. Ale nie zamierzała płakać.

- Będziesz musiała uderzyć mnie dużo mocniej, żeby nie pozwolić mi tam pojechać, mamo - powiedziała. Miała wrażenie, że usta już zaczynają jej puchnąć, mimo to wyraźnie wypowiedziała każdą sylabę. Podeszła do stołu i wzięła nuty.

- Nie pojedziesz do Nowego Jorku - powtórzyła jej matka, ale to po jej twarzy ciekły łzy, podczas gdy policzki Lu pozostawały suche.

- Jak zamierzasz mnie zatrzymać? - zapytała, nie tracąc panowania nad sobą.

Po czym odwróciła się i wyszła z domu.

# ROZDZIAŁ 11

New Haven

1943

Lu nie powiedziała Ricky'emu o kłótni z mamą. Spotkała się z nim na rogu, tak jak planowali, po czym szybko wsiadła na jego motor. Nie chciała, żeby zauważył, że płakała. Gdy dotarli na stację, zaczerwienienie oczu zniknęło - była tego pewna, ponieważ Ricky nie zauważył niczego, co mogłoby ją zdradzić. Powiedział za to, że wygląda pięknie i nie powinna nigdy pokazywać się bez szminki. Kiedy byli już przy kasie i kupowali bilet, Lu zaczęły drżeć dłonie. Nie mogła mu powiedzieć, dlaczego.

- Chyba się trochę denerwuję - rzuciła.

Ricky kupił jej na drogę czasopismo „McCall's” - żeby nie myślała o przesłuchaniu - wyjaśnił. Wzięła od niego pismo i zaczęła szczerkać zębami. Otulił ją marynarką, próbując ogrzać. Szli na peron. Zaczął rozcierać jej drżące ręce, ale to nic nie pomagało. Wreszcie, kiedy pociąg wjeżdżał już na stację, powiedział ostro:

- Lu, musisz wziąć się w garść. Niezależnie od tego, jak bardzo się boisz, musisz wypaść świetnie na tym przesłuchaniu. Oni robią wiele spektakli w mieście - nie tylko ten jeden. Nie możesz zrobić na nich złego wrażenia.

Nie powinien tego mówić. Dosłownie przed chwilą została uderzona w twarz, a teraz Ricky, który zawsze jej powtarzał, że na pewno wszystkich rzuci na kolana, ostrzegał ją, żeby nie zrobiła złego wrażenia na przesłuchaniu? Lu nigdy nawet nie przyszło do głowy, że coś może pójść nie tak. Całą energię włożyła w to, żeby opuścić dom w tajemnicy przed mamą, ani przez chwilę nie obawiała się, że mogłaby źle wypaść. Ale kiedy zobaczyła, jak zaniepokojony i przejęty jest Ricky, zaczęła się bać.

Nagle zdała sobie sprawę, że czeka ją coś zupełnie innego niż śpiewanie dla dyrektora dziecięcego teatryku w New Haven. Ludzie, którzy mieli jej dziś słuchać, byli profesjonalistami. Mogli uczynić z niej gwiazdę albo ją skreślić. Nie wiedzieli, że jest najlepszą uczennicą maestra DiTullia. Nawet o nim nie słyszeli. Lu poczuła pod pachami zimny pot, który powoli spływał jej po bokach.

- Bez obawy, rzucę ich na kolana - powiedziała i zdołała się uśmiechnąć. Zrobiła to nieśmiało, jakby ciągle jeszcze nie mogła uwolnić się od tremy. Ricky nie wydawał się przekonany.

Pociąg stanął na stacji i konduktor krzyknął, żeby wsiadać. Lu szybko pocałowała Ricky'ego, wspięła się po metalowych schodkach i znalazła miejsce - wszystko było jak wtedy, kiedy razem z tatą jeździła na Manhattan. Chciała, żeby tata siedział teraz obok niej. Chciała, żeby był tu Paulie. Przez chwilę chciała nawet, żeby i mama znalazła się przy niej. Wyjrzała przez okno i zobaczyła Ricky'ego stojącego na peronie. Kiedy pociąg odjeżdżał, zaczęła do niego machać jak szalona - machała, dopóki nie zniknął jej z oczu. Wtedy otworzyła czasopismo i zaczęła czytać y takim zapalem, jakby zależało od tego jej życie.

Podróż dłużyła jej się nieznośnie. Wiedziała, że ma potężny atak tremy - problem polegał na tym, że nie doświadczyła jej nigdy wcześniej. Występując na recitalach maestra DiTullia, widziała, jak inni uczniowie przed wejściem na scenę tracili głowę z przerażenia. Niektórzy nawet wymiotowali ze strachu. Nigdy nie ro-

zumiała, dlaczego - sama nie mogła się doczekać występu przed publicznością. Ale to było, zanim mama ją spoliczkowała, a Ricky ostrzegł, żeby tylko nie zrobiła złego wrażenia. Gdy pociąg w końcu wtoczył się na stację Grand Central, mózg Lu zamarł z przerażenia. Kilka razy wydawało jej się, że zaraz zwymiotuje. Konduktor musiał powtórzyć, że to ostatnia stacja, zanim zrozumiała, że to już koniec podróży.

Lu nigdy nie występowała w prawdziwym teatrze. W ramach teatrzyku śpiewała w auli szkoły St. Mary's, a maestro DiTullio organizował swoje recitale w sali klubu towarzyskiego. Ricky próbował wcześniej przygotować ją na to, co zastanie za kulisami profesjonalnego teatru.

- Scena będzie głębsza niż te, do których przywykłaś - uprzedził. - Kulisy będą szersze i patrząc w górę, możesz mieć wrażenie, że nie ma tam żadnego sufitu. To dlatego, że w górze wieszają na linach tła i kurtyny - to nazywa się nadszcenie. Chociaż miejsce, w którym odbędzie się twoje przesłuchanie, to nie wielki teatr na Broadwayu, ta przestrzeń wyda ci się ogromna. Nie możesz się temu poddać.

Niestety, o pewnych aspektach przesłuchań Ricky jej nie uprzedził. Nie wspomniał, że przyjdzie co najmniej trzydzieści młodych kobiet - prawdopodobnie samych sopranów - które w różnych stadiach paniki będą stały w kulisach, ściskając nerwowo nuty. Nie mówił, że akompaniator znajdzie się na scenie obok śpiewaczek, przez co brzękliwe stare pianino będzie je zagłuszało, jeśli tylko staną za blisko. Ricky nie ostrzegł Lu, że scena zostanie oświetlona w taki sposób, żeby śpiewaczki nie mogły widzieć twarzy trzech siedzących na widowni mężczyzn, którzy mieli je oceniać. Nie wspomniał też, że ci trzej panowie będą zbyt zajęci właśnie dostarczonym lunchem, by zwracać uwagę na przerażone kandydatki. Lu przyglądała się, jak jedna z dziewczyn przyprawdzonych na scenę czeka nerwowo na swoją kolej. Stała tam, uśmiechając się rozpaczliwie.

- No dalej, kochanie - ponaglił ją pierwszy z trzech oceniających.

Przerażona dziewczyna skinęła głową, uśmiechnęła się jeszcze bardziej rozpaczliwie, po czym zaczęła głośno:

- Dzień dobry panom...

- Mówiłem ci, że nie zamawiałem ozora - zwrócił się mężczyzna do jednego z kolegów. - Dlaczego miałbym zamawiać ozór? Nie znoszę go.

Ci faceci to zwykli *cajones*, kompletni prostacy - pomyślała Lu. - Nie obchodzi mnie, że są szychami. Wtedy jej mózg zaczął znów działać. Najwyraźniej gniew okazał się skuteczną bronią przeciw tremie.

- Zaśpiewam piosenkę *Spanish Nights* z *The Maiden Ship* - wypaliła śpiewaczka. Gdy znudzony akompaniator grał wstęp do piosenki o nieco latynoskim rytmie, mózg Lu dalej się rozbudzał. Rozejrzała się i dostrzegła coś, co zwracało jej uwagę od chwili, kiedy weszła na scenę wejściem dla aktorów. Większość śpiewaczek miała stroje kojarzące się jeśli nie z Hiszpanią, to przynajmniej z rejonami na południe od granicy. Spódnice przykryte były chustami w jaskrawych kolorach, przeważały szale i bluzki z bufiastymi rękawami. Zauważyła też wiele kwiatów zatkniętych za uszy. Najwyraźniej trio na widowni szukało hiszpańskiego typu. Lu spojrzała na swój granatowy kostium i pogniecioną białą bluzkę z wysokim kołnierzykiem. Przyjrzała się czółenkom z krokodylej skóry. Nie przyszło jej do głowy, żeby ubrać się odpowiednio do roli, o którą się starała - albo w ogóle dowiedzieć się, co to za rola. Nie wpadła na to, żeby nauczyć się piosenki z *The Maiden Ship*, jak dziewczyna, która właśnie śpiewała. Lu wiedziała, że kiedy nadejdzie jej kolej, wyjdzie na kompletną amatorkę.

Dlaczego Ricky mnie nie uprzedził? - pomyślała z wściekłością. Ale wtedy zrozumiała, że prawdopodobnie po prostu nie wiedział. Przecież on też był amatorem.

Lu zaczęła się wsłuchiwać w melodię, którą śpiewała dziewczyna na scenie. W innych okolicznościach uznałaby, że to beznadziejny kawałek. Aria sopranowa napisana w rytmie rumbi... Co gorsza, na końcu utworu dziewczyna weszła w koloraturę, która zakończyła się trylem - po czym zakrzyknęła „Olé!”. Maestro DiTullio nigdy nie pozwoliłby Lu pracować nad takim śmieciem.

Usłyszała tę piosenkę jeszcze trzy razy, zanim ją wezwano na scenę. Była już spokojna, ale czuła nad sobą nieuchronność przeznaczenia. Ma złe ubranie, złą fryzurę i zły utwór. Jej wielka szansa za chwilę okaże się wielką klapą. Została spoliczkowana kompletnie na marne.

Mimo to weszła zamaszystym krokiem na scenę, tak jak robiły to wszystkie dziewczęta przed nią, i ustawiając nuty na pianinie, zwróciła się do otepiałego akompaniatora:

- Utwór jest na sześćdziesiątej trzeciej stronie. Znajdzie pan tam wszystkie zmiany tonacji.

Następnie odeszła od pianina tak daleko, jak mogła, po czym odwróciła się w stronę publiczności.

- Dzień dobry panom - powitała mężczyzn, którzy zdążyli już skończyć lunch i pograżyli się teraz w dyskusji o rachunku. Wiedziała, że nie powinna czekać, aż na nią spojrzą.

- Zaśpiewam... - zaczęła, ale przerwało jej skrzypnięcie pianina. - Zaśpiewam... - zaczęła raz jeszcze, ale tym razem w słowo wszedł jej akompaniator:

- Kochanie, mogłabyś tu podejść na chwilę?! - zawołał.

Lu poczuła, że jej mózg zaraz znowu zastygnie. Podeszła do pianina. O dziwo, akompaniator wykazywał oznaki życia.

- Jestem dobry - powiedział, chichocząc - ale nawet ja nie potrafię zagrać z czasopisma „McCall's”.

Podał jej „nuty”, które z taką pewnością siebie umieściła na stojaku pianina. Przerazona Lu spojrzała na tytuł na okładce.

- Masz swoje nuty? - zapytał akompaniator.

Nie miała. Wychodząc ze stacji Grand Central, trzymała w spoconych, zimnych dłoniach tylko jeden przedmiot. Myślała, że to partytura, ale w tych ostatnich, pełnych paniki chwilach w pociągu musiała pomylić ją z czasopismem. A w taksówce, którą jechała do teatru, nawet tego nie sprawdziła. Skupiała się głównie na tym, żeby nie zwymiotować.

- Twoje nuty, kochanie? - powtórzył zachęcająco akompaniator.

Pokręciła głową.

- Szkoda - powiedział i dał inspicjentowi znak, żeby przysłał kolejną dziewczynę. W Lu coś pękło. Nie po to wytrzymała dwie godziny prerażenia i mdłości w pociągu i taksówce - a do tego jeszcze zniosła uderzenie w twarz - żeby wracać do domu, nie próbując nawet wziąć udziału w przesłuchaniu.

- Chwileczkę - usłyszała samą siebie zwracającą się do akompaniatora. Wzięła od niego czasopismo. - Proszę zagrać tę piosenkę, którą śpiewały wszystkie dziewczęta - poprosiła.

Spojrzał na nią współczująco.

- Dziecko, nie zaśpiewasz tego kawałka, jeśli go nie znasz. Mogłabyś zaimprovizować, ale to bardzo trudne i...

- Znam go - przerwała mu Lu. Była to tylko częściowo prawda. Nie знаła słów, bo nie skupiała się na nich wystarczająco podczas wcześniejszych występów, ale sama melodia zapisała się w jej umyśle. - Umie pan go zagrać bez nut?

Wzruszył ramionami.

- Nawet obudzony w środku nocy. Jaka tonacja?

- Proszę wybrać.

Wyszła znowu na środek sceny i pospiesznie przerzuciła czasopismo. W końcu znalazła to, czego szukała. Zamierzała zrobić coś naprawdę szalonego, ale postanowiła, że zaśpiewa niezależnie od wszystkiego. Poza tym Ricky twierdził, że Lu umie myśleć jak gwiazda, więc postanowiła zaryzykować i założyć, że się nie mylił.

- Zaśpiewam piosenkę o jedzeniu - oznajmiła z akcentem, który miał naśladować hiszpański, ale przypominał raczej sposób mówienia jej mamy. Siedzący na widowni mężczyźni przestali nagle rozmawiać i po raz pierwszy zwrócili uwagę na scenę. Na razie wszystko szło po jej myśli.

Akompaniator zagrał, a Lu zaczęła śpiewać fragment, który wybrała z „McCall's” - składniki i przepis na hiszpański klops. Na bieżąco dopasowywała słowa do idiotycznej arii operetkowej. Za każdym razem, kiedy we frazie brakowało sylab, wypełniała przerwę, tupiąc w stylu flamenco i wykrzykując: „Olé!”. Przez trzy czwarte piosenki udawało jej się uratować w ten sposób każdą zwrotkę. Wtedy jednak skończył jej się przepis. Lu weszła w kadencję z głupim trylem, śpiewając już *a cappella*, bo akompaniator przyglądający się jej z szeroko otwartymi ze zdumienia i podziwu ustami, nawet nie próbował za nią nadażyć. Kiedy skończyła tryl, nie miała już dokąd pójść i nie mogła z gracją zejść ze sceny. W chwili natchnienia zrzuciła buty i powtórzyła trzy gwiazdy ze swojego numeru w *Kocie w butach*, znikając za kulisami. Później musiała wbiec z powrotem na scenę, żeby zabrać buty, niszcząc w ten sposób swoje wyjście, więc krzyknęła do mężczyzn na widowni jeszcze trzy triumfujące „Olé!” i po raz kolejny zeszła ze sceny.

Nie wiedziała, na co tak naprawdę liczy - może na brawa za odwagę, a może na odrobinę śmiechu, bo wiedziała, że zrobiła coś śmiesznego. Myślała, że może producenci też uznają, że myśli jak gwiazda, i poproszą ją o nazwisko i dane kontaktowe.

W teatrze zapadła jednak grobowa cisza. Fałszywe *señority* patrzyły na nią przerażone. Kilka z nich odsunęło się od niej, jakby się bały, że dziwne szaleństwo, które ją opanowało, może być zaraźliwe.

No co! - chciała do nich krzyknąć. - To tylko jakaś głupia piosenka. A ci faceci są niegrzeczni. Zasłużyli na to, co dostali. Ale cisza w teatrze aż huczała. Wtedy Lu przypomniała sobie słowa Ricky'ego: ci ludzie produkują wiele spektakli na Broadwayu i nie może zrobić na nich złego wrażenia. Znowu zaczęły jej drżeć ręce. Nie była nawet w stanie włożyć butów. Wszyscy na nią patrzyli. Z wysoko uniesioną głową, ściskając w dłoniach czasopismo i czółenka, wymaszerowała boso z teatru.

Drzwi prowadzące ze sceny wychodziły na alejkę przy teatrze. Lu osunęła się przy ścianie budynku. Poniosła porażkę. Jej kariera zakończyła się, zanim jeszcze się zaczęła. Teraz musiała zatrzymać taksówkę, wsiąść do pociągu i wrócić do domu, żeby stanąć twarzą w twarz z mamą. A potem spotkać się jeszcze z Rickym. Nie mogła nawet zdecydować, która z tych konfrontacji będzie trudniejsza.

Za nią otworzyły się i zamknęły drzwi. Usłyszała czyjś śmiech - piskliwy, niekontrolowany śmiech. Odwróciła się i zobaczyła pokładającego się akompaniatora, który trzymał się kosza na śmieci, żeby nie upaść. Z oczu leciały mu łzy.

- O Boże! - wysapał. - O Boże, grałem tę idiotyczną piosenkę przez całe trzy dni i myślałem, że do końca życia będę ją słyszał w koszmarach. A nagle pojawiaasz się ty i... O Boże!

To przekraczało możliwości Lu: nie mogła na koniec stać się pośmiewiskiem. Wepchnęła czólenka na nogi i ruszyła przed siebie alejką.

- Czekaj. Dokąd idziesz? - zawołał za nią akompaniator.

- Cieszę się, że rozbawiło pana oglądanie mojej kompromitacji przed najbardziej wpływowymi ludźmi show-biznesu - powiedziała. - Przynajmniej jedno z nas coś zyskało.

- Jakimi „najbardziej wpływowymi ludźmi show-biznesu”? - zapytał. - Masz na myśli Larry'ego, Moe i Curly'ego? Ci faceci niczego nie osiągnęli od lat dwudziestych. Nie mam pojęcia, skąd wytrzasnęli sponsorów na tę ramotę, którą wystawiają.

Po raz pierwszy mu się przyjrzała. Był prawdopodobnie kilka lat starszy od niej, wysoki - miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt - i nieco puciołowaty. Jego jasne włosy kręciły się tak mocno, że choćby nie wiem jak je zaczesywał, i tak opadały mu na twarz. Miał niebieskie oczy i nosił grube okulary w czarnych oprawkach. Ale największe wrażenie robił jego strój. W czasie wojny wszyscy oszczędzali materiał, szyli ubrania na miarę, żeby nie stracić ani kawałka - on natomiast miał długą marynarkę z wywatowanymi ramionami i szerokimi klapami oraz luźne spodnie. To była trochę staromodna kreacja, ale biorąc pod uwagę jego wzrost, Lu uznała, że dokonał dobrego wyboru.

- Nie chciałabyś dostać tej pracy. - Przestał się śmiać i uderzył się teraz dramatycznie dłonią w pierś, unosząc drugą dłoń. - Uwierz mi.

Mimo tych teatralnych gestów wierzyła mu. Jeżeli piosenka *Spanish Nights* oddawała poziom *The Maiden Ship*, miał rację - ta operetka była straszną ramotą. Lu chętnie też uwierzyła, że mężczyźni siedzący w teatrze mają już najlepsze czasy za sobą i nie odnieśli żadnych sukcesów od dwudziestu lat. Przez chwilę zrobiło jej się żal Ricky'ego, który tak wielką nadzieję pokładał w dawnych kolegach dziadka. Ale wiedziała, że Ricky sam się zorientuje. Ricky był silny. Uśmiechnęła się do akompaniatora.

- A więc nie zrujnowałam swoich szans w show-biznesie?

- Zrujnowałabyś, gdybyś dostała rolę w *The Maiden Ship* - odpowiedział. - Ale to twój szczęśliwy dzień - wyjął z kieszeni kartkę. - Zapisalem ci tu nazwisko pewnego agenta, Maxa Liebermana. Wysyłałem już do niego innych zdolnych ludzi, więc ma do mnie zaufanie. Spotka się z tobą, jeśli powołasz się na mnie.

Podał jej karteczkę.

- Jest w porządku, możesz sprawdzić w Actors' Equity - dodał.

Lu zerknęła na kartkę, ale jej nie wzięła.

- Dlaczego pan to robi? - zapytała. Uśmiechnął się i powiedział:

- Bo jesteś najzabawniejszą istotą na dwóch nogach, jaką kiedykolwiek widziałem. I chcę móc w przyszłości mówić, że poznałem się kiedyś na tobie.

Wszystko działo się tak szybko, że znów ją zemdliło. Lu musiała na chwilę zamknąć oczy. Jeszcze pięć minut wcześniej zastanawiała się, jak powie Ricky'emu, że poniosła klęskę. Teraz ten kompletnie obcy człowiek oferował jej drugą szansę. Otworzyła oczy. Akompaniator nadal stał przy niej. Trzymał w ręku karteczkę.

- Maxa nie będzie w mieście przez najbliższe trzy tygodnie - uprzedził. - Zadzwoń do niego, kiedy wróci, i zapytaj, czy możesz dla niego zaśpiewać. Zapisałem ci też swój numer. W biurze Maxa ktoś ci będzie akompaniował, ale ja mogę wcześniej z tobą poćwiczyć.

Nie żartował sobie z niej. Naprawdę chciał jej pomóc. Wzięła kartkę z numerami telefonów i podała mu dłoń.

- Jestem Lu Leporello - powiedziała. Uścisnął jej dłoń.

- George. George Standish. - Zmarszczył brwi. - Będziesz musiała zmienić to „Leporello” na coś bardziej amerykańskiego. Coś, co będzie dobrze wyglądało na plakatach.

Zastanawiał się przez chwilę, po czym zaproponował:

- Co powiesz na „Lawson”? Zawsze dobrze wymyślić coś zbliżonego do prawdziwego nazwiska. Ja nazywałem się kiedyś Gregory Stantonkowsky.

Powrót pociągiem okazał się dokładnym przeciwieństwem pełnej strachu podróży, którą Lu musiała znieść tego ranka. To prawda, nie dostała pracy. Ale zaprzyjaźniła się z kimś, kto akompaniował podczas przesłuchań na Broadwayu. Jakby tego było mało, dostała numer telefonu prawdziwego nowojorskiego agenta. Nie miała pewności, jak poradzi sobie z mamą i jak wróci do Nowego Jorku, ale w tej chwili nie miało to znaczenia. Złapała wiatr w żagle. Tak jej się przynajmniej wydawało.

Następnego ranka Lu ledwo zdążyła dobiec do łazienki, zanim zwymiotowała. Powiedziała sobie, że to pewnie dlatego, że tak bardzo się bała poprzedniego dnia. Kiedy to samo przydarzyło jej się kolejnego ranka, próbowała sobie wmówić, że to z powodu kłótni z mamą - mimo że wcześniej nigdy nie przejmowała się tak bardzo ich sprzeczkami. Ale kiedy mdłości i wymioty nie ustawały przez kolejne dwa tygodnie, powiedziała o tym Ricky'emu. Kupił dwa pierścionki, które przypominały obrączki ślubne, i zabrał ją do lekarza w Danbury, miasteczku niedaleko New Haven. Lekarz oznajmił im, że wbrew temu, co sądził Ricky, nie istnieje absolutnie bezpieczny czas miesiąca. Radośnie dodał, że poranne mdłości Lu powinny zacząć ustępować w ciągu kolejnych kilku tygodni.

# ROZDZIAŁ 12

New Haven

2008

- Lu zaszła w ciążę? A Ricky Gaspari był ojcem mojej mamy? - zapytała Carrie. Pizza Maurizia, rzeczywiście jedna z najlepszych, jakie Carrie kiedykolwiek jadła, zmieniła się w niewielki stos odkrojonych brzegów. Wujek Paulie poprosił tymczasem o rachunek. - Zawsze mi mówiono, że mama urodziła się w Kalifornii.

- Tak, to prawda - przytaknął wujek Paulie. - Urodziła się tam. Ale nie... no wiesz... - Zarumienił się.

- Nie została tam poczęta - dokończyła za niego Carrie. - Więc co się stało z Rickym? Zostawił Lu na łodzi?

- Nie.

- Ale nie figurował oficjalnie jako ojciec.

- Nie.

- Zawsze słyszałam, że ojciec mamy był żołnierzem z Kalifornii, zginął w czasie drugiej wojny światowej, zanim się urodziła, nazywał się Lawson.

- Tak brzmiała ta historia - powiedział wujek Paulie. Ale wyglądał, jakby czuł się nieswojo, i zaczął go nagle cisnąć kołnierzyk.

- Czyli nie było żadnego tragicznie zmarłego żołnierza z Kalifornii?

- Nie. - Paulie poprawił kołnierzyk.

- Więc co się stało z Rickym?

- Słuchaj, powinnaś zadzwonić do Lu i zapytać ją o to. Mogę podać ci numer... - zamilkł wyczekująco, licząc na to, że Carrie się zgodzi.

Zaczęła się zastanawiać, jak wytłumaczyć wujkowi Pauliemu zasady lojalności, którymi kierowała się jej matka, ale uznała, że to tylko przypieczętowałyby zdradę. Spojrzała na resztki pizzy.

- Nie możesz zadzwonić do Lu ze względu na swoją mamę, prawda? - Carrie przytaknęła. - Ach, kobiety. - Westchnął. - Kiedy tak o tym myślę... gdyby moja matka wiedziała, że o tym wszystkim opowiadam, zabiłaby mnie nawet po tylu latach.

- Możesz mi powiedzieć to, co wiesz o Rickym Gasparim? - zapytała Carrie.

Tym razem to on spojrzał na resztki pizzy. Paulie wziął kawałek ciasta, jakby zamierzał zacząć go żuć, ale rzucił z powrotem na talerz, po czym odchylił się na oparcie.

- Wiem tylko, że chłopak zamierzał zrobić to, co do niego należało. On i Lu powiedzieli o wszystkim mamie, zanim powiadomili jego rodzinę - Lu chciała mieć to z głowy. Mamę uspokajało trochę tylko jedno: Ricky ciągle powtarzał, że zadba, żeby Lu traktowano jak porządną kobietę.

Kelner podszedł do stolika z rachunkiem, a wujek Paulie odsunął kartę kredytową Carrie i podał mu plik banknotów.



- Tego dnia, kiedy mama, Lu i Ricky mieli powiedzieć jego rodzinie o dziecku i planowanym ślubie - ciągnął dalej Paulie - tego samego ranka wszystko nagle się zmieniło. I do dziś nie wiem, co u diabła się wtedy wydarzyło.

## ROZDZIAŁ 13

New Haven

1943

Mifalda obudziła się nagle. Dręczyło ją coś ciemnego i nienazwanego i przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, o co chodzi. Wtedy wszystko do niej wróciło. To był dzień, w którym ona i Lu miały spotkać się z rodziną Ricky'ego Gaspariego. Chłopiec miał przyjść do nich o jedenastej i zabrać je do jednej z ogromnych willi w kompleksie Gasparich - Mifalda nie wiedziała nawet, która z rezydencji należy do jego rodziców. Kiedy już wszyscy się spotkają, Ricky powie matce i ojcu o ciąży Lu i o planowanym ślubie. Mifalda spojrzała na zegarek na stoliku nocnym. Było wpół do szóstej - spała dłużej, niż się spodziewała. Mimo to miała jeszcze trochę czasu, więc przewróciła się na drugi bok i podciągnęła kołdrę. Nie czuła się jeszcze gotowa na nadejście dnia.

Przypomniała sobie Lu, jak stoi obok Ricky'ego i oznajmia czystym głosem, że zamierza urodzić to dziecko. Bękart. Córka Mifaldy okazała się nie lepsza niż śpiewaczka operowa, która urodziła dziecko, nie mając męża, a potem porzuciła je w klasztorze, gdzie inne dzieci przeżywały je i rzucały w nie kamieniami.

To wszystko wina tej dzikiej krwi. Krwi, którą Lu po mnie odziedziczyła - pomyślała Mifalda. Ale wiedziała, że nie chodzi tylko o to. - Byłam dla niej zbyt surowa. Nie poświęciłam jej wystarczająco dużo uwagi, więc musiała szukać jej gdzie indziej. A co gorsza, pozwoliłam jej zauważyć, że nie zadowala mnie tradycyjna rola kobiety prowadzącej dom.

Mifalda z trudem wstała z łóżka. Czuła się ciężka, każdy ruch sprawiał jej wyraźną trudność - aż trudno było jej samej uwierzyć, że jeszcze kilka dni temu puszkując pomidory, uwijała się w kuchni. Zaczęła się ubierać. Rozplotła długi warkocz, który robiła na noc, rozczesła włosy i upięła je w kok. Następnie włożyła gorset, mający nadać pozory talii figurze, która straciła kształty z biegiem lat, bo nie było już mężczyzny, dla którego mogłaby o nią dbać. I wreszcie domowa sukienka - planowała się jeszcze przebrać, zanim przyjdzie ten chłopiec, który ma wprowadzić je do swojej rodziny. Sięgnęła do szafy i wyjęła sukienkę kupioną na dwudziestą rocznicę ślubu. Jej mąż chciał urządzać wielkie, wystawne przyjęcie, co uważała za kompletnie bezsensowne ze względu na to, że od dwudziestej piątej rocznicy dzieliło ich już tylko pięć lat. Ale zmarł, zanim doczekali dwudziestej trzeciej, więc cieszyła się, że nic wtedy nie powiedziała.

Sukienka miała kolor bladolawendowy i była z jedwabiu żakardowego - dziś, w czasie wojny, nie dostałoby się już w sklepach takiego materiału. I nadal na nią pasowała. Wiedziała to, bo mierzyła ją wcześniej. Nie chciała spotkać się w zbyt ciasnej sukience z przyszłą teściową swojej córki. Planowała też włożyć kape-

lusz w małe fiołki, pasujący do sukienki. Chciała pokazać Gasparim, że mają do czynienia z godną kobietą... kobietą, która ma swoją dumę...

Kobietą, której córka oddała się ich synowi jak pospolita dziwka!

Nagle Mifaldzie zakręciło się w głowie. Upuściła sukienkę i usiadła na brzegu łóżka, pochylając się na tyle głęboko, na ile pozwalał jej gorset. Siedziała tak, dopóki nie minęło zamroczenie, po czym podniosła sukienkę z ziemi, otrzepała ją i rozłożyła na łóżku.

Lu czekało w rodzinie Gasparich ciężkie życie. Nie było sensu udawać, że może być inaczej. Całe New Haven wiedziało, że matka Ricky'ego to szlachetna, ale zimna jak lód kobieta. Na pewno zgodzi się z tym, że jej syn musi ożenić się z Lu - nawet gdyby miało to zrujnować nadzieje, jakie w nim pokładano - po czym nioślaby ten krzyż jak prawdziwa męczennica. Pozostawałaby z pewnością uprzejma wobec niechcianej synowej. Nigdy nie podniosłaby głosu ani nie wypowiedziała głośno oskarżeń. Ale chłód mógł ranić bardziej niż ciosy. Jeśli chodzi o ojca Ricky'ego, ludzie bez przerwy plotkowali, jak ogromne ma ambicje. Dziewczyna, której ojciec był właścicielem sklepów spożywczych, a matka nadal mówiła po angielsku z włoskim akcentem, dziewczyna, której rodzina pochodziła z nieodpowiedniej części starego kraju - nie była żoną, jakiej chciałby dla jednego ze swoich synów. Rozwścieczy go wieść o tym ślubie. A jeśli w pogłoskach o nim było choć ziarno prawdy, Mifalda nie sądziła, żeby zachował w tej sprawie milczenie.

Ale najgorszy w tym wszystkim był sam Ricky. Na razie czuł się zawstydzony i winny, więc próbował sobie wmówić, że chce ożenić się z Lu. Jednak każdy widział, że to nieprawda. Jak długo potrwa, zanim zacznie mieć żal do dziewczyny, która go usidliła - nawet jeśli zrobiła to niechcący? Mifalda wyobraziła sobie Lu stojącą tak prosto, jak tylko mogła, pełną życia, z oczami lśniącymi ze szczęścia. Ile lat życia u boku matki Ricky'ego i jej cichego wyrzutu wystarczy, żeby złamać jej ducha? Ile lat wściekłości ojca i goryczy męża na zawsze zgasi światło w tych oczach?

Mifalda otrząsnęła się. To się już nie liczyło. Na świat miało przyjść dziecko, które powinno mieć dwoje rodziców i dom. Przyzwoity dom. W rodzinie Mifaldy nie będzie więcej bękartów. Ani sierot. A jeśli Lu ma zapłacić za to ogromną cenę - niech i tak będzie. Sama to na siebie ściągnęła. Mifalda odwiesiła lawendową sukienkę do szafy, żeby się nie pogniotła, po czym zeszła do kuchni.

Stała w drzwiach. Lu siedziała przy stole kuchennym. Siedziała skulona, jakby bolał ją brzuch - tak zresztą pewnie było po tych niekończących się porannych mdłościach. Coś zaczęło narastać w Mifaldzie, kiedy stała w drzwiach i patrzyła na tę dziewczynę - coś głębszego niż gniew.

Ostrzegałam Carminego, że coś takiego może się wydarzyć - rozmyślała. - Pozwalanie jej na publiczne występy, zabieranie jej do Nowego Jorku na spektakle i wypełnianie jej głowy bzdurami - ostrzegałam go, że nic dobrego z tego nie wyniknie. A on mówił: „Robisz z igły widły”. I co, kto miał ostatecznie rację, Carmine? A kto teraz posprząta bałagan, którego narobiłeś? To ja muszę wepchnąć własną córkę w złe małżeństwo. Moją córkę, która wychodzi do świata z uśmiechem na twarzy. To ja muszę ją wepchnąć w złe życie.

Lu odwróciła się. Była blada, a na jej policzkach widniały ślady zaschniętych łez.

- Przepraszam, jeśli cię obudziłam, mamó - odezwała się.

Mifalda była na skraju wybuchu. Myślisz, że mogę spokojnie spać po tym, co zrobiłaś? - chciała krzyknąć. - Już nigdy nie będę mogła spać spokojnie. I nie zasługuję na to. Ale Lu nadal siedziała zgarbiona. Wy-

glądała na... pokonaną. Mifalda podeszła do niej. Była na tyle blisko, że mogła pogłaskać jej kręcone włosy, ale nie wyciągnęła ręki.

- Wszystko będzie dobrze - rzekła. - Teraz to wygląda źle, ale wszystko się ułoży.

Lu spojrzała na nią udręczonym wzrokiem.

- Boję się, mamó - wyznała.

Głowa Lu była tak blisko - nic by jej nie kosztowało wyciągnięcie ręki. Mifalda odwróciła się i podeszła do kuchenki, żeby nastawić kawę.

- Nie martw się - powiedziała krzepiąco. - Ten chłopak, Ricky... zrobi, co będzie trzeba. Dziecko dostanie nazwisko.

Usłyszała, że Lu wstała, poczuła, jak podeszła do kuchenki, ale nie odwróciła się, żeby spojrzeć córce w oczy. Nie chciała widzieć tego udręzonego spojrzenia.

- Nie tego się boję - powiedziała Lu. - Wiem, że Ricky się ze mną ożeni. Chodzi o dziecko.

Skoncentruj się na kawie - nakazał głos w głowie Mifaldy. - Odmierz odpowiednią ilość ziaren i włóż je do metalowej części ekspresu. Jeśli skupisz się na kawie, nie będziesz musiała patrzeć w te oczy.

Ale wtedy Lu szepnęła:

- Boję się, że nie zdołam pokochać tego dziecka, mamó. Wiem, że nie zdołam tego zrobić. - I nie dało się już uniknąć spojrzenia jej w twarz.

- Pokochasz to dziecko, bo nie będziesz miała wyboru - stwierdziła Mifalda.

Lu pokręciła głową. Smutek i ból w jej oczach były bardzo głębokie.

- Nie jestem taka jak ty, mamó. Nie umiem poświęcić życia czemuś, czego nie chcę, i wmawiać sobie, że wszystko jest w porządku. To dziecko odbierze mi wszystko, o czym marzyłam. Nie chcę nienawidzić biednego, bezbronnego dziecka, ale boję się, że tak się stanie.

- Kiedy przyjdzie na świat... zmienisz się - Mifalda wyjąkała słowa, które brzmiały mało przekonująco nawet dla niej. Witała wszystkie swoje dzieci z radością, niezależnie od tego, co sama czuła, ale Lu bardzo się od niej różniła. - Nauczysz się je kochać...

- Naprawdę, mamó? - zapytała Lu. Jej głos brzmiał teraz mocno. - Naprawdę? Możesz mi obiecać, że nie będę czuła gniewu? Możesz obiecać, że nie będę go wyładowywała na tym dziecku?

I kiedy tak Mifalda patrzyła na swoją córkę, z niewiadomego powodu przez jej umysł przemknął obraz dziewczynki o marchewkowych włosach, jeżdżącej na łyżwach po zamrzniętym stawie, dziewczynki w czerwonej sukience odsłaniającej kolana. Robiła piruety i wyskakiwała w powietrze, fruując nad taflą lodu. Mogła jeździć tak daleko i tak szybko, jak pozwalały jej ładne nogi. Widziała ten obraz tylko przez kilka sekund, ale to wystarczyło. W jednej chwili Mifalda zrozumiała, jak musi postąpić.

- Usiądź - nakazała córce.

Przynajmniej raz Lu zrobiła, co jej kazano. Wróciła do stołu i usiadła. Mifalda kończyła parzyć kawę, obmyślając gorączkowo szalony plan, który przed chwilą przyszedł jej do głowy, i szukając w nim luk i minusów, jakichkolwiek słabych punktów. Kiedy upewniła się, że niczego nie przeoczyła, nalala kawę do dwóch kubków, zniosła je na stół i usiadła naprzeciw córki.

- Oto, co zrobimy - powiedziała. Zamilkła na chwilę, żeby dolać sobie do kawy trochę śmietanki. Głos miała tak spokojny, że aż się zdziwiła. - Ricky nie powie dziś o dziecku rodzicom. A ty za niego nie wyjdiesz.

- Mamo, ale...

- Cicho! - zabrzmiał spokojnie głos, w którym Mifalda nie rozpoznawała samej siebie. - Pojedziesz do Kalifornii. Powiemy wszystkim, że kiedy zeszłej wiosny odwiedziłaś tam żonę Eddiego, poznałaś chłopca i zakochałaś się w nim. Pojedziesz tam, żeby za niego wyjść. Zrobisz to szybko, bo ten chłopiec zaraz wyruszy na wojnę. Tak jak twój brat Eddie.

Mówiła spokojnie. Upiła łyk kawy. Jej ręce były pewne.

- Po ślubie dowiesz się, że spodziewacie się dziecka. Ale twój mąż zginie na wojnie, zanim się ono urodzi, a ty wrócisz do domu. A ponieważ jesteś taka młoda, to ja wychowam dziecko. Ty pojedziesz do Nowego Jorku robić to, co chcesz robić.

Na twarzy Lu malowały się szok i zaskoczenie. Jej oczy wydawały się ogromne - ale powoli zaczęło znikać z nich cierpienie. A więc twoja mama może cię jeszcze zaskoczyć - pomyślała Mifalda. - Twoja mama ma asa w rękawie.

- Mamo, ale nie możemy... - zaczęła protestować Lu.

- A kto nas powstrzyma? Ricky? On będzie tak szczęśliwy, że się z tego wywinął, że zacznie skakać z radości jeszcze na ulicy. Jeżeli będzie nam robić jakieś problemy, powiemy o wszystkim jego nadętemu ojcu. Ten człowiek na pewno byłby nawet skłonny nam zapłacić, żeby tylko jego syn nie musiał się z tobą żenić. A poza Rickym i twoim bratem Pauliem - który będzie trzymał gębę na kłódkę, bo tak mu nakażę - czy ktokolwiek inny o tym wie?

- Nikt - szepnęła Lu. - Nigdy nikomu nie powiedziałam o Rickym i o mnie. On też nikomu nie mówił.

- A więc załatwione.

- Mamo... czy ty chcesz to zrobić?

- A czy ty chcesz zajmować się dzieckiem?

- Nie - odpowiedziała Lu bez wahania.

- W takim razie poradzę sobie.

Lu chciała ją przytulić - Mifalda czuła, jak bardzo tego chciała - ale pozostała na swoim miejscu.

- Kocham cię, mamo - powiedziała tylko.

- W każdą niedzielę będziesz przyjeżdżała z Nowego Jorku, żeby odwiedzić mnie i dziecko - nakazała Mifalda. - Będziesz pojawiała się tu o takiej porze, żeby móc pójść z nami na mszę.

Lu skinęła głową. Siedziała wyprostowana, a oczy lśniły jej ze szczęścia.

Lu spędziła w Kalifornii półtora roku, po czym wróciła do New Haven jako wdowa. W ramionach trzymała dziecko - małą dziewczynkę z rudozłotymi włosami i dużymi, pięknymi zielonymi oczami. Będziemy musiały mówić, że jej ojciec był Irlandczykiem - pomyślała Mifalda. - Masz za swoje, Carmine. Po czym wyciągnęła rękę, żeby wziąć dziecko. Ale Lu nie oddawała dziewczynki.

- To Rose, mamo - powiedziała, a jej głos, zwykle tak pewny i twardy, zadrżał. Mifalda opuściła rękę. - Pamiętasz, co ci pisałam? Nazwałam ją na cześć ciotki taty z Włoch, tej, która miała na imię Rosella - głos Lu

zaczął drżeć, a oczy wypełniły się łzami. - Kiedyś mi o niej opowiedział. Została w kraju, kiedy wszyscy inni przyjechali tutaj. Pomyślałam, że cieszyłby się, gdyby dziecko dostało po niej imię...

Po twarzy ciekły jej łzy. Lu musnęła policzek małej.

- Jest śliczna, prawda, mamó? Czy moje dziecko nie jest śliczne? - Mifalda mogła tylko skinąć głową, bo głos uwiązł jej w gardle. - Zwykle ubieram ją na niebiesko i zielono, te kolory chyba najbardziej pasują do jej oczu. Wszystkie ubranka spakowałam do walizki...

- Lu - Mifalda zmusiła się, żeby wypowiedzieć jej imię. - Czy ty zmieniłaś zdanie?

W tej samej chwili dziewczynka odwróciła się do niej i uśmiechnęła. I wiedziała, że jeżeli Lu powie „tak”, pięknie jej serce. Chciała, żeby dom, który stał się tak pusty i cichy, rozbrzmiewał znowu głosem dziecka. Chciała, żeby na podłodze leżały dziecięce zabawki i żeby w powietrzu unosił się zapach talku.

Ale to Lu była matką dziewczynki, więc Mifalda musiała zadać to pytanie:

- Chcesz zatrzymać Rose?

Proszę, Najświętsza Panienko, niech ona powie, że nie. Pozwól, żebym mogła zaopiekować się tym ślicznym dzieckiem, żeby wypełniło mi dni i resztę życia.

Milczenie trwało całą wieczność. Wreszcie Lu spojrzała jeszcze raz na córeczkę i pokręciła przecząco głową.

- Nie - powiedziała łagodnie. - To nie byłoby wobec niej uczciwe.

Podala córkę Mifaldzie, po której policzkach też zaczęły płynąć łzy.

Później tej nocy, kiedy już Lu położyła się spać, Mifalda wyjęła śpiącą Rose z kołyski.

- To ja, twoja *nonna*, kochanie - szepnęła do dziecka. - A ty jesteś moją maleńką Rose.

I kiedy tak patrzyła na małą, okrągłą buzię, pomyślała: Jestem teraz starsza. Moja dzika krew wreszcie się uspokoiła. Tym razem zrobię to dobrze. Poświęcę tej maleńkiej istocie tyle uwagi, że nie będzie musiała jej szukać u obcych. Udowodnię jej, że kobieta może być szczęśliwa we własnym domu. Przekona się, że nareszcie czuję się dobrze w swoim życiu. I oddam jej całe serce.

Kiedy Rose miała pięć lat, jej *nonna* zabrała ją na lodowisko w New Haven i zapisała dziewczynkę na lekcje jazdy figurowej.

# ROZDZIAŁ 14

New Haven

2008

Carrie i jej wujek wrócili do Seaview Manor. Zatoczyli pełne koło i znowu stali na tarasie. Za nimi zaczęło zachodzić słońce. Różowe i pomarańczowe pasy na niebie odbijały się jak lśniące wstążki na szarobłękitnej powierzchni oceanu.

- To chyba jedno z najpiękniejszych miejsc, jakie kiedykolwiek widziałam - powiedziała Carrie.

- Tak, rodzina Gasparich zawsze wybierała najlepsze rzeczy.

- Rodzina Gasparich?

Wujek Paulie zachichotał.

- Myślałem, że się domyślisz. Tu znajdowała się kiedyś Villa Veneto. Kiedy powstał tu dom spokojnej starości, wybudowano dodatkowe piętro i boczne skrzydło. Ale hol, przez który weszłaś... to tam znajdowała się główna sala. Tam poznali się twoja babcia i dziadek.

Po raz pierwszy tego długiego, wypełnionego opowieściami popołudnia Carrie pomyślała o chłopaku Lu jako o swoim dziadku.

- A co stało się z Rickym Gasparim? - zapytała. - Próbował kiedyś spotkać się z mamą? Była w końcu jego dzieckiem...

Wujek Paulie pokręcił głową.

- Ricky przeżył wojnę. Ale nie został w New Haven. Od razu pojechał do Kalifornii, tak jak zapowiadał. Zawsze uważałem, że wyjechał tak szybko, bo nie chciał oglądać dziecka, które porzucił - ale kto to może wiedzieć? Zaczęło mu się powodzić w Hollywood, takie przynajmniej chodziły słuchy. I wtedy uległ wypadkowi. Jechał na motorze autostradą wzdłuż wybrzeża, gdy uderzył w niego samochód. Zginął na miejscu. To mógł być pięćdziesiąty albo pięćdziesiąty trzeci. W New Haven zorganizowano nabożeństwo żałobne i Lu przyjechała na nie z Nowego Jorku. Była smutna z powodu tego, co się stało, widziałem to, ale wtedy zdążyło już upłynąć siedem czy osiem lat, od kiedy ostatni raz widziała Ricky'ego. Myślę, że czuła się tak, jak mogłabyś się czuć, słysząc, że zmarł ktoś, z kim umawiałaś się w liceum - a nie ojciec twojego dziecka.

- Jak to miło z jej strony.

Wujek Paulie westchnął, a jego westchnienie przepełniał delikatny wyrzut.

- Lu nigdy nie była miła - powiedział. - Nie udawała, że taka jest. Ale o wielu jej cechach Rose nigdy ci nie wspomniała. Na przykład, odkąd Rose skończyła sześć lat, Lu utrzymywała ją i mamę, i opłacała dom w New Haven - cały ten kram. W tym czasie była już chyba gwiazdą, ale zdobycie kolejnego angażu w teatrze nigdy nie było łatwe. Musiało jej być naprawdę ciężko z tym brzemieniem, które niosła, ale nigdy się nie skarżyła.

- Myślałam, że wasza rodzina należała do zamożnych. Co się stało ze sklepami?

- Księgowy taty okazał się beznadziejny w interesach, czego zresztą mama się obawiała. A kiedy mój brat Carmine junior wrócił z wojny, żeby przejąć biznes... no cóż, był miłym człowiekiem - niech spoczywa w pokoju, zmarł kilka lat temu - ale znał się na tym jeszcze mniej. Po wojnie gospodarka kwitła - chłopcy wracali, żenili się, rodziły im się dzieci. Trzeba było prawdziwego talentu, żeby akurat wtedy splajtować, ale Carmine zdołał to zrobić. Stracił wszystkie trzy sklepy taty. A mama po prostu nie rozumiała, że nie może już wydawać tyle, co w czasach, kiedy tata przynosił pieniądze do domu. Chciała kupować Rose najlepsze rzeczy, bo ta mała dziewczynka stała się światłem jej życia. Lu musiała co miesiąc przesyłać jej niezłą sumkę, żeby miały z czego żyć. - Wujek Paulie pokręcił głową. - Tak naprawdę wspierała nie tylko mamę i Rose. Kiedy skończyłem służbę, pojechałem na południe, żeby rozkręcić biznes z kumplem - lokal z hamburgerami, ale to ostatecznie nie wypaliło. I Lu nam pomogła. Później Eddie porzucił pracę lekarza, bo chciał odnaleźć samego siebie - tylko że wtedy tak tego nie ujmował. Uważaliśmy, że jest po prostu leniwy. Żona porzuciła go na rok, aż wreszcie się opamiętał. Przez cały ten czas Lu utrzymywała ją i trójkę ich dzieci. Lu przyjeżdżała do New Haven, kiedy tylko mogła, ale nie zjawiała się w każdą niedzielę, jak chciała mama - była od tego daleka. I nie twierdzą, że w ciągu tych lat spędzała z Rose dużo czasu, bo nie spędzała. Ale częściowo winę za to ponosiła mama. Nigdy nie zabierała Rose do Nowego Jorku, do Lu. Nie lubiła show-biznesu, który stał się całym życiem Lu. Mama powtarzała, że nie chce wystawiać na to wszystko dziecka. Nie chciała nawet pójść do Shubert Theater w New Haven, gdzie odbywały się próby jednego ze spektakli Lu, wystawianego później w Nowym Jorku. To Lu miała ją odwiedzać - tak to sobie wyobrażała. Lu nigdy tego nie kwestionowała. Po prostu płaciła za wszystko.

Paulie zdjął ciemne okulary. Słońce już zaszło, a niebo o niesamowitym, żółtoszarym kolorze stapało się powoli z oceanem. Wkrótce miał zapaść rozświetlony gwiazdami zmrok.

- Trwało to do czasu, kiedy Rose skończyła trzynaście lat - powiedział wujek Paulie. - Wtedy mama zmarła. A Rose musiała zamieszkać z Lu.

Carrie wyobraziła sobie, jak trzynastoletnia dziewczynka, której śmierć zabrała ukochaną babcię, staje w drzwiach domu kobiety, która jej nie chciała.

- Musiało jej być ciężko - powiedziała. - Biedna mama.

- To chyba nie było łatwe dla żadnej z nich - odparł wujek Paulie. - Ale trudno mi o tym mówić, nie mieszkalem z nimi.

- A coś słyszałeś?

- Wiesz, jest osoba, która mogłaby ci powiedzieć więcej...

- Wujku, nie mogę zadzwonić do babci.

- Dobrze. Musisz przecież pozostać dobrą córeczką. - Znów westchnął z żalem. Ten człowiek naprawdę umiał wzbudzić w niej poczucie winy. - Jeżeli przyjdzie mi do głowy ktoś inny, kto mógłby ci pomóc, dam znać.

Wujek Paulie odprowadził Carrie na parking. Pomógł jej wsiąść do auta, jakby zrobiona była z delikatnej porcelany, po czym ucałował jej dłoń. Rycerskość żyje i ma się świetnie w mojej rodzinie - pomyślała, ruszając. Wtedy zdała sobie sprawę, jak wielką przyjemność sprawiły jej słowa „moja rodzina”. Na całym świecie była tylko jedna osoba, której chciała - nie, musiała - o tym powiedzieć. No, może dwie. Oczywiście Zoe, bo Zoe na pewno czekała niecierpliwie na jej telefon. Ale jeszcze bardziej chciała o tym wszystkim opowiedzieć

Howiemu. Wiedziała, że on zrozumie, całkowicie i w pełni. Tak jak zawsze wszystko rozumiał. Zanim pozwoliła mu odejść - dla jego własnego dobra.

Wyjechała z parkingu przy Seaview Manor, dawniej znanego jako Villa Veneto, i ruszyła z New Haven na Manhattan, powtarzając drogę, którą odbyła jej babcia wiele lat temu. Howie także dostrzegłby symboliczny wymiar tej sytuacji.

Carrie знаła Howiego od trzech lat, czterech miesięcy, dwóch tygodni i sześciu dni. Poznali się, kiedy dentysta, który leczył ją, gdy była nastolatką i później, poszedł na emeryturę. Zapobiegliwy doktor Lichtman przekazał wszystkim swoim pacjentom listę potencjalnych zastępców - chociaż jego zdaniem żaden z tych nowych, młodych stomatologów nie dorastał do pięt takiemu staroświeckiemu profesjonalistcie jak on. W związku z tym, kiedy nadszedł czas, żeby Carrie umówiła się na powtarzane co pół roku czyszczenie zębów, zadzwoniła do gabinetu doktora Howarda C. Bendela.

- Nazwiska na liście doktora Lichtmana zostały ułożone w kolejności alfabetycznej, a pan był drugi, bo pańskie nazwisko zaczyna się na „B” - zaczęła chaotycznie tłumaczyć, usadawiając się w fotelu dentystycznym Howiego. - Dentystka nad panem nazywała się Ahearn, a jej gabinet znajduje się w Queens. To dla mnie za daleko, bo mieszkam na Manhattanie. A pańska recepcjonistka powiedziała mi przez telefon, że ma pan higienistkę, która czyści zęby zamiast pana. Pomyślałam, że może mi się to spodoba, bo doktor Lichtman zawsze robił to sam - to znaczy czyszczenie zębów - a to nie zawsze było takie dobre, bo w ciągu ostatnich kilku lat jego ręce zaczęły coraz bardziej drżeć i kilka razy zranił mi dżiąsła tym ostrym narzędziem, którym zdrapujecie kamień. Ostatnim razem, kiedy do tego doszło, powiedział, że to moja wina, ale tak naprawdę miał skurcz palców i wszędzie było mnóstwo krwi...

Przerwała i spojrzała na nowego dentystę. Doktor Bendel miał biały kitel, ale nie zdążył jeszcze włożyć okularów ani maski. Opierał się o ścianę i patrzył na nią. Był niewysoki i szczupły. Miał kręcone brązowe włosy, mocno niebieskie oczy i usta wręcz stworzone do śmiechu. Przełożył jedną nogę przez drugą, skrzyżował ręce, ale wyglądał zwyczajnie, w żadnym wypadku nie wydawał się sztywny. Uśmiechał się.

- Dentyści mnie przerażają - wyjaśniła Carrie.

- Nigdy bym się nie domyślił - powiedział doktor Bendel.

- No cóż, jestem raczej stoikiem. Uważam, że takie rzeczy należy ukrywać.

- Z doskonałym skutkiem.

Kiedy wyczyścił jej zęby, zrobił przegląd i zapewnił, że nie ma ubytków - mimo że w ostatnim czasie zjadała całe tony czekolady, bo rozkręcała biznes trufłowy i nie dawało się wypróbować nowych przepisów, nie sprawdzając, co wyszło - spojrzał na nią i powiedział:

- Za jakiś kwadrans wybieram się na lunch. Może chciałaby pani pójść ze mną?

A kiedy Carrie się zawahała, dodał:

- Wiem, że to niespodziewana propozycja, ale uznałem, że biały kitel i ten dziwaczny strój w stylu Potwora z Głębin, który zgodnie z przepisami muszę nosić, mogą wydać się nieco odpychające - im szybciej zatrę to pierwsze wrażenie, tym lepiej. Zwykle dbam o ubiór. I chcę, żeby uważała mnie pani za faceta, który ma naprawdę świetny gust i zabiera panią na eleganckie lunche.

A ponieważ była pozbawiona godności, zapytała:



- Jak bardzo eleganckie?

- Myślałem o Luc Latesse.

- Ale tam trzeba czekać na stolik miesiącami.

- No cóż, ja nie muszę. Jestem... kimś w rodzaju stałego klienta - wydawał się nieco skruszony i zawstydzony, co uznała za naprawdę urocze.

- Praca dentysty to musi być coś.

- Nie jest zła, ale to nie stąd wynika mój sukces w Luc Latesse. *Maître d'hôtel* ma córkę... śliczna dziewczyna, ale kiedy ją poznałem, jej dolna szczęka wyglądała zupełnie inaczej. Zajęło nam to cztery lata, przerobiliśmy dwa różne aparaty - niedawno wygrała swój pierwszy konkurs piękności w New Jersey. Miss Fort Lee, czy coś takiego. Więc pójdzie pani ze mną na lunch?

Poszła. Czekala na niego przy barze w Luc Latesse. Kiedy się pojawił, miał kaszmirową marynarkę w kolorze karmelu, idealnie pasującą do jego szczupłej sylwetki, a do tego niebieską koszulę dopasowaną do koloru oczu.

- Miał pan rację - powiedziała.

- Co do Luc Latesse?

- Co do tego, że ma pan świetny gust.

Trzy tygodnie później Carrie znalazła nowego dentystę, bo Howie miał bzika na punkcie zasad i nie chciał spotykać się z pacjentką.

Powiedział, że zakochał się w niej po przemowie, którą wygłosiła na temat jego nazwiska i higieny jamy ustnej. Stwierdziła mu uwagę, że jest kompletnie obłąkany, ale była zachwycona, że docenił tę część jej osobowości, która odpowiadała „słodkiej idiotce”. Dotąd spotykała się z poważnymi młodymi mężczyznami zamierzającymi ratować świat. Prowadzili praktyki prawnicze w podupadłych częściach miasta o wysokich wskaźnikach przestępczości albo spędzali część roku, lecząc ludzi w krajach pozbawionych bieżącej wody. Howie przyznawał otwarcie, że poszedł na stomatologię, bo uznał, że tam będzie łatwiej niż w akademii medycznej - ale kiedy już został dentystą, naprawdę polubił tę pracę. Zabierał Carrie do Radio City Music Hall na Rockettes, do zoo na Bronksie i na wszystkie mecze Jankesów. Lubił dobre restauracje, ładne ubrania, filmy akcji - szczególnie te jednocześnie zabawne - i powtórki serialu *Law and Order*. „Lubię wiedzieć, że mogę obejrzeć sobie jakiś odcinek o dowolnej porze dnia i nocy - tłumaczył. - A dobrzy faceci wygrywają tu w osiemdziesięciu pięciu procentach przypadków. Gdyby tak było w stu procentach, nie wytrzymałbym, ale osiemdziesiąt pięć procent to idealna dawka prostej rozrywki”.

Nie mogła uwierzyć, że przyznawał otwarcie, iż lubi proste rozrywki.

- Naprawdę lubisz się dobrze bawić? - zapytała.

- Chyba jak każdy?

Carrie zastanawiała się, czy nie opowiedzieć mu o matce, która spała na kanapie, żeby przekazać więcej pieniędzy przytułkowi dla bezdomnych. Zrezygnowała.

Howie uwielbia seks. Nie było w tym żadnego napięcia, brawury ani późniejszych pytań: „Dobrze ci było?”, które - jak zakładała Carrie - miały być wyrazem czułości, ale zawsze kojarzyły się jej z zebraniem o aplauz. Budząc się w gustownie urządzonym mieszkaniu Howiego, pełnym jasnych, drewnianych mebli, po-

krytych niebiesko-brązową tapicerką - myślała, że bycie z nim przypomina zatapianie się w miękkiej, wygodnej kanapie.

Howie zaprosił Carrie, żeby spędziła Święto Dziękczynienia razem z jego rodziną.

- Mama przygotowuje wszystkie potrawy tak jak wtedy, kiedy byliśmy dziećmi. Ale nadal mieszka w mieście i nie ma u niej dość miejsca dla wszystkich. Mamy z moim bratem Mike'em i jego żoną dom w Katonah, więc Mike wysyła zwykle samochód po mamę i jedzenie. Moglibyśmy się z nią zabrać, gdyby nie przeszkadzało ci trzymanie indyka na kolanach.

Carrie od dziecka marzyła, żeby podczas Święta Dziękczynienia zjeść obiad w prawdziwym domu - w wieku siedmiu lat zrozumiała, że u nich nie ma co na to liczyć. Ale teraz, kiedy miała możliwość zjedzenia świątecznego posiłku w prawdziwej jadalni z prawdziwą rodziną, nie mogła sobie na to pozwolić.

- Matka i ja zawsze spędzamy Święto Dziękczynienia wspólnie...

- Może pojechać z nami.

Carrie usiłowała wyobrazić sobie, jak mówi matce, że jadą do Katonah samochodem prowadzonym przez szofera. Zadrzała.

- Zawsze podajemy obiad w przytułku i nie sędzę...

- O której?

- Zwykle przychodzimy tam koło dziesiątej rano, żeby pomóc w przygotowaniach, a jedzenie podajemy w południe, więc kończymy około wpół do drugiej...

- Świetnie - powiedział. - Zgromadzenie dzieci przy stole zajmuje moim siostrą tyle czasu, że nigdy nie zaczynamy jeść przed drugą. Powiem mamie, żeby w tym roku przygotowali wszystko troszkę później, i pojedą pomóc tobie i twojej mamie z podawaniem jedzenia w przytułku. A potem ty i ja wskoczmy do pociągu i dojedziemy do nich.

W jego ustach brzmiało to prosto, ale tak nie było. Carrie nie mogła po prostu „wskoczyć do pociągu”. Rose uważała, że to poniżające i obraźliwe, kiedy ludzie pokazują się w przytułku i przez kilka godzin podają jedzenie podczas Święta Dziękczynienia i Bożego Narodzenia, po czym uciekają jeszcze przed deserem. „Mieszkańcy przytułku nie potrzebują takich symbolicznych gestów - powtarzała. - Nie potrzebują, żeby im przypominać, że inni ludzie mają domy i życie, do których starają się wrócić jak najszybciej. Spędź z nimi całe święta albo zostań w domu. Nie pozbywaj się poczucia winy ich kosztem”.

Ale Howie powiedział:

- Naprawdę chciałbym, żebyś poznała moją siostrę, Claire. Ona nie wierzy, że jej zidiociały młodszy brat zdołał znaleźć kogoś tak niesamowitego jak ty.

Więc Carrie się zgodziła. Próbowała sobie wmówić, że jeśli przyjdzie do przytułku jeszcze wcześniej niż zwykle, zrekompensuje to jej wcześniejsze wyjście. Próbowała sobie wmówić, że ten jeden raz matka zrozumie.

Howie miał świetny kontakt z pracownikami przytułku i jego mieszkańcami. Podwinął rękawy koszuli z monogramem - jego rodzina zawsze lubiła się nieco wystroić na święta - i zdjął z kuchenki ogromne garnki ze słodkimi ziemniakami i sosem. Nakrył stoły, pokroił indyka i nałożył wszystkim purée. Co jakiś czas, ku rado-

ści dzieci, pędził do świetlicy, żeby zerknąć na transmitowaną w telewizji paradę z okazji Święta Dziękczynienia.

Ale zanim podano ciasto z dyni i kawę, odwinął rękawy, pomógł Carrie włożyć płaszcz i powiedział:

- Musimy lecieć, jeśli mamy zdążyć na pociąg.

Kiedy wszyscy ściskali się z nimi i całowali na pożegnanie, prosząc, żeby się pospieszyli, Rose wycofała się do kuchni, żeby zająć się szorowaniem brudnej patelni.

- Nawet się ze mną nie pożegnała - powiedziała Carrie, kiedy znaleźli się na ulicy. - Przez cały dzień ledwo się do ciebie odzywała...

- Daj jej trochę czasu - poradził Howie. - Nigdy nie musiała się tobą z nikim dzielić. Nie podoba jej się to.

Objął Carrie na chwilę, po czym dodał:

- Przywyknie do tego. Albo i nie. To zależy od niej.

Rose nie przywykła. I nie chodziło tylko o to, że nie chciała dzielić się Carrie.

Bezkompromisowa Rose nigdy nie mogła zrozumieć, co jej córka widzi w niefrasobliwym Howiem.

- Czy on ma jakiegokolwiek prawdziwe pasje? - zapytała niedługo po Święcie Dziękczynienia. - Cokolwiek, dla czego by się poświęcił?

Ale Howie nie był zwolennikiem poświęceń i wyrzeczeń - jeśli tylko można było znaleźć inne rozwiązanie. I zdecydowanie unikał wpadania w poczucie winy. Niestety, Carrie nie mogła poradzić sobie ze swoimi wyrzutami sumienia. Leżeli w łóżku, jedząc lody czekoladowe i oglądając Jerry'ego Orbacha i Sama Waterstona w *Law and Order*, a Carrie słyszała w głowie znajomy słodki głos matki: „Czy nie jesteś odrobinę samolubna, kochanie? Czy nie dogadzasz sobie za bardzo?”. Niekiedy Rose z jej głowy robiła się nieco bardziej wojownicza. „Mogłabyś przynajmniej czytać w tym czasie jakąś dobrą książkę!” - mówiła. Tamtego dnia, w gabinecie w przytułku, prawdziwa Rose pytała:

- Nie uważasz, że Howie jest troszkę... no cóż... płytki? O dziwo, Howie rozumiał Rose.

- Twoja matka żyje w zupełnie innym świecie - tłumaczył. - Uważa mnie za nudziarza. W pewnym sensie ma rację...

- Nie ma - przerwała mu Carrie, z zapalem pragnąc go uspokoić, ale on tego nie potrzebował.

- Oczywiście, że jestem nudziarzem, w porównaniu z kimś takim jak Rose Manning - stwierdził z uśmiechem. - Ale świat potrzebuje też nudnych ludzi. Czy wyobrażasz sobie, co by się działo, gdyby każdy miał równie silną osobowość jak ty i twoja matka?

- W ogóle nie jestem do niej podobna! Jak możesz tak mówić?

Opuścił głowę, dotykając brodą jej czoła.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo jesteś podobna, kochanie. Jeszcze nie.

- Nie wydaje mi się, że bym była do niej podobna.

- Nigdy nie lekceważ genetyki. Pochodzisz z rodu zdecydowanie ponadprzeciętnych kobiet.

Nie żeby Howiego obchodziło, czy jest przeciętna, czy ponadprzeciętna. Chciał tylko być z nią szczęśliwy. I na tym polegał problem.

- Ja po prostu nie wiem, czy umiem być szczęśliwa - wyznała Carrie, gdy w desperacji zadzwoniła do Zoe w środku nocy. - Nie nauczono mnie tego. A poza tym, kto powiedział, że należy dążyć właśnie do szczęścia? Czy nie powinniśmy przejmować się bardziej tym, co robimy tu, na ziemi, i śladami, które zostawiamy?

- E tam - skwitowała jej najlepsza przyjaciółka. Ale z czasem wątpliwości i lęki zaczęły narastać.

- Carrie, kochanie, uspokój się - powtarzał Howie.

Tego też nie potrafiła zrobić. Po roku Howie jej się oświadczył. Powiedziała „tak”, bo nie mogła odmówić. Przez kilka miesięcy krążyła po Manhattanie w iluzji czegoś, co zdiagnozowała jako szczęście - najwyraźniej nie potrzeba do tego jednak specjalnych treningów, tylko po prostu odpowiedniego faceta. Ale później powróciło stare, dobrze jej znane, dławiące ją stopniowo uczucie. Bała się, że w obecnej sytuacji jest skazana na klęskę w innych dziedzinach życia. A wtedy Howie, który zdecydowanie zbyt dobrze ją traktuje, pograży się razem z nią.

Wszystko rozstrzygnęły ostatecznie plany weselne. Howie marzył o wielkim przyjęciu.

- Ty i twoja matka na pewno macie mnóstwo osób, które chciałybyście zaprosić. Wesele będzie wspaniałe.

Carrie usiłowała wyobrazić sobie artykuły w prasie, gdyby oznajmili, że córka Rose Manning urządza przyjęcie weselne na dwieście osób. Tej samej Rose Manning, która - jak wiecznie przypominał dział kontaktu z mediami archidiecezji - spała na kanapie, żeby móc przekazać więcej pieniędzy dzieciom z przytułku. Córka tej Rose Manning, którą nazywano Aniołem Manhattanu i która nie tylko wygłaszała przemowy o dobroczynności, ale tą dobroczynnością po prostu się zajmowała. „Na świecie jest tylu potrzebujących - oświadczyła Rose w wywiadzie niedługo po tym, jak Howie i Carrie się zaręczyli. - Jak mogłabym myśleć o wydawaniu pieniędzy na jakiś kaprys, kiedy mam świadomość, że na świecie są dzieci, które kładą się spać głodne?”.

Tymczasem Howie zastanawiał się nad zaproszeniem dwustu pięćdziesięciu gości.

Carrie uznała, że jej ukochany ma prawo ożenić się z kimś, kto nie jest nienormalny.

- Pochodzę z rodziny, w której ludzie wzajemnie się krzywdzili - powiedziała mu po tym, jak odwołała ślub. - Nawet jeśli nie będę chciała cię ranić, na pewno to zrobię.

Żadne jego słowa nie mogły zmienić jej decyzji. Gdy się żegnali, Carrie nawet nie płakała. Zaczekała, aż Howie odejdzie. Dopiero wtedy wybuchnęła spazmatycznym szlochem. Myślała, że nigdy nie przestanie.

Carrie zbliżała się już do domu. Zdołała przetrwać drogę I-95 i autostradę przez Bronx, nawet nie skręciła przez pomyłkę w stronę New Jersey, gdy wjeżdżała na Henry Hudson. Więc oczywiście w chwili, kiedy gratulowała sobie zwycięstwa, zaczął dzwonić telefon. Nie mogła odebrać podczas jazdy - pomijając już fakt, że było to niezgodne z przepisami, nie miała tak podzielnej uwagi, żeby robić tyle rzeczy naraz - zjechała więc na bok na 168 Ulicy i zdołała wyłowić z torebki ten cholerny telefon akurat w chwili, kiedy przestał dzwonić.

Okazało się, że dzwonił wujek Paulie. Zostawił wiadomość.

- Przyszedł mi do głowy ktoś, kto może ci pomóc - zaczął triumfalnie. - Nazywa się George Standish. Zawsze, kiedy Lu występowała w jakimś spektaklu, George dyrygował orkiestrą. Ale był kimś więcej niż dyrygentem - był jej najlepszym przyjacielem. Powinien wiedzieć, co przed laty zaszło między Lu i Rose. Poszukam jego numeru i zadzwonię do ciebie. Jest jeszcze starszy ode mnie, ale to nadal bardzo sprawny mężczyzna, więc będzie to równie przyjemne jak rozmowa ze mną.

Carrie włączyła silnik. Uznała, że to całkiem miłe mieć uczynnych krewnych.

- Howie, udało mi się!

- Carrie? To ty?

- Chciałam ci tylko powiedzieć, żebyś wiedział, że pracuję nad zamknięciem spraw z przeszłości. Odnalezieniem korzeni. Albo raczej zdrowia psychicznego. Wszystko jedno. Wczoraj pojechałam do New Haven. Prowadziłam samochód, Howie! Zadzwoiłam do mojego wujka - tak naprawdę to cioteczny dziadek - i zrobiłam to, co zawsze mi doradzałeś. Zadałam mu miliony pytań o mamę i jej matkę i o resztę rodziny. I dowiedziałam się mnóstwa fascynujących rzeczy. Mieszkali w takim starym domu, wujek Paulie mnie tam zabrał i zjedliśmy najlepszą pizzę na świecie - dawniej nie kładło się mozzarelli na pizzę, nie miałam o tym pojęcia - i opowiedział mi o Lu i tym jej chłopaku, to znaczy on był właściwie moim dziadkiem...

- Carrie...

- Ty i Zoe mieliście rację. Muszę dowiedzieć się wszystkiego. Zamierzam zadzwonić do dyrygenta orkiestry, z którą występowała Lu. Dasz wiarę, Howie? Moja babcia miała taką pozycję, że kiedy grała w jakimś spektaklu, mogła zażądać własnego dyrygenta. Wujek Paulie mówi, że ten George może mi powiedzieć...

- Carrie, która jest godzina?

- Po siódmej. Siódmej rano, leniu. Jeśli jeszcze nie wstałeś, to powinieneś. Chcesz zrobić sobie kawę? Poczekam.

- Wiesz... chodzi o to... to nie jest najlepszy moment... I wtedy usłyszała szept. Kobięcy szept.

- Och - powiedziała Carrie, marząc o tym, żeby należeć do kobiet, którym w takich chwilach przychodzi do głowy dobra riposta. Pomyślała, że nie chciałaby nigdy więcej się tak poczuć. Najbardziej zdziwiło ją, jak bardzo ją to zabolalo. - Och - powtórzyła.

I udowadniając, że nie potrafi wymyślić nawet idiotycznego komentarza, dodała:

- W porządku, w takim razie nie przeszkadzam - po czym odłożyła słuchawkę.

Drugiej rozmowy telefonicznej tego ranka nie zaczęła sama. Po kłapie z Howiem Carrie nie zadzwoniła do Zoe i nie dała upustu swojej frustracji i złości. Howie nie zrobił nic złego, więc Carrie nie miała powodu do irytacji. Powiedziała sobie, że zyska w jego oczach, wykazując zrozumienie. Owszem, zaatakowała co prawda swoje zapasy chipsów śmietanowo-serowych, ale nie płakała - była pewna, że i za to powinna przyznać sobie parę punktów. Kiedy kilka minut po ósmej zadzwonił telefon, okazało się, że to Zoe.

- Co tam u ciebie? - zapytała Zoe.

- A u ciebie? - odpowiedziała szybko Carrie. Może jednak zaczynała powoli żałować swojej niezdolności do formułowania ciętych ripost. - Porozmawiajmy o tobie. Jak minął ci dzień?

- Właśnie obtoczyłam sześć tuzinów trufli z wodą różaną. Jak było wczoraj w New Haven?

- Sześć tuzinów? O rany! Zużyłaś chyba tony kakao!

- Tak, a pogoda jest wspaniała. Dlaczego uprawiamy jakieś bzdurne rozmówki? Co się stało?

- Nie będziesz tu zgrywała Rhody dla mojej Mary. Ani Ethel dla mojej Lucy. Albo Vicki Lawrence dla mojej Carol Burnett...

- Naprawdę powinnaś przestać oglądać *Nick at Night*.

- Nie stanę się neurotyczną, pochłoniętą sobą bohaterką, która robi ze swojej najlepszej przyjaciółki głupiego pomagiera. Barbra Streisand grała taką rolę we wszystkich tych filmach z lat siedemdziesiątych...

- Mogłabyś też zrezygnować z kanału ze starymi filmami.

- Wiesz, o czym mówię.

- Carrie, możesz na mnie liczyć. To ty wysłuchiwałaś mnie przez trzy lata, kiedy czekałam, aż Drań rozwiedzie się wreszcie ze swoją żoną. Trzydzieści sześć miesięcy usiłowałaś mnie przekonać, żebym przestała wierzyć mu na słowo. Dwa telefony dziennie. Pobiłam swój rekord, kiedy zadzwoniłam do ciebie pięć razy w ciągu jednej nocy.

- To co innego.

- Dzwoniłam do ciebie do szpitala tuż po tym, jak wycięli ci wyrostek. Zanim przestało działać znieczulenie. Więc powtarzam: co się stało?

- Zadzwoniłam dziś rano do Howiego, żeby opowiedzieć mu o New Haven.

- Okej, może było jeszcze trochę za wcześnie na pogawędki, ale nie rozumiem...

- Ktoś u niego był.

Nastąpiła chwila ciszy. Zoe przetrawiała tę informację.

- Mówiąc „ktoś”, masz na myśli?...

- „Ktoś” szeptał coś w tle. Kobięcy głos.

- Och - Zoe znowu musiała przyswoić tę wiadomość. Po chwili zaczęła ostrożnie:

- Hmm, Carrie, ale czy nie tego chciałaś? To znaczy... przecież to ty wycofałaś się na trzy dni przed ślubem, bo nie wiedziałaś, kim jesteś, i bałaś się, że w końcu go skrzywdzisz.

- Wiem.

- Kiedy kupił ten dom w Katonah, powiedziałaś, że cieszysz się, bo chcesz, żeby ruszył dalej ze swoim życiem.

- Tak. I naprawdę chcę - powiedziała Carrie. - Po prostu jestem trochę... zdziwiona.

- Rozumiem.

- Może trochę smutna.

- Tak.

- To zupełnie naturalna reakcja.

Milczenie po drugiej stronie telefonu trwało długo. Kiedy Zoe znowu się odezwała, zwróciła się do Carrie tym zdecydowanym tonem, którego używała wobec właścicieli eleganckich delikatesów spóźniających się z płatnościami.

- Zadzwoni do swojej babci - nakazała.

- Czy ja coś przegapiłam? Kiedy zaczęłyśmy rozmawiać o niej?

- Rozmawiamy o tobie. Musisz wziąć się w garść, i to szybko.

- Nie rozumiem, dlaczego...

- Wiem, że nie rozumiesz. Zaufaj mi. Znajdź Lu. Porozmawiaj z nią.

- Właściwie zamierzam zadzwonić do jej dawnego dyrygenta. Myślę, że może okazać się bardzo pomocny...

Zoe przerwała jej, naśladując gdakanie kury.

- Bardzo dojrzała reakcja - powiedziała Carrie.

- Posłuchaj opowieści drugiej strony z perspektywy babci - nakazała Zoe. - Do cholery, wysłuchaj jej. Może Lu po prostu ci powie, co wydarzyło się między nią a twoją matką. Czy to nie byłoby krzepiące?

- Nie mogę. Nie wiem, co zrobiła Lu, ale to naprawdę zraniło matkę.

- Matki robią takie rzeczy, odkąd w epoce jaskiniowej pierwsza kobieta powiedziała córce, że w niedźwiedziej skórze jej biodra wydają się za szerokie. Tyle że większość córek im wybacza.

- Matka nie potrafiła. O cokolwiek chodziło, to musiało naprawdę boleć.

Zoe zamilkła po raz kolejny, po czym zapytała zrezygnowanym tonem:

- Kiedy spotykasz się z tym dyrygentem?

- Nazywa się George Standish. Zaraz do niego zadzwonię.

- Powodzenia, Mary.

- Dzięki, Rhoda.

## ROZDZIAŁ 15

Nowy Jork

2008

George Standish był naprawdę wysoki - Carrie wydawało się, że ma prawie dwa metry. Musiał ważyć ponad sto kilogramów. Jego łąsą głowę okalały siwe loki, na nosie miał okulary - w ciemnych oprawkach tkwiły naprawdę grube szkła. Na spotkanie przyszedł ubrany na czarno: czarne spodnie, czarny skórzany pasek z dyskretną czarną klamrą i czarna koszula bez kołnierzyka. Nie przypominał jednak księdza - dodatki wyjaśniały wszystko: na nadgarstku ogromna złota bransoleta, w uszach kilka złotych kolczyków, a na palcach pierścionki. I chociaż musiał mieć około osiemdziesięciu lat, był wciąż - jak zapowiedział wujek Paulie - w pełni sprawny.

Mieszkał w majestatycznej przedwojennej kamienicy przy 57. Zachodniej, naprzeciwko Russian Tea Room.

- Oczywiście znałem ją dawniej, kiedy to naprawdę była rosyjska herbaciarnia. - Prychnął. Winda, wyłożona boazerią, z pluszową wykładziną na podłodze i ogromnym lustrem w złotych ramach na tylnej ścianie, poniosła ich szybko w górę na siedemnaste piętro, do mieszkania, które George określił jako swoją kryjówkę. - Kiedy się tu wprowadziłem, to właśnie w Russian Tea Room należało się pokazywać. Stanley Marks codziennie jadał tam lunch i bez przerwy odbierał telefony. Siedział naprzeciwko szatni. - Zerknął na Carrie. - Nie masz pojęcia, o czym mówię, prawda?

Carrie pokręciła głową.

- Stanley był największym łowcą talentów na Manhattanie. Całymi latami reprezentował Lu. Myślałem, że wiesz... Ale ciągle zapominam o twojej matce.

George wznosił oczy do nieba.

- W każdym razie ta herbaciarnia była dla Stanleya drugim biurem. Wszyscy tam jadali: Woody i Kissinger, Nuriejew i Jackie Kennedy. I zapewniam cię, że nie chodziło o jedzenie, bo w najlepszym razie, kiedy mieli niezły dzień, wychodziło średnie. Ale w tamtych czasach to miasto miało duszę. Ludzie bywali w tej knajpie, bo Lenny Bernstein pisał pierwsze takty *Fancy Free* właśnie przy świetle, które odbijało się od samowarów w tej sali. Chodziliśmy tam z sentymentu. Pociągał nas ten prestiż, ta elegancja. Dziś ludzie uważają, że prestiż to naćpana gwiazdka telewizyjna, która idzie na odwyk.

Winda stanęła i drzwi się otworzyły. George wysunął się z niej - jak na swoje rozmiary i wiek poruszał się nadzwyczaj lekko - i ruszył przez obity wykładziną korytarz, ani na chwilę nie przerywając swojej opowieści.

- Pięćdziesiąta Siódma Ulica była kiedyś aleją show-biznesu. Znajdowało się tu mnóstwo szkół tańca, śpiewu, a także biura agentów. Widziało się aktorów z życiorysami w ręku, wchodzących do Chock Full o'Nuts na kanapkę z serem i oliwkami. Była tu też knajpka ze zdrową żywnością, gdzie małe baletnice piły sok z selera między lekcjami a ćwiczeniami w sali prób Carnegie, a dzieci naśladowujące Beverly Sills spacerowały, nucąc *Vissi d'arte*. To wszystko przeminęło. Zostały tu tylko pułapki na turystów i te koszmarne filie kiepskich hollywoodzkich restauracji. „Lokal dla całej rodziny”, tak je teraz nazywają. Od kiedy Nowy Jork ma być miejscem na wakacje dla rodzin z jakiejś dziury? Większość z nas przyjechała tu właśnie po to, żeby wyrwać się z zadupia.

Jako specjalistka od pełnych nienawiści przemów bezlitośnie szkalujących współczesny Nowy Jork, Carrie miała ochotę bić brawo, ale w tej chwili dotarli do drzwi jego mieszkania.

George wyciągnął klucz.

- Powiniennem się przeprowadzić. Myślałem o tym tyle razy, ale po prostu nie mogę. - Otworzył drzwi i wprowadził Carrie do środka. Hol był wielkości całego mieszkania Carrie, a pomieszczenie, jak oceniła, musiało mieć wysokość przynajmniej pięciu metrów. Podłogę pokrywał misternie wykonany parkiet, a dwie bogato zdobione kolumny najwyraźniej niczego nie podtrzymywały, tworzyły jedynie wejście do dalszej części „kryjówki” George'a. - To dlatego nie mogę porzucić mieszkania - powiedział George i wskazał jedną ze ścian.

Carrie zobaczyła dominujący nad całą resztą naturalnej wielkości portret mężczyzny, który wyglądał na trzydzieści kilka lat. Uśmiechał się tak szeroko, że nadawał nowe znaczenie określeniu „od ucha do ucha”. Miał na sobie coś, co przypominało dziwną kołdrę, którą ktoś przerobił na kimono. U góry strój ten był zwieńczony jaskrawymi skrawkami materiału, które w ogóle do siebie nie pasowały. Szalony twórca kreacji przyczepił nawet małego pieska maskotkę na rękawie tego dziwadła. Do drugiego przyszyto amerykańską flagę i bukiet róż - te dziwne artefakty stanowiły część szaty.

- To Davy - oznajmił George, jeszcze raz wskazując na ścianę. - Mój kochanek. Wiem, że dziś dzieciaki lubią o sobie mówić, że są „partnerami”, ale my byliśmy kochankami. Przez trzydzieści lat pozostawał miłością mojego życia. - Po chwili parsknął z wściekłością. - A teraz sukinsyn nie chce wypuścić mnie z tego mauzoleum. Przez ten cholerny obraz na ścianie nie mogę się stąd wyprowadzić.

- Nie możesz go jakoś przenieść? - zapytała zafascynowana Carrie.



- Został namalowany na ścianie! Rama wokół niego to tylko dodatek. Kazaliśmy go namalować bezpośrednio na tynku, bo chcieliśmy, żeby pozostał tu na zawsze - dopóki będzie stał ten budynek. Nie wiedzieliśmy, że Pięćdziesiąta Siódma Ulica zamieni się w cholerny Disneyland. Poza tym - dodał nieco spokojniej George - nie wiedzieliśmy, że Davy umrze pierwszy i zostanie z tym pieprzonym murałem.

- Jest... niesamowity - powiedziała Carrie.

- Jest tandetny, kochanie. Ale co mogę powiedzieć? Powstał tuż po tym, jak Davy dostał Cygańską Szatę po prawie dwudziestu latach w branży i chcieliśmy odpowiednio to uczcić. No, i powiedzmy to sobie szczerze: byliśmy tandetni.

- Co to jest Cygańska Szata?

- Nie wiesz? - zapytał z niedowierzaniem. - I ty jesteś wnuczką Lu Lawson?

Podeszli bliżej do ściany.

- Cygańska Szata, moje dziecko, to wspinała tradycja Broadwayu, dowód uznania dla talentu tancerzy rewiowych. A wiesz, że tancerzy w musicalu nazywa się „cyganami”, prawda?

Carrie tego też nie wiedziała, mimo to przytaknęła.

- Dzięki Bogu. Przynajmniej znasz podstawy - powiedział z zapalem. - Rytuał z szatą istnieje od lat pięćdziesiątych. Za każdym razem, kiedy na Broadwayu wchodzi na scenę nowy musical, jeden z tancerzy - zwykle ten, który śpiewał w największej liczbie spektakli i cieszy się największym powodzeniem - otrzymuje Cygańską Szatę. Podczas premiery tancerz wkładają i oficjalnie staje się królem lub królową Broadwayu. Paraduje po scenie, a wszyscy członkowie zespołu po kolei dotykają Szaty - uważa się, że przynosi to szczęście. Kiedy wchodzi nowy musical, Szatę przekazuje się dalej. Każdy wybraniec przyszywa na Szacie jakąś pamiątkę od siebie. Tancerz z *The Sound of Music* dodał na przykład welon zakonnicy - to jeden z dodatków, które przeszły do historii.

- A więc to był prawdziwy zaszczyt dla twojego... - Carrie powstrzymała się i nie wypowiedziała słowa „partner” - dla twojego kochanka.

- To miało dla niego ogromne znaczenie. - George spojrział na bransoletę na swoim nadgarstku. Widniała na niej inskrypcja, po której przesunął palcem. - Davy był tancerzem - powiedział. - Nigdy nie marzył o niczym więcej. Wystarczyło mu, że znalazł się w show-biznesie. Mnie też. Nie miałem nigdy wielkich ambicji.

- Ale zostałeś przecież dyrygentem, czy to nie jest wielkie osiągnięcie?

- Tylko dzięki Lu. Nie zrozum mnie źle, byłem dobrym muzykiem. Dyplom z fortepianu uzyskałem w Instytucie Curtisa, w naprawdę porządnym miejscu. Wielu absolwentów Curtis zrobiło prawdziwe kariery. Ale ja wiedziałem, że nie mam „tego czegoś”. Moja matka chciała, żebym wrócił do domu i uczył w szkole, ale zdążyłem już wtedy się ujawnić, co w tamtym okresie mogło oznaczać śmierć w konserwatywnej Pensylwanii. Poza tym kochałem musicale. Przyjechałem do Nowego Jorku w czterdziestym pierwszym i pomyślałem, że poszukam pracy jako akompaniator. - Roześmiał się. - Ja i jakiś milion innych dzieciaków, które umiały grać na fortepianie i nie chciały mieszkać w domu. To było bardzo popularne zajęcie, kochanie. Umarłbym z głodu, gdyby nie wybuchła wojna. Nie mogłem pójść do wojska, bo miałem słaby wzrok, więc byłem jednym z niewielu mężczyzn w moim wieku, którzy pozostali w mieście. Zacząłem pracować, po czym poznałem Lu, a reszta przeszła już do historii. Ale gdyby ona się nie pojawiła, mieszkałbym w Nowym Jorku w jakimś nędz-

nym mieszkanku i trenowałbym niedoszłych śpiewaków, dopóki nie odpadłyby mi palce. Davy i ja byliśmy po prostu parą marzących o scenie chłopaków z prowincji, którzy chcieli zbliżyć się choć trochę do wielkiego świata.

Carrie spojrzała na portret młodego mężczyzny o triumfującym uśmiechu, ubranego w zwariowaną szatę. Nagle przypomniały jej się tamte dwie soboty, które spędziła dawno temu na potajemnym poszukiwaniu informacji o ojcu i babci w bibliotece w Centrum im. A. Lincolna. Pamiętała, jak bardzo chciała poznać ich świat, jak frustrował ją fakt, że nie może go dotknąć, czytając książki i wycinki prasowe. Przypomniała sobie, jak zakradła się do teatru Vivian Beaumont i jaką magię tam odnalazła.

- Dziękuję - powiedziała. - Nie mam pojęcia o teatrze, o tym, jak to wszystko wygląda od środka. Zawsze chciałam poznać ten świat, ale... po prostu nie miałam okazji.

George domyślił się tego, czego nie powiedziała.

- Trzeba przyznać, że twojej matce musiało być strasznie trudno grać rolę żony Bobby'ego Manninga i córki Lu Lawson. Należeli do tych największych. Ale nie zostali stworzeni do życia rodzinnego i na pewno żyło się z nimi ciężko. Za taką wielkość się płaci. Nie mam pojęcia, jak wysoka powinna być ta cena - nigdy tego nie rozgryzłem - ale wiem, że jeśli ludzie robią takie rzeczy jak Bobby i Lu, nie może to być za darmo.

Przez chwilę Carrie pomyślała, że George zaraz zacznie śpiewać - albo się rozpłaczę. Ale wtedy wyciągnął dłonie w górę niczym kaznodzieja i zaintonował:

- Zaiste, bracia moi, tak oto dobiega końca ewangelia bzdur na dzisiaj. Pozwól, że oprowadzę cię po kryjówce.

Mieszkanie składało się z siedmiu pokoi pełnych wspaniałych detali architektonicznych, takich jak oryginalne gzymsy, które wyglądały, jakby zostały wyciśnięte w gigantycznym kawałku ciasta. Ale wystrój wskazywał raczej, że George i Davy nigdy do końca nie porzucili swoich korzeni. Ogromne przestrzenie wypełniała mieszanina mebli, których nie podporządkowano żadnemu stylowi czy kolorowi.

- To Davy przyniósł do domu większość z tych rzeczy - powiedział George, promieniejąc dumą. - Kiedy spektakl okazywał się klapą, w momencie, kiedy go zdejmowano i meble były ściągane ze sceny, zabierał to, co wydawało mu się potrzebne, zanim wszystko powędrowało na śmietnik.

Poza rekwizytami ze spektakli, które okazały się klapą, mieszkanie George'a wypełniały pamiątki teatralne. Ściany pokryte były plakatami, oprawionymi kopiami afiszów teatralnych, programami broadwayowskich musicali i setkami zdjęć ludzi, z którymi pracowali George i Davy. Szklana gablota w bibliotece prezentowała zdjęcia Davy'ego, grającego na pierwszej bazie w lidze softballu na Broadwayu. Półki prawie załamywały się pod ciężarem scenariuszy, partytur i albumów z wycinkami. Każdą wolną przestrzeń zajmowały pamiątki z miast, gdzie występowali, a także gigantyczna kolekcja szklanych kul z wirującymi płatkami śniegu, zabawek, wypchanych zwierząt i innych bibelotów, które - jak George poinformował Carrie - były prezentami otrzymywanymi podczas premier. Na ścianach łazienki dla gości wisiały oprawione telegramy z dni premiery. Z tego, co Carrie zauważyła, w całym mieszkaniu nie było ani jednej książki.

- Zmierzajmy na lunch - zaintonował George - nim uschniemy z głodu.

W kuchni dołączyły do nich trzy małe yorki.

- Są takie ciche, że nawet ich nie zauważyłam - powiedziała Carrie.

- Kiedy tatuś ma towarzystwo, siedzą sobie w sypialni - wyjaśnił George. - Davy i ja zawsze zabieraliśmy nasze pieski na próby, więc musiały nauczyć się odzywać tylko wtedy, gdy do nich mówiliśmy. Już nie chodzę na próby, ale dalej je trenuję.

George przygotował chili - zabójczo pikantne - i podał je z lodowatym piwem i z całą górą śmietany, żeby zrównoważyć ostrość. Później, kiedy psy zasnęły przy jego nogach, powiedział:

- Przez telefon mówiłaś, że masz do mnie jakieś pytania. Dawaj.

Carrie rzeczywiście miała pytania - całe dziesiątki, które znała już właściwie na pamięć, tak często o tym myślała. Ale w tej chwili tylko jedno przychodziło jej do głowy:

- Czy kiedy podczas premier wszyscy dotykali na szczęście Cygańskiej Szaty, Lu też to robiła?

- Wszyscy to robili. Dlaczego myślisz, że Lu miałyby zachowywać się inaczej?

- Bo była gwiazdą. Może uważała, że jest ponad to i nie chciała zadawać się z tancerzami rewiowymi - wyjaśniła. Moja matka mówiła, że Lu była egocentryczna - przypomniała sobie. - Wujek Paulie twierdził, że to nieprawda, ale to przecież jej brat. Dostałam trochę sprzecznych informacji o Lu.

George wiedział, od kogo pochodziły te negatywne.

- Boże, daj mi siłę - wymamrotał, po czym spojrzał Carrie w oczy. - Chcę, żebyś zapamiętała jedną rzecz: Lu Lawson była gwiazdą, ale nigdy nie zachowywała się jak gwiazda. Do diabła, kochanie, nikt nie musiał ciężiej walczyć o sławę niż ona i nigdy o tym nie zapomiała. Kiedy przyjechała do miasta, pod koniec czterdziestego czwartego, nie znała nikogo poza mną. Była kompletnie splukana. Spała u mnie na kanapie przez pół roku, bo nie stać jej było na płacenie czynszu i, jak mawiamy w branży, nie mogła się nigdzie „zaczepić”. Ludzie zaczęli ją nazywać Lu od Przesłuchań, bo chodziła dosłownie wszędzie: na wszelkie typy castingów, występy tancerzy rewiowych i wszystkie przesłuchania, na które ja i moi przyjaciele mogliśmy ją wepchnąć. Wysyłało ją tam też kilku agentów. Wszyscy widzieli, że ma w sobie coś wyjątkowego, ale po prostu nie pasowała do ówczesnego wzorca.

Zamilkł na chwilę, żeby nabrać na łyżkę pikantnego chili i śmietany.

- Pod koniec lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych role kobiece w musicalach na Broadwayu dzieliły się właściwie na dwie kategorie. Z jednej strony znajdowały się romantyczne bohaterki, które zawsze zdobywały swojego mężczyznę, bo były piękne i naprawdę głupie. Te role grały zazwyczaj doświadczone śpiewaczki z klasycznie ustawionymi głosami, zwykle soprany. Z drugiej strony były zabawne dziewczyny. Grały najczęściej dowcipne, ale nie tak oszalałmiająco piękne kobiety, które ostatecznie zdobywają swojego mężczyznę, bo potrafią go rozśmieszyć. Te role wymagały niższego, mocnego i nieco metalicznego głosu, czyli beltu, jak to się określa w branży. Belting był dużo trudniejszą techniką śpiewu i większość sopranistek nie chciała jej stosować, bo za bardzo obciążała struny głosowe.

Kiedy Lu przyjechała do Nowego Jorku, umiała fantastycznie śpiewać utwory z repertuaru sopranowego, ale nie mogła zagrać romantycznej heroiny. Była urocza, jednak nie należała do tych klasycznych piękności o brzoskwiniowej cerze, jakich łaknęła publiczność. A przede wszystkim nie potrafiła udawać wystarczająco głupiej. Była inteligentna i zabawna, a nikt nie chciał, żeby jakaś mądrała śpiewała *If I Loved You*.

Ciągle powtarzałem jej, żeby zmieniła styl śpiewania, ale Lu uwielbiała wyciągać wszystkie te śliczne dźwięki. Kiedy ostatecznie się poddała i poprosiła, żebym nauczył ją, jak obniżyć głos, płakała. Istotnie, nigdy

nie miała naturalnego beltingu jak na przykład Ethel Merman. Ale wypracowała ciekawą barwę, która pasowała do jej stylu gry. Zaczęła regularnie pracować. Dostała kilka dobrych recenzji i parę drobnych szans i wreszcie osiągnęła sukces - to była rola w spektaklu *Time Out for Love*. Właściwie rólka, ale Lu miała fantastyczny numer w drugim akcie i przedstawienie należało do niej. To był niezły skok, moja mała! Po tym Lu została gwiazdą i więcej już nie śpiewała w klasyczny sposób, bo stała się sławna jako zabawna dziewczyna, która śpiewa techniką beltingu.

Ale zawsze się bała, że zniszczy sobie głos. Dlatego kiedy miała już pozycję, nalegała, żebym to ja został jej dyrygentem. Wiedziała, że będę miał orkiestrę pod kontrolą i ochronię jej struny głosowe. Poza tym codziennie robiła ćwiczenia, których nauczył ją dawny nauczyciel śpiewu z New Haven. A rozgrzewając się przed występami - tego nigdy nie mogłem zrozumieć - śpiewała muzykę kościelną.

George pociągnął porządny łyk piwa.

- Czy to brzmi jak opis diwy? - zapytał.

- Nie - odpowiedziała Carrie.

Ale w jakiś sposób stała się częścią tego, co spotkało moją matkę, moją matkę, która przestała przyjmować komunię - zastanawiała się Carrie. - Cokolwiek jej się przytrafiło, wiem, że wszystko zaczęło się od Lu.

- Nigdy nie widziałem, żeby Lu odwołała występ - ciągnął George. - Nawet podczas środowych popołudniówek w sierpniu, kiedy w teatrze nie było klimatyzacji. W światłach sceny temperatura robiła się nie do zniesienia, ale Lu i tak dawała z siebie wszystko. I nie opuszczała żadnych występów. Pracowała, kiedy dopadła ją choroba, pracowała, kiedy była kompletnie wykończona...

Zamilkł na chwilę, po czym spojrzał na Carrie.

- I nie przestała pracować, kiedy zamieszkała z nią córka. Mimo że dzieciak dopiero stracił babcię. - Pociągnął kolejny łyk piwa. - Możesz ją za to winić, jeśli chcesz. Wiem, że Rose to robiła. Byłem tam, kiedy przyjechała, żeby zamieszkać z Lu po śmierci jej matki. To był rok pięćdziesiąty siódmy.

# ROZDZIAŁ 16

Nowy Jork

1957

To była środa, kurtyna opadła po popołudniowym przedstawieniu, a Lu siedziała w garderobie, owinięta w stary szlafrok. Garderobiana, Lynne, zabrała jej kostiumy do specjalnego pomieszczenia w piwnicy teatru, gdzie miały zostać wyprasowane i doprowadzone do porządku przed wieczornym spektaklem. Kolacja Lu - którą zawsze jadała tuż po skończeniu popołudniówki, żeby zdążyć strawić jedzenie przed następnym wyjściem na scenę - pochodziła z klubu 21. Nie musiała nawet sprawdzać, żeby wiedzieć, co było w środku: pieczony kurczak, gotowana na parze fasolka i pieczony ziemniak. Wiedziała, że jak zwykle zdejmie z kurczaka skórę, a do ziemniaka nie doda ani masła, ani soli. Poza tym, że jadła kolację wcześniej, starała się też jeść lekkie dania, kiedy miała przed sobą występ. Z deserów musiała zrezygnować, bo nabiał i słodczyce nie wpływały korzystnie na głos. W przerwach w spektaklu piła ciepłą wodę z miodem i cytryną. Lynne trzymała tę miksturę na płycie elektrycznej, specjalnie w tym celu zainstalowanej w garderobie Lu. Usiadła przy talerzu ze swoją kolacją i zaczęła zdejmować skórę z kurczaka.

Jej garderoba - garderoba gwiazdy - znajdowała się na pierwszym piętrze teatru, niedaleko sceny. Jej drzwi sąsiadowały z żelaznymi schodami, które prowadziły na drugie piętro, gdzie były garderoby pozostałych aktorów głównych. Tancerze rewiewi przebierali się na trzecim piętrze, w dwóch wspólnych pomieszczeniach - jednym dla chłopców, drugim dla dziewcząt. Lu słuchała, jak śpiewacy i tancerze, większość młodsza od niej, hałasują, schodząc po schodach, śmiejąc się i witając przyjaciół, którzy przyszlizli po nich, żeby pójść wspólnie na szybki lunch do Sardi's. Uwielbiany Vincent Sardi da im tam zniżkę, kiedy machną mu przed oczami legitymacją związku aktorów. Lu słuchała ze smutkiem zgiełku za drzwiami. Nigdy nie wychodziła z teatru pomiędzy przedstawieniami, chociaż wyglądało na to, że ludzie świetnie się wtedy bawią. Wróciła do obierania piersi kurczaka.

Gdyby tylko zobaczyła ją teraz publiczność - tę ich pełną energii, silną i niezależną Lu. Gdyby tylko zobaczyli szczegółowo zaplanowane życie, które wiodła, kiedy pracowała: drzemkę przed występem i wczesną kolację, dyscyplinę, która pozbawiała ją życia towarzyskiego i uniemożliwiała kontakty z kimkolwiek starszym od pięciolatka. Omijała większość wydarzeń towarzyskich poza tymi, w których musiała uczestniczyć ze względu na dziennikarzy. Rezygnowała z przyjęć z przyjaciółmi - mimo braku czasu miała ich sporo - i starała się wszystkie obowiązki, takie jak wywiady, załatwiać przed drugą po południu. Cały jej dzień podporządkowany był chwili, w której inspicjent stawał przed drzwiami garderoby i wołał: „Pół godziny do podniesienia kurtyny, panno Lawson!”.

Mama poświęciła wszystko rodzinie, a ja poświęcam wszystko pracy - pomyślała. Ale szybko porzuciła tę myśl. Praca była tego warta. Na scenie rozkwitała, nigdzie nie czuła się tak pełna życia, jak właśnie tam.

Skończyła obierać kurczaka, wytarła ręce w białą serwetkę dostarczoną przez 21, i zaczęła jeść. Za kilka minut George przyjdzie do jej garderoby i szczegółowo omówią właśnie zakończony występ, wyliczając

wszystkie możliwe błędy, które mogły się pojawić. Robili to po każdym spektaklu, żeby uniknąć potknięć, do jakich nieuchronnie prowadzi rutyna. Codzienny przegląd pomyłek dokonywany z George'em dyscyplinował Lu.

Po wyjściu George'a kładła się zwykle na łóżku polowym w kącie garderoby i spała godzinę, po czym zaczynała ćwiczyć głos i rozciągać się, żeby rozluźnić mięśnie przed wieczornym występem. Nigdy nie tańczyła na scenie, chociaż ruszała się na tyle dobrze, żeby sprawiać takie wrażenie - musiała jednak zachować zwinność ze względu na skoki, gwiazdy i szpagaty, które stanowiły znak firmowy występów Lu Lawson.

Rozgrzewka, sesja krytyczna z George'em, drzemka i perfekcyjnie skomponowany posiłek stanowiły część jej rytuału w te dni, kiedy grała popołudniówki - odtwarzała go z chirurgiczną precyzją w każdą środę i sobotę. A ta środa niczym się nie różniła od innych. To przynajmniej próbowała sobie wmówić. Ale kłamała. Wszystko było inne. Całe jej życie zostało wywrócone do góry nogami.

Obrany ze skóry kurczak był zbyt suchy, żeby mogła go przełknąć. Lu odsunęła talerz. Wiedziała, że musi teraz wejść w zupełnie nową rolę: rolę mamy. I jak na razie nie szło jej to najlepiej.

Jej matka zmarła, a córka musiała przyjechać tutaj i zamieszkać z Lu. To dziecko postanowiło ją nienawidzić. Zresztą może nie była to decyzja podjęta niedawno. Może Rose zawsze jej nienawidziła.

Lu zamknęła oczy i przypomniała sobie zdarzenie sprzed kilku lat. To były piąte urodziny Rose, a Lu przyjechała do New Haven z przedstawieniem, więc zabrała córkę i matkę - Rose nazywała Mifaldę Nonną w staroświecki włoski sposób - na zakupy. Poszły do Malleya, najlepszego domu towarowego w mieście, i skierowały się w stronę działu z lalkami, gdzie Rose miała wybrać sobie prezent. Wszystkie sprzedawczynie doskonale ją znały, co nie zdziwiło Lu. Były z Mifalda stałymi klientkami, a biorąc pod uwagę ogromne sumy, które Mifalda przeznaczała co miesiąc na ubrania i zabawki Rose, Lu uznała, że personel sklepu powinien wręcz przyklęknąć, kiedy dziewczynka wmaszerowała do środka. Sprzedawczynie w dziale lalek nie posunęły się do tego, ale wielokrotnie powtarzała, jak bardzo Rose wyrosła i jak śliczną stała się dziewczynką. Było jasne, że córka Lu uwielbia znajdować się w centrum uwagi.

Jest urodzoną aktorką, tak jak ja - pomyślała rozbawiona Lu. - Może mimo wszystko niedaleko padło jabłko od jabłoni.

Oczywiście to właśnie w tej chwili jakiś klient rozpoznał Lu Lawson, która występowała w spektaklu w miejscowym Teatrze Shuberta. Lu nie była wtedy jeszcze prawdziwą gwiazdą, ale New Haven było miastem teatru i wieść szybko rozeszła się po całym sklepie. Przez kolejnych dwadzieścia minut Lu otaczały zwartym kręgiem kobiety, pytające, czy główny aktor przedstawienia jest na żywo równie przystojny, co na plakatach i czy aktorka grająca główną rolę to rzeczywiście taka wiedźma, jak się o niej mówi. Kątem oka Lu zauważyła nadąsaną córkę, o której nagle wszyscy zapomnieli. Kiedy zamieszanie ustało, Rose nie chciała już wybierać urodzinowej lalki.

Czy to wtedy wszystko się zaczęło? Czy wtedy pojawiło się to uczucie, że ona mnie nienawidzi? - Lu dotknęła dłonią policzka i poczuła łzę spływającą jej po twarzy. - Co się, do diabła, ze mną dzieje? Przecież ja nie mam w zwyczaju płakać! Nie z powodu czegoś, co wydarzyło się dawno temu i czego nie mogę naprawić. I nie w dniu, kiedy czeka mnie popołudniowy spektakl. Wstała i podeszła do toaletki, żeby sprawdzić, czy się nie rozmazała. Nie doszło do większych szkód, tylko rozmazał się tusz lekko pod okiem. Szybko to naprawiła.

Gdyby musiała poprawiać cały makijaż między występami, nie miałyby czasu na drzemkę. Wróciła na krzesło i nadziała na widelec kawałek suchego kurczaka.

Nie opuszczały jej jednak myśli o córce. Niechęć, którą żywiła do niej Rose, ujawniła się ponownie podczas choroby Mifaldy. Matka Lu nie żyła od trzech miesięcy - ale ta strata była wciąż niezagojoną raną - zarówno dla Lu, jak dla Rose.

Chorobę Mifaldy zapowiadały bóle brzucha, które ignorowała do czasu, kiedy stało się to niemożliwe. Później nastąpiła wizyta u lekarza - wszyscy zakładali, że będą to zwykłe badania. Po niej nadszedł telefon od bełkocącego Pauliego, który łkał tak głośno, że Lu ledwo zrozumiała straszne słowo: „rak”.

Następnego ranka pognąła do szpitala w New Haven, gdzie zastała swoich braci płaczących na korytarzu przed pokojem matki. W środku trzynastoletnia Rose kładła właśnie zimny ręcznik na czole Mifaldy. Córka Lu mówiła jasnym, słodkim głosem:

- Wyzdrowiejesz, Nonna. Sprawię, że wyzdrowiejesz.

Lu musiała wydać jakiś dźwięk, bo Rose gwałtownie się odwróciła i spojrzała na nią. Kiedy się wyprostowała, Lu pomyślała: Jest równie wysoka, jak ja. Kiedy to się stało? Po czym powiedziała pierwszą rzecz, jaka przyszła jej do głowy:

- Jest wtorek. Dlaczego nie poszłaś do szkoły?

Twarz jej córki zaczerwieniła się. W oczach pojawiła się furia.

- Opiekuję się Nonną! - syknęła. - Wracaj do Nowego Jorku. Nikt cię tu nie potrzebuje.

Siła gniewu Rose zaszokowała Lu.

- Jesteś tylko dzieckiem. Nie możesz... - zaczęła, ale córka jej przerwała.

- Mogę! Nawet nie wiesz, co mogę. Nie znasz mnie!

Na pierwszy rzut oka było widać, jak jest wściekła i przerażona.

- Rose, nie możesz tu zostać - powiedziała łagodnie Lu. - Poproszę Pauliego, żeby zabrał cię do domu...

- Nie wyjdę stąd. Nie zmusisz mnie do tego.

W powietrzu zawisły nad Lu słowa: „Jestem twoją matką”. Ale nie mogła ich wypowiedzieć, boby skłamała.

- Wracaj do Nowego Jorku - powtórzyła Rose - i zostaw nas w spokoju.

Stały naprzeciw siebie w milczeniu. Przerwała je Mifalda, która próbowała usiąść w łóżku. Obie szybko się nad nią pochylały.

- Rose, pójdz do pielęgniarki i powiedz jej, że potrzebuję jeszcze jednego koca - odezwała się Mifalda.

Miała tak ochrypy i cichy głos, że Lu ledwo ją usłyszała. Rose nie chciała wychodzić, ale Mifalda powiedziała:

- Zimno mi, kochanie.

Dziewczynka zerknęła na Lu, po czym zostawiła matkę i babcię same.

Mifalda skinęła na Lu, żeby się zbliżyła.

- Nie odsyłaj Rose - poprosiła.

- Dzisiaj może zostać, mamó, ale jutro... - Za rękę złapała ją dłoń tak gorąca, że aż parzyła.

- Pozwól jej przychodzić codziennie. To już nie potrwa długo. Kiedy odejdę, potrzebna jej będzie świadomość, że pomagała.

- Mamo, ona jest za mała, żeby tu pomagać, i powinna to zrozumieć... - zaczęła tłumaczyć Lu, ale uścisk rozpalonej dłoni stał się jeszcze mocniejszy.

- Musisz traktować ją delikatnie - powiedziała Mifalda. - Rose nie jest tak silna jak ty i ja. Płynie w niej nasza krew - ma w sobie dzikość - ale ma też dumę Gasparich. Nie może naginać się w taki sposób, jak my to robimy. Pozwól jej żyć marzeniami.

Lu mogła tylko skinąć głową. A uścisk jej matki wreszcie się rozluźnił.

Przez kolejnych sześć tygodni przeżywała koszmar. Co wieczór, kiedy tylko kurtyna opadła w Nowym Jorku, pędziła do New Haven. Sypiała po kilka godzin w domu, w którym się wychowała, o świcie jechała do szpitala, żeby siedzieć przy łóżku matki, po czym mknęła z powrotem do Nowego Jorku, żeby zdążyć na występ. George nie miał dla niej uwag w czasie tych ponurych tygodni, a podczas podróży do New Haven i z powrotem zastanawiała się, czy jakimś cudem udawało jej się co wieczór porządnie wykonywać swoją pracę, czy po prostu traktował ją ulgowo. Nie pytała, bo nie chciała wiedzieć.

W New Haven stała się oparciem dla wszystkich. Jeżeli trzeba było podjąć decyzję dotyczącą zdrowia matki, bracia czekali na nią. Nawet Eddie, który zrezygnował z poszukiwania prawdy o sobie i znowu pracował jako lekarz w Kalifornii, był za bardzo roztrzęsiony, żeby przez telefon omawiać leczenie matki z zajmującymi się nią lekarzami. Wszystko było na głowie Lu. A kiedy tak załatwiała kolejne sprawy, miała świadomość, że bezustannie podąża za nią spojrzenie pełnych nienawiści zielonych oczu.

Wtedy nadeszło popołudnie, kiedy Mifalda przywołała Lu do łóżka i poprosiła ją głosem, który stał się cichszy niż szept, żeby zaśpiewała *Panis Angelicus*. Więc Lu zaczęła:

*Panis Angelicus Fit panis hominum;*

*Dat panis coelicus Figuris terminum:*

*O res mirabilis!*

I, *o res mirabilis*, jej głos - ochrypli z braku snu i długich lat beltingu na Broadwayu - wciąż brzmiał czysto i jasno, jak w czasach, kiedy uczyła się u maestra DiTullia. Mifalda zapadła w sen z uśmiechem na twarzy. Z rogu pokoju wpatrywały się w nią zielone oczy, których wyraz pozostawał niezgłębioną tajemnicą. Następnego ranka Mifalda odeszła.

Ktoś zapukał do drzwi garderoby. Lu ocknęła się z rozmyślań i zerknęła na zegarek. George przyszedł punktualnie. Rytualnie ucałowali się w powietrzu, George porwał chleb z jej talerza - to także był ich rytuał - po czym zabrali się do pracy.

- Sekcja smyczkowa w pierwszym numerze... - zaczęła Lu. Robili to od tak dawna, że używali już własnych skrótów.

- Drugie skrzypce wypadły płasko. Zająłem się tym.

- W drugim akcie...

- Tempo zbyt szybkie przy wejściu w duet. Zrobione - zamilkł na chwilę. Musiał nadejść ten poważniejszy zarzut i oboje o tym wiedzieli.

- Byłam zgaszona w ostatnim akcie - powiedziała Lu.



- Byłaś zgaszona przez cały spektakl - poprawił ją bez cienia litości George. - To trwa już od tygodnia.

Co się dzieje?

Mówiła sobie, że nie będzie o tym rozmawiać, ale usłyszała samą siebie, jak tłumaczy:

- Chodzi o moją córkę.

Wszyscy wiedzieli, że Lu ma córkę. Nigdy tego nie ukrywała. I, podobnie jak większość ludzi, George łyknął historię o mężu, który zginął na wojnie. A przynajmniej udawał, że łyknął.

- Jest w szkole z internatem, prawda?

- Chciałam ją tam posłać. - Lu ostrożnie rozmasowała skronie, starając się nie zniszczyć makijażu. - Znalazłam katolicką szkołę dla dziewcząt, nazywa się Marlboro Hall, tuż obok New Haven. Myślałam, że Rose łatwiej będzie zostać blisko miejsca, w którym dorastała, poza tym zawsze lubiła zakonnice z St. Mary's, więc uznałam, że w szkole parafialnej będzie się dobrze czuła. Naprawdę starałam się to wszystko przemyśleć. - Lu zamilkła na chwilę. - Strasznie jej się nie podobało w Marlboro Hall. Najpierw przestała jeść, a potem uciekła. Gdy zrobiła to po raz drugi, matka przełożona odesłała ją do mnie.

- Kiedy to się stało?

- Trzy tygodnie temu. - Lu zamknęła oczy. - Nie podobała jej się szkoła, którą znalazłam tu, na Manhattanie. A przecież to podobno jedna z najlepszych prywatnych szkół katolickich w mieście. Więc wynajęłam studentkę, która miała ją uczyć prywatnie. Ale Rose nie lubi Soni Pearl tak samo, jak nie lubiła nauczycieli z Marlboro Hall. Nie odpowiada jej sposób, w jaki mój kucharz przyrządza łazanie, bo nie wychodzi taka, jak jej Nonny. Nie podoba jej się też, że moja gospodyni ją ucisza, kiedy robię sobie drzemkę przed spektaklem. Ona po prostu mnie nie lubi.

- Tak naprawdę jest nieznośna - powiedział George.

Przez chwilę Lu cieszyła się, że to powiedział. Ale wtedy przypomniała sobie, co powiedziała jej matka: Rose nie jest tak silna jak ty i ja.

- George, ona właśnie straciła jedyną matkę, jaką kiedykolwiek miała.

- I wyładowuje się na tobie. To nie moja sprawa - dopóki nie widzę tego skutków na scenie.

- Aż tak źle?

- Wiesz, że tak. Co zamierzasz z tym zrobić?

- Nie mam zielonego pojęcia!

W tej samej chwili, jak na zawołanie, usłyszeli dochodzące z korytarza głosy. Portier krzyczał:

- Mówię ci, nie możesz tam wejść!

Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich Rose.

Była jak zwykle wściekła. Lu próbowała sobie przypomnieć, czy w ciągu ostatnich trzech tygodni widziała na twarzy córki cokolwiek oprócz gniewu, ale chyba nie. Rose ścisnęła w rękę zwinięty egzemplarz pisma „Variety”. Stojący za nią portier powiedział:

- Przepraszam, panno Lawson, próbowałem jej wytłumaczyć, że nikt nie może pani przeszkadzać pomiędzy występami...

- Wszystko w porządku, Henry - przerwała mu Lu. - To moja córka.

Po czym zamknęła drzwi, zanim zdążył zacząć długie przeprosiny, że nie rozpoznał jej dziecka. Zwróciła się do Rose:

- Co ty tu robisz? - zapytała.

- Piszą tu, że planujesz wyjechać z Nowego Jorku - powiedziała Rose. - To głupie przedstawienie, w którym występujesz, objedzie podobno cały kraj, a ty razem z nim.

Lu zamierzała ukrywać tę wiadomość przed córką do czasu, aż jej dziecko zdąży się przyzwyczaić do nowego życia. A może - pomyślała, uświadamiając sobie bolesną prawdę - nie powiedziała o tym Rose, bo chciała uniknąć tej sceny. Teraz w każdym razie musiała się z nią zmierzyć.

- Tak - przyznała. - Jadę na tournée. Kończymy występy w mieście i ruszamy ze spektaklem...

- I nie wrócisz aż do przyszłego września. Tak tu piszą.

- To prawda. Myślałam, że mogłabyś pojechać ze mną podczas najbliższych wakacji...

- Ale zostawisz mnie w tym brzydkim mieszkaniu na całą zimę.

Mama mówiła, żeby traktować ją delikatnie - przypomniała sobie Lu.

- Dlatego chciałam, żebyś poszła do Marlboro Hall.

- Nigdy tam nie wrócę! Nie obchodzi mnie, czego chcesz! Mama mówiła, żebym była łagodna...

- Mogę poszukać ci innej szkoły z internatem...

- Nie!

- Jeśli nie chcesz chodzić do szkoły z internatem, będziesz musiała mieszkać ze mną, a mój harmonogram...

- Nie cierpię mieszkać z tobą. Jesteś samolubna. Uważasz się za najważniejszą osobę na świecie. Śpisz rano, kiedy jem śniadanie...

- Pracuję do późna, Rose.

- Nonna jadła ze mną śniadanie co rano. Sama je dla mnie przygotowywała. Robiła wszystkie moje ulubione dania. Kiedy wracałam do domu, czekała z szarlotką, pytała, jak mi minął dzień i...

- I nie żyje.

Szorstkość tych słów sprawiła, że jej córka raptownie zamilkła. Zza pleców Lu usłyszała, jak George głośno wciąga powietrze.

Przepraszam, mamó.

Rose mrugała oczami, jakby ktoś ją spoliczkował. Na korytarzu hałasowali tancerze rewiewi, którzy wracali z przerwy, żeby przygotować się do wieczornego występu. Lu przegapiła drzemkę.

- Usiądź - nakazała córce. Przez chwilę myślała, że Rose się rozplacze. Ale duma Gasparich była silna. Rose usiadła na krześle przy toaletce.

- Żałuję, że twoja Nonna zmarła - powiedziała Lu. - Żałuję siebie, żałuję jej, ale przede wszystkim żałuję ciebie. Bo ty straciłaś najwięcej. Teraz zostałam ci tylko ja. Będę się starała. Będę się tobą opiekowała i zatrudnię ludzi, którzy będą się tobą zajmowali podczas mojej pracy, czyli przez większość czasu. Nigdy niczego ci nie zabraknie. Ale nie mogę przygotowywać ci szarlotki i lazanii. Kobieta, która to dla ciebie robiła, odeszła.

Pojadę w trasę i zostawię cię w Nowym Jorku, bo w przeciwnym razie występy się nie odbędą. A ludzie, którzy pracują przy tym spektaklu - ponad dwieście osób - stracą pracę. Z kolei ludzie w całym kraju,

którzy wykupili bilety ponad rok temu, bo chcieli mnie zobaczyć, zawiodą się. A ja staram się nie zawodzić ludzi.

Mówisz, że jestem samolubna. Masz rację. Jeśli mam występ i zachoruję, połowa publiczności pójdzie do kasy i zażąda zwrotu pieniędzy. Jeśli źle wypadnę, spektakl się nie uda, widzowie przestaną przychodzić i tytuł spadnie z afisza. A jeśli moje przedstawienia będą zdejmowane, nie będziesz miała żadnego mieszkania, nawet takiego, którego nie znosisz. I nie będziesz musiała się martwić o prywatną szkołę taką jak Marlboro Hall, bo nie będzie mnie na nią stać - przerwała.

Może przesadziłam - pomyślała. - Mama mówi, że ona musi żyć marzeniami. - Ale wtedy popatrzyła na swoją córkę. Spojrzenie Rose wydało jej się znaczące, niemal cyniczne.

- Nie, mamu, ona potrzebuje prawdy. A ja muszę ją wyznać.

Lu wciągnęła głęboko powietrze.

- Ale nie byłabym z tobą szczerą, gdybym próbowała ci wmówić, że staram się tylko zarobić na życie. Kocham to, co robię. Jestem w tym świetna i to też mnie cieszy. Nie zrezygnuję z pracy, bo daje mi szczęście - nawet jeśli to oznacza, że musisz czasem zachowywać się cicho, kiedy wolałabyś porozmawiać, i że nie ma mnie w domu wieczorem, kiedy jesz kolację - przerwała na chwilę. - Nie zrezygnuję, nawet jeśli będzie to oznaczało zostawienie cię samej tuż po tym, jak straciłaś Nonnę.

Rose nadal się w nią wpatrywała, ale cyniczny wyraz twarzy zniknął.

- Możesz tego nie akceptować - wyjaśniła Lu. - Taka już jestem. Ale plus jest taki, że nie złamiesz mi kariery, więc nigdy nie będziesz musiała czuć się winna. A kiedy przyjdzie czas na ciebie, zrobię wszystko, żebyś miała, co tylko zechcesz.

Po raz kolejny w pokoju zapanowała cisza. Wtedy Rose wstała. Po raz pierwszy nie płakała ani nie narzekała.

- Nie chcę iść do szkoły z internatem. Będę mieszkała w Nowym Jorku. I nie pójdę do katolickiej szkoły - powiedziała stanowczo. - Uwielbiałam siostry z St. Mary's, a ty próbujesz mi je zastąpić, ale to niemożliwe. Jest tu mnóstwo dobrych prywatnych szkół. Pójdę do jednej z nich. I chciałabym, żeby panna Pearl została i opiekowała się mną, kiedy wyjedziesz.

- Dobrze - odpowiedziała Lu, zastanawiając się, w którym, do diabła, momencie ta rozmowa zmieniła się w negocjacje. Ale mogło być gorzej. - I może tego lata, kiedy skończysz szkołę, będziesz mogła pojechać ze mną...

- O nie - zaprzeczyło stojące przed nią ładne dziecko. - Nie chcę jechać z tobą. Zostanę tutaj.

Lu pomyślała, że nie powinna czuć się zraniona. To byłoby bardzo nierozsądne.

- W porządku - powiedziała dziarsko. - A teraz muszę przygotować się do występu i musimy zdecydować, co z tobą zrobić. Jak tu dotarłaś?

- Powiedziałam portierowi u nas w domu, żeby zamówił mi taksówkę.

- Będę musiała mu powiedzieć, żeby nigdy więcej tego nie robił.

- Nie będziesz musiała. Więcej tego nie zrobię.

W jej głosie było coś dziwnego - rodzaj dojrzałości, której Lu nigdy dotąd nie widziała. Odpowiedziała więc po prostu:

- Wierzę ci. Dziękuję. Jej córka skinęła głową.

Lu spojrzała na zegarek. Za dziesięć minut oznajmia, że zostało jej pół godziny.

- W środy mój szofer ma wolne do czasu, aż będzie musiał odebrać mnie późnym wieczorem, ale gospodyni może wie, gdzie teraz jest. Jeśli zdoła go znaleźć, zabierze cię do domu.

Odwróciła się do zafascynowanego całą sceną George'a i powiedziała:

- Poproś w kasach, żeby zadzwonili do mnie do mieszkania.

- Skoro Rose już tu jest, może chciałaby obejrzeć dzisiejsze przedstawienie? - zaproponował George.

Lu odwróciła się do córki:

- Chciałabyś? - zapytała. Miała ochotę się zabić za to, że zadała to pytanie z żarliwą nadzieją w głosie. - Zawsze mamy kilka miejsc na wypadek, gdyby przyszli jacyś specjaliści goście.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała jej córka. Jej głos sugerował, że wolałaby oglądać kopulujące węże.

No cóż, czego się spodziewałaś? - zapytała Lu samą siebie.

Okazało się, że kierowca nie był potrzebny. Kiedy Lynne przyszła do garderoby Lu z odpowiednim strojem, Rose poszła z nią na dół do pokoju z kostiumami, gdzie - jak garderobiana poinformowała później jej matkę - okazała się bardzo pomocna. Wyglądało na to, że Nonna nauczyła ją przyszywać guziki, Rose była też specem od naprawiania zamków błyskawicznych. I świetnie szło jej pranie rajstop.

## ROZDZIAŁ 17

Nowy Jork

2008

- Czy moja matka kiedykolwiek widziała jakiś występ Lu? - zapytała Carrie. Zjedli już chili i od razu zabrali się z George'em do zmywania naczyń - nie opuszczali na razie jego olbrzymiej kuchni. Maleńkie, świetnie wychowane yorki siedziały rzędkiem i śledziły każdy ich ruch.

- Przez kilka lat Rose nie była na żadnym spektaklu Lu - powiedział George. - Potrafiła chować urazę naprawdę długo, nawet w dzieciństwie. Ale potem zaczęła bywać na premierach. I skupiła na sobie całą uwagę.

- Mama? - zapytała Carrie, choć nie powinno jej to zaskakiwać. Jej matka zawsze to potrafiła.

- Miała może... jakieś piętnaście lat - mówił dalej George - i była naprawdę piękna. Rose nie przechodziła fazy „brzydkiego kaczątka”, nie miała tej dziecięcej pulchności ani pryszczki. Wiedziała, jak się ubierać, wybierała pastelowe kolory i delikatne materiały - nic pretensjonalnego czy sztywnego. Nawet w latach pięćdziesiątych, kiedy wszystkie kobiety nosiły te upiorne suknie balowe. Nigdy się nie dowiem, w jaki sposób wyrobiła sobie taki gust. Lu nie miała go wcale. Zresztą jak wiele aktorek - zawsze wyglądają, jakby miały na sobie kostium. Ale Rose była zniewalająca. Dlatego podczas premier prasa poświęcała jej wiele uwagi, a Rose nauczyła się owijać sobie przedstawicieli czwartej władzy wokół palca.

Carrie przypomniała sobie trzy suknie, które jej matka kazała uszyć na publiczne występy, a także album z wycinkami w oprawie z białej skóry, schowany w jej komodzie na dnie szuflady.

- Jak to robiła? - zapytała Carrie.

- Kiedy jakiś reporter próbował zadać Rose pytanie, przyjmowała swoją firmową, wystudiowaną pozę: przechylała głowę i patrzyła na niego spod absolutnie zjawiskowych rzęs. Rose stosowała chwyt z delikatną skromnością na długo przed tym, jak księżna Diana pojawiła się ze swoją pozą Nieśmiałej Di. Wskazywała na Lu i mawiała: „To z nią powinieneś rozmawiać. Ja wcale nie jestem interesująca”. Po czym biegła do Lu i pomagała jej zdjąć płaszcz albo podawała kieliszek szampana. I oczywiście wszyscy się na to nabierali. Była skromnym małym Kopciuszkiem, który przypadkiem okazał się zabójczo piękny. - George przestał wycierać talerz, który akurat trzymał. - Zawsze zastanawiałem się, czy te rzęsy były sztuczne.

- Może to nie była gra. Może naprawdę była nieśmiała - powiedziała Carrie.

- Może. - George wzruszył ramionami.

- Wygląda na to, że nie przepadałeś za moją matką.

- Nie znałem jej. Nikt nie znał. A już na pewno nie Lu. Po tym, jak zmarła jej babcia, Bobby Manning był chyba jedyną osobą, która kiedykolwiek naprawdę poznała Rose. A przynajmniej tak było na początku.

## ROZDZIAŁ 18

Nowy Jork

1962

O dziesiątej rano lodowisko w Centrum Rockefellera było puste. Rose zrobiła na rozgrzewkę kilka okrążeń, po czym skierowała się w stronę wolnej przestrzeni na środku. To tam bardziej zaawansowani łyżwiarze uprawiali „styl dowolny” - tak określano piruety, skoki i inne wyszukane figury. Zwykli śmiertelnicy jeżdżący na łyżwach krążyli w swoim tempie wokół nich. Rose nie miała pojęcia, skąd wziął się taki obyczaj. Wiedziała tylko, że dotyczy to każdego lodowiska, włącznie z tym w New Haven Arena, gdzie uczyła się jeździć jako dziecko.

Etykieta łyżwiarska nakazywała, żeby - znajdując się pośrodku lodowiska - znaleźć sobie skrawek lodu i starać się pozostawać w jego obrębie. Wydawało się to dość trudne, bo trzeba było mieć wystarczająco dużo miejsca do ćwiczeń, a jednocześnie nie należało zajmować zbyt dużej przestrzeni. Ale tego ranka Rose była jedyną łyżwiarką w strefie uprzywilejowanej, więc mogła sobie pozwolić na większą swobodę. Rozejrzała się i wybrała miejsce, po czym, jak w każdy sobotni poranek odkąd była dzieckiem, zaczęła dopracowywać figury - wykonywała ćwiczenia stanowiące podstawę techniki jazdy figurowej. Zawsze zaczynała od ósemki. Chodziło o to, żeby wykonać obie pętle - na zmianę na jednej i na drugiej nodze - równo, bez kołysania, wahnień czy jakichkolwiek innych zaburzeń. Oznaczało to nużącą, ciężką pracę, ale Rose najbardziej lubiła tę część treningu.

Kiedy była mała, w każdy sobotni poranek Nonna opatulala ją w ciepły płaszczyk i przychodziła z wnuczką na lodowisko. Siadała na trybunie i obserwowała, jak jeździ. Mifalda nie mogła zrozumieć, skąd brała się u tego dziecka chęć do nieustannego szlifowania podstawowych figur.

- Inne dzieci prawie fruują, *cara* - mawiała, szcękając zębami z zimna, kiedy Rose podjeżdżała do barierki na przerwę. Nonna dawała jej wtedy filiżankę gorącej czekolady, którą zawsze przynosiła w termosie.

Pokazywała Rose innych młodych łyżwiarzy:

- Tamta dziewczynka w żółtej sukience nie jest tak dobra jak ty, ale spójrz, jak robi piruety i skacze. Wygląda, jakby świetnie się bawiła - po czym Nonna wyciągała zmarzniętą dłoń i głaskała Rose pod brodą. - Chcę, żeby moja Rose też dobrze się bawiła - mówiła smutno. A Rose zapewniała ją, zresztą zgodnie z prawdą, że świetnie się bawi. Bo naprawdę lubiła dopracowywać kolejne elementy. I nie chciała robić piruetów, bo wtedy łatwo było popełnić błąd i upaść. Rose nie potrafiła się przewrócić i po prostu zbyć tego śmiechem, jak inne dzieci. Upadek zawstydział i sprawiał, że wyglądało się głupio - nie mogła tego znieść. Trzymała się więc bezpiecznych figur i rzucała radosne uśmiechy swojej babci, która tak uwielbiała przyglądać się wnuczce na lodowisku.

Ale nadeszła straszliwa zima, podczas której Nonna była tak chora, że nie mogła już przychodzić na lodowisko i podawać jej gorącej czekolady z termosu. Rose zaczęła zjawiać się tam sama - razem próbowały udawać, że Nonna dobrze się czuje i że wszystko jest w porządku. W czasie tych sobotnich poranków, które Rose spędzała na kreśleniu perfekcyjnych ósemek i próbowała nie patrzeć na miejsce, gdzie siadywała zwykle babcia - poznała, czym jest prawdziwa samotność. Dowiedziała się, że utrata ukochanej osoby sprawia, że w naszym wnętrzu rozwiera się czarna, ziejąca pustka, której nie da się nigdy wypełnić. Wtedy obiecała sobie, że nie porzuci jej już nikt, kogo będzie kochała.

Rose odbiła się na zewnętrznej krawędzi lewej stopy, prawą nogę wyciągnęła do tyłu - przyjęła w ten sposób elegancką pozycję. Ugięła lewą rękę z przodu, a prawą trzymała z gracją przy boku. Kiedy jechała po okręgu, jej prawa noga i ręka powoli wysuwały się do przodu, żeby pomóc w obrocie. Lekko zmarszczyła brwi. Nie odbiła się wystarczająco mocno i wiedziała, że pojawią się trudności, kiedy dotrze do połowy pętli. Odrzuciła pokusę zatrzymania się i nie zaczęła całego ćwiczenia od nowa. Problem polegał na tym, że straciła formę.

Kiedy Rose przeniosła się do Nowego Jorku, przestała jeździć na łyżwach, bo przypominało jej to Nonnę, New Haven i wszystko, co zostało jej odebrane. Ale pół roku temu wróciła do łyżew. Przez sześć miesięcy co dzień rano przychodziła do Centrum Rockefellera i przez dwie godziny ćwiczyła. Dzięki temu miała przynajmniej po co wyjść z mieszkania matki.

Pochyliła się nieco, mając nadzieję, że nabierze w ten sposób rozpędu i zdoła dokończyć figurę. Kiedy znajdowała się na lodowisku, w dziwny sposób powracały do niej wspomnienia. Ból związany z utratą Nonny był dziś równie silny jak pięć lat temu, a gniew na matkę... czy on kiedykolwiek minie?

Tak naprawdę załóżki niechęci i żalu powstały, kiedy Rose była jeszcze dzieckiem. Każdego popołudnia Nonna ubierała ją w jedną ze ślicznych małych sukienek, ręcznie marszczonych i haftowanych, i zabierała na spacer po okolicy. Szybko zdobyły cały fanklub sąsiadów, którzy przyglądali się, jak urocza dziewczynka i jej dumna babcia odbywają codzienną przechadzkę. „*Che bellissima*” - słyszała Rose przez całe dzieciństwo. „Mój Boże, co za piękne dziecko, pani Leporello. Musi pani być naprawdę dumna”. Ludzie wyciągali ręce, żeby uszczypnąć idealne policzki Rose, całowali jej słodkie małe paluszki. Szybko nauczyła się, że nie należy się w takiej sytuacji cofać czy płakać. Kiedy stała spokojnie i lekko się uśmiechała, chwalono ją jeszcze bardziej. A mała Rose lubiła pochwały - i to bardzo.

Ale kiedy miała sześć lat, jej życie zmieniło się raz na zawsze. Wcześniej matka była co prawda intruzem w jej świecie - ale intruzem mało istotnym. Lu pojawiała się, żeby zjeść z nimi niedzielny obiad, klócić się z Nonną o mszę i ogólnie rzecz biorąc, zajmować czas i uwagę babci - ale później wyjeżdżała. Pewnego dnia w domu handlowym Malleya ludzie zgromadzili się wokół Lu, ignorując Rose, co dziewczynka miała jej za złe. Ale przez pierwszych sześć lat jej życia Lu pozostawała dla niej przede wszystkim nieznajomą. Nagle jednak stała się gwiazdą Broadwayu. I wtedy Rose zaczęła budzić zainteresowanie nie z powodu swojej urody czy tego, z jakim wdziękiem przyjmowała podziw - teraz wszyscy zwracali na nią uwagę dlatego, że była córką Lu Lawson. Małej dziewczynce, która miała prywatny fanklub, będąc jeszcze w wózku, nie spodobał się taki obrót spraw. Po tylu latach Rose nadal pamiętała wieczór, kiedy doszło do przełomu w życiu jej matki. Siedziała wtedy na widowni i widziała wszystko na własne oczy.

Lu czekała kolejna premiera w Teatrze Shuberta. Nie było to nic nowego - matka Rose co roku grała w nowym spektaklu. Ale tym razem Nonna oznajmiła, że pójdą zobaczyć występ Lu. Nonna nigdy nie była dumna z wyboru swojej córki, ale wydawało się, że ta sztuka ma szczególne znaczenie: Po pierwsze, Lu zadzwoniła z Nowego Jorku, błagając matkę, żeby przyszła na premierę.

- Przyślę ci czek, żebyś mogła kupić, cokolwiek zechcesz włożyć - podsłuchiwała Rose przez telefon. - I zamówiłam dla ciebie specjalny kapelusz. U Hattie Carnegie, mammo!

- Nie powinnaś szastać pieniędzmi na prawo i lewo - powiedziała Nonna, ale Rose widziała, że się ucieszyła.

- Jest okazja do świętowania - wyjaśniła Lu. - Chciałabym, żebyście ty i Rose wystroiły się i przyszły mnie zobaczyć. Mam numer w drugim akcie, który na pewno wyjdzie świetnie.

- Co to za przedstawienie? - zapytała Nonna, chociaż Rose wiedziała, że zdążyła już zakreślić jego reklamę w „New Haven Register”.

- Odbędzie się za dwa tygodnie. Zarezerwuję wam bilety na sobotę wieczorem. - Zapadła chwila ciszy. - Mammo, proszę, przyjdź. To wszystko zawdzięczam tobie.

Nonna zgodziła się i - to właśnie rozczarowało Rose - była podekscytowana. Kiedy dotarł kapelusz, który okazał się wspaniałym połączeniem różowego tiulu i róż, Nonna zamówiła u krawcowej pasującą do niego kreację. Kupiła Rose białą spódniczkę i bluzkę, w których wyglądała jak aniołek. Obie z Nonną uwielbiały się przebierać, ale tym razem Rose wołałaby, żeby przyczyną całego tego zamieszania nie była jej matka-intruzka.

Przed sobotnią premierą w Teatrze Shuberta odbyła się w piątkowy wieczór próba generalna. W czasie przerwy Lu zadzwoniła i powiedziała, że pojawił się jakiś problem z jej numerem. Uprzedziła, że zamiast wracać do domu, przenocuje w Taft Hotel, żeby przyjść do teatru wcześniej rano i popracować nad nowym materiałem.

- Nie rozumiem, co się dzieje - niepokoila się Nonna, rozmawiając z Pauliem. - Zmieniają coś w występie Lu.

- Mammo, to tylko przedstawienie przedpremierowe poza miastem - uspokoił ją Paulie. - Muszą dopracować jeszcze parę rzeczy.

- Ale Lu mówiła, że ma świetny numer, a teraz nagle przestał im odpowiadać? A co, jeśli ją zwolnią?

Rose uważała, że Nonna za bardzo się martwi. Dziewczynka zaczęła mieć nadzieję, że sobotni występ zostanie odwołany i nie będą musiały iść do teatru.

Ale występu nie odwołano, a Lu nie zwolniono, więc tego wieczoru Rose i jej babcia wystrojone odświętnie zasiadły na widowni, czekając na wielki występ Lu.

Jej numer otworzył drugi akt. Kiedy podniosła się kurtyna, Nonna wyprostowała się, zaciskając ręce na kolanach. Lu stała na scenie. Była ubrana, jakby kładła się do łóżka: miała wałki we włosach, duży, puchaty szlafrok i miękkie kapcie. Zrobiono jej mocny makijaż, dzięki czemu wyglądała ładniej niż zwykle, ale strój był na tyle idiotyczny, że na sali rozległ się śmiech. Lu zaczęła śpiewać, a śmiech nie ustawał, wręcz przeciwnie - rozbrzmiewał coraz głośniej. Rose spojrzała na Nonnę, żeby sprawdzić, czy widzi, jak bardzo żenujący spektakl ma przed sobą, ale na ustach Nonny rysował się delikatny uśmiech.

Wtedy Lu zaczęła zdejmować wałki z włosów i rzucać nimi w publiczność. Rozległ się werbel, po którym wykonała zabawny, drobny ruch biodrami. Rose usłyszała, jak Nonna gwałtownie wciąga powietrze, i zobaczyła, że uśmiech zniknął z jej twarzy. Ale reszta widowni śmiała się w najlepsze. Ludzie śmiali się, kiedy Lu zdjęła pluszowe kapcie i kilka razy wyrzuciła boscie nogi wysoko w górę. Ryczeli ze śmiechu, kiedy zdjęła powoli swój puchaty szlafrok i pozwoliła mu opaść na ziemię. Miała na sobie brzydką piżamę, którą także zdjęła w rytmie wyznaczanym przez werbel.

- *Madonn'a mi!* - Rose usłyszała szept babci. Te słowa były najbliższe przekleństwu ze wszystkich rzeczy, jakie Nonna kiedykolwiek powiedziała w życiu. Tymczasem Lu stała już na scenie tylko w cielistej koszulce na ramiączkach. Sam strój nie był szczególnie skąpy - Rose widziała aktorki filmowe w dużo śmielszych kostiumach kąpielowych - ale oczywiście zgorszył jej pruderyjną babcię.

Publiczność zaczęła oklaskiwać Lu. Bili brawo jeszcze mocniej, kiedy na scenę weszło dwudziestu mężczyzn, którzy zaczęli z nią tańczyć. Cała widownia stała i szalała z radości, kiedy Lu zrobiła trzy gwiazdy i zeszła ze sceny na końcu numeru. Tylko Nonna nie ruszyła się z miejsca.

Przez resztę aktu, za każdym razem, kiedy Lu wchodziła na scenę, publiczność zaczynała się śmiać. Radość wyrażali wszyscy oprócz Nonny. Kiedy wreszcie, przy wielkim aplauzie, opadła kurtyna, Nonna siedziała w miejscu, patrząc ponuro na pustą scenę. Wtedy Rose przyszedł do głowy pomysł, który miał już na zawsze zapobiec wtargnięciu Lu w jej życie:

- Czy moja mama nie była wspaniała, Nonna? - zapytała. - Kiedy dorosnę, chcę być taka jak ona.

Wtedy Mifalda chwyciła ją za rękę i natychmiast zabrała do domu. Nie zostały na trzeci akt.

Później, jeszcze tego samego wieczoru, leżąc w łóżku, Rose zastanawiała się, jak jej matka mogła być tak głupia, żeby pozwolić Nonnie obejrzeć ten taniec. Lu musiała przecież wiedzieć, jak babcia zareaguje. Na co liczyła? Następnego dnia Lu przyszła do nich, żeby wszystko wyjaśnić.

- Zmienili mi kostium, mamó - tłumaczyła. - Pamiętasz tytuł mojej piosenki? *I'll Always Be the Girl Next Door*. Chodziło o to, że jestem zaniedbaną dziewczyną, marząca, by zamienić się w seksownego kociaka, którego wszyscy mężczyźni będą adorowali. To był tylko pretekst, żeby ściągnąć na scenę całą bandę tancerzy rewiiowych, aby mogli mnie podrzucać, a ja miałam się wygłupiać i zabawiać publiczność. Więc, tak jak widziałas, zaczęłam śpiewać w ogromnym, puchatym szlafroku, a w połowie numeru go zdjęłam. Na próbach miałam pod nim taką fantastyczną suknię ze złotymi cekinami. Ale podczas próby generalnej w piątek wieczoro-



rem chłopcy ciągle mnie upuszczali, bo sukienka raniła ich ręce i ważyła mniej więcej tonę. Było już za późno, żeby uszyć mi nowy kostium. Następnego dnia postanowili, że zatańczę, jakbym robiła striptiz, więc poszli do Malley's i kupili mi jedwabną koszulkę. Nie wiedziałam, że ten numer okaże się tak pikantny, do chwili kiedy zaczęliśmy nad nim pracować wczoraj rano, ale przygotowywałam się cały dzień i nie mogłam zadzwonić, żeby cię ostrzec.

Lu przerwała na chwilę swoje wyjaśnienia. Rose pomyślała, że prawdopodobnie udałoby jej się wywinąć z tego wszystkiego z samym kazaniem Nonny - gdyby tylko zamilkła i przybrała minę pełną skruchy. Zamiast tego Lu zrobiła to, co zawsze robiła, kłócąc się z matką. Powiedziała dokładnie to, co myślała:

- Zresztą i tak nie mam pewności, czybym cię uprzedziła. To przecież nie był prawdziwy striptiz, a w dzisiejszych recenzjach pisano, że w tym spektaklu odniosłam sukces. Cieszę się, że mogliście mnie zobaczyć.

To była kropla, która przepelniła czarę goryczy.

- Cieszysz się, że twoja matka i córka widziały cię w bieliźnie, kiedy tańczyłaś z mężczyznami na oczach wszystkich? - głos Nonny stał się niebezpiecznie wysoki. Rose miała ochotę powiedzieć swojej matce wprost, że czas się zamknąć.

Ale Lu ciągnęła:

- Przecież to było zabawne, mamó. To tylko żart!

- Wyglądałaś na tej scenie żałośnie! Jak ulicznica!

Lu patrzyła na Nonnę dłuższą chwilę. Wyprostowała się.

- Pamiętaj tylko, że wyglądając co wieczór jak ulicznica, opłacam wasze rachunki - odparła.

Ruszyła w stronę wyjścia, ale Nonna ją zatrzymała:

- Wiesz, co twoja córka powiedziała mi wczoraj wieczorem? Że kiedy dorośnie, chce być taka jak ty. Nigdy, Lu! Nigdy! Tobie już nie pomogę, ale mogę cię zapewnić, że ona nigdy więcej nie zobaczy cię na scenie!

A ponieważ Rose i tak nie chciała oglądać matki na scenie - bo wtedy skupiała na sobie całą uwagę - poczuła, że wszystko ułożyło się całkiem dobrze.

Rose skończyła kreślić drugą pętlę ósemki i jechała teraz powoli, sprawdzając ślady, pozostawione na lodzie. Trudniejsza lewa strona nie została wykonana perfekcyjnie. Rose wiedziała, że będzie musiała zrobić to jeszcze raz. Uświadomiwszy to sobie, ruszyła w stronę punktu, z którego powinna zacząć ćwiczenie. Świadomość, że dorastała w cieniu Lu, nigdy jej nie opuszczała. Kiedy Lu stała się gwiazdą, szkoła okazała się dla Rose prawdziwym piekłem.

Gdyby w jej klasie uczyli się także chłopcy, wszystko mogłoby potoczyć się zupełnie inaczej, ale w St. Mary's już w drugiej klasie rezygnowano z modelu koedukacyjnego. Istniał ścisły związek pomiędzy kolejnymi sukcesami jej matki i rosnącą niechęcią koleżanek z klasy, które odgrywały się na Rose z zjadłością właściwą jedynie dziewczętom wchodzącym w okres dojrzewania. Rose określano jako nadętą, a wszystko, co robiła, bezlitośnie wyśmiewano. Poza tym wychowywała ją posługująca się łamaną angielszczyzną Nonna - w efekcie sama mówiła z lekkim akcentem. Akcent ten przypominał raczej delikatną, śpiewną intonację - większość dorosłych zachwycała się taką wymową - ale koleżanki ciągle ją przedrzeźniały. Wyśmiewały jej uśmiech, chód, sposób jedzenia - Nonna nauczyła ją trzymania noża i widelca na wzór europejski. Jej mundurek szkolny po-

krywały zwykle plamy z trawy, bo ktoś „przypadkiem” wpadł na nią w czasie przerwy. Była prawdopodobnie jedyną dziewczyną w szkole, która codziennie modliła się o deszcz, marząc, żeby nie mogły wyjść na zewnątrz.

Szybko odkryła, że modlitwa w tym przypadku nie pomoże. I że jej metody, dotąd tak skuteczne w stosunku do dorosłych, nie skruszą kamiennych serc dziewcząt ze szkolnego podwórka, które postanowiły się nad nią znęcać.

Najgorsza była duża dziewczyna - Patty O'Brien - która głośno się śmiała i doskonale radziła sobie w każdej dziedzinie sportu. W klasie pełnej dziewcząt zaczynających właśnie porzucać lalki i zauważać chłopców, Patty była najbardziej męską postacią w okolicy. Przewodziła paczce dziewcząt z St. Mary's i bezlitośnie dręczyła Rose.

W akcie desperacji Rose usiłowała udobruchać ją prezentem. Był początek roku szkolnego, miała wtedy dwanaście lat. Poprosiła Nonnę, żeby upiekła szarlotkę, którą chciała zabrać do szkoły. Babcia z radością spełniła jej prośbę, a oprócz ciasta przygotowała jeszcze tuzin ciastek. Wstała przed świtem, żeby ciastka były świeże, zapakowała je pięknie do koszyka na chleb wyłożonego jedną z jej najlepszych lnianych serwetek, po czym wręczyła koszyk Rose.

Tego ranka, jeszcze przed pierwszym dzwonkiem, dziewczęta zebrały się jak zwykle na podwórku, ale tym razem, zamiast czekać do ostatniej chwili, żeby wśliznąć się do budynku, Rose śmiało podeszła do swojej nemezis i z sercem w gardle podała jej daninę.

- Cześć - powiedziała, usiłując wypaść naturalnie. - Pomyślałam, że może będziesz miała ochotę.

Pośród akolitek Patty natychmiast zapadła cisza. Wielka dziewczyna wyprostowała się i spojrzała na Rose. Przez sekundę Rose myślała, że jej prześladowczyni odrzuci koszyk, nawet nie zaglądając do środka. Gdyby to zrobiła, Rose byłaby skończona w St. Mary's - oficjalnie i na zawsze. Ale wtedy stał się cud i - dzięki Ci, Najświętsza Pani - Patty wyciągnęła rękę, wzięła koszyk i otworzyła go.

Szarlotka była jeszcze ciepła i kiedy umięśniona dłoń Patty podniosła serwetkę, poranne powietrze wypełnił apetyczny aromat cynamonu i rodzynek. Ciasteczka z czekoladą i orzechami zachęcająco otaczały ciasto. Nonna była doskonałą kucharką i Rose miała wrażenie, że ze stojącej przed nią grupy dosłyszała kilka westchnień uznania. Wstrzymała oddech i po raz pierwszy pozwoliła sobie na nadzieję, że wreszcie zakończą się lata szkolnej udręki.

Wtedy stało się coś strasznego.

- Aaa! - wrzasnęła Patty, rzucając koszyk na ziemię. - Wszy! W ciasteczkach córki gwiazdy są wszy!

Zaczęła skakać i deptać po koszyku. W ciągu kilku sekund wszystkie dziewczęta zaczęły wyśpiewywać słowa Patty. „Wszy w ciastkach! Wszy w ciastkach!” - ryczała cała grupa i w kilka sekund koszyk został zmiażdżony, słodyczne przekształciły się w masę okruszków, a piękna biała serwetka Nonny leżała brudna na ziemi. Na szczęście w tej samej chwili zabrzmiał dzwonek i Patty razem ze swoją paczką pobiegła do szkoły. Rose podniosła serwetkę babci i wepchnęła ją do kieszeni.

Nie poszła do auli. Wiedziała, że spóźni się na religię, ale tym razem jej to nie obchodziło. Bóg jej nie pomógł, więc nie była Mu nic winna. Połykając łzy, skierowała się do łazienki dziewcząt, żeby wyprać serwetkę Nonny.

- Proszę, spróbuj tym - usłyszała za sobą głos. Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła jedną z zakonnicek, siostrę Filomenę, która podała jej kostkę mydła. Siostra Fil, jak nazywały ją za plecami dziewczęta, cieszyła się w szkole dużą sympatią. Była surowa, ale sprawiedliwa i znana z tego, że nie miała swoich ulubieńców. Rose wzięła od niej mydło.

- Widziałam przez okno, co się stało - ciągnęła dalej siostra Fil. - Wiesz, dziewczynkom takim jak Patty O'Brien należy współczuć. Obawiam się, że to biedne dziecko nigdy nie będzie szczególnie ładne, a do tego nie jest wystarczająco inteligentna ani nie ma na tyle ciekawej osobowości, żeby to nadrobić.

- Nie obchodzi mnie to! - wykrztusiła Rose.

- Ale powinnaś chociaż spróbować ją zrozumieć - powiedziała miękko zakonnica. - Nigdy nie zaprzyjaźnisz się z tymi dziewczętami. Jesteś zdecydowanie zbyt ładna i zbyt... - zamilkła na chwilę, szukając odpowiedniego słowa - uprzywilejowana. Jest w tobie coś wyjątkowego, Rose. Dziewczyna taka jak Patty czuje, że nie ma wyboru i musi próbować podciąć ci skrzydła.

Wtedy wszelkie hamulce puściły. Opierając się o umywalkę, Rose zaczęła łkać. Płakała tak długo, aż łzy zmieszały się z mydlinami.

- Co ja teraz zrobię? Muszę chodzić tu do szkoły przez następnych sześć lat!

- Przestań myśleć o sobie - padła natychmiast odpowiedź, szybka i stanowcza. Zabolęła.

- To niesprawiedliwe! Nie jestem...

- Nie zamierzałam cię krytykować - przerwała jej siostra Filomena. - Mam na myśli, że wchodzisz obecnie w bardzo trudny okres w życiu. Nie zdołasz go znieść, jeśli pozwolisz sobie na rozpamiętywanie swoich nieszczęść. Gdybyś miała jakąś prawdziwą pasję, taką jak sztuka, albo określone dążenia intelektualne, na których mogłabyś się skupić - pozwoliłoby ci to przetrwać. Ale nie wyczuwam w tobie niczego takiego. Więc sugerowałabym ci, żebyś znalazła jakieś cele poza własną osobą.

- Nie rozumiem.

- Pomagaj innym. To nie jest pusty frazes z lekcji religii, Rose. To zupełnie praktyczne rozwiązanie. Nic nie chroni nas przed bólem lepiej niż świadomość cudzego cierpienia i praca nad tym, żeby je złagodzić. Ten rodzaj bezinteresowności poprawia też poczucie własnej wartości, bo dawanie pokazuje, że możemy coś rzeczywiście osiągnąć. Większość altruistów jest całkiem szczęśliwa. Oczywiście trzeba strzec się grzechu pychy. Ale na razie Bóg wie, że ten problem cię nie dotyczy. Potrzebujesz celu, misji. I wydaje mi się, że wiem, co mogłoby ci pomóc.

W ten sposób Rose została najmłodszą ochotniczką w przytułku dla sierot St. Mary's. Zlecano jej proste zadania. Czytała bajki młodszym dzieciom, układała z nimi puzzle i grała w gry. Ale samotne dzieci o smutnych oczach cały czas pozostawały w jej pamięci. Patty O'Brien i jej grupa nie mogły już skrzywdzić Rose - miała teraz większe zmartwienia.

Tej jesieni najważniejszą dla niej sprawą był kiermasz rzeczy używanych, organizowany co roku w podziemiach kościoła St. Mary's w jeden z weekendów między Świętem Dziękczynienia a Bożym Narodzeniem. Dochody z kiermaszu przeznaczano zwykle na prezenty dla dzieci z sierocińca. Przez kilka tygodni poprzedzających to wydarzenie uczniowie z St. Mary's zbierali od przyjaciół i sąsiadów przedmioty, które miały zostać sprzedane podczas kiermaszu. W poprzednich latach udział Rose w tej inicjatywie był niewielki, bo

Nonna nie zgadzała się, żeby jej wnuczka dzwoniła do drzwi obcych ludzi i prosiła ludzi o używane rzeczy. „Jak jakaś żebraczka” - prychała. Podobnie odnosiła się do zbierania słodczy po domach w czasie Halloween i sprzedawania ciasteczek przez skautki. Ale tego roku Rose odwiedziła każdy dom w promieniu dziesięciu przecznic, uzyskując całe góry niechcianych przedmiotów. Potem spakowała łupy w specjalne kartony rozdane przez szkołę St. Mary's i zbierane co tydzień przez szkolnego opiekuna, który gromadził je w sali gimnastycznej.

- Ale wciąż czuję, że nie robię wystarczająco dużo - wyznała Rose siostrze Fil.

- A co oddałaś z własnych rzeczy? - zapytała zakonnica.

I wtedy Rose uświadomiła sobie, że pominęła najważniejszą część tej inicjatywy.

- Tylko jakieś stare ścierki do naczyń Nonny - szepnęła zawstydzona.

- Prawdziwa dobroczynność wymaga poświęceń - wyjaśniła jej mentorka.

Więc Rose wróciła do domu, żeby przejrzeć swój dobytek. Zaczęła spokojnie, wybierając lalkę i układankę, ale zabawki nigdy nie wydawały jej się ważne, więc nie uznała tego za wielkie poświęcenie. Zdjęła swoją nowiutką odświętną sukienkę i nowy zimowy płaszcz, który kupiła jej babcia, po czym wrzuciła je do kartonu. I wtedy coś się z nią stało. Czowała się, jakby zapadła w błogi trans i przestała myśleć. W tym dziwnym stanie zaczęła wyjmować ubrania z szuflad i szaf; buty, kapcie, śliczne koszule nocne i szlafroki, uszyte przez Nonnę. Do kartonów z używanymi rzeczami powędrowało wszystko poza jej szkolnymi mundurkami. Zdjęła z nadgarstka zegarek z Myszka Miki - swoją dumę i radość - i bez wahania włożyła go do pudła. Wtedy, w ostatecznym akcie wyrzeczenia, zdjęła ze specjalnego haczyka łyżwy. Zatrzymała się jednak na chwilę. Łyżwy były niesamowicie drogie. Nawet Nonna, która nigdy nie mówiła o pieniądzach, skarżyła się na ich cenę. Poza tym buty zrobiono na miarę, więc nikt nie mógłby w nich kiedykolwiek jeździć równie dobrze jak ona. Ale nie ma prawdziwego dawania bez ofiar. Włożyła łyżwy do ostatniego pudła i zamknęła je.

Wysłannik ze szkoły zbierał kartony w każde piątkowe popołudnie. Nonna odkryła, co zrobiła Rose, dopiero następnego dnia, kiedy ta kuśtykała po lodowisku w łyżwach z poprzedniego roku. Wtedy było już zdecydowanie za późno na cokolwiek poza oskarżeniami i groźbami kar; na szczęście babcia nigdy ich nie realizowała. Nonna nie zamierzała zniżyć się do proszenia szkoły o zwrot rzeczy. Rose spodziewała się tego - na to liczyła. Lekkie wyrzuty sumienia, które zaczęły ją ogarniać, zniknęły, kiedy na kiermaszu udało się zarobić więcej pieniędzy niż we wszystkich wcześniejszych latach. Choć wiedziała, że musi wystrzegać się grzechu pychy, nie mogła oprzeć się poczuciu, że stało się to za sprawą jej wysiłków. A siostra Fil miała rację: to było cudowne uczucie.

Rose wiedziała, że nie może oddawać co roku wszystkich swoich rzeczy - nawet Nonna by tego nie wytrzymała. Poza tym musiała wyznaczyć sobie jakieś ramy. Ale miała jednocześnie świadomość, że na całe życie zapamięta, jak swobodna i wolna się czuła, kiedy wrzucała swój dobytek do kartonów. Na dodatek, kiedy Patty zrozumiała, że nie może już jej skrzywdzić, przestała ją dręczyć.

Rose nigdy nie stała się popularna wśród dziewcząt, ale odkryła, że da się z nimi żyć. Była też oczkiem w głowie kadry nauczycielskiej, a kilka spośród zakonnicek modliło się, żeby odkryła powołanie zakonne. Myślała, że urządziła sobie życie na najbliższych sześć lat. Ale kolejnej jesieni Nonna zmarła, a Rose musiała opuścić St. Mary's i zacząć nowe życie u boku matki.

Rose przerwała swoją ósemkę. Nagle poczuła, że nie może się skoncentrować na ćwiczeniu. Wydostała się ze środka lodowiska i zaczęła szybko jeździć wokół niego.

Co ja robię? - zapytała samą siebie. - Dlaczego spędzam dni, jeżdżąc na łyżwach i wspominając rzeczy, o których chcę zapomnieć? Muszę zająć się swoim życiem!

Ale nie wiedziała, jak to zrobić. Rok wcześniej skończyła szkołę średnią i zrezygnowała z pójścia na studia. Jej nauczyciele byli przerażeni.

- Jesteś taką dobrą uczennicą, Rose - powiedziała dyrektorka. - Miałam nadzieję, że zrobisz doktorat i zostaniesz wykładowcą akademickim.

Ale Rose nie chciała takiej harówki. Zastanawiała się nad znalezieniem pracy, lecz nie potrzebowała pieniędzy, a pracowanie tylko po to, żeby się czymś zająć, wydawało jej się pozbawione sensu. Czasami wspominała siostrę Fil i kiermasz dla sierot - miała wtedy nadzieję, że zakonnice w St. Mary's skutecznie modliły się o to, by odnalazła powołanie. Może udałoby się to, gdyby została w szkole katolickiej. Ale nie chciała pójść do szkół parafialnych, które proponowała jej matka - przede wszystkim na złość Lu, jak sobie teraz uświadomiła - chciała też mieć znacznie więcej swobody niż w szkole tego typu. Co prawda tęskniła za światem siostry Fil, ale wiedziała, że nie mogłaby w nim żyć. Nie teraz. Kiedy wszystko podsumowała - a Rose mocno wierzyła w podsumowania - uznała, że nie potrzebuje pracy, nie chce uczyć i jest za późno, żeby zostać zakonnice. Miała tylko jedną opcję.

Najbardziej oczywistym wyborem dla każdej dziewczyny byłoby wyjście za męża. Tego zawsze pragnęła dla niej Nonna. I na pewno znalazłoby się mnóstwo adoratorów chcących spotykać się z piękną córką Lu Lawson. Ale Rose nie próbowała ich zachęcać. Nie życzyła sobie mężczyzny, który myślał o niej jako o córce Lu Lawson. Chciała kogoś, kto nie wiedział, kim jest jej matka - mimo że znalezienie takiego człowieka na Manhattanie wydawało się niemożliwe.

Poza tym żaden z mężczyzn, którzy zabierali Rose na tańce i przysyłali jej kwiaty, nie był wyjątkowy. A Rose pragnęła kogoś wyjątkowego.

\*

Przed sobą zauważyła nastolatka, który blokował ruch na lodowisku, usiłując jechać do tyłu. Rose gwałtownie skręciła w stronę barierek, żeby na niego nie wpaść, po czym zatrzymała się na chwilę, żeby złapać oddech. Zdecydowanie nie była w formie.

- O rany! - usłyszała jakiś głos za plecami. - Z bliska jesteś jeszcze bardziej zjawiskowa niż tam, na środku lodowiska.

Odwróciła się i zobaczyła uśmiechającego się do niej mężczyznę. Jego gęste ciemne włosy były za długie jak na panujące standardy i kręciły się wokół jego twarzy. Usta miał pełne, oczy duże i ciemne, a gęstych rzęs pozazdrościłaby mu niejedna kobieta. Gdyby jego nos nie był dosłownie odrobinę za długi, miałby urodę gwiazdora filmowego. Wyciągnął dłoń. Wydawała się duża i silna, chociaż długie palce były szczupłe.

- Cześć - powiedział. - Jestem Bobby Manning.

# ROZDZIAŁ 19

Nowy Jork

1962

Rose zignorowała wyciągniętą dłoń.

- Nie sądzę, żebyśmy mieli okazję się poznać - powiedziała najchłodniejszym tonem, na jaki mogła się zdobyć.

- Zgadza się - potwierdził wesoło mężczyzna. - Dlatego się przedstawiłem.

Kiedy się uśmiechał, widać było jego białe i równe zęby. Bobby Manning miał na sobie sfatygowany, tani garnitur, a w rękę trzymał teczkę. Jego ciemne oczy błysnęły szelmowsko, kiedy zmierzył Rose pełnym zachwytu wzrokiem. To spojrzenie przenikało ją na wskroś - była gotowa się założyć, że nieznajomy ma je zarezerwowane tylko dla kobiet. W ten sposób mówił: „Wiem, kim jesteś. I podoba mi się to!”. Ale jednocześnie szelmowskie ciemne oczy zdawały się z niej kpić. Pewnie dlatego, że próbowała udawać, że nie dostrzega, jak bardzo jest pociągający. A on o tym wiedział. Zerknęła na jego zniszczony garnitur i nie-do-końca-atrakcyjną twarz i zastanowiła się, dlaczego wydaje się taki wyjątkowy. Czy to dzięki pewności siebie? A może to efekt tego wszystkowiedzącego spojrzenia?

- Do twarzy ci z rumieńcami - zauważył. - Ale na pewno o tym wiesz.

Po raz pierwszy w życiu Rose nie wiedziała, co powiedzieć. W tej sytuacji postanowiła odepchnąć się od barierki i odjechać. Kiedy dotarła na przeciwległą stronę lodowiska, szybko zerknęła na miejsce, w którym wcześniej stał. Nie było go. Rose próbowała wmówić sobie, że nie jest zawiedziona. Żeby przekonać samą siebie, kilkakrotnie okrążyła lodowisko, po czym przejechała na jego środek i zrobiła piruet. Nie idzie jej - pomyślała - bo wyszła z wprawy. Nie ma to nic wspólnego z tym, że denerwuje się, bo ktoś może ją obserwować. Przyjęła odpowiednią pozycję, zamierzając spróbować po raz kolejny.

- Ratunku! - wysapał jakiś głos za jej plecami. Jego głos. Wiedziała, jakby słuchała go przez całe życie. Zalało ją poczucie ulgi - kompletnie absurdalnej ulgi. Odwróciła się i zobaczyła zmierzającego w jej stronę chwiejnym krokiem Bobby'ego Manninga. Miał na nogach łyżwy - te tanie łyżwy z tępymi ostrzami, które ludzie wypożyczali na lodowiskach. Mógł równie dobrze próbować jeździć na nożach do masła, jeśli w ogóle można było to nazwać jeżdżeniem na łyżwach. Oprócz taniego garnituru Bobby Manning miał krzykliwy żółto-czerwony krawat. Nie zauważyła go wcześniej.

Reszta odbyła się w zwolnionym tempie. Rose instynktownie wyciągnęła rękę, żeby mu pomóc. Próbował ją złapać, ale chybił.

- Chyba zaraz... upadnę... - wyjąkał i runął na lód. Leżał płasko u jej stóp, a jego okropny krawat pokrywały okruchy lodu. Absolutnie nie było powodu, żeby jej serce biło teraz tak radośnie.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz? - rzuciła wściekła Rose. Zarumieniła się jeszcze bardziej. Nie znosiła sytuacji, w których traciła nad sobą kontrolę i przeklinała. Tak nie zachowywały się damy, poza tym Nonnie

byłoby za nią wstyd. Ale w show-biznesie, świecie jej matki, wszyscy przeklinali bezustannie i te słowa zapisały się w jej mózgu.

- Próbuję zwrócić twoją uwagę - powiedział Bobby Manning.

Usiłował wstać, ale znowu się poślizgnął i runął na ziemię. Spojrzał w górę i uśmiechnął się do niej:

- I chyba mi się udało.

Jest zdecydowanie zbyt pewny siebie - ostrzegł ją wewnętrzny głos. Ale ten szelmowski uśmiech był zaraźliwy.

- Robisz z siebie głupka - poinformowała go.

- Nie pierwszy raz - męczył się jeszcze przez kilka sekund, próbując wstać. - Wygląda na to, że będziesz musiała mi pomóc... chyba że lubisz mieć przed sobą mężczyznę na kolanach?

- Albo mogłabym po prostu odjechać i zostawić cię tu. Pokręcił głową.

- To nie w twoim stylu.

Sama nie zdołałaby go utrzymać, a Bobby nie dałby rady dotrzeć do barierki o własnych siłach. Ledwo udało mu się to za pierwszym razem, a teraz wydawało się, że jego kostki się poddały. Wreszcie przywołała jednego z instruktorów łyżwiarskich, który krążył w pobliżu, i razem ściągnęli Bobby'ego z lodowiska.

- Jeździłeś kiedykolwiek na łyżwach? - zapytała, kiedy już znaleźli się na suchym lądzie i Bobby łapał oddech.

- Raz. Kiedy miałem sześć lat. Nie poszło mi wtedy zbyt dobrze.

- Wiesz, że jesteś szalony.

- Ale to w dobrej wierze. Tak to widzę: teraz, kiedy już zniszczyłem najlepszy krawat...

- Żartujesz? To twój najlepszy krawat?

- Nie przerywaj. Mogłabyś przynajmniej pójść ze mną na kawę.

Demonstracyjnie spojrzała na zegarek.

- Chyba zdążę - powiedziała.

- Oczywiście, że zdążysz. - Po sposobie, w jaki się uśmiechał, poznała, że wie, iż nie wybierała się nigdzie indziej.

Zabrał ją do kawiarni przy 47. Ulicy pomiędzy Piątą Aleją i Madison Avenue, gdzie na blatach leżały popękane plastikowe podstawki, a ściany pokrywała boazeria. Nigdy nie była w takim miejscu - zwykle, kiedy kucharz miał wolne, jadły z matką w 21 - ale uznała, że kawiarnia przy 47. Ulicy ma swój urok. Przede wszystkim nie w takie miejsce powinien ją zabrać mężczyzna starający się zrobić wrażenie na córce Lu Lawson - pomyślała Rose, patrząc, jak kelner wyciera stół ściereką cuchnącą środkiem dezynfekującym. Najwyraźniej Bobby Manning nie wiedział, kim jest. A raczej: kim jest jej matka.

- Potraktuj karaluchy jako element wystroju - powiedział, po czym zamówił dla niej gorącą czekoladę, a dla siebie kawę.

Skinęła głową, zastanawiając się, dlaczego czuje się tak wspaniale. Miała wrażenie, że wszystkie jej zmysły są bardziej wyostrzone niż zwykle. Czowała nawet mrowienie na skórze.

Ale nagle po drugiej stronie stolika coś się zmieniło. Bobby nie uśmiechał się już i wydawał się skępowany - jak człowiek, który musi coś wyznać. Miała w tych sprawach szósty zmysł.

Proszę, niech to będzie tylko moja wyobraźnia.

- Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć - zaczął. Mrowienie ustało. Rozejrzała się i dopiero teraz zauważyła, w jak obskurnej kawiarni siedzą.

- Spotkanie na lodowisku to nie był przypadek - oznajmił Bobby. - Chciałem cię poznać. Słyszałem, że lubisz jeździć na łyżwach, i kręciłem się w okolicy Centrum Rockefellera i Wollman Rink w Central Parku od jakiegoś miesiąca.

A niech to - pomyślała.

- W zeszłym tygodniu zobaczyłem cię i od razu rozpoznałem. Widziałem twoje zdjęcie w „Timesie”. To, które zrobili podczas przyjęcia z okazji zejścia z afisza ostatniego spektaklu twojej matki.

Do diabła, do diabła, do diabła.

- Jestem pisarzem. Piszę komedie muzyczne. Powinnam to przewidzieć. Dlaczego do licha tego nie przewidziałam?

- Dwa lata temu kilka moich skeczy trafiło do rewii, którą wystawiano w Village Vanguard. Spektakl został zdjęty, ale miał dobre recenzje. Jestem też kompozytorem, piszę piosenki... Dwa z moich utworów zostały nagrane - głęboko wciągnął powietrze, po czym powiedział to, z czym dotąd zwlekał: - Napisałem sztukę, która byłaby idealna dla twojej matki.

Zaskoczyło ją, jak bardzo była na niego wściekła. Zwykle w takich sytuacjach nienawidziła Lu.

- Próbowałem dotrzeć do niej na wszelkie sposoby - mówił dalej Bobby. - Wysłałem tekst musicalu jej agentowi, ale nawet na niego nie spojrzał. Zostawiłem egzemplarz za kulisami w teatrze, w którym występowała, ale odesłała mi go, nawet nie otwierając koperty.

- Nie odesłała go - Rose usłyszała swój mocny, pewny głos.

- Odesłała. Dostałem go z powrotem.

- Ale to nie matka to zrobiła - wyjaśniła Rose. - To George. Jej dyrygent, a jednocześnie przyjaciel. George chroni matkę przed wszystkimi lichymi beztalenciami i cwaniaczkami, którzy chcą się ogrzać w jej blasku.

Wstała, wyjęła z torebki dziesięciodolarowy banknot i rzuciła go na stół.

- To powinno pokryć koszt gorącej czekolady i wypożyczenia łyżew - powiedziała, ruszając w stronę drzwi.

- Poczekaj! - zawołał Bobby i usłyszała za plecami szuranie krzesła na linoleum. Nie odwróciła się.

Miała nad nim przewagę i zgubiłaby go, gdyby na ulicy nie wpadł na nią jakiś człowiek. Bobby dogonił ją i złapał za rękę.

- Nie dałaś mi skończyć - wydyszał.

- Nie musiałam. - Wyszarpnęła rękę i przyspieszyła. Zrobił to samo.

- Chciałem cię wykorzystać. Z początku. Chciałem dotrzeć do Lu Lawson za wszelką cenę. Ale wtedy cię zobaczyłem. Jeździłaś na łyżwach i robiłaś... cokolwiek tam robisz, kiedy jeździsz w kółko godzinami. A ja ci się przyglądałem. I... na zdjęciach wychodzisz świetnie, ale na żywo jesteś zjawiskowa. Musiałem z tobą porozmawiać. Nie ze względu na twoją matkę. Po prostu dlatego, że jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem - wysapał. - Wiem, że powinienem udawać, że to mnie nie obchodzi i interesuje mnie tylko



twój umysł. Ale jestem facetem, a my jesteśmy naprawdę płytki. Zresztą dziewczyna, która wygląda tak jak ty, musi o tym wiedzieć. - W tej chwili już ciężko dyszał. - Na Boga, czy zamierzasz zwolnić, zanim zemdleję?

Rzeczywiście jego głos brzmiał trochę tak, jakby Bobby miał zaraz się przewrócić. Zwolniła odrobinę. Złapał ją za rękę i zatrzymał. Tym razem się nie wrywała.

- Teraz, kiedy już zdążyłem z tobą porozmawiać, interesuje mnie twój umysł. Jesteś inteligentna.

Zawsze o tym wiedziała, ale większość ludzi tego nie dostrzegała.

- Masz w sobie coś takiego, coś, co ukrywasz... To też zauważył.

- Nic o mnie nie wiesz - powiedziała.

- Jeszcze nie. Ale dowiem się. I ostrzegam cię: wiem, gdzie mieszkasz. Będę stał pod twoim domem każdego ranka i każdego wieczoru, aż się poddasz - był tak blisko, że mogłaby go pocałować. Zamiast tego uniósł jej podbródek, tak, żeby spojrzała mu w oczy. - I obiecuję, że nigdy nie poproszę cię, żebyś dała mój musical matce. Nigdy nie poruszę tego tematu.

Kłamca - pomyślała. Uśmiechnął się.

- Będziesz musiała mnie o to poprosić. Kiedy już nauczysz się mi ufać. - Puścił jej rękę i nagle, nie wiadomo dlaczego, poczuła, że się rozplacze i że nie może pozwolić mu tego zobaczyć. Odwróciła się i szybko ruszyła przed siebie.

Po sekundzie zawołał za nią:

- Jeszcze jedno! - Podbiegł. Wyjął z kieszeni dziesięciodolarowy banknot i wepchnął jej go do ręki. - Nigdy, przenigdy nie rzucaj mi pieniędzmi w twarz.

Nie uśmiechał się już. Skinęła głową, polykając łzy. Wtedy pocałował ją - w czoło.

- Nie musisz wystawać pod moim domem - powiedziała. - Jeżdżę na łyżwach w Rockefeller Center każdego ranka o dziesiątej.

Nie mogła uwierzyć, że te słowa przeszły jej przez usta.

- Tak - odparł. - Wiem o tym.

Bobby co rano przychodził ją obserwować - tak jak Nonna, kiedy Rose była mała. Choć to było oczywiście zupełnie coś innego. Trzeciego ranka, kiedy skończyła jeździć, pozwoliła mu zaprosić się na kawę do Theater District.

W ciągu kilku kolejnych tygodni dowiedziała się, że Bobby ma swoje ulubione miejsca w tej okolicy. Należała do nich kawiarnia w hotelu Edison, bo w jego sali balowej na górze odbywało się wiele prób, a aktorzy, scenarzyści i reżyserzy schodzili do kawiarni na przerwę. Innym miejscem, które sobie upodobał, był grecki bar Molfetta w Hell's Kitchen, gdzie kręcili się bezrobotni aktorzy, którzy plotkowali między lekcjami i castingami.

Ale Bobby najbardziej lubił restauracje na Broadwayu. Kiedy czuł się jak bogacz, zabierał Rose do Lindy's albo Jacka Dempsey'a - w obu tych miejscach podawano świetny sernik, którym dzielili się po połowie. Dla Bobby'ego Manhattan zaczynał się i kończył w promieniu trzech przecznic od tej części Broadwayu, którą nazywano Great White Way. Spacerowali przy Mark Hellinger Theater i Winter Garden, a Bobby wpatrywał się w afisze, obsadę i fotosy aktorów za szkłem pod markizą wyglodniałym wzrokiem, na który Rose nie mogła patrzeć. Przykro jej było, gdy widziała, jak bardzo marzył o życiu, które jej zawsze wydawało się oczywiste.

Oboje doskonale wiedzieli, że mogłaby mu pomóc zbliżyć się do tego świata. Ale Bobby dotrzymał słowa i nigdy nie wspominał o jej matce ani swoim musicalu.

Zamiast tego Rose zadawała mu wiele pytań. Dowiedziała się, że jest od niej dwanaście lat starszy. On też nie poszedł na studia. Przez ostatnich siedem lat pracował jako sprzedawca w słynnym sklepie muzycznym Hershemer's przy Piątej Alei. To miejsce istniało od czasów wodewilu i można tam było dostać nuty i płyty z każdą muzyką, od popu po Beethovena. Ale sklep specjalizował się w komedii muzycznej. W oknie wykuszowym wystawnego parteru stał fortepian, a według legendy Richard Rodgers wszedł pewnego dnia z ulicy i zadziwił klientów, grając muzykę z *South Pacific*.

- A w zeszłym tygodniu Betty Comden kupiła u mnie trzy płyty - powiedział Bobby z dumą. Jak wszystkim sprzedawcom w sklepie Hershemer's, płacono mu zdecydowanie za mało, ale wynagradzano to młodym adeptom teatru tym, że ich dzień pracy zaczynał się o sprzyjającej godzinie - jedenastej trzydzieści - a kierownictwo wykazywało dużą wyrozumiałość, jeśli chodziło o zwalnianie się na castingi i próby. Poza tym zawsze mogło się zdarzyć, że będą obsługiwali słynną autorkę musicali Betty Comden. Rose zastanawiała się czasem, czy Bobby i jego koledzy-niewolnicy uważali, że sukces gwiazd spłynie na nich jak magiczny proszek Piotrusia Pana. Nie mogła sobie wyobrazić, żeby kiedykolwiek pragnęła czegoś tak bardzo, jak on marzył o wejściu do show-biznesu. A może jednak było coś takiego. Bo teraz zaczęła pragnąć Bobby'ego.

Sama zadawała sobie pytanie, dlaczego. Nadal mu nie ufała i gdzieś głęboko w sercu czuła, że Bobby byłby w stanie zranić ją bardziej niż ktokolwiek inny. Oczywiście nie opowiadał nigdy o innych dziewczynach w swoim życiu, ale kobiecy instynkt mówił Rose, że było ich wiele - prawdopodobnie dziesiątki. A więc samo wyzwanie musiało stanowić część jego nieodpartego uroku. Chciała być tą, która wreszcie go zdobędzie. Ale wiedziała, że to nie jedyny powód. Cokolwiek poza tym było w Bobbym, to dziwne połączenie pasji i nadziei, marzeń, które go napędzały - i które ją zniewoliły - nie potrafiła spojrzeć na to z dystansem. Wiedziała po prostu, że jest właśnie tym mężczyzną, na którego czekała.

- Gdzie mieszkasz? - zapytała go kilka tygodni po tym, jak się poznali.

Zawsze skłaniaj mężczyznę do tego, żeby mówił o sobie. Nie tylko sprawia mu to przyjemność, ale nigdy nie wiesz, kiedy przydadzą ci się zdobyte w ten sposób informacje.

- W Greenwich Village, przy Christopher Street - odpowiedział.

- Bardzo artystycznie.

- Jeśli uważasz, że wanna w kuchni i toaleta na korytarzu to nieodłączna część życia artysty...

Czekała, aż zaprosi ją do siebie, ale tego nie zrobił. Nigdy nie proponował jej też spotkań wieczorami. Ich randki - jeśli tak można było je nazwać - polegały na tym, że co rano spotykali się na kawę, zanim poszedł do pracy. Ale nigdy nie zaprosił jej na kolację, do kina czy na tańce.

Nie pocałował jej też, chociaż była pewna, że miał na to ochotę. Wiedziała, dlaczego tego nie zrobił.

- Ty jesteś na zawsze, a nie tylko dla zabawy - tłumaczył.

Mówiła sobie, że to dobrze, że on to rozumie. Mężczyźni nie żenią się przecież z kobietami, których nie szanują. Wiedziała o tym, obserwując własną matkę.

Życie miłosne Lu składało się z krótkich romansów, które zdarzały się zwykle, kiedy nie pracowała albo kiedy była w trasie. Przez kilka tygodni mężczyzna nie odstępował jej na krok, Lu śmiała się z jego żartów,

liczyła się z jego zdaniem i co wieczór wychodziła z nim pod rękę. Ale kiedy zaczynała próby do nowego spektaklu, wracała do swojego reżimu i mężczyzna odkrywał, że dbanie o delikatne gardło gwiazdy było zawsze ważniejsze dla wszystkich - włącznie z samą gwiazdą - niż dbanie o niego. Wtedy zniknął. Wkrótce zaczął się pojawiać u boku kobiety, która odnosiła może mniejsze sukcesy niż Lu, ale za to troszczyła się o niego.

Obserwując ten powtarzający się schemat, Rose postanowiła żyć inaczej. Zamierzała poczekać, aż wyjdzie za mąż, tak jak kazała Nonna. Kiedy już będzie miała na palcu obrączkę, poświęci życie mężczyźnie. To on będzie zawsze na pierwszym miejscu. Jego potrzeby staną się jej potrzebami, a gusta - jej gustami. I nigdy nie opuści jej tak, jak kochankowie opuszczali jej matkę.

Umarłabym, gdyby tak się stało - pomyślała Rose.

Ale chciała, żeby Bobby ją pocałował. Chciała, żeby objął ją, przycisnął do siebie i pocałował. Zaspiając, tęskniła za jego ustami. Za dnia marzyła o jego ciele pod zniszczonym garniturem, który stale nosił. Wiedziała, że jest ono gładkie i twarde, bo czasem, kiedy szli obok siebie, obejmował ją ramieniem i wtedy czuła jego klatkę piersiową i mięśnie. Wyobrażała sobie, jak głaszcząc tę ciepłą, delikatną skórę i przeczesując palcami kręcone włosy - po czym uświadamiała sobie nagle, że się rumieni, a w środku czuje dziwne, ciepłe trzepotanie. W takich chwilach Rose zaczynała wierzyć, że może mu zaufać. Wtedy jednak przypominała sobie tęsknotę malującą się na twarzy Bobby'ego, ilekroć mijał jakiś teatr, i myślała o tym, że nigdy nie zaprosił jej na kolację. Nadal nie była pewna ani jego, ani tego, co do niej czuje. Musiała dowiedzieć się więcej.

- Opowiedz mi o swojej rodzinie - poprosiła któregoś ranka.

- Jestem jedynakiem. Rodzice poznali się w latach dwudziestych. Mój ojciec nazywał się Fred Manning, pochodził z północnej Kalifornii. Chyba mam tu kilku wujków, ale tata stracił kontakt z rodziną, kiedy opuścił dom. Był muzykiem w zespole na obozie letnim dla dorosłych w Catskills. Matka - miała na imię Caroline - przyjechała tam jako gość.

Była stenografką. Mieszkała z rodzicami w Queens, ale miała dużo klasy, więc tata myślał, że ma też pieniądze. Zanim zdał sobie sprawę, że jest tak samo splukana jak on, zdążył się już w niej zakochać. Więc i tak wzięli ślub.

- Bardzo romantyczne - powiedziała Rose.

- Taa... - Bobby uśmiechnął się lekko w swój szelmowski sposób. - A potem zdradzał ją do końca życia.

Najwyraźniej mu to przeszkadzało, co z kolei ucieszyło Rose. Uznała, że to dobrze rokuje na przyszłość.

- Mój stary miał mnóstwo okazji do skoków w bok - ciągnął Bobby. - Po ślubie znalazł pracę i w ciągu tygodnia był kelnerem. Ale w weekendy grał razem z zespołem na weselach i bar micwach w różnych miejscach w stanach New Jersey, Connecticut i Nowy Jork. Zawsze znajdowały się tam kobiety gotowe na małą przygodę z obsługą.

Bobby zamilkł i zjadł ostatni kawałek sernika - to był dzień kawiarni Lindy's. Po chwili zaczął mówić dalej:

- Tata zmarł, kiedy miałem sześć lat. Zawsze miał słabe serce i w pewnym momencie odmówiło posłuszeństwa. Matka wróciła do pracy stenografki.

- Musiała być młoda. Dlaczego nie wyszła ponownie za mąż?

- Mówiła, że nie może liczyć na to, że Bóg uratuje ją dwukrotnie, więc odpuszcza to sobie, póki może. - Bobby patrzył w talerz, skupiając się na pozostawionych okruchach. Rose widziała, że nie chce spojrzeć jej w oczy. - Mama zmarła trzy lata temu. Zanim zachorowała, zabrałem ją na rewię w Village Vanguard. Powiedziała, że moje skecze są dobre, ale że i tak wolałaby, żebym poszedł na studia i zrobił coś ze swoim życiem.

Znowu uśmiechnął się w ten swój dziwny sposób. Rose chciała coś zrobić, cokolwiek, co poprawiłoby mu nastrój.

- Masz kopie swoich skeczy? Chętnie bym je przeczytała - oznajmiła.

Pokręcił głową.

- To wbrew zasadom, pamiętasz?

Chciała mu powiedzieć, że zasady się nie liczą. Ale nie mogła. Jeszcze nie.

\*

Rose zaczęła rozpytywać o Bobby'ego Manninga. Agent Lu nigdy o nim nie słyszał, podobnie zresztą jak producent, który wystawiał zawsze musicale jej matki. George miał wrażenie, że chyba ktoś o nazwisku Manning przysłał kiedyś Lu swój scenariusz.

Inaczej było z tancerkami rewiowymi, które pracowały przy spektaklach Lu. Rose nigdy nie spędzała za kulisami zbyt dużo czasu, ale teraz przychodziła do teatru co wieczór, żeby pokręcić się pośród żółtodziobów i poplotkować. Odkryła, że Bobby znany jest na scenach off-off-Broadwayu.

- Mogli mu wystawić spektakl w Café Larré - powiedziała Rose jedna z tancerek. - Ale wycofał się w ostatniej chwili, bo uznał, że to marna produkcja. Arogancki z niego skurczybyk.

- To nie arogancja - wtrąciła się jakaś śpiewaczka. - Bobby chce po prostu pracować na Broadwayu. To z myślą o nim pisze. Off-off-Broadway to dla niego za mało. Bobby ma niesamowity talent.

- To nie jedyny jego talent... - zarechotała pierwsza dziewczyna.

- Mówiłam o jego pisarstwie - powiedziała druga, ale też zaczęła chichotać. Rose miała ochotę uderzyć obie w twarz, mimo że spodziewała się tego typu plotek.

- Bobby zna się na rzeczy, prawda? - zapytała tak beztrosko, jak tylko potrafiła.

- Z tego, co słyszałam, żadnej nie przepuści - zachichotała śpiewaczka.

- Marianne, nie wiesz tego na pewno. To zwykłe plotki.

- Jedna z moich najlepszych przyjaciółek przyjaźni się z jego ostatnią dziewczyną - dodała śpiewaczka, którą Rose zaczynała już nienawidzić. - Przynajmniej wydawało się jej, że była jego dziewczyną. Do czasu, aż nakryła go w ich wspólnym łóżku ze swoją siostrą. Ten facet to niezły ogier.

Na szczęście w tej chwili inspicjent zasygnalizował przez głośnik za kulisami finał drugiego aktu i dziewczęta musiały wrócić na scenę.

On może się zmienić - przekonywała samą siebie Rose. - Ja mogę go zmienić. - Po czym: Mogę go zdobyć.

A jeśli nie? Co, jeśli nie da się go zdobyć? Są przecież tacy ludzie - na przykład jej matka.

Ostatnią rzeczą, jakiej Rose chciała w swoim życiu, była kolejna egocentryczna, egoistyczna i uzależniona od pracy osoba. Ale odpowiednia dziewczyna może zmienić mężczyznę. Jestem odpowiednią dziewczyną dla Bobby'ego. Muszę po prostu znaleźć sposób, żeby to zrozumiał.

## ROZDZIAŁ 20

Nowy Jork

1962

Tymczasem z Lu zaczęło się dziać coś dziwnego. Od lat miała ten sam harmonogram. Wchodziła na scenę nowy musical, grała go na Broadwayu przez rok, jechała z nim w trasę na pół roku, prezentowała go przez jeden sezon w Londynie, po czym wracała do Nowego Jorku na kilkumiesięczny odpoczynek, po którym zaczynała próby do nowego spektaklu. Wszyscy myśleli, że ten rytuał jest niezmienny. Ale nagle Lu oznajmiła, że chce zrobić sobie trochę wolnego.

Ostatni spektakl Lu, zatytułowany *All the Boys*, był dość głupi: grała w nim dziewczynę, która przebiera się za kowboja, żeby podążyć za mężczyzną swoich marzeń na wypas bydła. Był to standardowy repertuar Lu Lawson. Wcielała się jak zwykle w dowcipne brzydkie kaczątko, które próbuje zwrócić na siebie uwagę drugiego głównego bohatera, tępego mężczyzny, angażując się w serię groteskowych przygód jako uroczą chłopcyca - aż wreszcie jej wybranek, akurat w finale trzeciego aktu zauważa, jaka jest wspaniała. *All the Boys* nie miało w sobie niczego nadzwyczajnego. Ale z jakiegoś powodu Lu nie chciała jechać z tym spektaklem w trasę. Ogłosiła też, że nie zamierza wystawiać go w Londynie. Agent i producent Lu wpadli w panikę. Pytali, czy przypadkiem nie zachorowała, i przerażeni kazali sekretarkom szukać dla niej lekarzy.

George twierdził, że Lu jest po prostu wycieńczona.

- Mówiłem, żebyście nie pozwalali jej jeździć na tej cholernej maszynie - zwrócił się do agenta i producenta podczas narady kryzysowej w Sardi's. Pierwszy akt *All the Boys* otwierała scena, w której dzielna Lu spada z mechanicznego konia. Odkąd zaczęto grać spektakl, Lu - mimo specjalnej uprzęży, która miała chronić ją przy upadku - w kółko łykała aspirynę i biegała do gabinetu kręgarza.

- Jest kompletnie wykończona - narzekał George.

Ale Rose знаła prawdę: Matka jest znudzona.

I wtedy rozumiała, że poznała Lu lepiej niż ktokolwiek inny - nawet lojalny, oddany George.

Wcale nie chciała poznawać matki, ale kiedy z nią zamieszkała, stało się to nieuniknione. Lu nie była wymagająca ani kapryśna - nie tak, jak mogłaby być - ale wszystko w domu kręciło się wokół niej, a ludzie, których zatrudniała, nauczyli się odczytywać jej nastroje. Jeżeli próby nie szły zbyt dobrze albo pierwsze przymiarki kostiumów okazywały się fiaskiem, kucharz zawieszał spartańską dietę Lu i w menu pojawiała się jej ulubione pieczone *ziti*. Kierowca Lu gotów był zabierać ją na kojące, odbywane późnym wieczorem przejażdżki wokół Central Parku. Panna Pearl - która z opiekunki Rose zmieniła się w asystentkę Lu - zamawiała

świeże kwiaty do holu. A Rose dzwoniła do George'a i Davy'ego, prosząc, żeby przyszli na partyjkę scrabble'a, która miała odwrócić uwagę Lu od problemów.

Tak naprawdę z biegiem lat Rose, choć niechętnie, nabrała szacunku do matki - nie tylko dlatego, że była dobra w tym, co robiła. Szczerść Lu nie znała kompromisów. Nigdy nie prosiła Rose o miłość czy nawet zrozumienie. Rzadko dawała jej rady, a jeśli już się na to decydowała, okazywały się one rozsądne. Rose szybko rozumiała, że jej matka zna się na ludziach. Lu zdołała rozbroić potencjalnie nieprzyjazną nauczycielkę angielskiego w szkole córki, proponując, że wygłosi pogadankę o pracy w show-biznesie dla jej ukochanego kółka dramatycznego. Jako nastolatka Rose punktowała też u swoich koleżanek z klasy, bo Lu potrafiła załatwić bilety na każdy broadwayowski spektakl, który dziewczynki chciały zobaczyć - pod warunkiem że towarzyszyła im panna Pearl. Rose dostawała hojne kieszonkowe i mogła korzystać z kart płatniczych Lu, o ile nie nadużywała tego przywileju. W zamian za to jej matka oczekiwała, że Rose będzie grzeczna, postara się unikać kłopotów i zadba o dobre stopnie. Rose była jej wdzięczna, ale gdyby ktokolwiek zapytał ją, czy są z matką blisko, powiedziałyby, że Lu to osoba zbyt oddana pracy i zbyt samolubna - żeby być blisko z kimkolwiek.

Ale tym razem po raz pierwszy nie pracowała. Nadal wokalizowała co rano, śpiewając na rozgrzewkę *Panis Angelicus*, nadal miała lekcje tańca. Ale nie zaangażowała się w żaden nowy spektakl. Zamiast tego zaczęła interesować się rzeczami, których wcześniej zdawała się nawet nie zauważać, na przykład swoim mieszkaniem. Lu zawsze dekorowała wszystko niezwykle chaotycznie, ale pewnego dnia rozejrzała się wokół i powiedziała służbie:

- Mieszkam w jednym z najdroższych apartamentów przy Piątej Alei, a wygląda to jak jakiś obskurny hotelik na prowincji.

Zatrudniono więc architekta wewnątrz i wkrótce Lu była już po imieniu z właścicielami wszystkich sklepów z antykami i salonów meblarskich na Manhattanie. Tę samą nieokiełznaną energię, którą wkładała w próby i występy, przeniosła teraz na wymoszczenie swojego gniazdka. Zanim skończyła - sześć tygodni później - dwóch dekoratorów zdążyło zrezygnować z powodu wyczerpania.

Mieszkanie, które zaprojektowała dla siebie Lu, było eleganckie, pełne drogich tkanin i wytwornych antyków. W serwantkach stały kryształy i porcelana kostna. Ściany pomalowano na gustowny brąz. Konserwatywne i klasyczne wybory, jakich dokonała Lu, zadziwiłyby jej wiernych fanów, którzy znali ją jedynie jako uroczą chłopczycę z metalicznym głosem, wyskakującą znad orkiestry i lądującą na scenie z wielkim hukiem - choć miała trzydzieści kilka lat, nadal słynęła z dzikich harców. Rose wiedziała jednak, że elegancko urządzone pokoje odzwierciedlają charakter prawdziwej Lu Lawson. Pod zawodowym kostiumem hałaśliwej gwiazdy jej matka była cichą kobietą ze staroświeckim kodeksem etycznym i staromodnym gustem. Wypełnione antykami mieszkanie idealnie do niej pasowało.

- Powinnaś urządzić przyjęcie - oznajmiła Rose pewnego ranka - żeby pokazać wszystkim to miejsce.

Rzuciła te słowa od niechcienia, ale jej matce spodobał się ten pomysł.

- Nigdy tego nie robiłam - powiedziała. - Mieszkam tu od dziesięciu lat i co prawda zapraszałam przyjaciół na kolacje, ale nigdy nie urządziłam prawdziwego, eleganckiego przyjęcia... - Zamilkła na chwilę. - Myślisz, że dałabym radę?

- Absolutnie - powiedziała Rose, kierując się z łyżwami ku drzwiom.

Kiedy wróciła, okazało się, że Lu zdążyła już zorganizować specjalistę od cateringu, kwiaciarkę, sześciu kelnerów i barmana. Czekala na Rose.

- Dobrze, że już jesteś - przywitała ją. - Co mam włożyć na przyjęcie?

- Przecież masz szafy pełne ubrań.

- Obie wiemy, że kompletnie nie mam gustu, jeśli chodzi o garderobę.

- Na pewno coś znajdziesz - Rose próbowała ją uspokoić.

- Widziałas mnie na przyjęciu z okazji zakończenia *All the Boys*? Wyglądałam jak tyrolska pensjonarka.

Lu miała rację. W kwestii ubrań decydowała się zwykle na koronki, kokardki, kryzy i róże.

Może w ten sposób odreagowywała wszystkie chłopięce role, które grała, a może - podobnie jak wiele niskich kobiet - myślała, że powinna ubierać się jak słodka naiwna dziewczynka: w efekcie wyglądała zwykle niczym różowa beza.

- Pójdę z tobą na zakupy - zaproponowała Rose. W ostatnim czasie Jackie Kennedy zadziwiała kraj eleganckimi sukniami projektowanymi przez Olega Cassiniego i młoda pani prezydentowa stała się dla Rose wzorem stylu. Ale zrobić z Lu drugą Jackie nie było tak łatwo, jak mogło się wydawać. Problem z sukniami rozszerzanymi u dołu polegał na tym, że musiały leżeć idealnie, bo w przeciwnym razie zamieniały się w worki. Drobne ciało Lu miało swoje krągłości: suknia pasująca w biuście wisiała w talii, a taka, która opinała biodra, odstawała u góry. Kolejnym problemem okazał się kolor. W białym Lu wyglądała na zmęczoną, w czarnym - na nieżywą, a jej ukochany róż sprawiał, że przypominała ciastko. Lu i Rose obeszyły dokładnie sklepy Best and Co., Bergdorf Goldman, Saks Fifth Avenue i Lord and Taylor - bez skutku. Wkrótce stało się też jasne, że słynna wytrwałość Lu nie dotyczy kupowania ubrań.

- Ta może być - jęczała, mierząc czternastą suknię w stylu Jackie Kennedy.

- Pod pachami jest na ciebie o centymetr za duża - zauważyła Rose.

- Oddamy ją do krawca. Rose pokręciła głową.

- Jeżeli dasz ją do krawca, szwy nie będą pasowały.

- Czy centymetr ma takie wielkie znaczenie?

- Mamo, to nie kostium. Z bliska też musi wyglądać dobrze. Poza tym ma zły kolor.

- Jak beż może być zły?

- Sprawia, że ty też wydajesz się beżowa.

- A róż? Lubię róż.

- Pamiętasz sukienkę tyrolskiej pensjonarki? Lu znowu jęknęła.

- To taka strata czasu!

Rose, która mogła miesiącami szukać idealnej pary butów, tylko pokręciła głową.

Ostatecznie nie znalazły sukni spełniającej wygórowane oczekiwania Rose, więc kazały taką uszyć. Rose złożyła projekt z trzech wzorów z „Vogue'a”, kupiły miedzianobrazowy atlas dokładnie odpowiadający kolorowi włosów Lu, po czym zabrały to wszystko do krawcowej znanej z tego, że obsługuje eleganckie klientki z elitarnych kręgów. Uszyta przez nią suknia miała wąski dół, klasyczne linie i była pozbawiona koronek. Nawet kiedy leżała w pudełku, emanowała klasą i elegancją. Lu była tak zachwycona, że przytuliła Ro-

se, która odwzajemniła się matce szybkim uściskiem. Nie był to ciepły, pełen czułości uścisk matki i córki, tak często opisywany w czasopiśmie, ale dla nich stanowił prawdziwy krok naprzód.

- Dziękuję, Rose - szepnęła Lu i obie wiedziały, że ma na myśli o wiele więcej niż tylko wybór wieczorowej sukni.

W kolejnym geście dobrej woli Rose zaoferowała, że pomoże pannie Pearl adresować zaproszenia na przyjęcie. Jej matka zamierzała zaprosić siedemdziesiąt osób, w tym swojego agenta, producenta i George'a. Rose zdecydowała, że chce zaprosić Bobby'ego.

Między nią a Bobby'm nic się nie zmieniło. Nadal spotykali się w Centrum Rockefellera i pijali kawę na Broadwayu. Dotrzymał słowa i nie wspominał o swoim musicalu. Obiecał, że nie poruszy tego tematu, dopóki Rose nie zacznie mu ufać i sama go nie poprosi. Ale nie zrobiła tego. Czasem myślała, że gdyby zdołała, może ich znajomość zmieniłaby się w zażyłość. Może wtedy Bobby zaprosiłby ją do siebie. Może by ją pocałował. Nie dał jej choćby jednego powodu, żeby mu nie ufała - wiedziała, że jest niesprawiedliwa. Ale coś ją powstrzymywało.

Mówiła sobie, że nie zaprasza go na przyjęcie matki po to, żeby go sprawdzić. Wmawiała sobie, że nawet jeśli Bobby pozna u Lu wszystkie grube ryby Broadwayu - na pewno nie rzuci się na nikogo ze swoim musicaliem. Bobby obiecał jej, że nie będzie wykorzystywał okazji - i z pewnością dotrzyma obietnicy. Powtarzała sobie, że jest tego pewna i że nie traktuje zaproszenia jako testu. Zatem wszystko było w najlepszym porządku, kiedy zapytała Lu, czy może wpisać Bobby'ego Manninga na listę gości.

- Kto to? - zapytała Lu.

Rose nieoczekiwanie dla samej siebie zaczęła opowiadać Lu wszystko o Bobby'm, o jego ambicjach i obietnicy, którą złożył.

- Mówi, że teraz, kiedy mnie zna, nigdy nie mógłby mnie wykorzystać, żeby cię poznać - Rose zakończyła swoją przemowę. - I wierzę mu.

Prawie.

- Cholera - mruknęła jej matka.

- Co się stało?

- Właśnie zaczynałaś mnie lubić, a teraz muszę powiedzieć coś, czego nie będziesz chciała usłyszeć.

- Uważasz, że on jednak próbuje mnie wykorzystać.

- Naprawdę myślisz, że tak nie jest?

- Gdyby tak było, dlaczego byłby ze mną taki szczery?

- Najwyraźniej jest bardzo sprytny.

- Albo mówił prawdę. Może naprawdę chciał mnie poznać ze względu na ciebie, ale teraz wszystko się zmieniło.

- Jeśli w to wierzysz, dlaczego każesz mu zdawać egzamin?

- To brzmi okropnie.

- I takie jest. Jeśli ten człowiek jest tak zdesperowany, jak mówisz...

- Nigdy nie twierdziłam, że jest zdesperowany.



- Rose, on ma trzydzieści lat i miota się, próbując coś osiągnąć, odkąd skończył liceum. Uwierz mi, jest zdesperowany. A wrzucić go do jednego pokoju z ludźmi, którzy mogliby dać mu wszystko, o czym kiedykolwiek marzył, to jak położyć bęsztyk przed umierającym z głodu psem i powiedzieć mu, żeby go nie jadł.

- On nie próbuje mnie wykorzystać! Zależy mu na mnie.

- Może być tak, że jednocześnie mu na tobie zależy i chce cię wykorzystać, kochanie. Ludzie tak robią.

- Nie znasz go!

Jej matka westchnęła.

- Och, znam go, Rose. Znam twojego Bobby'ego Manninga. Nie musiałam go widzieć, żeby go znać.

Smutek malujący się w jej oczach nie zrobił na Rose wrażenia.

- Dlaczego zawsze próbujesz mnie skrzywdzić?! - krzyknęła. - Dlaczego zawsze musisz to robić?

- Chcę się upewnić, że nie zostaniesz skrzywdzona. Nie twierdzą, że Bobby Manning to zły człowiek.

Ale ludzie czasem robią takie rzeczy...

- Doskonale wiem, co ludzie mogą robić. Wiem, że matka może porzucić własne dziecko, bo musi zajmować się swoim życiem, a dziecko tylko by jej w tym przeszkadzało.

- Dałam ci najlepszą matkę, jaką mogłam.

- Dałaś mi matkę, która zmarła, kiedy miałam trzynaście lat!

Zapanowała długa cisza, po czym Lu powiedziała:

- Masz do mnie żal. Rozumiem. Ale mam nadzieję, że pewnego dnia ci przejdzie - mówiła łagodnie, jakby naprawdę ją to obchodziło.

- Z pewnością - wyrzuciła z siebie Rose.

- Nie ze względu na mnie. Ze względu na ciebie.

Stały w świeżo odnowionej sypialni Lu. Na łóżku leżała miedzianobrazowa suknia, którą Rose pomogła zaprojektować. Lu podniosła ją.

- Będzie wyglądała bosko - powiedziała. - Dziękuję.

- Już to mówiłaś.

Lu skinęła głową. Położyła suknię na krześle i spojrzała na Rose.

- Strasznie się boję, że nigdy nie pozwolisz sobie być szczęśliwą - wyznała.

- Mogę zaprosić Bobby'ego Manninga na przyjęcie? - zapytała ponownie Rose.

- Oczywiście.

- Dziękuję. - Ruszyła w stronę drzwi.

- Rose! - zawołała za nią Lu. - Pamiętaj tylko, że ludzie mogą być okrutni, nawet kiedy tego nie chcą.

- Bobby mnie nie skrzywdzi.

- Nie chodziło mi o niego - powiedziała jej matka.

# ROZDZIAŁ 21

Nowy Jork

2008

- Zakładam, że Bobby Manning poszedł na przyjęcie - powiedziała Carrie, sącząc z George'em kawę w jego salonie w stylu bohemy połączonym z *belle époque*. Naczynia zostały zmyte i wytarte, a wcześniej George wygłosił przemowę o tym, że każdy, kto na Manhattanie nalega na kupno zmywarki do naczyń, powinien przenieść się do New Jersey. Teraz Carrie, George i trzy yorki siedzieli razem na kanapie, rekwizycie z przedstawienia *My Fair Lady*.

- O tak, Bobby przyszedł na to przyjęcie - powiedział George. Zamilkł na chwilę i wypił łyk kawy. - Ale to był... dziwny wieczór.

- Dziwny?

- Przyjęcie udało się wspaniale. Lu krążyła między gośćmi w swojej eleganckiej nowej sukni, a mieszkanie przypominało pieprzony Wersal. Rose też wyglądała zjawiskowo, ale to zakwalifikowano do rubryki „Co nowego poza tym?”.

- W porządku, a co dziwnego się działo?

- Właściwie to Davy i ja nieświadomie to wywołaliśmy. - Spojrzał gdzieś w przestrzeń i zachichotał. - W latach sześćdziesiątych w Greenwich Village było mnóstwo klubów lansujących nowe kawałki. Wielkim powodzeniem cieszyły się w nich młode śpiewaczki, z których każda chciała zostać nową Barbrą Streisand. Zapraszano mnie tam ze względu na Lu i innych ludzi z branży, których znałem. Na kilka tygodni przed przyjęciem u Lu dostałem ulotkę od jednej z naśladowczyń Barbry Streisand, więc poszliśmy z Davym i paroma przyjaciółmi do centrum, żeby dla zabawy obejrzeć jej występ. Dziewczyna nazywała się Antoinette Landovich - nigdy nie zapomnę tego nazwiska. Usiłowaliśmy z Davym przekonać ją, żeby zmieniła je na coś bardziej odpowiedniego dla show-biznesu - co w tamtych czasach oznaczało białą klasę średnią pochodzenia anglosaskiego - ale ona ciągle wygłaszała te brednie z lat sześćdziesiątych o tym, jak to nie wolno nagiąć się do burżuazyjnych wymogów komercyjnego teatru. To było, zanim jej powiedziałem, że to ja jestem burżuazyjnym dyrygentem, którego zaprosiła na swój występ. Potem wydawała się już zdecydowanie mniej oddana swoim ideałom. Wygłosiła całą przemowę o tym, jak ogromnie podziwia Lu Lawson i jak bardzo chciałaby ją poznać.

Wydawało się, że Antoinette wie o przyjęciu Lu, co trochę mnie zdziwiło, bo miało przecież charakter prywatny. Ale uznałem, że widocznie poczta pantoflowa pracowała ponad normę. Wszystko, co Lu robiła w tamtych czasach, budziło ogromne zainteresowanie. Poza tym Davy porządnie się wstawił i zanim zdołałem go powstrzymać, podał Antoinette adres Lu, zapraszając ją na przyjęcie. Miałem ochotę zabić go w taksówce, kiedy wracaliśmy do domu, ale było już za późno. Obaj wiedzieliśmy, że ta dziewczyna za nic w świecie nie przepuści okazji, żeby zbliżyć się do Lu Lawson i jej przyjaciół.

George wziął na kolana jednego z małych yorków i zaczął głaskać go za uszami.

- Lu nie przeszkadzało, że Antoinette przyjdzie na przyjęcie - mówił dalej. - Ja też więcej o tym nie myślałem. Przynajmniej nie wtedy.

George niechęć pociągnął yorka za ucho. Piesek zaskomlał głośno, ale George był tak pochłonięty opowieścią, że nawet tego nie zauważył.

- Pytałaś, czy wiem, co wydarzyło się między Lu i Rose po śmierci Bobby'ego. Nie wiem. Lu do dziś mi tego nie zdradziła. Ale raz powiedziała, że to wszystko zaczęło się wtedy, kiedy na jej przyjęciu w sześćdziesiątym drugim roku pojawiła się Antoinette Landovich.

## ROZDZIAŁ 22

Nowy Jork

1962

Rose miała lekki atak tremy. Przyjęcie Lu już trwało, a ona nadal siedziała w sypialni, szukając kolejnych powodów, żeby z niej nie wychodzić. Po raz dwudziesty spojrzała w lustro - ciągle sprawdzała, jak wygląda. Specjalnie na tę okazję kupiła nową suknię. Odslaniała jedno ramię, była marszczona pod biustem i sięgała aż do ziemi. Kreacja została uszyta z cieniutkiej chińskiej krepki, która świetnie pasowała do jej cery. Kiedy Rose stawała w odpowiednim - albo w nieodpowiednim świetle, wszystko zależało od punktu widzenia - materiał nie zmuszał wyobraźni do nadmiernie wytężonej pracy. Rose zamierzała spędzić całą noc w odpowiednim/nieodpowiednim świetle, jeżeli tylko Bobby pojawi się gdzieś w pobliżu. Próbowowała też modnie upiąć wysoko swoje długie rude włosy - ale w ostatniej chwili zdecydowała się je rozpuścić i pozwoliła im swobodnie opaść na ramiona i plecy. Gdyby wyposażyć ją jeszcze w muszlę, mogłaby zostać uznana za współczesną wersję Wenus Botticellego. Teraz musiała już tylko wyjść na przyjęcie, gdzie wszystkie jej wysiłki miały wreszcie przynieść wymierną korzyść.

Rose po raz ostatni spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Przez chwilę rozważała odmówienie krótkiej modlitwy. Ale z jakiegoś powodu wydało jej się to nieodpowiednie. Nie dlatego, że robiła wszystko, żeby wydawać się naga. Wyszła z sypialni i ruszyła w stronę odgłosów przyjęcia.

Goście równomiernie wypełniali salon, jadalnię i hol. Rose rozejrzała się. Byli już George razem z Davym, a także agent Lu. Jej producent jeszcze się nie pojawił. Bobby też nie.

Dobrze - pomyślała, uśmiechając się i kiwając głową w stronę pewnego aktora, grającego drugoplanową rolę w ostatnim przedstawieniu Lu, który machał do niej z drugiego końca pomieszczenia. - Jeśli Bobby'ego jeszcze nie ma, to niczego nie przegapiłam.

Matka twierdziła, że Rose każe mu się sprawdzić, a ona zaprzeczyła. Ale jeśli Lu miała rację? Jeśli dzisiejszy wieczór stanowił ostateczną próbę? Czy to aż taki grzech?

To jak położyć befsztyk przed umierającym z głodu psem i powiedzieć mu, żeby go nie jadł - powiedziała wcześniej Lu.

Ale co ze mną, do diabła? - pomyślała Rose. - Muszę wiedzieć. Muszę mieć pewność.

Aktor, z którym się przed chwilą witała, szedł właśnie w jej stronę, więc Rose ruszyła w przeciwnym kierunku. Obchodziła kolejne pomieszczenia, kiwała grzecznie głową i uśmiechała się do ludzi, których prawie nie widziała, cały czas mając na oku drzwi wejściowe.

Bobby pojawił się pięć minut później. Miał nowy garnitur - tani, ale przynajmniej nie przyszedł w tym, który nosił na co dzień do pracy. Włożył też inny krzykliwy krawat. Ale te braki łatwo byłoby naprawić, gdyby to ona dobierała mu garderobę. Rose ruszyła w kierunku holu.

- Witaj - powiedziała, nachylając się, żeby mógł ją pocałować w policzek, ale był zbyt zajęty podziwianiem sukni Wenus.

- Bardzo ładna - wyszeptał. Po chwili dodał: - Dziękuję.

Wiedział, że włożyła ją dla niego. No cóż, oczywiście, że wiedział. Znał się na kobietach. Przez sekundę czuła się jak idiotka - idiotka, która powinna włożyć na siebie więcej ubrań. Ale wtedy spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich coś, co sprawiło, że poczuła się naprawdę naga. Nie było to nieprzyjemne uczucie. Rose wyprostowała się jeszcze bardziej, na wypadek gdyby przegapił jakiś istotny szczegół, po czym wzięła go pod rękę.

- Przyszedłeś w doskonałym momencie - powiedziała. - Chodź, poznasz gości.

Przez pierwszych dziesięć minut pozostawała u jego boku. Przedstawiła go George'owi i agentowi oraz producentowi Lu. Przedstawiła go samej Lu. Był czarujący, dowcipny, zachwycający. Nawet nie wspomniał, że jest pisarzem i kompozytorem. Kiedy ludzie pytali go, czym się zajmuje, Bobby odpowiadał, że jest sprzedawcą w Hershemer's Music Store. Wtedy Rose zostawiła go, żeby mógł samodzielnie krążyć pomiędzy gośćmi. Nie śledziła, z kim rozmawia. Była pewna, że dowie się tego później.

W środku przyjęcia w drzwiach pojawiła się dziewczyna w tandetnej żółtej sukience w stylu lat trzydziestych i czterdziestych. Sukienka została prawdopodobnie kupiona w sklepie *vintage* w Greenwich Village, a młoda kobieta założyła do niej nadgryzione przez mole czarne futerko. Był to ten styl Lower East Side, wprowadzony przez jakąś nową piosenkarkę - Rose nie pamiętała jej nazwiska - ale podobnie jak większość kopiujących go osób, dziewczyna nie umiała sobie z nim poradzić. Wyglądała jak bezdomne dziecko, przy tym nieszczęśliwie ładne. Stała tak w ogromnym holu mieszkania Lu i rozglądała się, wyraźnie kogoś szukając.

Kiedy George i Davy rzucili się w stronę dziewczyny, usiłując ją ratować, Rose uznała, że to kolejna ze zbłąkanych aktoreczek i tancerek, z którymi Davy zawsze się zaprzyjaźniał - i szybko o niej zapomniała. Zdziwiła się więc, kiedy kilka minut później Davy poprowadził nieznaną - zdjęła już naruszone przez mole futro - w jej stronę.

- Antoinette po prostu marzy o tym, żeby cię poznać - oznajmił radośnie Davy, który zawsze się cieszył, kiedy mógł zrobić dla drugiego człowieka coś miłego. To dlatego zdolny, inteligentny George się z nim przyjaźnił, mimo że Davy'ego trudno było uznać za geniusza. - Antoinette to wielka fanka Lu i...

- Hej, Landovich - Rose usłyszała z boku czyjś głos. Odwróciła się i zobaczyła Bobby'ego, który stał obok niej. Uśmiechał się, ale w jego zachowaniu dostrzegła coś dziwnego. Coś wisiało w powietrzu między nim a tą dziewczyną - wyraźnie to czuła. Mimo uśmiechu na jego twarzy w oczach Bobby'ego błyszczał gniew, którego Rose nie widziała nigdy wcześniej. Był blady. W spojrzeniu, którym odwzajemniła mu się Antoinette, malował się opór i lekki strach.

- Nie sądziłem, że cię tu spotkam, Antoinette - powiedział Bobby. Jego głos brzmiał zupełnie przyjaźnie i gdyby Rose nie dostrzegła wcześniej jego wzroku, z pewnością nie zwróciłaby na to wszystko uwagi.

Najwyraźniej jest bardzo sprytny - oceniła wcześniej jej matka.

- Przyglądam się, jak żyją wyższe sfery. - Antoinette gorzko uśmiechnęła się do Bobby'ego. Po czym odwróciła się i spojrzała na Rose. Wyglądała jak ktoś, kto zamierza skoczyć do bardzo zimnej wody. Wahala się przez sekundę, po czym zanurkowała.

- Wiesz, Bobby i ja...

I Rose wiedziała, że cokolwiek Antoinette Landovich zamierza powiedzieć, położy to kres jej marzeniom o życiu u boku Bobby'ego. Nagle poczuła, jakby stała gdzieś z daleka i patrzyła na siebie podczas jakiegoś spektaklu. Obserwowała, jak postać o imieniu Rose bierze Bobby'ego pod ramię i uśmiecha słodko do Antoinette Landovich. Usłyszała, jak mówi: „Przepraszam, zauważyłam kogoś, kogo chciałam przedstawić Bobby'emu, chyba właśnie wychodzi”. I patrzyła, jak Rose go prowadzi, oddalając się od Antoinette. Wtedy, równie gwałtownie jak wtedy, kiedy opuszczała własne ciało, wróciła do niego. Kiedy razem z Bobbym przechodziła na drugi koniec pokoju, mogła prawie usłyszeć jego gorączkowe myśli.

Nie okłamuj mnie - błagała w duchu. - I nie powiedz czegoś, z czym nie będę mogła żyć.

- Znam Antoinette, bo napisałem specjalny materiał do jednego z jej numerów - wyjaśnił Bobby.

Nie skłamał, ale nie powiedział też całej prawdy. Nie wytłumaczył spojrzeń, które wymienił z dziewczyną, i gęstej, napiętej atmosfery między nimi. A wiedział, że musi to zrobić. Jak zauważyła Lu, Bobby był bardzo sprytny.

Z boku pokoju znajdowała się mała wnęka. Nie zapewniała kompletnej prywatności, ale było to lepsze, niż stać pośród tłumu gości. Bobby zaciągnął ją tam i odwrócił tak, żeby patrzyła mu w oczy. Starannie dobierając słowa, odezwał się:

- Antoinette i mnie coś łączyło. Od początku wiedziała, że to nic poważnego. Powiedziałem jej o tym.

A czy nadal coś was łączy? - chciała zapytać Rose. Ale nie mogła.

Bobby wziął głęboki oddech.

- Ona wie... o tobie. I dowiedziała się, że przyjdę na to przyjęcie. - Uśmiechnął się swoim szelmowskim uśmiechem, który tak dobrze już znała. - Kupiłem nowy garnitur, więc nabrała podejrzeń.

To brzmi, jakby nadal była twoją dziewczyną - pomyślała Rose.

- Przyszła tu dzisiaj, żeby... Nie wiem, dlaczego przyszła... - mówił dalej - może chciała zrobić scenę... zawstydzić mnie...

Czy ona jest dalej twoją dziewczyną? Czy była twoją dziewczyną przez te wszystkie miesiące, kiedy chodziłeś ze mną na kawę i kupowałeś mi sernik?

Tego jej nie powie. Będzie musiała go zapytać. Rose głęboko odetchnęła. Ale wtedy zobaczyła swoją matkę. Lu stała po drugiej stronie pokoju, patrząc na nich.

Jeśli go stracę, zostanę sama - pomyślała Rose. Nie zadała swojego pytania.

- Nie byłem święty - powiedział Bobby.

Dalej powinien powiedzieć: „Ale to już przeszłość, Rose.

Teraz poznałem ciebie. Nigdy już nie spojrzę na inną kobietę. Nigdy cię nie opuszczę i będę twój na zawsze". We wszystkich sztukach, w których grała Lu, to właśnie mówił główny bohater do głównej bohaterki.

Bobby natomiast powiedział:

- Kłamałbym, gdybym próbował ci wmówić, że nie było przed tobą innych dziewczyn. Jesteś na to zbyt mądra.

Pomyliły ci się teksty, Bobby! - pomyślała Rose. - A ja muszę usłyszeć te właściwe słowa. Zasluguje na nie. Ale wtedy znowu spojrzała na drugi koniec pokoju. Lu dalej się im przyglądała.

Rose wzruszyła ramionami.

- A kto chciałby świętego? - zapytała, starając się zdobyć na światowy uśmiech.

Bobby spojrzał na nią i zapytał:

- A ty nie? - I wiedziała, że zaskoczyły go te słowa. Nie to zamierzał powiedzieć.

Zastanawiała się przez chwilę, po czym odrzekła wolno:

- Gdyby ktokolwiek zrobił ze mnie idiotkę, nienawidziłabym go przez resztę życia. - I wiedziała, że to największa szczerłość, na jaką mogłaby sobie kiedykolwiek pozwolić.

- Nie chcę, żebyś mnie kiedykolwiek nienawidziła. - Wiedziała, że on też mówi prawdę.

Antoinette Landovich wyszła z przyjęcia mniej więcej dwadzieścia minut później. Cokolwiek chciała osiągnąć - nie udało jej się to. Bobby pozostał u boku Rose przez resztę wieczoru. Był czarujący i zabawny, i wszyscy go polubili. Ani razu nie wspomniał o swoim musicalu. Ale Rose już to nie obchodziło.

Kiedy przyjęcie się skończyło, odprowadziła Bobby'ego do windy. Korytarz był pusty i później zastanawiała się, czy nieświadomie nie wybrali tego momentu. Bo właśnie wtedy ją pocałował. A Rose odkryła, że wszystkie komunały są prawdziwe: jej kolana naprawdę się ugięły, podłoga rzeczywiście zaczęła uciekać jej spod nóg, a gdyby winda nie przyjechała, stałaby tam i całowała się z Bobbym przez całą noc. Ale winda przyjechała, a Bobby do niej wsiadł. Wydawał się równie oszołomiony.

Umrę, jeśli go stracę - pomyślała, patrząc, jak zamykają się za nim drzwi. Musiała odczekać jeszcze kilka minut, żeby się upewnić, że twarz jej nie zdradzi. Potem wróciła do mieszkania.

Lu siedziała na kanapie, wyciągając nogi do góry.

- Idę spać - oznajmiła Rose.

- Kim była ta dziewczyna? - zapytała jej matka.

W stanie idealnego szczęścia, w jakim znajdowała się Rose, to pytanie było jak zimny prysznic. Ale nie było sensu udawać, że nie wie, kogo Lu ma na myśli.

- Nazywa się Antoinette Landovich. Zaprosił ją Davy - odpowiedziała Rose.

Po czym dodała:

- To dawna dziewczyna Bobby'ego.

- „Dawna”, czyli już nie jest jego dziewczyną?

- Tak - przytaknęła Rose.

Chociaż kiedy o tym pomyślała, zdała sobie sprawę, że nie ma pewności.

- Czy on z tobą sypia? - zapytała Lu.

- Oczywiście, że nie.

- Jeśli nie sypia z tobą, to uprawia seks z kimś innym.  
- Nieprawda - zaprzeczyła. Ale czy w to wierzyła?  
- George rozpytywał trochę o niego - powiedziała Lu. - Twój Bobby Manning ma niezłą reputację.  
- Ludzie się zmieniają - rzuciła wyzywająco Rose. Ale nie mogła spojrzeć matce w oczy. - Czasem...  
potrzeba tylko odpowiedniej osoby...

- A ty mogłabyś się zmienić?  
- Co masz na myśli?  
- Mogłabyś stać się tym typem kobiety, której nie obchodzi, czy mężczyzna ją zdradza?  
- Bobby nigdy by mi tego nie zrobił - oświadczyła Rose. Wyszła z pokoju, zanim jej matka zdążyła cokolwiek odpowiedzieć.

Następnego dnia w kawiarni Lindy's, jeszcze zanim zamówili sernik, Rose zapytała Bobby'ego, czy mogłaby przeczytać jego musical i czy zagra dla niej swoje piosenki. Otworzył teczkę, którą zawsze przy sobie nosił, podał jej rękopis i powiedział, że spotka się z nią w Hershemer's po zamknięciu sklepu i zagra jej muzykę, którą napisał. Nie wyglądał na zdziwionego.

## ROZDZIAŁ 23

Nowy Jork

1962

Rose zaczęła czytać musical Bobby'ego w taksówce w drodze do domu. Kiedy dotarła do mieszkania matki, wiedziała już, co myśli o jego talencie pisarskim. Poszła do Hershemer's, żeby posłuchać muzyki, którą napisał, i przekonać się, czy jest dobrym kompozytorem. Wtedy powie mu, co powinien zrobić dalej. Rose nie miała pojęcia, dlaczego uważa, że umie ocenić broadwayowski musical. Nie zastanawiała się nawet, czy powinna udzielać Bobby'emu rad. Wiedziała po prostu, że cokolwiek mu powie, będzie to właściwe, bo go kocha. Teraz, kiedy ją pocałował, nie miała żadnych wątpliwości. Oczywiście sam nie powiedział jeszcze, że ją kocha - ale to zrobi. Bo teraz nadeszła jej kolej, żeby się przed nim sprawdzić. A Bóg nie pozwoli, żeby popełniła błąd.

Rose usiadła więc na krześle w wielkim holu sklepu Hershemera i słuchała uważnie, jak Bobby gra swoje utwory. Kiedy skończył, odetchnęła z ulgą. Miała nadzieję, że jego muzyka okaże się równie dobra jak jego tekst - i tak się stało. Nie będzie musiała mu mówić, że poszuka innego kompozytora. Była za to wdzięczna losowi. To, co miała mu do powiedzenia, będzie i tak wystarczająco trudne.

Bobby przyglądał jej się w napięciu, czekając na werdykt.

Wyglądał na tak zdesperowanego, że przez chwilę Rose się zawahała. Wyjrzała przez duże okno wykuszowe wychodzące na Piątą Aleję. Na zewnątrz było jeszcze dość jasno, a ludzie, którzy zostali dłużej w biurach albo załatwiali ostatnie sprawunki, biegali nadal po ulicy, szli na przystanki i łapali taksówki. Minie kolejna godzina albo dwie, zanim eleganckie towarzystwo przejmie miasto i opanuje je wraz ze swoimi limuzyna-

mi, sukniami wieczorowymi i smokingami. Bobby chciał należeć do tego eleganckiego towarzystwa. A jeśli marzyła o tym, żeby go zdobyć, musiała dopilnować, żeby dostał to, czego pragnął. Musiała powiedzieć mu prawdę.

- Napisałeś nie ten musical - powiedziała.

Bobby natychmiast przeszedł do defensywy:

- Jak to?

- Masz tu wszystkie składniki: słodką historię miłosną, radosną paplaninę, mnóstwo miejsc, w których matka mogłaby popisywać się swoimi numerami, a do tego wyśpiewać te piosenki na całą salę, nie niszcząc sobie strun głosowych. To idealny musical w stylu<sup>1</sup>Lu Lawson.

- Więc o co ci, do diabła, chodzi?

- Jest dokładnie taki sam, jak wszystkie inne musicale, które wysyłali jej agenci - dotąd było ich chyba trzynaście. Wszystkie odrzuciła.

- To nie znaczy, że i ten odrzuci.

Był wściekły i tak strasznie, strasznie rozczarowany. W tej chwili nienawidził Rose. Ogarnął ją strach. Umrę, jeśli go stracę.

Ale nigdy by go nie zdobyła, gdyby nie powiedziała mu prawdy.

- Owszem, znaczy - oznajmiła. - Z pewnością go odrzuci.

- Skąd wiesz? Odkąd stałaś się taką ekspertką od teatru?

- Nie jestem. Jestem ekspertką od Lu Lawson.

Zaczęła mu opowiadać, jak Lu urządziła na nowo swoje mieszkanie, jak zmieniła garderobę. I widziała, że zaczyna jej słuchać. Bobby czekał, aż skończy, i wtedy to on wyjrzał przez okno. Kiedy odwrócił się ponownie w jej stronę, zdążył już przełknąć swoje rozczarowanie.

- Mówisz, że Lu Lawson... twoja matka... chce wszystko zmienić - powiedział.

Rose przytaknęła.

- Od dziesięciu lat gra tę samą uroczą, błaznującą dziewczynę. To już przestała być ona. Zresztą myślę, że to nigdy nie była ona, ale przez długi czas umiała się wcielić w tę rolę.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Więc czego teraz pragnie?

- Powiem ci, ale najpierw zjemy razem obiad. Ja stawiam i nie zaczynaj marudzić o pieniądzach. Postawię ci porządny befsztyk z polędwicy, bo będziesz tego potrzebował.

Bobby wyglądał przez chwilę, jakby zamierzał zaprotestować, po czym uśmiechnął się swoim szerokim, chłopięcym uśmiechem, który pojawiał się tylko, kiedy jedli sernik w Lindy's czy u Jacka Dempseya.

- W porządku, szefowo - zgodził się. - Daj mi tylko zgasić światła.

Na razie idzie całkiem nieźle - pomyślała Rose. Zabrała go do najdroższego steakhouse'u, jaki знаła, i zaczęła, aż złoży zamówienie. Potem powiedziała:

- Oto, co powinieneś wiedzieć o Lu Lawson. Nie dorastała, jeżdżąc konno i wspinając się na drzewa na Środkowym Zachodzie. Mieszkała w miłym domu we włoskiej części New Haven w stanie Connecticut. Było tam mnóstwo antyków, które rodzina jej ojca przywiozła z ojczyzny. Jej matka własnoręcznie robiła koronko-



we serwetki; pełno ich było w całym domu. Rodzina Lu nie była bogata i nie przybyła na Mayflower jak anglosaska elita, która mieszkała na wzgórzu. Ale jej rodzice mieli klasę i dumę, jakie mogą mieć tylko imigranci, którym się udało. Ojciec Lu zabierał ją do Nowego Jorku na spektakle, a matka robiła najlepsze lazanie na wschodnim wybrzeżu. Wierz mi, bo wiem, co mówię. Czas, żeby Lu wróciła do korzeni. Nie mam pewności, czy ona już o tym wie. Ale gdybyś zastanowił się nad tym, w jaki sposób odnowiła mieszkanie, i gdybyś znał jej dom w New Haven, zobaczyłbyś, że właśnie tego potrzebuje. Jest wychowaną w Ameryce dziewczyną o włoskich korzeniach, która osiągnęła sukces, i jeśli wykorzystasz tę historię, napiszesz musical, którego ona nie odrzuci. Nadal ćwiczy co rano głos, śpiewając *Panis Angelicus* - jeśli tego nie znasz, powinieneś zdobyć kopię. Kiedy była mała, w sobotnie popołudnia słuchała w radiu Metropolitan Opera i śpiewała włoskie piosenki ludowe na weselach. Powinieneś posłuchać nagrań Caruso wykonującego *O Sole Mio* i arii z *Cyganerii*, żeby wczuć się w ten klimat. Matka ma trzydzieści kilka lat i zmęczyło ją wieczne granie dziecka. Chce stać się kobietą - zakończyła Rose.

Bobby przyglądał jej się zafascynowany.

Potrzebuje mnie i zdaje sobie z tego sprawę - pomyślała. Wiedziała, że robi postępy.

- To, o czym mówisz, będzie trudne - zamyślił się. - Publiczność kocha Lu Lawson taką, jaka jest.

- Będziesz musiał sprawić, żeby zakochali się w jej nowym wcieleniu.

- Trochę potrwa, zanim zdołam napisać nową sztukę.

- Z moich obliczeń wynika, że masz na to pół roku.

- Oszalałaś?

- Matka postanowiła, że kupi dom na wsi, sama jej to zasugerowałam. Pomogę jej znaleźć dom, a potem wspólnie go urządzimy. Wydaje mi się, że ma nadzieję, że to nas zbliży. Mogę zająć ją przez sześć miesięcy, ale praca to całe jej życie, a odpoczywa już od niej jakiś czas. Po sześciu kolejnych miesiącach będzie znowu marzyła, żeby wyjść na scenę. I właśnie wtedy dam jej nowy musical, który dla niej napiszesz. *The Lady* - to byłby świetny tytuł.

Pokręcił głową.

- Nie zdążę. Pracuję w sklepie, piszę tylko nocami. Miała w torebce książeczkę czekową. Długo i poważnie zastanawiała się nad tym, czy powinna zaproponować, że pożyczycy mu pieniądze na tych sześć miesięcy. Ale teraz, patrząc na niego, uznała, że nie może tego zrobić. Za długo był biedny, żeby teraz przyjąć pożyczkę bez uczucia porażki. Chciała, by stał się jej dłużnikiem, ale nie zamierzała doprowadzić do tego, żeby jej nie lubił. Poza tym Bobby zaczął już obmyślać własny plan.

- W Hershmer's pozwolą mi na urlop - myślał na głos. - Zachowają dla mnie posadę. Poza tym jest parę osób, które są mi winne pieniądze... - Rose widziała, jak Bobby dokonuje w głowie szybkich obliczeń. - Uda się. Musi się udać. Nie schrzanię tego.

Rose wiedziała, że ma rację. W końcu był tym wyjątkowym mężczyzną, na którego czekała całe życie. Jego musical okaże się hitem, a Bobby znajdzie się na ustach całego Broadwayu - Bóg na pewno mu pobłogosławi - i wtedy zrozumie, że Rose jest czymś najlepszym, co mu się kiedykolwiek przytrafiło. Dotrze do niego, że nie może bez niej żyć.

- Dziękuję, Rose - powiedział.

Antoinette Landovich, możesz się wypchać! - pomyślała. - Teraz już go nie stracę.

Jednak sześć miesięcy później naprawdę niewiele brakowało, żeby go jednak straciła.

Bobby'ego czekała praca pod presją czasu. Napisanie całego musicalu w ciągu zaledwie sześciu miesięcy wydawało się zadaniem prawie niemożliwym. Wiedząc o tym, Rose powiedziała mu:

- Nie spodziewam się ciebie więcej w Rockefeller Center. I wiem, że nie będziesz miał czasu na picie ze mną kawy każdego ranka.

Rzucił jej spojrzenie pełne ulgi.

- Jesteś aniołem - przyznał i ją objął. Wmówiła sobie, że wcale nie jest rozczarowana.

Dała Bobby'emu karteczkę ze swoim numerem telefonu.

- Żebyś mógł się ze mną skontaktować - wyjaśniła. - Zdałam sobie sprawę, że chociaż znamy się już tyle czasu, wciąż tego nie zrobiłam.

Czekała, aż jej się odwzajemni. Zamiast tego przyglądał się karteczce z wyraźnym zaniepokojeniem. Zrozumiała, że się pospieszyła.

- Nie chcę twojego numeru - dodała szybko. - Nie zamierzam dzwonić, kiedy będziesz pracował, ani przerywać ci natchnienia. - Zaśmiała się, chcąc rozwiać napięcie. - Zadzwoń do mnie, kiedy zechcesz.

Te słowa najwyraźniej uspokoiły Bobby'ego.

- Dziękuję - odparł, ostrożnie zginając kremowy papier welinowy. Włożył go do portfela. - Tutaj będzie bezpieczny - wyjaśnił.

Po czym pocałował ją w sposób, który wiele jej wynagrodził.

- Z góry ci dziękuję, że nie wpędzasz mnie w poczucie winy z powodu mojej hibernacji - szepnął jej do ucha. Rose znowu powiedziała sobie, że wcale nie jest rozczarowana.

Wcale nie była rozczarowana, że spotkania na kawie po jej łyżwach dobiegły końca. Teraz Bobby będzie do niej dzwonił tylko wtedy, kiedy zechce się spotkać, i nie będzie miała wątpliwości, że się umawiają. A może - choć nigdy sama go o to nie poprosi - opowie jej o swojej pracy. Zaczęła sobie wyobrażać, jak Bobby zwróci się do niej z prośbą o przeczytanie scen, które już napisał. Może zapyta ją o zdanie - to w końcu ona wymyśliła ten musical. I wreszcie zaprosi do siebie. Nie miała pewności, dlaczego jest to takie ważne - po prostu to czuła. Oczywiście, kiedy już znajdzie się u niego w mieszkaniu, będzie musiała dopilnować, żeby nic się między nimi nie wydarzyło. Nic z wyjątkiem całowania, niezależnie od tego, jak silna będzie pokusa. Wiedziała, że jest beznadziejnie staroświecka. Rewolucja seksualna widoczna wszędzie wkoło nie była dla niej. Nonna i zakonnice zbyt dobrze ją wyszkoliły. I chociaż Bobby miał bogatą przeszłość, czuła, że kiedy będzie gotowy, żeby się ustatkować, zapragnie staroświeckiej dziewczyny. Takiej jak ona.

Ale tymczasem spodziewała się, że kiedy nie będzie urządziła z matką domu, a Bobby nie będzie pisał, spędzi z nim choć trochę czasu. Wiedziała, że to mniej niżby chciała, ale spodziewała się tego. Nie spodziewała się natomiast, że Bobby po prostu zniknie. Nigdy by nie przypuszczała, że w ogóle do niej nie zadzwoni.

Przez pierwszy tydzień mówiła sobie, że Bobby po prostu przyzwyczajają się do nowego harmonogramu dnia. Później powtarzała sobie w duchu, że pewnie trudno mu zacząć pracę nad musicalem - jak słyszała, pisanie zawsze najtrudniej idzie na początku. Starła się nie dopuszczać do siebie słów takich jak „samolubny” czy „niewdzięczny”. Robiła to przez dziesięć długich, frustrujących dni.

- Spotykasz się jeszcze z Bobbym Manningiem? - zapytała ją pewnego ranka Lu, kiedy usadowiły się na tylnym siedzeniu samochodu. Jechały obejrzeć jakąś nieruchomość w Duchess County. Było to daleko od miasta, ale agent twierdził, że to wyjątkowo ustronna okolica i panna Lawson odnajdzie tam spokój i ciszę. - Spotykasz się z Bobbym? - powtórzyła matka.

- Dużo ostatnio pracował, a ja byłam zajęta i rzadko bywałam w domu... - Rose nienawidziła się za to, że próbuje się tłumaczyć, ale nie mogła przestać. - Prawdopodobnie przegapiłam jego telefony.

- W mieszkaniu jest przecież mnóstwo osób, które mogą przekazać ci wiadomość. Służąca, kucharz, panna Pearl...

- Wiem - burknęła Rose. - Zadzwoń do mnie, kiedy będzie miał czas!

- Oczywiście - przytaknęła matka. Ale sposób, w jaki to powiedziała, przypomniał Rose o ich rozmowie przed przyjęciem. Czuli, że wbija paznokcie w pluszową tapicerkę limuzyny matki.

Jeśli po tym, jak mu pomogłam, śmie sypiać z kimś innym - pomyślała - pozwolę mu skończyć ten cholerny musical, po czym powiem, że dałam go matce, a ona uznała go za najgorszy, jaki kiedykolwiek czytała. A potem spalę go, strona po stronie.

Ale wiedziała, że nie mogłaby tego zrobić.

Następnego dnia Rose pozwoliła Lu samodzielnie polować na dom. Pojechała taksówką do sklepu Hersher's, gdzie skłoniła jednego ze sprzedawców, by dał jej numer telefonu i adres Bobby'ego.

- Jestem dawną przyjaciółką jego kuzyna - wyjaśniła, mając nadzieję, że to wystarczająco odległy związek. - Chciałam skontaktować się z Bobbym.

- W porządku, wszystko dla kuzynek Bobby'ego - powiedział mężczyzna, zapisując dane.

- Właściwie to jestem przyjaciółką jego kuzyna - poprawiła go wyniośle.

Podał jej kartkę, mrugając.

- Zwykle przychodzi siostra - dodał.

Wracając taksówką do domu, Rose powtarzała sobie, że ludzie mogą dojrzewać. Dorastać. Szczególnie mężczyzna, który wreszcie spotkał właściwą dziewczynę.

Tego wieczoru zadzwoniła do mieszkania Bobby'ego. Nikt nie odebrał. Pracuje i nie zwraca uwagi na telefon - powiedziała do siebie.

Rose dzwoniła na numer Bobby'ego codziennie przez kolejny tydzień. Dzwoniła rano, zanim pojechała z Lu oglądać kolejne wiejskie rezydencje. Dzwoniła z automatów telefonicznych w Bucks County, New Jersey i Long Island. Dzwoniła wieczorami, kiedy już wrócili z Lu do domu. Bobby nie odbierał. Rose wróciła do Hersher's i poniżyła się przed mrugającym beczelnie sprzedawcą, pytając, czy na pewno dał jej dobry numer. Patrząc na nią z litością, zapewnił, że tak.

Wreszcie nie mogła dłużej tego wytrzymać. Po raz drugi wykręciła się z poszukiwania domu dla Lu. Umyła włosy i wypłukała je sokiem z cytryny, żeby wydobyć rudozłote refleksy.

Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do salonu piękności i nie umówić się na manikiur i pedikiur, ale wiedziała, że nie wytrzyma tak długo. Zamówiła stek ze wszystkimi dodatkami z 21 Club, włożyła spódnice, która odsłaniała jej długie nogi, oraz sweterek przylegający do ciała we wszystkich właściwych miejscach, po czym nałożyła dodatkową warstwę maskary. Wzięła butelkę najlepszego bordo jej matki, złapała taksówkę,

odebrała stek - podany na porcelanie z logo słynnego 21 Club - po czym kazała taksówkarzowi zawieźć się na Christopher Street.

Bobby mieszkał w rozpadającym się ceglany budynku, który desperacko potrzebował farby i zaprawy murarskiej. Numer jego mieszkania znajdował się na skrzynce na listy w brudnym i ciasnym przedsionku. Rose nacisnęła odpowiedni dzwonek, po czym zauważyła, że drzwi są otwarte i że może po prostu wejść do środka. Winda nie działała, więc musiała wspiąć się siedem pięter - żadne z nich nie było szczególnie czyste - żeby dotrzeć do jego mieszkania. Zdyszana, przeciwzyła, co powie, kiedy Bobby otworzy drzwi. „Nie zamierzam zostawać. Mam tylko jeden stek, widzisz? Pomyślałam po prostu, że przyda ci się trochę jedzenia”.

Wtedy, jeśli nie będzie zbyt zdenerwowany jej obecnością, zakpi z tego, że nie odbiera telefonu. Starala się ignorować wewnętrzny głos, mówiący, że nie powinna tego wszystkiego obmyślać. Że to on powinien klęczeć przed nią.

Nie powinnam się gniewać. Jeśli zobaczy, że się gniewam, stracę go.

Kiedy znalazła mieszkanie Bobby'ego, głęboko odetchnęła i upewniła się, że jest zupełnie spokojna. Po czym zadzwoniła do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Zapukała. Nic. Znowu zadzwoniła i zapukała. Nic. Wtedy zawołała go, najpierw dość cicho. Później nieco głośniej. Nim się obejrzała, wrzeszczała: „Bobby! Bobby! Bobby!” i waliła pięściami w drzwi. Jak dziewczyna, która nigdy się nie nauczyła, że w życiu zdobywa się upragnione rzeczy, zachowując się słodko i uśmiechając szeroko. Jak dziewczyna, która nie była piękna i bogata, której matka nie była jedną z najbardziej znanych kobiet w mieście.

- Co się tu, do diabła, dzieje? - przerwał jej krzyki szorstki głos.

Rose odwróciła się gwałtownie - a butelka i stek z 21 upadły na podłogę. Porcelana i szkło roztrzaskały się, a purée ziemniaczane, groszek, mięso i wino rozbryznęły się u jej stóp. Wtedy się rozpląkała. Płakała, wspominając tygodnie wyczekiwania na telefon, który nigdy nie zadzwonił. Płakała, bo poniżyła się przed sprzedawcą z Hershemer's. Płakała, bo Bobby prawdopodobnie sypia z kimś innym. Płakała, bo wygląda na to, że jednak nie jest tą właściwą osobą.

Tymczasem właścicielka szorstkiego głosu przyglądała jej się z rezerwą. Dziewczyna - co prawda trudno było w pierwszej chwili określić jej płeć, bo właściwie nie miała piersi, a jej rysy były bardzo ostre i dziwne - stała w drzwiach mieszkania po drugiej stronie korytarza.

- Masz odlot po jakichś dragach, czy coś takiego? - zapytała z umiarkowanym współczuciem. - Jeśli tak, nie możesz tu być.

Rose opanowała łzy. Rzuciła dziewczynie spojrzenie, które miało w sobie łączyć dumę i pogardę, ale niestety nadal cicho łkała.

- Nie biorę narkotyków - zdołała wreszcie wyjąkać. - Jestem po prostu... trochę zdenerwowana.

Wydawało się, że to zapewnienie uspokoiło nieznajomą, która odważyła się wyjść na korytarz. Trudno było powiedzieć, ile ma lat - była niesamowicie chuda, ale Rose uznała, że jest mniej więcej w wieku Bobby'ego. Miała na sobie czarny, naprawdę brudny golf - i obcisłe czarne spodnie przylegające do jej wychudłych bioder i sterczącej miednicy. Spodniom też przydałaby się wizyta w pralni. Pasma jasnych włosów opadały jej poniżej ramion, a to, co wydawało się w pierwszej chwili cieniami pod oczami, okazało się resztkami niebie-

skiej kredki i maskary. Trzymała cuchnącego papierosa, jak przypuszczała Rose, francuskiego: gauloise'a albo gitane'a.

- Szukam Bobby'ego Manninga - powiedziała Rose. Kobieta znów zaczęła się jej przyglądać.

- Jesteś tą nową, prawda? - zapytała. Omijając breję przed drzwiami, podeszła do niej i wyciągnęła dłoń.

- Jestem Tristesse. To mój pseudonim sceniczny, używam go, kiedy śpiewam.

- Jestem Rose. - Uznała, że nie ma grzecznego sposobu na to, żeby uniknąć dotyku brudnych od tytoniu palców, więc podała Tristesse dłoń.

- Bobby ma rację, jesteś piękna.

Mówił tej kreaturze, że jest piękna. To już coś... nie, to więcej niż coś. To bardzo dużo. Mimo dwóch tygodni piekła, które miała za sobą, serce Rose zaczęło bić trochę szybciej. Postanowiła pominąć uwagę o „byciu tą nową”.

- Wiesz, gdzie jest Bobby? - zapytała.

- To znaczy, że nie powiedział ci, że wyjeżdża z miasta?

- Co?

- A to sukinsyn! No, tak to jest, jak zakochujesz się w pisarzu, siostró. Wszyscy faceci to świny, ale ci są najgorsi... Kiedy cię chcą, jest tylko: „Och, kochanie, kochanie, muszę cię mieć!”. A potem dopada ich pieprzone natchnienie i nagle zapominają, jak masz na imię. Nawet nie wiesz, ile razy przez to przechodziłam.

Rose usiłowała wyobrazić sobie mężczyznę, który zechciałby Tristesse. A potem próbowała już tylko wymazać ten obraz z głowy.

- Bobby podnajął mieszkanie na kilka miesięcy, jego lokator wprowadza się chyba w tym tygodniu. Wyjechał do Connecticut - ciągnęła Tristesse. - Mówił, że pracuje nad czymś ważnym. I to musi być naprawdę duże, bo rzucił pracę, żeby pisać, a do tego pożycza pieniądze od wszystkich znajomych, żeby jakoś wyżyć. Cholera, wyciągnął ode mnie pięć dych - do tego stopnia był zdesperowany.

- Powiedziałaś, że Bobby pojechał do Connecticut? - usiłowała ją naprowadzić Rose.

- Taa. Opowiadał jakieś bzdury o tym, jak to musi być w miejscu, gdzie wszystko się zaczęło. Cokolwiek to znaczy. - Tristesse głęboko zaciągnęła się papierosem. - Nic więcej nie wiem.

- Ja wiem - powiedziała Rose. - Pojechał do New Haven.

A jej nie zabrał. Bo jej nie potrzebował. Nie potrzebował słuchać historii rodzinnych, które planowała mu opowiedzieć. Nie potrzebował słuchać jej spostrzeżeń na temat Lu. Kiedy Bobby pracował, nie potrzebował nikogo ani niczego. Rose uderzyło uczucie tak znajome, że przypominało jej starego przyjaciela. Była dzieckiem, siedziała przy stole w mieszkaniu matki i patrzyła, jak Lu odstawia talerz i wzywa samochód, żeby zabrał ją do teatru pół godziny wcześniej. W drugim akcie pojawiło się trudniejsze miejsce, które miała jeszcze dopracować, jak tłumaczyła, więc musi trochę skrócić wizytę. „Przepraszam”. Po czym popędziła tam, gdzie naprawdę chciała być, i Rose została sama, krążąc po mieszkaniu przez całą noc z pustką w duszy, której nigdy nie dało się zapełnić.

A teraz, kiedy stała na brudnym korytarzu przed mieszkaniem Bobby'ego Manninga, znowu czuła tę pustkę - większą niż kiedykolwiek. Po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę chce kochać go do końca życia. Była to buntownicza myśl, która wydała jej się bardzo zdradliwa. Ale próbowała się do niej

przyzwyczaję. A gdyby teraz uciekła? Mogłaby poszukać sobie jakiegoś miejsca z dala od miasta, matki, Bobby'ego i show-biznesu. Znajdzie małe miasteczko, gdzie będzie pracowała i robiła coś, co robią zwykli ludzie. Pozna normalnego mężczyznę, który też będzie miał normalną pracę, i będzie ją kochał, i nigdy nie zostawiłby jej dlatego, że jest cholernym geniuszem i nie chce, żeby przeszkadzała mu w tworzeniu. Nigdy nie musiałaby się martwić tym, że go straci. Rose pozwoliła sobie rozkoszować się przez chwilę wyobrażeniem siebie jako żyjącej w spokoju i bezpieczeństwie gospodyni domowej. Ale wyobrażenia podsunęła jej inne wizje. Rose zobaczyła Lu brylującą przed grupą zafascynowanych osób, które pytały ją o zdanie w każdej sprawie, od ulubionych płatków śniadaniowych aż po pokój na świecie. Zobaczyła błyski fleszów rozświetlające wszystko jak fajerwerki, gdy Lu wychodziła z przyjęcia. Usłyszała, jak zespół zaczyna grać hit z najnowszego musicalu matki, kiedy tylko wchodziła do klubu nocnego, i przypomniała sobie podziw malujący się na twarzach tych, którzy zatrzymywali Lu na ulicy i prosili o autograf. A przede wszystkim miała przed oczami triumfujący uśmiech matki, kiedy kłaniała się przed wiwatującą publicznością. I wtedy Rose zrozumiała, do jakiego stopnia spaczyło ją życie u boku gwiazdy. Była jak tancerka baletowa, która przez tyle lat wykonywała tak trudne ćwiczenia, że nigdy już nie będzie umiała chodzić normalnie. Rose nie została obdarzona wystarczająco dużym talentem - a może nie była wystarczająco samolubna, pomyślała po chwili - żeby sama zdobyć sławę, ale nigdy nie uzna, że warto wstawać rano, jeśli stanie się zwyczajną Panią Nikt. Nikt. A poza tym kochała Bobby'ego.

Umrę, jeśli go stracę. Spojrzała na ziemię.

- Masz może mopa, żebym mogła tu posprzątać? - zwróciła się do Tristesse. Chuda dziewczyna przytaknęła, cofnęła się do mieszkania i wróciła z dwiema brudnymi szmatami, mopem i kilkoma brązowymi papierowymi torbami. Rose pochyliła się i zaczęła zbierać kawałki szkła i porcelany. Tristesse oparła się o ścianę, żeby się przyglądać, ale jej uwagę zwróciło coś w górze śmieci.

- Czekaj - poprosiła i pochyliła się, żeby przyjrzeć się potłuczonemu talerzowi. - To z klubu 21?

- Tak - przytaknęła krótko Rose. Marzyła teraz tylko o tym, żeby uciec z tego korytarza.

- Bobby awansował. Zwykle dziewczyny, które tu przychodziły, przynosiły tanie chianti i pizzę.

- Słuchaj - przerwała jej Rose. - Jeśli ci to nie robi różnicy, wolałabym nie słuchać plotek o życiu osobistym Bobby'ego. Podaś mi torbę?

Tristesse podała jej torbę, po czym wzięła mop i zaczęła sprzątać podłogę tam, gdzie Rose zdążyła już usunąć odłamki. Po chwili przerwała.

- Chcę ci coś powiedzieć, ale najpierw musisz wiedzieć, że Bobby'ego i mnie nigdy nic nie łączyło. Rozumiemy się?

Rose zerknęła na jej zaschnięty makijaż i włosy w strąkach.

- Wierzę ci - rzekła zupełnie szczerze.

- Jesteśmy z Bobbym jak brat i siostra. Opowiada mi różne rzeczy. - Tristesse wróciła do zmywania podłogi. Robiła to nadzwyczaj sprawnie. - Lubi w tobie to, że go nie potrzebujesz. Tak mi przynajmniej mówił.

Skończyła zmywać podłogę, wyprostowała się i dodała:

- Łapiesz, o co mi chodzi? Rose przytaknęła.

- Nie lubi przylepnych dziewczyn.

- Dajcie tej kobiecie nagrodę! - zawołała Tristesse, robiąc drobny gest ręką, jak gospodarz programu *Queen for a Day*. - A on nie chce... o cholera!

Przerwała w połowie zdania i popędziła w stronę mieszkania, które sąsiadowało z jej własnym. Zaczęła walić do drzwi.

- Pani Forentino! - wrzeszczała, waląc dalej. - Wiem, że tam jesteś, ty zboczona stara dziwko! Ile czasu już tam podsłuchujesz? Widziałam twoje oko w wizjerze. Jeśli znowu je zobaczę, przebiję je szpikulcem do lodu!

- Chrzań się! - odpowiedział głos zza drzwi. Ale kobieta musiała się cofnąć i zabrać rzucone oko, bo po sekundzie Tristesse wróciła do Rose.

- Drzwi i ściany tej nory są jak z kartonu. Wszystko słychać, a ta stara krowa jest strasznie męcząca. Nic tylko siedzi i podsłuchuje przy tych cholernych drzwiach. Dwie noce temu zadzwoniła po gliny przez faceta, z którym się spotykałam, bo trochę się posprzecaliśmy. Teraz jest na mnie wściekły i nie widziałam go, odkąd wyszedł z paki. - Wzięła od Rose torbę z odłamkami porcelany i szkła. - Wyrzucę to.

- Dziękuję. Powinam już iść - powiedziała Rose. - Miło było cię poznać - dodała idiotycznie i wyciągnęła dłoń, spodziewając się kolejnego uścisku ręki poplamionej tytoniem. Tristesse zignorowała jej gest.

- Co do Bobby'ego... - zaczęła. - Pragniesz go, to jasne. Za cholerę nie wiem, dlaczego. Przyznaję, że jest sexy, ale miliony innych facetów też są sexy, a dziewczyna o twoim wyglądzie, którą stać na steki z 21, nie powinna mieć zbyt wielu problemów z poznaniem mężczyzn. Ale co tam, jak to mówią, każda kobieta ma własną truciznę. I gdybym była tobą... - zamilkła na chwilę, sięgnęła do kieszeni spodni, wyciągnęła zmiętą paczkę papierosów i wyjęła jednego - nie pozwoliłabym, żeby się dowiedział, że pojawiłaś się tu dziś, by go nakarmić. I że zaczęłaś szaleć, bo go nie było.

Zapaliła papierosa.

- Z Bobbym trzeba uważać. Łapiesz?

Rose łapała. Bobby nigdy nie może się dowiedzieć, że za nim tęskni. Czy, broń Boże, że go potrzebuje. Głupio zrobiła, przychodząc do jego mieszkania z tym swoim stekiem i dziewczęcymi marzeniami. Gorzej niż głupio.

- Rozumiem - zwróciła się do Tristesse. - Kiedy zobaczysz Bobby'ego, proszę, nie mów mu...

- Sostro, nie pisnę ani słówka. My, dziewczyny, musimy trzymać się razem - rozłożyła ramiona i przez jedną straszną chwilę Rose myślała, że chce ją objąć. Ale wtedy Tristesse zaczęła się rozciągać i drapać po krzyżu.

- Dziękuję - powiedziała Rose. - Dziękuję. Po czym uciekła.

Dopiero w taksówce zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób będzie uważała, jeśli nadal nie wie, gdzie dokładnie w New Haven znajduje się Bobby. I czy z kimś nie sypia.

Następnego dnia poszła do kościoła w sąsiedztwie i modliła się o pomoc do św. Judy, patrona spraw beznadziejnych. Kupiła medalik ze świętym i włożyła go na szyję. Sprawy beznadziejne wymagają desperackich posunięć.

# ROZDZIAŁ 24

Nowy Jork

1962

Czy była to interwencja św. Judy, czy tylko nagroda dla Rose za to, że nie oszalała - Bobby zadzwonił dwa dni później. Niedawno zdobyte informacje sprawiły, że Rose nie musiała nawet pytać, gdzie jest.

- Witaj, nieznajomy - powiedziała zamiast tego lekkim, nieco rozbawionym tonem.

Po drugiej stronie słuchawki zapanowało milczenie.

- Nie jesteś zła? - zapytał Bobby. Rose słyszała, jak bardzo się ucieszył. Najwyraźniej podjęła właściwą decyzję.

- Chodzi o to - zaczął - że zacząłem pracować i kompletnie się zaciąłem, a wiedziałem, że muszę poznać świat, z którego wyszła główna bohaterka. Miałem mnóstwo roboty z podnajmowaniem mieszkania i szukaniem noclegu w New Haven...

- A więc to tam wylądowałeś. - Czy jej głos był wystarczająco beztrzeski?

- Wiem, że źle zrobiłem, nie mówiąc ci o tym - przyznał.

- Bo zniknąłeś bez śladu w mroku nocy i zostawiłeś mnie nieszczęsną, żebym usychała z tęsknoty? Och, panie Manning, co noc wypłakiwałam oczy w poduszkę. - Jej słowa były niebezpiecznie bliskie prawdy, ale udało jej się rozbawić Bobby'ego.

- Jesteś niesamowita. Większość kobiet krzyczałaby teraz na mnie tak głośno, że rozsadziliby mi bębenki.

- To chyba nie pomogłoby ci w pisaniu muzyki. - W głowie aż kipiało jej od tego rodzaju dowcipnych tekstów.

Tym razem Bobby zaśmiał się radośnie, zupełnie jak dziecko. Jak niegrzeczny, rozpieszczony chłopiec, któremu właśnie uszło na sucho morderstwo.

- Wiem, że potrafię być prawdziwym palantem - powiedział, odczytując jej myśli - ale kiedy pracuję, jestem w stanie zrobić wszystko, żeby wypełnić zadanie. Niezależnie od tego, czy to oznacza branie amfy, żeby nie spać w nocy, czy wychodzenie na miasto, żeby wchłonąć koloryt, upijanie się albo chodzenie... - urwał gwałtownie, ale wiedziała, co zamierzał powiedzieć w następnej kolejności. - Nic poza pracą się nie liczy, Rose. Zachowuję się samolubnie, ale taki już jestem. Każdy, kto chce ze mną być, musi o tym wiedzieć.

Przez sekundę miała ochotę się zbuntować i wygarnąć mu, że nie jest tego wart. Ale przecież chciała okazać się tą właściwą dziewczyną. Tak bardzo tego chciała.

- Czy to ostrzeżenie? - zapytała. Ale słysząc swój ton, uświadomiła sobie, że nie powiedziała tego wystarczająco spokojnie.

- Po prostu nie chcę nikogo skrzywdzić - odrzekł. Również z jego głosu zniknęła beztrzeska. - Rose, chcę mieć pewność, że to rozumiesz i że będziesz umiała to zaakceptować.



Mówił teraz śmiertelnie poważnie i naprawdę szczerze. Zorientowałby się, gdyby nie odpowiedziała mu tym samym. Ale czuła, że jeśli będzie szczerą - odstraszy go. Po raz drugi pomyślała, że powinna mu zasugerować, żeby spadał. Ale przecież postawiła już wszystko na jedną kartę - chciała zostać panią Manning. Rozpaczliwie szukała odpowiednich słów. Wreszcie Św. Juda - a może to sam Bóg? - zesłał jej natchnienie.

- Chcesz wiedzieć, czy rozumiem, jak samolubni mogą być ludzie w show-biznesie? - zapytała. - A jak myślisz, gdzie byłam przez ostatnich siedem lat? Jestem córką wielkiej Lu Lawson i jeśli chodzi o egocentryzm, to zupełnie inna liga. Nie obawiaj się, że mnie skrzywdzisz swoim wielkim strasznym ego, bo przez długie lata musiałam sobie radzić z największym i najgorszym ego, jakie istnieje.

Najlepszy w tej przemowie był odcień prawdziwej złości, który sprawiał, że jej słowa brzmiały naprawdę szczerze.

Bobby uwierzył. Zaśmiał się znowu swoim śmiechem radosnego dziecka i zaczął jej opowiadać o życiu w New Haven - przynajmniej o tej części, którą chciał jej ujawnić. Ugryzła się w język i nie zaproponowała, że mogłaby przyjechać pociągiem i spotkać się z nim. Na koniec rozmowy oznajmił, że jest wspaniała, a ona upajała się jego podziwem - choć w głębi duszy wiedziała, że na niego nie zasłużyła.

Odtąd rozmawiali przez telefon mniej więcej raz na tydzień. To zawsze Bobby dzwonił, a ponieważ Rose nigdy nie wiedziała, kiedy przyjdzie mu na to ochota, usiłowała być w domu tak często, jak tylko mogła. Nie dlatego, że zmartwiłby się, gdyby jej nie zastał, ale dlatego, że nienawidziła słyszeć, do jakiego stopnia mu to nie przeszkadzało.

Ale Rose nie mogła być w mieszkaniu przez cały czas. Lu kupiła w końcu dom, i trzeba go było teraz urządzić. O dziwo, nie wybrała idealnej na przyjęcia rezydencji na Long Island czy pseudofarmy w Bucks County. Lu zdecydowała się na prawdziwy domek na wsi, ukryty głęboko w lasach w północnej części stanu Nowy Jork, całe mile od najbliższej stacji kolejowej czy sklepu spożywczego. Chciała urządzić go prosto, jak mówiła, wypełnić meblami z lokalnych sklepów i zamówionymi u miejscowych rzemieślników. Oznaczało to, że Lu i Rose musiały spędzać długie godziny, przeczesując dolinę rzeki Hudson w poszukiwaniu maleńkich sklepów z antykami i polując na nieuchwytnego stolarza, który - jak twierdzili wszyscy miejscowi - robił przepiękne krzesła. Oczywiście, kiedy już się go odnalazło. Rose przeklinała każdą sekundę spędzoną z dala od telefonu i Manhattanu.

- Moim zdaniem, jeśli pobędziesz trochę z dala od domu, niedostępna, zbliży cię to tylko do celu - powiedziała miękko Lu.

- O co ci chodzi? Nie mam żadnego celu - odrzekła Rose.

Ale wiedziała, że Lu ma rację. Więc kiedy Bobby wrócił do miasta, nie zaproponowała spotkania. A gdy wreszcie zaprosił ją na kawę i zauważyła, że na randce błędzi myślami gdzieś daleko, nie wpadła w panikę. Przynajmniej niczego nie dała po sobie poznać.

- Robercie Manningu, chciałabym cię oficjalnie uwolnić od swojego towarzystwa - oznajmiła.

- Co? - Szybko wrócił myślami do teraźniejszości.

- Normalne reguły zachowań międzyludzkich nakazują, by poświęcać rozmówcy trochę więcej uwagi niż meblom, szczególnie jeżeli wraca się po dwóch miesiącach. Ale geniusza takiego jak ty te reguły nie muszą obowiązywać. Idź do domu i pisz, mój drogi.

Zaśmiał się i przytulił ją do siebie. Po chwili siedziała już sama - towarzyszył jej jedynie sernik. Potem Bobby zobaczył się z nią jeszcze kilka razy, ale zbliżający się termin sprawiał, że robił się coraz bardziej poirytowany.

- Wyglądasz koszmarnie - zauważyła. - Czy ty w ogóle sypiasz?

- Nie, jeśli mogę temu zapobiec.

- Więc wyświadczyć mi przysługę i zamiast włóczyć się ze mną, wróć do domu i się zdrzemnij.

Skorzystał z jej rady. Po czym zniknął na kolejnych sześć tygodni. Przynajmniej tym razem wiedziała, gdzie go znaleźć - pracował w swoim mieszkaniu. Wszystko w porządku - powtarzała sobie. - Jeszcze tylko trochę cierpliwości.

Dobra wiadomość była taka, że Bobby skończył musical na czas.

- Nie można by sobie wymarzyć lepszego momentu - powiedziała Rose, kiedy jej to oznajmił przez telefon. - Matka właśnie skończyła urządzać dom. Nie ma co robić.

- Więc jest gotowa na mój spektakl? - Bobby miał słaby i zachrypnięty głos.

- Nie pracuje już prawie od roku. A jest jesień, wtedy zwykle chodziła na próby. Zakładam, że za jakiś tydzień zrobi się podenerwowana. Za dwa tygodnie zacznie chodzić po ścianach. Kiedy desperacja sprawi, że będzie gotowa przeczytać tekst napisany przez portiera, dam jej twoje arcydzieło.

Tylko jedna rzecz mogła pójść nie tak, jak planowała: gdyby z jakichś nieprawdopodobnych, nieprzewidzianych powodów okazało się, że musical Bobby'ego wcale nie jest arcydziełem. Rose wyrzuciła tę myśl z głowy, kiedy tylko się pojawiła.

- Nie mogę się doczekać, kiedy go przeczytam - dodała. - Mogłabym wpaść...

- Muszę jeszcze wprowadzić trochę zmian. Daj mi dzień czy dwa.

- W porządku. Tyle, ile ci trzeba. - Nie wspomniała nawet, od jak dawna się nie widzieli. Tristesse byłaby z niej dumna.

Zaproponował, żeby spotkali się następnego ranka w Lindy's. Rose przyszła dziesięć minut przed czasem, ale Bobby siedział już przy stole. Przed nim stał kawałek sernika z wiśniami. Rose ruszyła w stronę Bobby'ego, ale kiedy odwrócił się ku niej i uśmiechnął - nagle się zatrzymała. Jego uśmiech był dalej tym dawnym, chłopięcym i bezradnym, odrobinę złośliwym uśmiechem, ale...

- Wszystko w porządku? - zapytała. Jego twarz nie była po prostu blada. Był to ten rodzaj szarości, którą widuje się zwykle w szpitalach. Oczy okalały czerwone obwódki. Nie ogolił się. Przypomniała sobie, co mówił o stosowaniu amfetaminy, żeby wyeliminować potrzebę snu...

- W porządku - powiedział.

Wstał i wyciągnął do niej rękę.

Zauważyła, że schudł - na tyle, żeby garnitur leżał na nim zupełnie inaczej. Jak mogło do tego dojść w ciągu sześciu krótkich tygodni? Musiał dostrzec w jej oczach konsternację, bo opuścił rękę i powiedział:

- Przepraszam, że jestem w takim stanie.

Rose podeszła i mocno go objęła. Przyciągnęła jego głowę na swoje ramię tak, żeby pogłaskać go po włosach. Był to instynktowny gest i gdyby go przemyślała, nigdy by tego nie zrobiła. Ale Bobby wydawał się tak chory i znużony, że nie mogła się powstrzymać. O dziwo, nie cofnął się.

- Bobby, coś ty zrobił? - szepnęła.
- Skończyłem musical na czas, jak mi nakazano - odparł.
- Nic nie jest warte doprowadzenia się do takiego stanu. Odwrócił się.
- Owszem - rzekł. - To jest.

Otworzył wysłużoną teczkę i wyjął rękopis w okładce ze sztucznej skóry, takiej, jakiej zwykle używano do scenariuszy na Broadwayu. Był to pełen nadziei, dziecinny gest.

- Wyglądasz jak nieżywy! - zrugła go.
- Nikt nie chciałby spieprzyć życiowej szansy.

Tego samego popołudnia Rose przeczytała całą sztukę. Do wieczora miała już pewność, że dała życiową szansę nie tylko Bobby'emu - ale też Lu. Kiedy tylko skończyła czytać, weszła do jej sypialni i rzuciła scenariusz matce, która siedziała w łóżku, z roztargnieniem przerzucając strony jakiejś powieści.

- Zerknij na to - powiedziała Rose.

Lu spojrzała na nazwisko autora na przedniej okładce.

- Napisał to twój przyjaciel Bobby? - zapytała.
- To twój nowy musical - oznajmiła Rose. - Później mi podziękujesz.

Ale Lu nie podniosła rękopisu.

- Wiem, co myślisz - powiedziała Rose. - Czytałeś już tak wiele chał i nie chcesz mi potem mówić, że to kolejna. To nie jest chała. Uwierz mi.

- Jesteś bardzo związana z Bobbym Manningiem - stwierdziła Lu. - To może zgubić każdego.

- Nie mnie. Kręciłam się w tym biznesie wystarczająco długo, żeby wiedzieć, kiedy jakiś musical jest dobry, a kiedy nie. - Rose po raz kolejny szeroko uśmiechnęła się do matki. - Zaufaj mi. To ja sprawiłam, że ubrałaś się jak Jackie Kennedy, pamiętasz? Wyszło całkiem nieźle.

Więc Lu niechętnie otworzyła rękopis Bobby'ego i zaczęła czytać. Rose stała w jej sypialni i starała się nie chodzić w tę i z powrotem, nie obgryzać paznokci ani nie krzyczeć na Lu, żeby czytała szybciej. Bo zawsze istniała ta straszna możliwość, że matce nie spodoba się sztuka, mimo że jej wydawała się idealna. A Rose nie wiedziała, co wtedy zrobi - i co powie Bobby'emu. Starala się nie myśleć o tym, że to jej życie zostało rzucone na szalę, choć tak właśnie było.

- Słyszałaś muzykę? - głos Lu przerwał koszmary Rose.

- Bobby zagra mi ją jutro w Hershemer's. Jego przyjaciel otworzy sklep pół godziny wcześniej. Możesz pójść ze mną.

- Mhm - mruknęła matka, która wróciła tymczasem do lektury. Nie mogąc dłużej znieść napięcia, Rose uciekła do swojego pokoju.

Następnego ranka, kiedy Rose wstała, Lu była już w kuchni i robiła sobie kawę.

- Poproś pana Manninga, żeby przyszedł tu jeszcze dziś rano i zagrał swoją muzykę mnie i George'owi - powiedziała.

A kiedy Rose ruszyła pospiesznie w stronę telefonu, dodała:

- Rose? Dziękuję.

# ROZDZIAŁ 25

Nowy Jork

2008

- Kiedy tego samego ranka Bobby przyszedł do mieszkania Lu i zagrał muzykę, którą napisał do *The Lady*, wiedziałem, że na moich oczach tworzy się historia - powiedział George. - Nadal mam gęsią skórkę, kiedy o tym myślę.

Wciąż siedzieli z Carrie w salonie. Słońce zachodziło. George wstał i zapalił lampkę, która przypominała wiktoriańską latarnię uliczną.

- Nie chodziło tylko o to, że *The Lady* oznaczało dla Lu zupełnie nowy kierunek - mówił dalej. - Bobby bawił się inscenizacją i orkiestracją w sposób, w jaki nikt inny tego wcześniej nie robił.

George uśmiechnął się.

- Włożyłem w ten spektakl własne pieniądze - po raz pierwszy i ostatni w życiu. Ale wiedziałem, że zbiję fortunę. Właśnie dzięki temu mogłem kupić ten Tadź Mahal.

Ziewnął. Robiło się późno, a opowiadał już bardzo długo. Carrie wiedziała, że powinna iść, ale nadal nie usłyszała najważniejszego - tego, po co tu przyszła.

- A więc Bobby sprzedał musical, a Lu Lawson dostała szansę, której jej kariera akurat potrzebowała - powiedziała.

- Stało się dużo więcej. *The Lady* dała początek wyjątkowemu duetowi. Tylko tak to można nazwać. Między nią i Bobbym była jakaś chemia. Uzupełniali się w sposób, którego chyba nawet oni sami nie rozumieli. Bobby miał na koncie sześć hitów, ale jego najlepsze musicale to te, które napisał dla Lu. A ona właśnie w nich osiągnęła szczyt.

- A co z moją matką? Jak ona odnalazła się w tym duecie?

- Bobby ożenił się z nią. - George wzruszył ramionami, jakby chciał zapytać: „Czy to nie wystarczy?”. Ale oczywiście nie wystarczyło.

- Kochał ją?

- Jasne. - George znowu wzruszył ramionami.

- Dlaczego o ślubie nie pisano w żadnej z gazet? Wydawałoby się, że kiedy córka Lu Lawson wychodzi za mąż, powinno być o tym głośno, ale nigdzie nawet o tym nie wspomniano. Sprawdzałam.

- To dlatego, że ceremonia odbyła się w ratuszu.

- Matka nie miała ślubu kościelnego?

- Nie.

- Żadnego ołtarza, żadnej mszy?

- Nie. Poszło raz-dwa.

Rose próbowała wyobrazić sobie matkę, która wyszła za mąż bez ceremonii kościelnej.

- Dlaczego zdecydowali się na coś takiego?

- Rose chyba nie chciała robić z tego wielkiej afery. Wydaje mi się, że nie miała odwagi. - George wstał i podszedł do kredensu, żeby zrobić sobie drinka. Carrie zaproponował to samo, ale pokręciła głową. - Bobby nie był typem faceta, który marzyłby o domku z białym płotem i słodkim piesku.

- Więc dlaczego w ogóle się ożenił? George głęboko odetchnął.

- No cóż, twoja matka była naprawdę piękna. I inteligentna, a poza tym ustosunkowana. I myślę, że ją kochał..

- Ale?

- Lu zawsze uważała, że Bobby ożenił się z Rose dlatego, że się bał.

## ROZDZIAŁ 26

Nowy Jork

1962

Kiedy tylko Lu i George usłyszeli pierwsze takty *The Lady*, wiedzieli, że muszą zacząć działać naprawdę szybko. Kontrakty podpisano na pniu, a inwestorzy, którzy zaczęli się już zastanawiać, czy Lu jeszcze kiedykolwiek wystąpi, odetchnęli z ulgą. Potem tylko zebrano pieniądze, zarezerwowano teatr i rozpoczęły się przesłuchania. Bobby był oszołomiony szczęściem, które go spotkało, i powtarzał Rose, że zawdzięcza jej wszystko. Mimo że zaprzeczała i wychwalała jego talent, oboje wiedzieli, że miał rację - przynajmniej częściowo.

Ona i Bobby wreszcie ze sobą chodzili. Wieczorami spotykali się w miejscach, w których wszyscy mogli zobaczyć, że są parą. Bobby zgadzał się, żeby to Rose wybierała odpowiednie dla niego stroje. Dwukrotnie wspomniał o nich Walter Winchell, słynny felietonista prowadzący rubrykę plotkarską. Bobby'emu podobał się rozgłos. Wydawało się, że odpowiada mu fakt, że ich związek nie jest dla nikogo tajemnicą i że Rose występuje jako jego oficjalna dziewczyna. Były też intymne chwile - cenne, drobne momenty - które Rose odtwarzała sobie przed zaśnięciem. Pamiętała wieczór, kiedy on obejmował ją tak mocno, że myślała, że zemdleje, i szepotał: „Jak to się stało, że miałem tyle szczęścia?”. Chwilę, kiedy spojrzał na nią i powiedział: „Byłbym głupcem, gdybym pozwolił ci odejść”. A także moment, gdy pocałował ją w sposób, który zawsze sprawiał, że ugięła się pod nią kolana, po czym powiedział: „Daj mi tylko trochę czasu, Rose. Potrzebuję po prostu trochę czasu”.

Jeżeli nawet jakiś głos w tyle głowy szepotał jej, że może Bobby czuje głównie wdzięczność, szybko go wyciszyła. Kochał ją, wiedziała to. Wkrótce nadejdą oświadczyzny i pierścionek zaręczynowy - tego też była pewna.

Oczywiście nadal nie zapraszał jej do swojego mieszkania, ale po załamaniu nerwowym, które przeżyła pod jego drzwiami - tylko się z tego cieszyła. Dziękowała Bogu, że Tristesse dotrzymuje obietnicy i niczego nie mówi. Wciąż pamiętała, jak bliska była zaprzepaszczenia wszystkiego, na co z takim trudem pracowała.

Rose wiedziała, że Bobby ma teraz mnóstwo na głowie i nie może od niego oczekiwać, żeby skupiał się na niej. Wiedziała, że będzie musiała poczekać spokojnie do zakończenia prób, przedstawień przedpremierowych poza miastem i premiery - dopiero potem będzie mógł skoncentrować się na czymkolwiek poza *The Lady*. Ale zdążyła się już nauczyć cierpliwości.

Był tylko jeden ciemny punkt w jej pięknych marzeniach o życiu u jego boku, w roli pani Manning. Czegokolwiek używał Bobby - czy była to kawa, amfetamina czy cokolwiek innego, co pozwoliło mu przetrwać nieskończone tygodnie nocnej pracy nad *The Lady* - nie doszedł w pełni do siebie. Nabrał trochę kolorów, ale wciąż wydawał się wycieńczony i nadal był zdecydowanie za chudy.

- Uważam, że powinieneś pójść do lekarza - stwierdziła Rose pewnego dnia, kiedy wsiadali do taksówki.

- Po co? Nigdy w życiu nie czułem się lepiej.

- Jeśli dobrze się czujesz, dlaczego jedziemy taksówką? - zapytała. - Kiedyś spacerowałeś po całym mieście.

- Kiedyś nie mogłem sobie pozwolić na taksówki. Teraz mogę. Jeśli dalej będziesz zrzędziła, załatwię sobie limuzynę, która będzie mnie wszędzie woziła. - Uśmiechnął się swoim szelmowskim uśmiechem małego chłopca, ale jego oczy pozostały zmęczone.

- Bobby, mówię poważnie - strach sprawił, że jej głos zabrzmiał ostrzej, niżby sobie tego życzyła.

- Ja też - jego ton był równie ostry i usłyszała w nim ostrzeżenie. - Nie naciskaj, Rose. Nie pozwolę na to.

Mówił poważnie. Mimo wszystkiego, co dla niego zrobiła, nadal mógł ją od siebie odepchnąć, jeśli za bardzo się wtrącała - nawet jeśli robiła to dla jego dobra.

- No cóż, jeśli masz mieć prywatną limuzynę, oczekuję przynajmniej rolls-royce'a. - Pocałowała go szybko w usta, sygnalizując, że jęcza o ostrym głosie już zniknęła i na jej miejsce wróciła rozumiejąca, niczego nieoczekująca Rose. Ale Bobby nie zareagował. Siedział cicho na tylnym siedzeniu taksówki tak długo, że zaczęła się bać.

- Chciałbym, żebyś jutro wieczorem przyszła do mnie na kolację - odezwał się wreszcie.

Jego spojrzenie powiedziało jej, że miała rację: zaproszenie do jego mieszkania rzeczywiście ma duże znaczenie. Naprawdę duże.

- Żeby obejrzeć twoją kolekcję znaczków? - zapytała tak lekko, jak tylko mogła, chociaż serce zamarło jej na chwilę, a oddech stał się nagle zbyt szybki.

- Może - odpowiedział. Ale się nie uśmiechał. Patrzył na nią, jakby już wiedziała jaka będzie, kiedy w pokoju zapadnie mrok, a ich dłonie i palce zaczną rozpinać guziki i zamki.

- O której? - zdołała zapytać. I wtedy poczuła, że cokolwiek Bobby zechce zrobić, ona się zgodzi - nawet bez pierścionka na palcu. Bo też tego chciała, niezależnie od tego, jak dobrze wyszkoliła ją Nonna.

Bobby nie wysiadł z taksówki, żeby odprowadzić ją do drzwi kamienicy, w której mieszkała. I nie pocałował jej na dobranoc.

- Jutro wieczorem - powiedziała miękko, zamykając drzwi taksówki.

- Jutro wieczorem - przytaknął i skinął głową. Ale następnego wieczoru jej świat się zawalił.

Rose przysła do Bobby'ego ubrana skromnie w spódnicę i bluzkę. Uznała, że przesadziłaby, gdyby tej nocy zdecydowała się na seksowny styl. Ta bitwa została już stoczona i wygrana. Poszła też z pustymi rękami - nie przyniosła tym razem ani jedzenia, ani wyszukanego wina. Chciała uniknąć wszystkiego, co mogłoby jej przypomnieć o poprzednim razie, kiedy stała zdesperowana na jego korytarzu z darami z klubu 21.

Już kiedy otworzył drzwi, poczuła, że Bobby zachowuje się trochę dziwnie, ale pomyślała, że może się denerwuje, a to przecież dobrze, bo najwyraźniej się przejmuje. Więc kiedy zamiast prawdziwego pocałunku szybko cmoknął ją w policzek, zignorowała to. Starła się nie zauważać, że wpatruje się w nią, jakby nigdy wcześniej jej nie widział. I próbowała nie dostrzegać, jak bardzo jest milczący.

Na szczęście mieli temat do rozmowy.

- Twoje mieszkanie jest... zupełnie inne, niż się spodziewałam - powiedziała, oglądając jego jedyny pokój. Właściwie nie wiedziała, czego się spodziewała. Może czegoś obscurnego, ale mimo to miłego. Kawalerka Bobby'ego wyglądała po prostu... ubogo. Była mniejsza niż jej sypialnia, a jedyne okno wychodziło na betonowy mur sąsiedniego budynku. Farba odpadała z sufitu, na podłodze leżał stary, poplamiony dywan, a lampy dawały bardzo mało światła. Pod jedną ze ścian stała kozetka, na której rozłożono poduszki, żeby udawała kanapę. Naprzeciwko znajdował się mały aneks kuchenny ze starym sprzętem. Wanna stała - jak opowiadał Bobby - przy zlewie w kuchni. Na niej leżała deska - przypominała sobie, że mówił jej też, że wanna służy jednocześnie jako stół - na obrusie znajdowały się sztucce, talerze i dwie świece. Bobby nakrywał stół na ich romantyczną kolację, ale z jakiegoś powodu przestał. Czy ktoś mu przerwał? Kto? I dlaczego miał taki dziwny wyraz twarzy, kiedy na nią patrzył? Przeraziło ją to. Odrzuciła pełne niepokoju myśli i zaczęła demonstracyjnie pociągać nosem.

- Czyżbym czuła kolację? - zapytała żwawo. Dlaczego, do diabła, Bobby nie próbuje jej tego choć trochę ułatwić? To przecież on ma doświadczenie w tych sprawach! - Czy mam ci pomóc? Mogę...

- Rose, usiądź - powiedział, wskazując kozetkę. Nie czekając, aż to zrobi, wyciągnął drewniane krzesło pozbawione kilku tylnych listew, ustawił je naprzeciwko kozetki i sam usiadł. Rose może i nie miała doświadczenia, ale nawet ona wiedziała, że Bobby wcale nie myśli o seksie.

- Co się stało? - zapytała.

- Usiądź, proszę.

- Nie. - Teraz ogarnęło ją prawdziwe przerażenie i musiała zachować swobodę ruchów. Wstał i podszedł do niej.

- Moja sąsiadka, pani Forentino, wróciła wczoraj wieczorem do domu - powiedział oskarżycielskim tonem. - Była w Karolinie Północnej, gdzie odwiedzała córkę. Nie widziałem jej, odkąd wróciłem.

Zamilkł na chwilę, a Rose rozpaczliwie usiłowała sobie przypomnieć, gdzie wcześniej słyszała to nazwisko i jaki ma to z nią związek - bo najwyraźniej miało.

- Pani Forentino powiedziała mi o dziewczynie, która przyszła mnie odwiedzić, kiedy wyjechałem - mówił dalej Bobby. - Dziewczynie, która wpadła w szal, kiedy mnie nie zastała.

Wtedy Rose przypominała sobie sąsiadkę, która przyglądała jej się z drugiej strony korytarza, zza zamkniętych drzwi. Tristesse mówiła, że to wstrętna stara krowa, która lubi wszystkich śledzić i ściągać na ludzi kłopoty...

O Boże.

- Pani Forentino powiedziała, że ta dziewczyna była bardzo ładna, miała rude włosy i zielone oczy - dodał Bobby oskarżycielsko. - To na wypadek, gdybyś zamierzała mi powiedzieć, że to nie byłaś ty. Usiłowała się zaśmiać.

- W porządku, przyznaję się. Jestem winna, wysoki sędzie. Nie odzywałeś się przez parę tygodni, więc przyszłam cię zobaczyć. Kupiłam chyba jakieś dobre wino... nie pamiętam.

Nie dał się nabrać.

- Z tego, co słyszałem, płakałaś...

- Trochę się zdenerwowałam.

- Wpadłaś w histerię. Tristesse musiała wyjść i pomóc ci posprzątać jakieś jedzenie, które rzuciłaś na ziemię, i...

- Nie rzuciłam go, po prostu mi spadło - głupio zaprotestowała. - Przyniosłam je, bo pomyślałam, że chętnie coś zjesz. To wszystko. Zwykła kolacja i butelka wina.

- Płakałaś. Waliłaś w drzwi.

Nagle Rose nie mogła już dłużej znieść tego wymuszania zeznań.

- Dobrze! - krzyknęła. - Wygrałeś! Płakałam i waliłam w drzwi! Zrobiłam z siebie idiotkę na twoim cuchnącym korytarzu! Czego się, do cholery, spodziewałeś, Bobby? Zniknąłeś nagle bez słowa!

- Mówiłaś, że ci to nie przeszkadza.

- Po wszystkim, co dla ciebie zrobiłam? Miałam prawo wiedzieć przynajmniej, dokąd jedziesz! Zasługiwałam na jeden cholerny telefon - chociaż tyle!

- Mówiłaś, że nie masz nic przeciwko.

- Wyjechałeś! Nie wiedziałam, gdzie jesteś, kiedy wracasz i czy w ogóle zamierzasz wracać. To było okropne i podłe z twojej strony!

- Więc kłamałaś! - teraz i on wrzeszczał.

- Zostawiłeś mnie samą!

- Jestem sukinsynem. Ostrzegałem cię. - Bobby zamilkł i zamknął oczy. Oddychał ciężko, a twarz miał spoconą. Było mu ciężko. I dobrze! Dla niej też nie było to łatwe.

- Nigdy cię o nic nie prosiłam! Trzymałam język za zębami. Robiłam wszystko, co chciałeś, i dokładnie tak, jak chciałeś! - wiedziała, że nie powinna tego wszystkiego mówić, ale sprawiało jej to ogromną ulgę.

- Wiem - powiedział łagodnie. W jego głosie słychać było smutek. - I nie chcę, żebyś to robiła. Nie chcę, żebyś udawała kogoś, kim nie jesteś. Nie dla mnie. - Bobby otarł twarz i próbował głęboko odetchnąć. - Nie chcę cię skrzywdzić, Rose. Nie chcę nikogo skrzywdzić.

- Więc się zmień! - Przez chwilę myślała, że Bobby powie „tak”. A później pocałuje ją i weźmie do łóżka, wynagradzając wszystkie złe rzeczy, które przytrafiły jej się dotychczas w życiu.

- Nie chcę się zmieniać - odparł. - Lubię swoją pracę, kocham to, co robię, i to zawsze będzie dla mnie na pierwszym miejscu. Przed wszystkim innym. Nie zamierzam czuć się winny z tego powodu.

- Więc jak możesz mówić, że nie chcesz mnie skrzywdzić, skoro doskonale wiesz, że to robisz?

Odwrócił się od niej, szukając odpowiednich słów.



- Mówiłaś, że to ci nie przeszkadza. Myślałem, że różnisz się od innych dziewczyn... - Wreszcie wydu-  
sił to z siebie. - Nie możemy tak dalej.

I w straszliwym przeblysku Rose zrozumiała, co właśnie zrobiła. Przez miesiące nic nie mówiła, pano-  
wała nad sobą i uśmiechała się. I to działało. Już prawie go zdobyła. A teraz, w ciągu kilku krótkich sekund...

Umrę, jeśli go stracę.

Przełknęła łzy.

- Różnię się, Bobby! Przysięgam! To wszystko wielka pomyłka. Popełniłam jeden malutki błąd. To się  
nigdy więcej nie powtórzy.

- To nie był błąd, to byłaś ty. Tego właśnie chciałaś. I masz prawo... - Z trudem wymawiał słowa, więc  
pomyślała, że może jednak nie straciła jeszcze wszystkiego.

- Daj mi jeszcze jedną szansę, Bobby!

Wciąż stał odwrócony do niej plecami - nie widziała jego twarzy.

- Spójrz na mnie, Bobby. Proszę!

Odwrócił się do niej. Ale coś było nie tak. Usta wykrzywił mu grymas bólu, był bledszy niż kiedykol-  
wiek, a po jego twarzy spływały krople potu. Przez kilka sekund wszystko działo się jakby w zwolnionym tem-  
pie. Pochylił się, krzyknął i w jednej strasznej chwili runął na podłogę.

Później Rose przypominała sobie wszystko, jakby to był sen. Przerazona, wezwała karetkę, a potem za-  
dzwoniła do matki po numer ich rodzinnego lekarza, który powiedział, że spotka się z nimi w szpitalu. Zmie-  
rzyła Bobby'emu puls, otworzyła jedyne okienko w jego mieszkaniu, żeby miał więcej powietrza, rozluźniła mu  
kołnierzyk i oparła go tak, jak kazał jej lekarz, żeby ułatwić oddychanie. Potem wsiadła z nim do karetki i po-  
jechała do szpitala. A przez cały czas wszystko to wydawało jej się nierealne.

Okazało się, że Bobby miał atak serca. Łagodny. Ale, jak twierdził doktor Singleton, gdyby Rose nie  
była wtedy przy nim i nie działała tak szybko, mogłoby być dużo gorzej. Kiedy lekarz usłyszał, co Bobby sobie  
zrobił w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, pokręcił głową i powiedział, że ma po prostu mnóstwo szczęścia.  
Nigdy nie będzie mógł powtórzyć czegoś takiego. Musi odtąd uważać i brać leki przy pierwszych oznakach  
ból w klatce piersiowej. I z pewnością nie może podjąć się czegoś tak wyczerpującego, jak tournée przed pre-  
mierą na Broadwayu. Bobby nawet nie próbował spierać się z lekarzem. To właśnie wtedy Rose zdała sobie  
sprawę, jak bardzo jest przerażony.

Odwiedzała go w szpitalu codziennie, siedząc przy nim długie godziny. Czytała mu i przynosiła jedze-  
nie, które przygotowywał kucharz Lu zgodnie z nową, pozbawioną soli dietą Bobby'ego.

Kiedy wrócił do domu, nie chciał zostać sam. Rose spała u niego w rozłożonym na podłodze śpiworze.  
W ciągu dnia Bobby siedział na kozetce i oglądał telewizję. Przesłuchania do *The Lady* już się rozpoczęły, ale  
nie pytał nawet, jak idą. W ogóle nie mówił zbyt wiele. Po dwóch tygodniach Rose poszła do doktora Single-  
tona.

- Bobby nie może tak dłużej żyć - powiedziała. - Całymi dniami siedzi i zamartwia się, że umrze. Musi  
wrócić do pracy. Musi czuć, że uczestniczy w decyzjach dotyczących obsady. Powinien chodzić na próby i po-  
jechać ze spektaklem w trasę, zanim odbędzie się premiera w Nowym Jorku. Wyprodukowanie musicalu to  
jedyna rzecz, o jakiej naprawdę marzył. Dopilnuję, żeby o siebie dbał.

Przekonała doktora Singletona, musiała teraz jeszcze przekonać Bobby'ego.

- Będę z tobą przez cały czas - zapewniła go. - Dopilnuję, żebyś zawsze brał leki, i nie odejdę od ciebie na krok. Nie umrzesz mi tu teraz, Manning. Za dużo w ciebie zainwestowałam.

Więc Bobby zaczął chodzić na przesłuchania do *The Lady*, a Rose siedziała zawsze na tyłach sali w teatrze, na wypadek gdyby jej potrzebował. Pewnego wieczoru - wiedziała, że na zawsze zapamięta, że było to już po wybraniu obsady, ale jeszcze zanim rozpoczęły się próby - oświadczył:

- Nie stać mnie teraz na pierścionek zaręczynowy, ale któregoś dnia będzie mnie stać. Jeśli za mnie wyjdiesz, obiecuję, że ten cholerny pierścionek będzie zniewalający.

Oczywiście powiedziała, że tak, tak, tak, chce za niego wyjść! I że nie obchodzi jej pierścionek! Bobby chciał to zrobić szybko, zanim wpadnie w wir pracy. Więc postanowili pójść do ratusza. Rose pomyślała o Nonnie, siostrze Fil i zakonnicach z St. Mary's. W oczach Kościoła katolickiego nie będzie prawdziwą mężatką, jeśli ograniczy się do ceremonii cywilnej. Ona i Bobby będą żyli w grzechu. Ale Bobby nie był katolikiem i Kościół kazałby jej uzyskać dispensę, co trwałoby długo - a on gotów był ożenić się od razu. Zamknęła oczy i pomyślała, że Bóg zrozumie. Jej marzenia miały się spełnić lada chwila. I nic już nie stanie jej na drodze.

Rose powiedziała o wszystkim Lu dopiero wieczorem, przed samą ceremonią.

- Proszę, nie rób tego tak szybko - błagała Lu. - Poczekaj chociaż trochę.

Były w sypialni, a Rose właśnie wyciągnęła z szafy górę sukienek.

- Jutro wychodzę za Bobby'ego - oznajmiła. - Już wszystko ustaliliśmy.

- Poczekajcie z tym! Rose zgrzytnęła zębami.

- Mamo, poprosiłam, żebyś tu przyszła, bo chciałam, żebyś pomogła mi wybrać sukienkę ślubną. Myślałam, że będziesz chciała uczestniczyć w najszczęśliwszym dniu mojego życia. Nie psuj tego.

- Nie rozumiem, dlaczego to musi dziać się tak szybko. Bobby pracuje dopiero od kilku tygodni. Wyszedł ze szpitala dosłownie miesiąc temu.

- Mówiłam ci: chce, żebym pojechała z nim w trasę.

- To jedź! Sypiaj z nim! Ale nie wychodź za niego. Jeszcze nie. Daj mu szansę, żeby się zastanowił.

Ale Rose nie mogła tego zrobić. Nie zamierzała dawać Bobby'emu czasu, żeby się zastanowił. I nawet jeśli przyszło jej do głowy, że nie chciała po prostu, żeby przestał się bać, bo mógłby wtedy zmienić zdanie - to szybko odrzuciła tę myśl.

- Bobby wie, czego chce - powiedziała matce. - Myślisz, że powinnam włożyć kapelusz?

Lu spróbowała z innej strony.

- Uważam, że powinnaś wziąć ślub w białej sukni z welonem, bukietem i milionem drухen. Nie chcesz ślubu kościelnego? Poczekaj tylko do wejścia na scenę *The Lady* i jeśli twój Bobby nadal będzie chciał się ożenić, zrobię, co trzeba, i będziecie mieli dla siebie katedrę Św. Patryka.

To wydawało się naprawdę kuszące. Rose zawsze marzyła o ślubie z rozmachem. Wyobrażały go sobie z Nonną, odkąd była małą dziewczynką. Dokładnie planowała swój strój: jej długa suknia będzie miała wąską talię i tren, do tego welon z prawdziwej koronki, a... Pokręciła głową. Wystawny ślub to byłoby zbyt wiele: Bobby mógłby nabrać wątpliwości.

- Bobby nie jest religijny - wyjaśniła matce. - Nie chciałby ślubu w katedrze.

- A czy on w ogóle chce ślubu? Bobby jest teraz kompletnie przerażony. Nie powinien w tej chwili podejmować tego typu decyzji.

Rose rzuciła sukienki na łóżko.

- Czy ty słyszysz samą siebie? Martwisz się tylko o Bobby'ego. A co ze mną? Obchodzi cię w ogóle, czego ja chcę?

- Przecież to o ciebie się martwię! Nie chcę, żebyś związała się z mężczyzną, który obudzi się za kilka miesięcy i zrozumie, że nie umiera, po czym dotrze do niego, że popełnił błąd.

- To się nie stanie.

- Naprawdę myślisz, że on chce się ustatkować? Zostać dobrym mężem?

- Będzie dobrym mężem, bo mu to ułatwię.

- A co ty będziesz z tego miała?

- Jego.

- I to ci wystarczy? Zaslugujesz na mężczyznę, który zatroszczy się o ciebie i któremu będzie na tobie zależało. Bobby'emu nigdy nie będzie. Przynajmniej nie w takim stopniu, jak zależy mu na nim samym.

Słowa Lu raniły. Bardziej niż Rose sądziła.

- Mówisz o nim, jakby był jakimś okropnym człowiekiem! - krzyknęła.

- Nie, jest po prostu samolubny. Bo musi taki być. Poświęca swojej pracy wszystko, co ma. Wyobraźnię, uczucia, talent... I kiedy zacznie osiągać sukcesy, zrobi się coraz bardziej rozkapryszony. Bobby ma tak duży talent, że ludzie mu wszystko wybaczą. Nie jest na tyle silny, żeby oprzeć się wszystkim tym, którzy mu wmówią, że może mieć i robić, co tylko chce.

- Więc twoim zdaniem stanie się potworem.

- Tak. Utalentowanym, czarującym potworem.

- Odkąd to umiesz przepowiadać przyszłość? Wiesz, jaki Bobby będzie za dziesięć czy dwadzieścia lat?

- Wydaje mi się, że mniej więcej to sobie wyobrażam. A ty?

- Może wcześniej Bobby rzeczywiście był taki, jak mówisz, ale później zachorował i to go odmieniło. Zrobił się poważniejszy. Rozumie, co jest w życiu ważne.

- A co, jeśli nie? - głos jej matki rozbijał wszystkie piękne obrazy, którymi Rose zakrywała własne wątpliwości.

- On mnie kocha! Mówi, że mnie kocha! - krzyknęła, żeby zagłuszyć ten głos.

Ale Lu ciągnęła:

- I może mówi prawdę. Na tyle, na ile może. Ale nigdy nie pokocha cię tak bardzo, jak kocha swoją pracę. Nic na to nie poradzisz, Rose. Po prostu taki jest.

Przez umysł Rose przemknął widok twarzy Bobby'ego, kiedy opowiadał o show-biznesie. Zobaczyła pragnienie w jego uśmiechu, głód w oczach. Potem stanęły jej przed oczami inne obrazy - Lu, która przyjechała do domu w New Haven z krótką wizytą i musiała wrócić do teatru, zanim Nonna zdążyła podać *ziti*; Lu odwiedzając kolejne spotkanie, podczas którego miała zobaczyć, jak jej córka jeździ na łyżwach, bo wypadła jej ważna próba. I w nagłym olśnieniu Rose pomyślała: Ciebie nigdy nie miałam, mam. Ale jego będę miała.

- Jutro w ratuszu wyjdę za Bobby'ego Manninga - oznajmiła.

- Dlaczego on, Rose? - Lu prawie płakała. - Mogłabyś mieć każdego mężczyznę.
- Włożę prostą sukienkę i nie będzie mszy, przyjęcia weselnego, welonu ani sukni z trenem. To bez znaczenia. Bobby i ja się kochamy. Będziemy razem szczęśliwi do końca życia.

## ROZDZIAŁ 27

Nowy Jork

2008

Na zewnątrz zrobiło się ciemno. Salon George'a oświetlała teraz tylko wiktoriańska latarnia. George skończył drinka i mówił dalej :

- Bobby i Rose wzięli więc ślub. Wprowadzili się do dużego mieszkania przy Piątej Alei i dzięki Rose stali się jedną z najsłynniejszych i najbardziej eleganckich nowojorskich par lat sześćdziesiątych i początku lat siedemdziesiątych. Znał ich każdy, kto coś znaczył w Nowym Jorku. Pamiętam, że na liście gości jednego z przyjęć, które urządziła Rose, znaleźli się Walter Cronkite, Richard Burton i Elizabeth Taylor, Norman Mailer, Lennie Bernstein, Kitty Carlisle Hart i Gloria Steinem. Cholera, przyszedł nawet burmistrz.

- Ale czy moja matka była szczęśliwa? Bo kiedy byłam dzieckiem, wydawało się, że raczej nie.

- Tego nie wiem. - George wzruszył ramionami. - Nie byłem blisko z Rose. Nikt do końca nie był. Co-  
kolwiek czuła w ciągu tych lat, zachowywała to dla siebie.

- A mój ojciec? George rozpromienił się.

- Ach, Bobby. Szkoda, że nie znałaś ojca.

- Lubieś go.

- Bardzo go podziwiałem. Był gigantem, ale nigdy tego nie podkreślał. Chociaż miał na koncie same hity, zawsze mówił: „Ależ ze mnie szczęściarz. Pracuję na Broadwayu!”. Jakby po prostu nie mógł w to uwierzyć. - George przerwał na chwilę i Carrie zauważyła, że szuka odpowiednich słów. - Rose była wspaniałą kobietą, wszyscy tak mówią. Ale twój ojciec to nie byle kto, kochanie.

- Ale czy był szczęśliwy z moją matką jako żoną?

- Bobby był szczęśliwy, kiedy pracował, a rzadko robił sobie przerwy. - George wstał. - Muszę zabrać dziewczynki na małą wyprawę na siusiu.

Wskazał trzy pieski stojące teraz w rzędzie przy drzwiach.

- Chcesz iść z nami?

Carrie kiwnęła głową i kolejnych kilka minut spędzili na zakładaniu yorkom maleńkich smyczy - obficie ozdobionych kryształami górskimi - i ruszyli do windy.

- Wiesz, dlaczego moja matka i Lu przestały się do siebie odzywać? - zapytała Carrie, kiedy już znaleźli się na dole, przy 57. Ulicy.

George pokręcił głową.

- To było dziwne. Ale o cokolwiek chodziło, zawsze uważałem, że właśnie przez to Lu przeszła na emeryturę.

- Pytałeś ją o to?

- Dziesiątki razy, szczególnie po tym, jak powiedziała mi, że odchodzi z branży. Na Boga, miała tylko czterdzieści siedem lat i mogła... - Nagle przerwał. - Maxine, zostaw to! - nakazał jednemu z yorków, który znalazł w rynsztoku coś o wyjątkowo paskudnym wyglądzie. - Fuj! - dodał, podnosząc psa z ziemi.

- Co mówiła ci Lu?

- Jakieś bzdury o tym, od jak dawna jest już w branży i że nie ma nic bardziej żalosego niż starzejąca się diwa, która nie wie, że jej czas dobiegł końca.

- Chodziło mi o to, co mówiła o mojej matce.

- Nic. To była jej rodzina, a Lu podchodzi do spraw rodzinnych w bardzo włoski sposób: nie rozmawia się o sekretach. - Spojrzał na Carrie. - Oczywiście z tobą na pewno by porozmawiała...

- Nie mam pewności, czy uznałaby mnie za rodzinę - zastanowiła się Carrie. - Właściwie się nie znamy.

George i yorki odprowadzili Carrie za róg. Zaproponował, że złapie dla niej taksówkę, ale podziękowała, bo chciała się przejść i przewietrzyć głowę. Pocałowała George'a w policzek.

- Dziękuję - powiedziała i ruszyła Szóstą Aleją.

- Carrie! - zawołał za nią. Odwróciła się. - Lu naprawdę uważa cię za rodzinę. Może nie będzie znała odpowiedzi na wszystkie twoje pytania, ale powie ci, co będzie mogła. Wiem, że to zrobi.

Kiedy weszła do swojego mieszkania, wydało jej się jeszcze bardziej klaustrofobiczne niż zwykle. Meble majaczyły w mroku, a w powietrzu unosił się nieznośny zapach kwiatów, które dawno już miały za sobą okres świetności. Nadszedł czas, żeby pozbyć się róż od wujka Pauliego. Zwlekała z tym, ale trzymanie kosza zwiędłych kwiatów nie sprawi, że zniknie uczucie straty. Kiedy pochyliła się, żeby podnieść kosz, za jej plecami nagle zapaliło się światło. Carrie gwałtownie się odwróciła, rozrzucając płatki zwiędłych kwiatów po podłodze.

- Howie, co ty tu, do diabła, robisz? - zapytała, kiedy tylko rozpoznała postać siedzącą w jej brzydkim, ogromnym fotelu. - Jak się tu dostałeś?

- Czasem cygaro nie jest kluczem do mieszkania - powiedział. Wydawało się, że ma problemy z wymawianiem niektórych słów.

- Jesteś pijany? - Howie nigdy nie pił zbyt dużo, zwykle nie przekraczał limitu dwóch kieliszków wina do obiadu.

- Nie zmieniaj tematu - wymamrotał. Podniósł się z fotela i przez kilka sekund kołysał się w miejscu.

- Najwyraźniej. Kompletnie się upiłeś...

Howie lekceważąco machnął ręką.

- Rozmawiamy teraz o tym - pokazał jej klucz. - Kiedy nie wzięliśmy ślubu, miałem klucz do twojego mieszkania... Go ci nigdy nie oddałem... - Zamilkł na chwilę, zastanawiając się nad szykiem zdania, które przed chwilą wypowiedział. - Nieważne. W każdym razie nigdy nie prosiłaś mnie o zwrot - znowu zamilkł, po czym postanowił brnąć dalej. - Chodzi o to, że nadal go mam.

- I wykorzystałeś go, żeby się tu włamać.

- Nie włąmałem się. Użyłem klucza. A teraz sobie posiedzę. Bo wypilem kilka drinków na dworcu, zanim tu przyszedłem, i nie czuję się zbyt dobrze.

- Howie, czy ty będziesz wymiotował?

- Pewnie tak, ale jeszcze nie teraz. Najpierw porozmawiamy o cygarze.

- Jakim cygarze? Przecież ty nie palisz.

- Freud mówił, że czasem, kiedy dzieje się coś, co wygląda na przypadek, to wcale nie jest przypadek, a czasem z kolei cygaro jest po prostu cygarem. Rozumiesz?

- Tak jakby.

Znowu wyciągnął klucz.

- To nie jest cygaro - mówił teraz bardzo wyraźnie i zdecydowanie. Zbyt zdecydowanie. - To nie przypadek, że nigdy nie kazałaś mi oddać klucza. Założę się o milion dolarów, że nadal masz klucz do mojego mieszkania.

- Po naszym rozstaniu wyprowadziłaś się na wieś. - Ale miał rację. Carrie nadal miała klucz do jego dawnego mieszkania.

- To się nie liczy - odpowiedział Howie. - Rozmawiamy o przypadkach. A nie przypadkiem dzwonisz do mnie o trzeciej nad ranem, bo za mną tęsknisz i czujesz się samotna.

- Jeśli chodzi ci o tamtą noc...

- Cicho - powiedział dość dramatycznym tonem. - To nie przypadek, że zawsze, kiedy poznaję kobietę, tak jak tamtą kobietę, z którą byłem w łóżku ostatnim razem, kiedy dzwoniłaś...

- Mówiłam już, że mi przykro...

- Mnie nie, bo to by się i tak skończyło. Zawsze się kończy. Poznaję kobietę, jest miła, inteligentna i ładna, podobam jej się i wszyscy moi znajomi ją lubią, ale ona nie jest tobą. To ciebie kocham. - Czknął. - Próbowałem być twoim przyjacielem, bo tak chciałaś. Ale dłużej już nie mogę.

Serce Carrie zamarło.

- Myślałam, że nie przeszkadza ci...

- Przeszkadza. Chciałem się z tobą ożenić. Nie zaprzyjaźniasz się z kobietą, którą chcesz poślubić.

I wtedy, zupełnie bez powodu, z serca Carrie zniknął ciężar. Tymczasem Howie spojrział na klucz spod zmrużonych powiek, usiłując się na nim skoncentrować.

- Myślę, że mnie kochasz. A jeśli nie, przestań dzwonić do mnie za każdym razem, kiedy pomyślisz o czymś zabawnym czy smutnym, albo kiedy nie możesz spać. Weź swój cholerny klucz z powrotem. Będzie mi bardzo ciężko cię stracić, ale tak musi być. - Znowu mu się odbiło. - A teraz, jeśli pozwolisz, pójdę zwymiotować.

Howie dotarł do łazienki na czas. Później Carrie zdołała położyć go na łóżku, zanim stracił świadomość. Wróciła do salonu. Płatki róż nadal pokrywały podłogę. Pozbierała je, podniosła ładny, mały kosz i ruszyła z nim do śmieci. Ale nagle się zatrzymała. Wyjęła z kosza zwiędłe kwiaty i postawiła go na środku stolika, po czym wyszła ze śmieciami.

Kiedy wróciła, oczy piekły ją od łez, ale nie pozwoliła sobie na płacz. Musiała pomyśleć. Howie upił się, bo potrzebował czegoś więcej niż sztuczna przyjaźń, która - jak sobie wmawiała - dotąd ich łączyła. Jeśli nie może mu powiedzieć, że go kocha, zniknie z jej życia na dobre. I będzie miał rację.

Carrie podniosła telefon i zaczęła wybierać numer Zoe. Ale po chwili odłożyła słuchawkę. Nie będzie płakała i nie będzie znowu wołała na pomoc przyjaciółki. Wróciła na kanapę i spojrzała na kosz po różach.

Dlaczego zawsze czuję, jakbym zadowalała się pustym koszem, skoro chcę pełnego? Dlaczego nie mogę pozwolić sobie na szczęście? Jakie byłoby życie bez Howiego?

Carrie podniosła kosz. Może wsadzi do niego jakąś roślinę. Nigdy wcześniej nie próbowała hodować żadnego kwiatka. Odłożyła kosz i wróciła do sypialni. Howie przestał chrapać i leżał rozwalony na nieposłanym łóżku. Przez chwilę mu się przyglądała. Dotąd trzymała się swojej decyzji, że za niego nie wyjdzie. Czy zmieniłaby zdanie, gdyby Rose nie zachorowała? Zaczęła się zastanawiać. Ale nie miało to znaczenia. Rose zachorowała, a Carrie nie mogła jej zdradzić.

Właśnie tak widziałyby to matka. Uznałaby, że porzucam wszystko, w co wierzyła. Więc tego nie zrobiłam.

Ale Carrie poprosiła Howiego, żeby został jej przyjacielem. Tylko w ten sposób mogła znieść swoją decyzję. A teraz on mówi, że dłużej tego nie zniesie. Położyła się obok niego na łóżku. Nie poruszył się.

- Powiedziałam, że za ciebie nie wyjdę, bo nie chciałam cię skrzywdzić - szepnęła. - Ale to były bzdury.

Pogłaskała go po policzku, ale Howie dalej leżał w bezruchu. Kiedy się obudzi, będzie miał piekielnego kaca.

- Nie mogłam zawieść matki. - Carrie podniosła się na łokciu. - Mimo wszystko, mimo nagród, które otrzymywałam, i wszystkich dobrych rzeczy, które robiła, zawsze wiedziałam, że coś w niej pękło. Myślałam, że muszę to naprawić. To też były bzdury, ale w nie wierzyłam. Teraz muszę się dowiedzieć, co jej się przytrafiło. Wiem już więcej niż przedtem, ale nadal brakuje mi ważnej części tej układanki.

Podniosła się i stanęła obok łóżka.

- Nie chcę, żeby zabrzmiało idiotycznie, ale Zoe mówi, że muszę zamknąć ten rozdział. I ma rację. Została mi już tylko jedna rzecz do zrobienia. Proszę, poczekaj na mnie.

Zamierzała wyjść z sypialni, ale kiedy dotarła do drzwi, w ciemności usłyszała głos:

- Jeśli chodzi o to czekanie, ile myślisz, że to potrwa? - zapytał Howie. - W poniedziałek muszę wrócić do pracy.

# ROZDZIAŁ 28

Nowy Jork

2008

- Zoe, obtaczasz trufle czy możesz rozmawiać?

- Tkwię właśnie po szyję w *ganache* z trawą cytrynową, ale mogę rozmawiać, byle szybko. Gdzie jesteś?

- W domu, ale nie na długo. Muszę ci o czymś powiedzieć.

- Nareszcie!

- Co „nareszcie”? Jeszcze nic nie powiedziałam.

- Jedziesz spotkać się z babcią.

- Nie powinnaś psuć mi wejścia w ten sposób. Masz być zszokowana, pełna podziwu w związku z moim dojrzeniem jako osoby, a potem okazać mi wsparcie.

- Jestem zszokowana, jestem pełna podziwu i chętnie okażę wsparcie, a poza tym zajmuję się *ganache*. Zanim zmarnuję około czterdziestu trufli, powiedz, gdzie się spotykasz ze staruszką?

- Mieszka w Mount Kisco i dziś jadę tam pociągiem. Zaproponowałam, że wypożyczę samochód, ale powiedziała, że pociągiem łatwiej dojadę, a jej kierowca odbierze mnie ze stacji. Ma kierowcę. Ma pewnie pełną służbę. George mówił... George był jej dyrygentem, opowiadałam ci o nim...

- Carrie...

- George mówił, że sprzedała mieszkanie w mieście i dom na wsi - wtedy, kiedy zmarł mój ojciec - a po odejściu na emeryturę przeniosła się do Mount Kisco i...

- Carrie, rozgadałaś się.

- Nigdy jej nie poznałam. To moja babcia, a wiem o niej tylko tyle, że była sławna i że moja matka nie odzywała się do niej przez trzydzieści pięć lat.

- A teraz jedziesz do Mount Kisco, żeby dowiedzieć się, dlaczego. Ten dźwięk to brawa, które ci biję - oczywiście w przenośni.

- Odbierze mnie szofer. Ona ma pewnie jakiś wielki, obciachowy samochód i każe temu biedakowi chodzić w liberii. Pewnie cała służba nosi uniformy. Kto, do diabła, zatrudnia służących w Mount Kisco?

- Cofasz się.

- Będzie pretensjonalna i bezczelna...

- A może nie?

- Matce by się nie spodobało, gdyby wiedziała, że to robię.

- Carrie, dobrze robisz.

- Łatwo ci mówić.

Samochód Lu Lawson nie okazał się ani duży, ani obciachowy. Dla nieznającej się na samochodach Carrie wyglądał jak każde inne auto, może był tylko trochę mniejszy. A kierowca Lu nie nosił uniformu. Miał



za to lekko ubłocone dżinsy i sportową bluzę. Wyznał jej, że oprócz obowiązków kierowcy zajmuje się też trawnikami i ogrodami. Jego żona z kolei gotuje i sprząta, ale nie mieszkają z panią Lawson, dla której pracują, odkąd wprowadziła się do Mount Kisco trzydzieści pięć lat temu. On ma na imię Dan, a jego żona - Cecile.

Dom babci Carrie okazał się wielką, dwupiętrową rezydencją - może kolonialną? - stojącą na szczycie wzgórza. Cztery kolumny podtrzymywały dach ganku z oknami wykuszowymi po obu stronach. Jeszcze więcej rozmieszczonych w regularnych odstępach okien znajdowało się od frontu na pierwszym i drugim piętrze. Dom był biały, z czarnymi wykończeniami i czerwono-czarnymi markizami. Ten element czerwieni nadawał mu nieco zawadiacki charakter, co spodobałoby się Carrie, gdyby nie miała poczucia, że z założenia musi odnosić się z dezaprobatą do wszystkiego, co tutaj zobaczy. Podjazd prowadzący do domu otaczał żwirowym półkolem rozległy i bujny trawnik rozciągający się od frontu.

- Wygląda jak murawa boiska - powiedziała Carrie - albo pole golfowe.

W lusterku dostrzegła uśmiezek Dana.

- Zaczekaj, aż zobaczysz ogródek z pomidorami pani Lawson, na tyłach domu - oznajmił. - Zajmuje się nimi sama, mnie nie pozwala się nawet zbliżyć.

Podjechali pod drzwi wejściowe i zatrzymali się. Carrie jakby wrosła w fotel.

Nie dam rady - pomyślała. - Chrzanić zamykanie etapów w życiu.

Ale wtedy Dan wysiadł z samochodu, przeszedł na jej stronę i otworzył drzwi. Wyglądało na to, że już za późno na zmianę decyzji.

Wiedziała, że powinnam przyjechać tu sama - przemknęło jej przez głowę.

Duże drzwi wejściowe otworzyły się i stanęła w nich jakaś kobieta.

Jeśli zrobi cokolwiek sztucznego, spadam stąd - postanowiła w duchu Carrie. - Jakiegokolwiek wielkie, aktorskie uściski, sceny spotkań po latach i już mnie tu nie ma.

Kobieta nie ruszyła się. Ręce trzymała w kieszeniach. Czy ona też się denerwowała? Na ganek prowadziły trzy szerokie schodki. Carrie weszła po nich i stanęła przed swoją babcią. Kobieta, po której odziedziczyła rysy twarzy, wspaniałe nogi i biust. I z którą nic jej nie łączyło.

Czas był łaskawy dla Lu Lawson - wyglądała raczej na siedemdziesiąt niż osiemdziesiąt lat. Jej włosy pozostały gęste i kręcone, a ktokolwiek zajmował się ich farbowaniem, musiał być geniuszem. Miały delikatny, brązowy odcień z lekkimi złotymi pasemkami - nie zdecydowała się na krzykliwy kolor, który często stosowały starszki. Jej twarz była zadziwiająco młoda. Czyżby tu też zadziałał specjalista? Jeśli tak, musiała to być bardzo dyskretna ingerencja. Lu była wyższa od Carrie dzięki butom na obcasie. Miała na sobie różową jedwabną sukienkę, podkreślającą figurę o krągłych kształtach, wąskiej talii i nogach, które kiedyś należały do najlepszych w Nowym Jorku. Nosila okulary, modne i nieco zbyt duże, których ramki miały taki sam kolor jak jej włosy. Duże brązowe oczy przyglądały się Carrie równie intensywnie, jak Carrie przyglądała się jej.

- Mój Boże - powiedziała miękko Lu. Przez sekundę żadna z nich się nie poruszyła. Nie wiedziały, co robić dalej. Wtedy babcia lekko wzruszyła ramionami, pochyliła się i pocałowała Carrie w policzek. - Wszystko jedno. Czekałam na tę chwilę od bardzo dawna.

Po czym wprowadziła ją do środka.

Jej dom był widny, ściany pomalowano głównie na jasne kolory: écru, delikatny odcień brzoskwini i bladą zieleń mchów. Meble, obite tapicerką w tych samych delikatnych kolorach, wydawały się duże i bardzo wygodne. We wnętrzu Carrie dostrzegła kremową boazerię i ozdobną stolarkę, a na podłodze z twardego drewna leżały tu i ówdzie pastelowe dywaniki. Wnętrze było przytulne i ciepłe.

Dlaczego nigdy nie widziałam tego miejsca, kiedy dorastałam? - pomyślała Carrie. - Powinnam chociaż wiedzieć, że istnieje.

Lu zabrała Carrie na tył domu, gdzie salon wychodził na trawnik otoczony ogrodami. Wyszły na zewnątrz.

- Uprawiam warzywa, a Dan zajmuje się całą resztą - odezwała się Lu, kiedy ruszyły alejką. - Tam są krzewy różane, a tam peonie.

Wskazała jedną z grządek.

- Zioła rosną na tamtej małej grządce, a... - znowu wskazała coś ręką, tym razem nieco teatralnym gestem - tam są moje pomidory!

Oprócz pomidorów w ogródku babci Carrie rosły trzy jabłonie i wiśnia. Znajdowała się tam też altana obrosnięta winoroślą. Stał w niej stół przykryty lnianym obrusem - lśniącem bielą w słońcu wczesnej wiosny - na którym rozłożono sztuce, porcelanę i mieniące się w promieniach słońca kryształowe szklanki.

- Pomyślałam, że na lunch zjemy *ziti* - powiedziała Lu. - Lubisz *ziti*?

Powinna wiedzieć, co lubię - pomyślała Carrie. - A ja powinnam wiedzieć, co ona lubi. Nie powinniśmy się o to pytać.

Tymczasem w wielkich oczach za modnymi okularami pojawił się niepokój.

- Nie wiedziałam, czy w środku dnia jadasz duży posiłek. Jeśli wolisz kanapkę, poproszę Cecile, żeby ci coś przygotowała. Z szynką i serem. Chyba jest też trochę parmigiany z bakłażana. - Babcia zaczęła paplać.

Jest zdenerwowana - zauważyła Carrie. - To wszystko nie tak. Nie powinniśmy się denerwować swoją obecnością.

- Albo zupa - mówiła dalej Lu. - Na pewno jest trochę zupy...

- Co się, do diabła, stało? - wybuchła Carrie. Po chwili dodała już spokojniej: - Chodzi mi o to...

- Wiem, o co ci chodzi. Chcesz wiedzieć, co wydarzyło się między mną a twoją matką. Chcesz wiedzieć, co się stało, kiedy umarł Bobby.

Lu wzięła Carrie za rękę.

- Chodź - poprosiła. Podeszły do stołu i usiadły w altance oplecionej winoroślą.

- Żeby zrozumieć to, co zamierzam ci opowiedzieć, musisz mieć świadomość, na jakim etapie znajdowaliśmy się wszyscy na początku lat siedemdziesiątych - zaczęła Lu. -

Bobby i Rose byli już małżeństwem od jakichś dziesięciu lat. - Urwała na chwilę, ostrożnie dobierając słowa. - To nie było złe małżeństwo, przynajmniej nie do końca...

- George Standish mówił, że byli znaną i szanowaną parą.

- Tworzyli dobrany zespół. On miał talent - ogromny talent - ale miał też wiele wad. Myślę, że w głębi duszy pozostał nadal jednym z tych dzieciaków, które kręcąc się przy knajpach na Czterdziestej Drugiej Ulicy, marząc, że pewnego dnia nadejdzie przełom. To dzięki Rose stał się naprawdę znany.

- Miał jej to za złe?

- Był tym zachwycony! W tamtych czasach pisarze i kompozytorzy nie mogli liczyć na zbyt duże zainteresowanie opinii publicznej - nie takie, jak aktorzy. Oni pracowali raczej za kulisami. Ale Rose zawsze wiedziała, jak postępować z prasą. Kiedy skończyła urządzać mieszkanie, trzy czasopisma poświęciły mu artykuły. Wymieniła Bobby'emu całą garderobę i uznano ich za najlepiej ubraną parę w Nowym Jorku. Bez przerwy pojawiali się w rubryce towarzyskiej „Timesa”, ale nie tylko w dziale teatralnym, jak my wszyscy. I dokądkolwiek szli, Bobby był gwiazdą.

- A ona?

- Ona była panią Manning.

Carrie usiłowała wyobrazić sobie swoją charyzmatyczną matkę jako kobietę, której tożsamość została podporządkowana mężowi.

- I to dawało jej szczęście?

Lu spojrzała na ogród rozciągający się przed nimi. Jedną z rabat porastały jakieś różowe kwiaty.

- Bobby był pracoholikiem. Kiedy miał próby, zapominał o wszystkim, włącznie z Rose. Jego biuro znajdowało się niedaleko Shubert Alley. Czasem tam nocował i nie pamiętał nawet, żeby do niej zadzwonić i uprzedzić, że nie wróci do domu. Kiedy pisał musical, na całe tygodnie zamykał się w biurze albo w pokoju hotelowym.

- Nie wyobrażam sobie, żeby mama mogła to zaakceptować.

- Nie to było najgorsze. - Lu spojrzała na różowe kwiaty. - Bobby był... no cóż, w moich czasach nazwalibyśmy go łajdakiem. Zdradzał Rose od samego początku. W naszej rzeczywistości nie było to zresztą nic nadzwyczajnego. Wielu mężczyzn z jego pozycją prowadziło rozwiązłe życie. Mieli pieniądze i władzę, a otaczały ich piękne dziewczyny, które chciały zrobić karierę w show-biznesie.

- A mój ojciec miał być dla nich szczeblem do kariery?

- Bobby był na to zbyt inteligentny. Nigdy nie pozwalał, żeby zabawa kolidowała z jego pracą. Zawsze wybierał do ról naprawdę najlepszą aktorkę - zawsze. Ale był po prostu jednym z tych mężczyzn... - Lu westchnęła, ale w jej głosie była czułość.

- Lubiałś go - oceniła Carrie, zdając sobie sprawę, że w ciągu ostatnich dwóch dni już po raz drugi mówi tak do kogoś.

- Kochałam Bobby'ego. Był jedną z najbardziej utalentowanych osób, jakie kiedykolwiek poznałam. Był czarujący i dowcipny. - Lu uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. - Poza tym, pracując z nim, zdobyłam dwie nagrody Tony.

- Zdradzał twoją córkę! - powiedziała z oburzeniem Carrie. Jej matka czułaby się w tej chwili ogromnie upokorzona. W Carrie wezbrały opiekuńcze uczucia, których dotąd nie znała.

Uśmiech Lu przygasł.

- Nie powiedziałam, że takiego mężczyznę wybrałabym na zięcia. Żadna kobieta o zdrowych zmysłach nie chciałaby, żeby Bobby Manning ożenił się z jej córką - szczególnie jeśli tą córką była Rose. Ale to nie zmienia tego, jak odbierałam go jako człowieka. Rozumiesz?

Carrie westchnęła i przytaknęła, a jej oburzenie stopniowo wygasło. Rozumiała swoją babcię. Lu Lawson była realistką i akceptowała ludzi takimi, jakimi byli. Rose Lawson Manning nigdy się tego nie nauczyła.

- Czy matka wiedziała, że Bobby ją zdradzał?

- Nie wiem. Rose była tak dumna, że nigdy by się do tego nie przyznała. Szczególnie przede mną.

- Dlaczego nie? Byłaś przecież jej matką.

- Próbowałam ją ostrzec, zanim wyszła za Bobby'ego. Moja relacja z Rose nigdy nie należała do łatwych. Ale potem... Byłam ostatnią osobą, do której by się zwróciła, gdyby miała jakiś problem. Rozumiesz?

Carrie znowu skinęła głową. Wiedziała, co się działo, kiedy mówiło się jej matce coś, czego nie chciała usłyszeć.

- Rose zdawała sobie sprawę, jaki jest Bobby, zanim wzięli ślub. Sam jej o tym powiedział. Ale chciała wierzyć, że jej miłość go zmieni, uczyni innym człowiekiem. - Nagle w oczach Lu pojawiły się łzy. - Miała wszystko. Była piękna i inteligentna, mogła zrobić ze swoim życiem, cokolwiek zechciała. Ale ona za wszelką cenę pragnęła mężczyzny, który nie mógł dać jej tego, czego potrzebowała. Słyszałam plotki, które krążyły o nim w teatrze, i modliłam się, żeby o tym nie wiedziała. A potem modliłam się, żeby on rzeczywiście się zmienił, choć wiedziałam, że ludzie się nie zmieniają.

- Wygląda na to, że nie układało im się zbyt dobrze - powiedziała Carrie. Musiała zadać to pytanie. - Czy ja to jeszcze pogorszyłam? Kiedy się urodziłam? George Standish mówił, że Bobby nie był raczej typem faceta, który marzyłby o domu z białym płotem i miłym piesku. Niemożliwe, żeby się cieszył, że urodziło mu się dziecko.

- Mylisz się! - Lu pokręciła głową. - On kompletnie oszalał na twoim punkcie! Typowy Bobby. Rose od lat pragnęła dziecka, a on konsekwentnie odmawiał. Wreszcie zaszła w ciążę - nigdy nie wierzyłam, że to była wpadka, chociaż tak twierdziła - i po twoich narodzinach Bobby spojrział na ciebie dosłownie raz i nagle poczuł się, jakby wynalazł ojcostwo. Prosto ze szpitala pobiegł do FAO Schwarz i wykupił cały dział z lalkami. Nalegał, żeby przenieśli się do tego wielkiego mieszkania przy Park Avenue, bo ich dawne mieszkanie miało tylko jeden pokój dziecienny. Chciał, żebyś dostała własny apartament. Nie wiem, czy go pamiętasz. Był pomalowany na różowo i...

- Widziałam zdjęcia.

- Mówił, że musi być równie piękny jak ty.

Wtedy oczy Carrie wypełniły się łzami. Uznała to za zupełnie szalone, bo przecież nie знаła swojego ojca.

- Mówił, że jestem piękna? - szepnęła.

- Byłaś jego księżniczką. Gdyby żył, rozpuściłby cię jak dziadowski bicz. - Lu przerwała na chwilę. - Kochanie, do czasu, kiedy skończyłaś trzy lata, Rose i Bobby zdążyli już przeżyć wiele dobrych i złych chwil. Ich małżeństwo było jak karuzela. Ale ty zawsze byłaś tym co dobre - dla nich obojga.

# ROZDZIAŁ 29

Nowy Jork

1974

Rose weszła do różowej sypialni, którą jej mąż stworzył dla ich córeczki, kiedy wprowadzili się na Park Avenue. Zwykle sama zajmowała się urządzaniem domu, ale tym razem Bobby nalegał, żeby to on mógł zająć się wystrojem pokoi dziecięcych. Zamiast zatrudnić eleganckiego dekoratora wnętrz, z którego usług korzystała zwykle Rose, poprosił swojego ulubionego scenografa, żeby zaprojektował „pałac dla księżniczki”. Stało tam więc kiczowate łóżko dziecięce z idiotycznym baldachimem z jedwabiu i koronek. Zasłony - też kiczowate i idiotyczne - uszyto z różowego jedwabiu. Meble, pokryte wymyślnymi koronkami, przypominały góry różowej bitej śmietany. Według Rose całe to miejsce było jedną wielką różową tandetą, ale Bobby był zachwycony. A mała Carrie miała tylko trzy lata, więc nie wyrażała jeszcze opinii na temat architektury wystroju wnętrz.

Rose spojrzała na łóżko, na którym drzemała jej córka. Lubiła przychodzić do pokoju Carrie i patrzeć, jak dziewczynka oddycha podczas snu. Był to czas, kiedy Rose mogła spokojnie pomyśleć. Ostatnio zdarzało jej się to dość często. Dużo też wspominała - a to wszystko z powodu tej małej osobki z ciemnymi, kręconymi włosami, która spała właśnie na łóżku z baldachimem. Rose ostrożnie usiadła w bujanym fotelu, starając się nie wydać żadnego dźwięku i nie obudzić dziecka. Oparła się i zamknęła oczy, oddając się wspomnieniom.

Od samego początku w jej małżeństwie pojawiały się Dziewczyny. Tak Rose nazywała ładne drapieżniki, które prześladowały Bobby'ego. Dziewczyny kompletnie nie przejmowały się tym, czy rozbiją komuś rodzinę albo złamią serce innej kobiecie. Po prostu chciały zrobić coś dla swojej kariery albo zostać kolejną panią Manning. Pierwsza Dziewczyna pojawiła się sześć miesięcy po ich ślubie. Bobby zdążył zdradzić żonę przed ich pierwszą rocznicą, ale poczekał z tym do chwili, gdy jego musical *The Lady* wszedł na scenę i natychmiast stał się hitem. Wszystko w swoim czasie.

Bobby nigdy nie afiszował się ze swoimi romansami. Rose wiedziała, że nie chciał jej ranić - o ile mógł robić, co chciał. Więc udawała, że nie wie o jego Dziewczynach. Miała jakieś wyjście? Żona w tej sytuacji nie mogła nic na to poradzić: musiała się uśmiechać. Kiedy chciała krzyknąć, zaciskała zęby, ignorowała pełne litości spojrzenia przyjaciół Bobby'ego, którzy myśleli, że jest za głupia, żeby dostrzec, co dzieje się za jej plecami. Musiała pakować bagaże męża, kiedy ten wyjeżdżał z miasta, żeby pracować nad nowym musicalem - choć wiedziała, że prawdopodobnie weźmie jakąś Dziewczynę. Pakowanie walizek mogłoby się komuś z zewnątrz wydać upokarzające, ale tak naprawdę zapewniało względne poczucie bezpieczeństwa. Dzięki temu mogła przekonywać samą siebie, że dopóki Bobby potrzebuje jej do takich czynności - ich małżeństwo pozostaje niezagrożone. Więc ostrożnie układała jego koszule tak, żeby się nie pogniotły, upewniała się, że spakowała jego ulubione przybory toaletowe, i czekała, aż aktualna Dziewczyna wreszcie zniknie. Po kilku miesiącach wszystko zaczynało się od nowa. A w sercu żony zawsze tkwił strach, że nowa Dziewczyna może okazać się tą, która nie zniknie. Bała się, że małżeństwo, o które tak mocno walczyła, w końcu się rozpadnie. Że zostanie sama. A wtedy okaże się, że jej matka miała rację.

Każdej nocy, leżąc w łóżku, Rose musiała przypominać sobie, że przecież wygrała. Wszyscy twierdzili, że Bobby Manning nigdy się nie ustakuje. Ale zrobił to - ze mną. Zdobyłam Bobby'ego Manninga. Ale wtedy nadchodziło niechciane, nieproszone pytanie. Do diabła, ale co ja takiego zdobyłam? Nieważne, że nie może pozostać wierny przez piętnaście minut. Nieważne, że jest tak niepewny siebie, że musi kupować każdemu tancerzowi rewiewemu prezent bożonarodzeniowy za tysiąc dolarów, a napiwki zostawia tak duże, że robi z siebie pośmiewisko. Ale co z jego talentem? Wszyscy twierdzą, że jest geniuszem, ale czy to prawda? Nie napisał przecież niczego ważnego i znaczącego, niczego, co przetrwa próbę czasu, jak *Panis Angelicus*. On pisze broadwayowskie musicale, na Boga!

Zastanawiała się nad porzuceniem go, ale co by jej wtedy zostało? Kim by się stała? Świat Lu był dalej światem Rose. W ich świecie Bobby stawał się bogiem - i choć Lu była gwiazdą, bóg to przecież coś więcej. Rose nie mogła porzucić tego wszystkiego. Poza tym nadal kochała Bobby'ego. Nadal wierzyła, że i on pewnego dnia zrozumie, że Rose jest najlepszą rzeczą, jaka mu się kiedykolwiek przydarzyła. Wtedy porzuci Dziewczyny i będzie należał tylko do niej. I wtedy ona naprawdę wygra. Więc nadal się uśmiechała i udawała.

Problem polegał na tym, że miało to swoją cenę. Rose nie powinna się zatem dziwić, że kiedy zbliżali się z Bobbym do szóstej rocznicy ślubu, odkryła, że cierpi na bezsenność. Pewnej nocy, krążąc po mieszkaniu, znalazła się nagle na środku swojej garderoby - właściwie był to osobny pokój, w którym przechowywała ubrania. Spojrzała na rząd sukni wieczorowych, sukienek domowych, koktajlowych, dziennych, popołudniowych, garniturów sportowych, spodni, spódnic, na półki pełne swetrów i bluzek. Znajdowała się tam ściana szafek, w których stały jej buty - czy naprawdę miała aż czterysta siedemnaście par, jak twierdziła służąca? Kolejną ścianę zajmowały futra; sobole do połowy łydki, które okazały się niesamowitym hitem, kiedy włożyła je na premierę trzeciego musicalu Bobby'ego, a także sięgająca do ziemi pelerynka z piórami marabuta, która trafiła do wszystkich działów poświęconych modzie, kiedy ubrała się w nią na finałowy spektakl. A w kącie stał sejf, gdzie przechowywała swoją biżuterię, te niezliczone lśniąca dowody hołdu dla własnego sukcesu, który składał jej Bobby. Znajdowało się tutaj wszystko, co osiągnęła w całym życiu.

Kiedy Rose tam stała, starając się nie lkać, przypomniała sobie nagle St. Mary's i kiermasz rzeczy używanych. Przypomniała sobie siostrę Fil, która powiedziała jej, że czasem nie można myśleć o sobie, bo nie zniosłoby się własnego życia.

W sąsiedztwie znajdowała się jadalnia dla ubogich związana z lokalnym kościołem. W ciągu ostatnich kilku lat Rose bywała na mszach tylko sporadycznie, ale wystarczająco często, żeby być po imieniu z ojcem Xavierem, proboszczem parafii. Wydawał się on nieco wstrząśnięty, kiedy następnego dnia oznajmiła, że chce wstawać o świcie, żeby karmić bezdomnych - którzy, jak ją ostrzegł, nie zawsze się myli. Pozostała jednak niewzruszona. Rose zaczęła chodzić rano do kościoła, żeby przygotowywać kanapki i kawę dla stałych bywalców jadalni, jedzących na schodach kościoła. Najlepsze było to, że nikt z tej głodnej trzódki ojca Xaviera nie wiedział, kim jest Rose. A co ważniejsze, nikt nie znał Bobby'ego Manninga. Nie wiedzieli, że Rose ma męża, który ją zdradza, a później daje drogie prezenty, jakby to miało jej wszystko wynagrodzić. Nie wiedzieli, że w tym kłębówisku zmij nazywanym show-biznesem wszyscy jej współczuli. Mężczyźni i kobiety, którzy przychodzili jeść na kościelnych schodach, czuli po prostu wdzięczność za to, że kawa jest ciepła, a kanapki świeże. W miarę, jak mijały kolejne tygodnie i miesiące, Rose spędzała coraz więcej czasu w kościelnych

podziemiach, pomagając ojcu Xavierowi i słuchając, jak duchowny opowiada o przytułku dla bezdomnych, który zamierzał otworzyć, gdy tylko zdoła zgromadzić niezbędne środki.

Teraz Rose krzywiła się, kiedy Bobby płacił za wszystkich w barze Sardi's - wiedziała już, że te pieniądze mogłyby w odpowiednich rękach przynieść wiele pożytku. Biżuteria wydawała jej się zbyt jarmarczna i krzykliwa, kiedy ją wkładała. Po latach poczuła to, o czym myślała, że jest już na zawsze stracone. Zrozumiała, że na nowo odkrywa radość, jakiej doznała tak dawno temu podczas kiermaszu zorganizowanego przez szkołę St. Mary's.

Wtedy dowiedziała się nagle, że jest w ciąży. To był przypadek i z początku Rose była zrozpaczona. Przez lata marzyła o dziecku, ale Bobby zawsze powtarzał, że maluch utrudni im życie, a ona nigdy nie miała odwagi robić niczego, na co on się nie zgadzał - nie przy tych wszystkich Dziewczynach, które na niego czyhały. Ale nagle ten „przypadek” okazał się najlepszą rzeczą, jaka ją kiedykolwiek spotkała.

Bobby był w Toronto na przedstawieniach przedpremierowych swojej szóstej sztuki, kiedy Rose zaczęła rodzić. Zanim zdążył skończyć poprawki w drugim akcie i złapać samolot do Nowego Jorku, dziecko miało już półtora dnia. Kiedy wszedł do szpitalnej sali, w której leżała Rose, był niewyspany i nieogolony, i nadal martwił się o finał drugiego aktu.

Błagam, niech mnie nie znienawidzi za to, co mu zrobiłam - pomyślała Rose, kiedy razem poszli spojrzeć na ich małą córeczkę. - Niech zobaczy, jak piękne jest to dziecko, z tym idealnym noskiem, dużymi oczami i gładką, cudowną skórą.

Stanęli z Bobbym przed szybą, za którą leżała ich córeczka. Choć Rose już ją widziała, trzymała w rękach i karmiła piersią, przyszyły jej do głowy te same słowa, co wtedy, gdy ujrzała ją po raz pierwszy: Jest moja! Na chwilę Rose zapomniała o mężczyźnie u jej boku i przyglądała się, jak Carrie śpi. Nigdy więcej nie będę sama - pomyślała.

W tej samej chwili usłyszała, jak Bobby głęboko wciąga powietrze.

- Mój Boże, ona jest pustą kartką - szepnął. - Może zostać, kimkolwiek zechce.

Rose nie myślała o tym wcześniej.

- Musimy wychować ją starannie - oznajmiła. - Trzeba zrobić to właściwie.

Bobby roześmiał się.

- Nie ma żadnego „właściwie”. To moja córka! Córka Bobby'ego Manninga! Będzie księżniczką!

Pocałował Rose. Był to jeden z tych pocałunków, którymi ją obdarzał, kiedy jeszcze czuł wdzięczność za to, że podała mu karierę na srebrnej tacy i że się nim opiekowała.

- Dziękuję - powiedział miękko. - Dziękuję, że ją urodziłaś niezależnie od tego, co mówiłem.

A kiedy próbowała protestować i tłumaczyć, że to była wpadka, dodał:

- Nie obchodzi mnie, jak to się stało. - Odwrócił się do dziecka. - Teraz wszystko się ułoży, Rose. Obiecuję.

Te słowa były najpełniejszym wyznaniem zdrad, jakie kiedykolwiek usłyszała z jego ust. Rose spojrzała na małą Carrie i zrozumiała, że zyskała wreszcie sojusznika w wojnie z Dziewczynami. Ale wiedziała też, że ma zobowiązania wobec tego dziecka.

Nie mogę pozwolić, żeby dorastała przekonana, że żyjemy we właściwy sposób - myślała Rose. - Musimy dać jej dobry przykład, pokazać jej odpowiednie wartości. Wszystko, co robimy, jest płytkie, egoistyczne i trywialne. Musimy się zmienić.

Ale nie chciała obarczać tym Bobby'ego. Nie od razu. Bo on już zaczął się zmieniać. Przynajmniej tak jej się wtedy wydawało.

Rose i Bobby przywieźli dziecko ze szpitala do domu i ustawili kołyskę córeczki przy oknie w ich sypialni. Różowy, ekstrawagancki pokój Carrie nie był jeszcze skończony, poza tym świeżo upieczeni rodzice chcieli mieć ją blisko siebie. Pewnej nocy, kiedy Carrie była już w domu od jakichś sześciu tygodni, Rose obudziła się i usłyszała hałas dochodzący z kołyski. Dziewczynka gaworzyła i radośnie gulgotała, a ten dźwięk był tak melodyjny, że mogło się wydawać, że nuci. Ostrożnie, starając się nie obudzić Bobby'ego, Rose wstała z łóżka i podeszła na palcach do okna. Carrie leżała na plecach, wyginając się tak, że stópki trzymała w rękach. Wpatrywała się w księżyc, który - co się rzadko zdarzało - świecił jasno na niebie nad Manhattanem, i gaworzyła. Albo nuciła.

- Śpiewa do księżycy - szepnął Bobby do ucha Rose. Stał tuż obok niej. Spojrzał na swoją małą córeczkę lśnącymi oczami. - Moje dziecko śpiewa do księżycy - powtórzył.

Stali tak i obserwowali swoje wspaniałe maleństwo, aż w pewnej chwili Carrie odwróciła się i spojrzała na nich. Puściła nóżki i obdarzyła ich drobnym skinieniem palców, po czym zasnęła, a oni wrócili do łóżka. Ale kiedy Rose obudziła się kilka godzin później, żeby nakarmić córkę, Bobby'ego już przy niej nie było. Poszła do salonu i znalazła go przy fortepianie. Pracował.

- Niedługo wrócę do ciebie - obiecał. Ale tej nocy nie położył się już spać. Rano wciąż siedział tam, gdzie go zostawiła.

- Posłuchaj tego - powiedział, kiedy Rose weszła do salonu. Zaczął grać piosenkę, nad którą pracował przez całą noc. Melodia była słodka i prosta, tak lekka, że nuty zdawały się ulatywać w powietrze po dotknięciu klawiszy fortepianu.

- To najładniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek napisałeś - zachwyciła się Rose.

- Nazywa się *Carrie's Moon Song*.

Choć wiedziała, że tego nie zrobi, Rose miała nadzieję, że Bobby zachowa piosenkę jako prezent dla dziecka, że pozostanie ona czymś prywatnym, zarezerwowanym tylko dla rodziny. Ale oczywiście okazało się, że utwór wejdzie do jego nowego musicalu.

- To pierwsza piosenka, jaką do niego napisałem - oznajmił.

Minęło trochę czasu, zanim Rose uwierzyła w nowego Bobby'ego. Spędzał teraz weekendy z żoną i dzieckiem i pracował w domu, zamiast chodzić do swojego biura przy Shubert Alley. To była wielka zmiana jak na człowieka, którego codzienne zajęcia były dotąd czymś nienaruszalnym. Przedtem po premierze najnowszego spektaklu, kiedy nie był już potrzebny w teatrze, Bobby wracał zwykle do biura. Pojawiał się tam co rano o dziewiątej i siedział do szóstej po południu. Nawet jeśli nie miał żadnego pomysłu - powiedział kiedyś - nie mogę siedzieć w domu i czekać, aż przyjdzie natchnienie. Jestem jak hydraulik. Muszę codziennie chodzić do pracy.



Ale teraz Bobby twierdził, że nie musi bywać w biurze. Bo, jak podkreślał, natchnienie już do niego przyszło i stało się to właśnie w domu. Jego nowy musical, ten zainspirowany utworem *Carrie's Moon Song*, miał nosić tytuł *Family*.

- To będzie hit, zobaczysz - zapewniał. Chodził podekscytowany w tę i z powrotem, trzymając dziecko na rękach.

- Bobby, może zrobiłbyś sobie trochę wolnego, zanim zaczniesz pracę nad nowym musicaliem? Spędziłbyś trochę czasu z Carrie. Pomyśl trochę o przyszłości - zasugerowała ostrożnie Rose.

Spojrzał na nią, jakby proponowała, żeby splunął Bogu w twarz.

- Moja przyszłość się nie zmieniła. Jestem częścią show-biznesu.

- Ale nie wytrzymasz długo takiego tempa. Może spróbujesz napisać powieść albo...

- Pracuję na Broadwayu. Koniec dyskusji. - I Rose wiedziała, że dalsze naciskanie nie ma sensu.

- No dobrze, w takim razie opowiedz mi o *Family* - poprosiła szybko.

- To będzie na pewno cholernie... przepraszam, Księżniczko - dodał, zwracając się do Carrie - strasznie trudne do sfinansowania. Możliwe, że tym razem sam będę musiał sam to zrobić.

Oczywiście nie stanowiło to żadnego ryzyka. W ciągu dwunastu lat Bobby zaliczył na Broadwayu sześć hitów i żadnego pudła. Inwestorzy ustawiali się w kolejkach, żeby włożyć pieniądze w musical Bobby'ego Manninga.

Mimo to nowa sztuka niosła z sobą ryzyko. Bobby nie chciał w niej zespołu rewiowego, wielkiej broadwayowskiej orkiestry, krzykliwych kostiumów ani historii miłosnej - przynajmniej nie w tradycyjnym rozumieniu. Na pustej scenie miały znaleźć się tylko trzy aktorki wspierane przez zespół pięciu muzyków. Miały grać matkę, córkę i babcię.

- Carrie pomoże mi w pisaniu - oznajmił podekscytowany Bobby. Kiedy pracował, ustawiał kojec córeczki obok fortepianu, przerywał też w środku dnia i zabierał ją do parku razem z jej nianią, Sandy.

Początkowo Rose nie chciała zatrudniać niani, ale Bobby twierdził, że tego potrzebują. A więc spędziła całe tygodnie na rozmowach z kandydatkami i już zamierzała się poddać, kiedy wkroczył Bobby.

- Szukasz Mary Poppins, Rose, a ona nie istnieje. Znajdę kogoś.

I szybko zdecydował się na Sandy.

- Nie jest szczególnie piękna - powiedział - ale Księżniczka ją uwielbia i dziewczyna zapewnia rozrywkę nam obojgu.

Kiedy Sandy zaczęła u nich pracować, trochę onieśmiał ją dom słynnego Bobby'ego Manninga, ale szybko poczuła się swobodnie i okazała się wspaniałą nianią - mądrą, ciepłą i opiekuńczą. Rose czuła się bezpiecznie, zostawiając ukochaną córkę w rękach dbającej o wszystko Sandy. Mimo to Carrie nie spędzała z nianią wiele czasu. Bobby trzymał córeczkę blisko siebie. Raz na tydzień razem z Sandy, dzieckiem i Lu jadał lunch w Lindy's albo w kawiarni w hotelu Edison.

- Mamy taki swój klub - opowiadał Rose. - Księżniczka jest naszą Szychą, Lu i ja to Pomniejsi Pachołkowie, a Sandy - Pachołek Główny. Nazywamy się Bandą Czworoga. Jeśli zechcesz przyjść, zamienimy się w Bandę Pięcioroga. Mamy miejsce.

Ale w czasie spotkań Bandy Czworoga Rose zawsze miała dużo pracy z ojcem Xavierem. Tak naprawdę nie była pewna, czy chce patrzeć na to, jak jej matka i Bobby - dwoje gigantów Broadwayu - próbują oczarować małą Carrie. Rose uważała, że w życiu jej córeczki i tak jest już za dużo show-biznesu.

Mimo to z Bobbym układało jej się o wiele lepiej niż przedtem - był to niemal cud. Bobby postanowił, że chce wieczorami spędzać więcej czasu w domu, więc ograniczyli szalone życie towarzyskie, które Rose i tak przestała już lubić. Teraz miały go z Carrie tylko dla siebie przez kilka wieczorów w tygodniu. Kiedy dziewczynka skończyła rok, Rose uświadomiła sobie, że dokładnie od roku nie towarzyszy im żadna Dziewczyna. Więc choć Bobby dał jej diamentowy naszyjnik z okazji pierwszych urodzin Carrie, Rose nie powiedziała wtedy, co myśli o takich prezentach - bała się, że coś popsuje. Czuła się winna, że wyrzucają pieniądze w błoto, ale nie mogła sobie teraz pozwolić na szczerość.

Zwykle Bobby pisał musical przez półtora roku. Podczas pierwszych sześciu miesięcy zwykle „kucharył”. Tak nazywał liczne wersje próbne, które pomagały mu znaleźć właściwą drogę, której potem się trzymał. Wymyślał sceny, a następnie przedstawiał je w zarysie i w końcu usuwał. Zaczynał piosenki, które później porzucał. „Oczyszczam poszycie” - mawiał. Rose czuła, że sama krzyczałaby z bezsilności, gdyby musiała tyle razy zaczynać od początku, ale Bobby radośnie odrzucał strony, za którymi stały długie tygodnie pracy, i mówił:

„Nie wiesz, co się sprawdzi, dopóki nie upewnisz się, co się nie sprawdza”.

Po sześciu miesiącach miał zwykle szczegółowy zarys scenariusza i wiedział, jak będzie wyglądał każdy z numerów. Wtedy potrzebował kolejnego roku, żeby napisać właściwy musical. Kiedy już stworzył szkic, nigdy go nie porzucał. „Dlatego czekam do chwili, kiedy jestem pewien, że go mam. Dopiero wtedy zaczynam. Dzięki temu później nie tracę już czasu”.

Ale teraz, przy nowym, spokojniejszym harmonogramie pracy, napisanie pierwszego szkicu musicalu *Family* zajęło Bobby'emu prawie dwa razy więcej czasu. I wciąż pracował nad ostatnią sceną. Wiedział tylko, że na samym końcu ktoś - nie wiedział jeszcze kto - zaśpiewa *Carrie's Moon Song*.

Zapewnił Rose, że zakończenie samo do niego przyjdzie. Było to bardzo enigmatyczne oświadczenie jak na człowieka, który ustalał wszystko z góry, a następnie ściśle się tego trzymał. Ale Bobby był spokojny. Spojrzał na Carrie, która miała już prawie trzy lata.

- To jej spektakl i stworzymy go wspólnie - powiedział.

To był też spektakl Lu. Bobby poprosił ją, żeby zagrała babcię, i Lu ochoczo skorzystała z tej szansy, choć miała po raz pierwszy w swojej karierze dzielić miejsce na afiszach z dwiema innymi kobietami. Tak naprawdę matka Rose potrzebowała współpracy z Bobbym Manningiem jeszcze bardziej niż inwestorzy. Jej kariera powoli gasła. Lu grała w ostatnim czasie w trzech sztukach, które nie odniosły sukcesu, i szukała okazji, żeby wrócić w wielkim stylu.

# ROZDZIAŁ 30

Nowy Jork

2008

- Na początku lat siedemdziesiątych miałam nie najlepszy okres - powiedziała Lu.

Nadal siedziały z Carrie przy stole w altanie. Pieczone *ziti* stało przed nimi, ale nie zjadły dużo. Carrie strasznie chciała zapytać babcię, co się stało z piosenką, która dzięki niej powstała, ale wołała nie przerywać opowieści.

- Kiedy zorientowałam się, że jestem na najlepszej drodze do tego, żeby zmienić się w postać z quizu „Co się z nimi stało?”, byłam wstrząśnięta - mówiła dalej Lu. - Zrobiłam z Bobbym *The Lady* w 1962 roku i ta sztuka otworzyła przede mną nowy repertuar, uczyniła ze mnie poważną aktorkę. Wcześniej grywałam tylko uroczą „pierwszą naiwną”. Wtedy Bobby napisał dla mnie kolejne show, zatytułowane *Soldiers*. Była to sztuka antywojenna - w tamtych czasach wszyscy czuli gniew w związku z Wietnamem - zupełnie inna niż *The Lady*. Drugą nagrodę Tony dostałam właśnie za nią. A potem uwierzyłam, że jestem niezastąpiona. - Lu zaśmiała się gorzko. - To było naprawdę głupie.

- Wydaje mi się, że większość ludzi z dwiema nagrodami Tony też by w to uwierzyła.

- Kochanie, pierwsza zasada show-biznesu: Nie ma ludzi niezastąpionych. Nie można jej lekceważyć. W każdym razie po *Soldiers* Bobby wpadł na pomysł nowego show, ale nie miał roli dla mnie.

- To musiało być trudne.

- Zawsze wiedziałam, że będzie musiał pójść dalej. Nie mógł przez całą karierę pisać dla jednej aktorki. Ale nikt inny nie miał pomysłu, co ze mną zrobić. Musicale, w których występowałam przed *Soldiers* i *The Lady*, nie wchodziły w grę. Role miłych dziewczątek miałam już za sobą. Może by to przeszło - w odpowiednim oświetleniu - ale ten rodzaj postaci to już nie byłam ja. Poza tym takie musicale uznawano w połowie lat sześćdziesiątych za przestarzałe. Nadeszło *Hair* i nagle wszędzie był rock i dzieciaki rozbierające się na scenie. - Lu roześmiała się, tym razem szczerze i głośno. - Mama uważała, że jestem wulgarna, kiedy w latach pięćdziesiątych rozebrałam się do jedwabnej koszulki. Gdyby tylko zobaczyła, co robiły dziewczyny w 1968 roku... Nie zrozum mnie źle, podobał mi się *Hair*. Widziałam go dwa razy. Ale odkąd się pojawił, wystawiano już tylko dwa typy musicali: rockowe, w których przynajmniej połowa zespołu występowała nago, albo te, które nazywaliśmy „musicalami dla dam”, jak *Hello, Dolly!* i *Mame*. Byłam za stara, żeby paradować po scenie bez ubrania, nigdy też nie czułam się dobrze jako diwa. Potrzebowałam kogoś tak genialnego jak Bobby, żeby stworzyć rolę odpowiadającą zarówno mnie, jak i tamtym czasom. Niestety, nie miałam pod ręką wielu takich ludzi jak Bobby Manning. Zaliczyłam trzy klapy po kolei. Byłam przerażona. Myślałam, że nadszedł koniec mojej kariery. Nie potrzebowałam pieniędzy, ale wiedziałam, jaką katastrofą byłby dla mnie koniec pracy.

Spojrzała na Carrie.

- W końcu uświadomiłam sobie - powiedziała ze smutkiem - że nie pracowałam od trzydziestu trzech lat.

- George mówił, że to była twoja decyzja.
- George nigdy nie rozumiał, że zostałam wychowana w katolickim domu.
- A jaki to ma związek z tym wszystkim?
- Katolicy pokutują za swoje grzechy.
- Wiem. Ale co tak strasznego zrobiłaś, że aż musiałaś porzucić karierę?
- Moja córka była bardzo nieszczęśliwą kobietą. Musiałam wziąć za to odpowiedzialność. Jak to mówiła kiedyś młodzież, schrzaniłam sprawę.
- Wydawało mi się, że mówiłaś, że po moim urodzeniu wszystko się ułożyło. - Carrie czuła się lekko zagubiona.
- Na pewien czas. Ale potem między Bobbym i Rose znowu zaczęło się psuć. Kiedy miałaś mniej więcej trzy lata.
- Tuż przed jego śmiercią.
- Tak. To wtedy wszystko się załamało.

## ROZDZIAŁ 31

Nowy Jork

1974

Rose usiadła w różowym fotelu bujanym. Sandy należały się podziękowania. Niania zawiadomiła ją właśnie o swojej chorobie. Dzięki temu Rose mogła sama zająć się Carrie. Była szczęśliwa, że trafiła jej się ta dodatkowa okazja, ponieważ dni, podczas których mogła w południe patrzeć na swoje śpiące dziecko - miały bezpowrotnie przeminąć. Niedługo Carrie stanie się za duża na takie drzemki. Ale na razie Rose mogła jeszcze siedzieć w idiotycznym różowym fotelu bujanym Bobby'ego i wspominać czasy, kiedy czuła się szczęśliwa. Dopóki nie nadszedł nowy koszmar. Wtedy wszystko znowu się zmieniło. Potrafiła nawet wskazać moment, kiedy to wszystko się zaczęło.

Bobby kończył szkic musicalu *Family*. Producent miał gotowy plan rozmów ze sponsorami, którzy czekali na zaszczyt zainwestowania w kolejny pewny hit Bobby'ego Manninga. Lu podpisała oświadczenie, z którego wynikało, że chce wystąpić w tej produkcji. George wziął na siebie orkiestrację i przyjął stanowisko dyrygenta. Zespół był już gotowy i wszystko w świecie Bobby'ego Manninga znajdowało się jak zwykle na swoim miejscu.

Wtedy przyszedł drugi atak serca.

Rose nie było w tym czasie w domu. To Sandy zorientowała się, co się dzieje, znalazła jego lekarstwo - zawsze zapominał, że musi nosić je ze sobą - i podała mu tabletki, które, jak orzekł później lekarz, prawdopodobnie uratowały mu życie. Sandy zadzwoniła również po karetkę, pojechała z nim do szpitala, zadbała też o to, żeby zarejestrowano go pod fałszywym nazwiskiem - Bobby paranoicznie bał się, że rozejdą się pogłoski o jego chorobie.

- To nie jest coś, co chciałbym upublicznić - powiedział, leżąc w szpitalnym łóżku. - Nikt nie musi wiedzieć, że nie jestem zdrow jak ryba. Bo znowu będę. Jak nowy.

Ale lekarze mieli dla niego niewesołą diagnozę. Twierdzili teraz, że dusznica prześladowająca go przez tak wiele lat, należała do tych niestabilnych i stanowiła zdecydowanie poważniejszy problem. Bóle w klatce piersiowej, które Bobby zawsze lekceważył, okazały się niebezpieczne - groził mu kolejny atak serca. Bobby był poważnie chory. Rose wiedziała, że nie może dłużej milczeć.

- Myślę, że to był znak, że musisz zwolnić - osądziła. Wrócił do domu ze szpitala i usłyszała, jak rozmawiał z George'em przez telefon, omawiając kwestię spotkań ze sponsorami. - Już od dawna zdecydowanie przesadzałeś z pracą.

Kiedy na niego spojrzała, zorientowała się, że nie mogła wybrać gorszej chwili na te słowa. Bobby'ego przerażała choroba i chciał usłyszeć, że wszystko wróci do normy.

- Tego właśnie pragniesz, prawda? - zachnął się. - Ale ty nie chciałabyś, żebym po prostu zwolnił. Wołałabyś, żebym wszystko rzucił. Co mam robić przez całe dni, Rose? Rozdawać kanapki w twoim kościele? Próbować przekonywać się, że robię coś dobrego, chociaż tak naprawdę byłbym tam tylko dlatego, że inaczej umarłbym z nudów?

- To przynajmniej lepsze niż dodawanie kolejnych musicali do setek przeciętnych sztuk teatralnych produkowanych każdego roku! - Te słowa po prostu wydostały się z ust Rose. Gdyby nie zaatakował jej pracy w kościelnej jadalni, nigdy by ich nie wypowiedziała, nawet jeśli rzeczywiście tak myślała. Ale teraz, kiedy już to zrobiła, w pewnym sensie poczuła ulgę. Bobby wydawał się ogłuszony.

- Bobby - dodała nieco spokojniej - udowodniłeś, że umiesz pisać...

- Przeciętne sztuki teatralne? - przerwał jej. Głos miał zimny jak lód. Ale teraz, kiedy już zaczęła, wiedziała, że musi być szczerą.

- Nie uważam, żeby były przeciętne. Przesadziłam. Ale nie są to też epokowe produkcje. A na pewno nie warto ryzykować dla nich własnego życia. Posłuchaj - mówiła dalej z zapalem - pieniądze nie są nam potrzebne. Możemy żyć z twoich tantiem, jeśli po prostu trochę się ograniczymy. Nie potrzebujemy tego ogromnego mieszkania ani służby...

Patrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy. Miała nadzieję, że w ogóle jej słucha.

- Od dawna o tym myślałam, Bobby. Nie potrzebujemy tych wszystkich rzeczy, całej tej efekciarskiej biżuterii, ubrań, samochodów... to tylko przedmioty. Nie musimy cały czas starać się, żeby nasze nazwiska znalazły się w gazetach. Wiem, że ja to zaczęłam, ale nie zdawałam sobie sprawy, jaka to pułapka... - Tak bardzo chciała mu wszystko powiedzieć, że potykała się o własne słowa. - Możemy to wszystko porzucić. Zrobić coś ważnego, coś naprawdę pożytecznego!

Nastąpiło długie milczenie. Kiedy Bobby wreszcie się odezwał, zwrócił się do niej swoim nowym, lodowatym głosem. Jej słowa w ogóle do niego nie dotarły.

- Lubię to ogromne mieszkanie. Chciałbym, żeby było jeszcze większe. Lubię mieć służącą i kucharza i uwielbiam wchodzić do Tiffany'ego, żeby wydać to, co innym starczyłoby na trzy lata, żeby kupić ci naszyjnik. Chcę, żeby ten naszyjnik był efekciarski. Chcę, żeby twoje zdjęcia w tym naszyjniku znalazły się w każdej ga-

zecie w mieście! Chcę, żeby moje życie było przesadzone! Bo to wszystko oznacza: „Bobby Manning jest z wami, panie i panowie. Zróbcie mu miejsce”. A teraz zamierzasz mi to wszystko odebrać.

- Chcę, żebyś miał lepsze życie...

- Chcesz mi odebrać to, kim jestem. I wszystko, co robię.

- Jesteś czymś więcej niż tylko swoją pracą. Jesteś też ojcem i mężem.

- Świat jest pełen ojców i mężów! Zdajesz sobie sprawę, ile mam szczęścia? Rozumiesz, co mogę robić każdego dnia swojego życia? Ilu ludzi ma szansę być Bobbym Manningiem, Rose? Nawet jeśli to, co piszę, jest przeciętne...

- Już cię za to przeprosiłam.

- Zaliczyłem po kolei sześć hitów!

- To, co powiedziałam, było bezsensowne. Nie to miałam na myśli. Jestem twoją największą fanką, wiesz o tym. - Ale nie była. Już nie. I teraz wiedzieli o tym oboje. A on nigdy jej tego nie wybaczy.

Lekarze orzekli, że Bobby może wrócić do normalnych zajęć - w granicach rozsądku - więc znowu zaczął pracować w swoim biurze wychodzącym na Shubert Alley. Teraz twierdził, że mieszkanie wydaje mu się więzieniem. Wyglądało na to, że zapomniał, jak bardzo cieszyło go przebywanie w domu. Skończyły się też spokojne wieczory, bo razem z Rose powrócili do dawnego, szaleńczego życia towarzyskiego. Rose wiedziała, że Bobby próbuje sobie udowodnić, że nic mu nie jest. Chciał wymazać ostatnich kilka miesięcy i zachowywać się tak, jakby ataku serca nigdy nie było. Skończył szkic musicalu *Family* - miał wszystko z wyjątkiem ostatniej sceny. Wciąż nie zdecydował, która z postaci zaśpiewa *Carrie's Moon Song*. Do lekarstw podchodził jeszcze bardziej lekceważąco niż dawniej i miał żal do Rose, kiedy przypominała mu, żeby zabrał je ze sobą, kiedy dokądś wychodzili. W końcu zaczęła je nosić sama.

Bobby chodził dalej na spotkania Bandy Czworka. Ale teraz nigdy już nie prosił Rose, żeby mu towarzyszyła. Nadal się na nią gniewał, ale ona nie mogła się poddać i przestać prosić go, żeby zachował umiar. Tym bardziej że ataki dusznicy stawały się coraz częstsze. A teraz już wiedzieli, że jeden z nich może poprzedzać atak serca.

- Dzięki Bogu, że żona miała pańskie leki w torebce - powiedział lekarz po szczególnie przerażającym i bolesnym napadzie.

- Bobby, musisz zwolnić - łkała Rose, kiedy zostawił ich samych. - Musisz to zaakceptować. Zachowujesz się jak dziecko.

- Ale taki właśnie jestem. Nie wiedziałaś o tym?

- Więc dorośnij.

- Zostaw mnie w spokoju, Rose. Jestem, jaki jestem.

I wtedy nadszedł dzień, kiedy Rose zyskała pewność, że w ich życiu pojawiła się jakaś nowa Dziewczyna. Minęły już trzy lata, ale zawsze wiedziała, kiedy Bobby miał nową kochankę. Nie umiałyby powiedzieć skąd, ale po prostu wiedziała.

Rose spojrzała na swoje śpiące dziecko. Wystarczyło, żeby wstała z fotela, podeszła do łóżka, wyciągnęła rękę i dotknęła okrągłego policzka. Carrie by się obudziła, a Rose nie byłaby już sama. Pustka w jej wnętrzu.

trzu nie wydawałaby się tak bolesna, gdyby Carrie z nią była. Rose już się podnosiła, ale po chwili się cofnęła. Niech jej córeczka śpi. Nie mogła nic zrobić, żeby ulżyć Rose i zmniejszyć jej cierpienie. Po prostu nie mogła.

On mnie karze - mówiła sobie Rose. - Ta nowa Dziewczyna to kara dla mnie za powtarzanie, żeby zwolnił... i za to, że powiedziałam, że jego utwory są przeciętne. Ale wiedziała, że to nie jest cała prawda. Bobby był po prostu Bobbym, a ona okazała się głupia, myśląc, że mógłby się zmienić.

Nie wiem, czy będę potrafiła to zrobić - pomyślała. - Nie wiem, czy mogę znowu się uśmiechać i udawać, że wszystko jest w porządku. Wyszłam z wprawy. - Ale oczywiście musiała do tego wrócić. Dla siebie i dla Carrie. - Jest jego córką. Ja jestem jego żoną. Nie możemy go stracić.

Słuchała ciszy panującej w mieszkaniu. Odkąd Bobby przestał pracować w domu, było tu tak cicho. Ale nie zamierzała dłużej o tym myśleć ani skupiać się na bólu, który czuła w sercu. Wstała i ruszyła do drzwi. Jadalnia dla ubogich stale potrzebowała pieniędzy, a Rose obiecała ojcu Xavierowi, że zadzwoni do kilku przyjaciół i poprosi o datki. „Czasem nie możesz sobie pozwolić na myślenie o sobie, bo nie zniosłabyś własnego życia. Czasem musisz zrobić coś dla innych”.

Kiedy stanęła w drzwiach, rozejrzała się raz jeszcze po różowym królestwie Carrie. Bobby miał naprawdę fatalny gust. Zamknęła drzwi i poszła do swojego gabinetu, gdzie zamierzała napisać listy do różnych osób, by zebrać trochę pieniędzy na jadalnię. I zaczekać, aż nowa Dziewczyna odejdzie.

## ROZDZIAŁ 32

Nowy Jork

2008

Talerze po *ziti* zostały zabrane i zastąpione przez miski z owocami i orzechami. Lu rozłupała orzech włoski, wyjęła go ze skorupki i włożyła do suszonej figi.

- Tak przygotowywał je dla nas tata, kiedy byliśmy mali - powiedziała, podając figę Carrie.

Przez chwilę obie jadły w milczeniu - owoce były naprawdę dobre - po czym Lu wróciła do swojej opowieści:

- Bobby powiedział mi, że musi gdzieś uciec, żeby pracować nad ostatnią sceną musicalu.

- Chodzi o tę scenę z moją piosenką?

Lu skinęła głową.

- Zapytał, czy może pojechać do mojego domu na wsi. „Tylko na kilka dni, Lu - tłumaczył. - To wszystko”. Powiedziałam, że ma moje błogosławieństwo. Do diabła, chciałam tego musicalu tak bardzo, że oddałabym mu własną nerkę, gdyby jej akurat potrzebował. - Wyjęła z miski kolejny orzech, rozłupała go i włożyła do następnej figi. - Nigdy nie pojmem, co działo się w jego głowie w czasie tamtego weekendu, dlaczego zrobił to, co zrobił. Bobby był nieuważny, ale nie okrutny. Nigdy wcześniej nie skrzywdził Rose z premedytacją. Chociaż w czasie ostatnich kilku miesięcy czułam, że miał do niej o coś żal... - zamilkła i spojrzała na swoje dłonie. Po sekundzie znów podniosła wzrok. - Już zawsze będę się zastanawiała, czy miałam szansę to

wtedy przewidzieć. Gdybym nie skupiała się tak bardzo na swojej roli w nowym musicalu, myślę, że może bym to przewidziała.

## ROZDZIAŁ 33

Nowy Jork

1974

Rose siedziała przy biurku. Usiłowała napisać list z prośbą o darowiznę, który nie brzmiałby jak błaganie.

- Rose - usłyszała za plecami głos Bobby'ego. Ale nie mógł przecież wrócić do domu tak szybko. Miał pojechać na wieś, do domu jej matki, żeby pracować w czasie weekendu, ale wyjazd planował dopiero na piątą. Nawet nie spakowała jeszcze jego walizki. Więc jeśli nie czuł się źle... Gwałtownie się odwróciła.

- Wszystko w porządku? - zapytała. - Masz bóle? Wziąłeś leki?

- Zapomnij na chwilę o tych cholernych tabletkach! - powiedział. - Muszę... - Zamilkł na chwilę, po czym znowu spróbował: - Musimy porozmawiać.

Oczywiście powinna przewidzieć, co nastąpi. Ale po tych wszystkich latach strachu przed tą chwilą, po latach oczekiwania na nią w przerażeniu - kiedy wreszcie nadeszła, nawet się nie zorientowała.

- Wyjeżdżasz wcześniej? - zapytała. - Pójdę po twoją walizkę.

Ruszyła w stronę drzwi.

- Rose! - zawołał. - Muszę ci o czymś powiedzieć... Chcę... Boże, nie da się tego właściwie ująć. Zakochałem się, Rose. Zakochałem się w Sandy.

W uszach Rose jakby huczał wiatr. Przez sekundę nie mogła się zorientować, o kim mówił. Potem zmusiła się do tego, żeby się skupić. Sandy. Niania Carrie. Bobby mówił, że zakochał się w cichej dziewczynce z mysimi, brązowymi włosami, zwykle ściągniętymi w kucyk. Jej oczy były... niebieskie? A może brązowe? Pracowała u nich od dwóch lat, a Rose nie pamiętała koloru jej oczu.

- Zakochałem się w Sandy - powtórzył głupio Bobby.

To było szaleństwo, nie mógł się przecież zakochać w dziewczynie, której kolor oczu trudno było zapamiętać.

- Ona nawet nie jest ładna! - wyrwało się Rose.

Nie powinna tego mówić - chociaż nie było przecież właściwych słów, które można by w takiej chwili wypowiedzieć. Bobby wyglądał, jakby właśnie sprofanowała grób jego ukochanej.

- Sandy jest urocza, dobra, lojalna...

- Jak golden retriever. Spojrzał na nią z politowaniem.

- Jest dzieckiem. Jest o dwadzieścia lat młodsza od ciebie - mówiła dalej Rose.

- Jest dojrzała jak na swój wiek.



- Nie jest dowcipna ani czarująca... Ma akcent z Bronksu, na Boga.

- Moja matka też miała.

- To o to chodzi? Wielki człowiek powraca do swoich prostych korzeni? Zachowaj to do jednego z musicali, Bobby.

- Nie planowałem się w niej zakochać. Nie chciałem. Ale nigdy wcześniej tego nie czułem...

Było coś w jego głosie, jakaś czułość - a może radość? - której Rose nie słyszała od lat. Jeśli kiedykolwiek ją słyszała. Czy kiedykolwiek mówił tak o niej?

- Przy Sandy jestem szczęśliwy.

- Świetnie! Idź do niej i pieprzcie się do czasu, aż się nią znudzisz. To powinno nastąpić za jakiś tydzień. A wtedy wróc do domu i zapomniemy o tej rozmowie. - Zszokowała ją wulgarność, do jakiej się posunęła, ale nie zamierzała się wycofać. Nie tym razem.

- Potrzebuję Sandy. A Carrie ją kocha.

- Jeśli wydaje ci się, że ta mała dziwka kiedykolwiek zbliży się do mojej córki, to chyba oszalałeś! Powiedz jej, żeby nigdy nie wracała do tego mieszkania. - Chciała wyjść z pokoju, ale Bobby stanął jej na drodze.

- Chcę rozwodu - oznajmił.

Nigdy wcześniej nie użył tego słowa. Ona też nie. Nie tego nieprawdopodobnego, nieznośnego słowa. Pokój zawirował jej przed oczami i czuła, że zaraz zwymiotuje. Kurczowo chwyciła się krzesła.

- Rose, musimy o tym porozmawiać.

- Nie, nie musimy. Jesteśmy małżeństwem. Jestem twoją żoną. - Wydawało się, że pokój powoli przestaje wirować, a mdłości stopniowo przechodzą. - Godzę się na zdrady, kłamstwa i na to, żeby twoi przyjaciele naśmiewali się ze mnie za plecami. Siedzę w domu, kiedy ty wyjeżdżasz z miasta i pieprzysz każdą tanią dziewczkę, którą znajdziesz po drodze. Kładę się do łóżka i czekam, aż do mnie przyjdiesz, cuchnąc tą swoją małą zdziurą. Uśmiecham się. I udaję, że nie wiem, co robisz. Tak zawsze było i tak pozostanie.

- Już nie - powiedział delikatnie. Ta delikatność była gorsza niż wszystko inne.

- Bobby, nie rób tego! - Rose usłyszała własne błagania. - Zawsze byłam dobrą żoną. Wspierałam cię i...

- Nie chodzi o ciebie. Chodzi o nią. Dzięki niej czuję, że żyję.

- Ale to ja dałam ci wszystko! - krzyknęła. - Czy ona mogłaby podarować ci taką karierę, ładnie opakowaną, z czerwoną kokardką? Mogłaby zamienić cię w złotego chłopca Broadwayu? To ja uczyniłam cię tym, kim jesteś!

- Wiem. Myślisz, że dlaczego byłem z tobą tak długo? Bo wiem, ile ci zawdzięczam.

I oto wszystko się wyjaśniło. Był z nią z poczucia winy. Nie zdobyła go ostatecznie.

- Nigdy mnie nie kochałeś - stwierdziła cicho, starając się, żeby te słowa wryły się w jej świadomość.

- Och, Rose. - Jego głos też był miękki i smutny. Nie ze względu na niego, tylko na nią. No cóż, w końcu mówił wtedy, wiele lat temu, że nie chce jej skrzywdzić. Nie chciał jej skrzywdzić, ale nie chciał też, żeby ktoś robił mu tyle kłopotu. - Od lat nie byłaś ze mną szczęśliwa - rzekł. - Może nie od samego początku. Ale nigdy do siebie nie pasowaliśmy, musisz to przyznać.

Nie musiała. Pokręciła głową.

- Jesteś nadal młoda - mówił dalej, życzliwie. Tak bardzo życzliwie... - Jesteś śliczna. Możesz sobie kogoś znaleźć.

- Tak jak ty znalazłeś. - I wtedy z jej ust wydobył się ten krzyk, żalony i stary jak świat: - Co ona ma takiego, czego ja nie mam?!

- Nie jest tak piękna jak ty, nie jest nawet równie inteligentna. Po prostu... akceptuje mnie. Nie chce mnie zmieniać.

Ja też nie chcę cię zmieniać! - chciała krzyknąć Rose. Ale nie mogła, bo nie była to prawda.

- Bez niej jestem nieszczęśliwy - ciągnął Bobby. - Nie mogę myśleć. Nie mogę pracować...

- Do diabła z twoją cholerną pracą!

Nie chciała tego powiedzieć. Zrobiłaby wszystko, żeby cofnąć te słowa. Bo zobaczyła, że właśnie wtedy zrozumiał, że traci swój cenny czas.

- Wyprowadzam się - oznajmił gwałtownie. - Wyjeżdżam teraz do domu twojej matki, żeby skończyć sztukę. Kiedy wrócę, przyjdę po swoje rzeczy.

Tym razem to on ruszył do drzwi, a ona usiłowała go zatrzymać.

- Bobby, możemy to jakoś naprawić. Tyle nas łączy, tyle... - gwałtownie zamilkła. Bo on pochylił się i podniósł walizkę. - Kto ją spakował? - zapytała Rose.

- Ja.

Sam się spakował. Po raz pierwszy, odkąd wzięli ślub. To była przecież jej rola. Jej zabezpieczenie. W milczącym przerażeniu patrzyła, jak Bobby podnosi walizkę i idzie do drzwi.

- Przepraszam - powiedział, jakby te słowa miały uchronić ją przed zagładą. - Tak bardzo cię przepraszam...

I zniknął. Gdzieś z jej wnętrza wydostał się płacz. Płacz przeszedł w zawodzenie tak silne, że aż raniło gardło. Straciłam go.

# ROZDZIAŁ 34

Nowy Jork

2008

- Po tym, jak Bobby ją zostawił, Rose przysłała do mojego mieszkania - powiedziała Lu. Patrzyła w znajdującą się przed nią przestrzeń. - Nie było mnie i z tego, co wiem, przebiegła całe miasto, usiłując mnie znaleźć. Poszła do George'a, ale George wyjechał z Davym na weekend do Hamptons. Poszła do studia tańca, gdzie zwykle miałam lekcje, do każdego sklepu, w którym robiłam zakupy, i do wszystkich moich ulubionych restauracji. - Lu westchnęła. - A ja wyszłam na miasto, żeby świętować, bo Bobby kończył wreszcie swój musical i zbliżał się mój wielki powrót. Poszłam do kina, a potem do Rumpelmayera na deser. Kiedy wróciłam do domu, Rose siedziała na podłodze przed moimi drzwiami. Wystarczyło, żeby zapukała i ktoś by ją wpuścił, ale siedziała tam jak zabląkane szczenię.

- Dlaczego chciała się z tobą zobaczyć? - zapytała Carrie. - Bez urazy, ale po wszystkim, co mi opowiedziałaś, chyba nie byłaś osobą, u której szukałaby pocieszenia.

- Nie. - Lu strzepnęła na trawę parę okruchów po orzechach. Cokolwiek zamierzała powiedzieć, niechętnie się do tego zabierała. Wreszcie się zdecydowała. - Rose myślała, że wiedziałam o Bobbym i Sandy. Myślała, że dałam mu klucze do domu, żeby mógł tam z nią sypiać.

Carrie czekała, aż Lu zdecydowanie zaprzeczy. Ale jej babcia milczała. Siedziała wyprostowana, jakby miała kręgosłup ze stali. Najwyraźniej zbierała siły.

- Czy matka miała rację? Wiedziałaś? - zapytała Carrie. Lu wyprostowała się jeszcze bardziej.

- Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie nawet po tych wszystkich latach. Jeśli pytasz, czy Bobby i Sandy mi powiedzieli, to nie. Nie powiedzieli.

- Ale przez rok jadałaś z nimi lunche dwa razy w tygodniu. Należałaś do Bandy Czworka.

- Tak. I patrzyłam, jak Sandy poprawia Bobby'emu nastrój i go rozśmiesza. Patrzyłam, jak odbudowuje jego pewność siebie po tym, jak zachorował.

- Była dla niego dobra.

- Tak.

- Lepsza niż matka?

- Rose kochała Bobby'ego, w pewnym sensie kochała go za bardzo. Ale chciała, żeby stał się lepszym mężczyzną, niż mógł być. Sandy uważała, że jest doskonały taki, jaki jest.

- Więc musiał wybrać między bezmyślnym uwielbieniem a kobietą stawiającą warunki. I wybrał bezmyślność - podsumowała pogardliwie Carrie. Jej matka była może trudną osobą, ale to przecież ona została skrzywdzona. Carrie miała wrażenie, że wszyscy, którzy ich znali, byli zbyt wyrozumiali wobec jej ojca.

- Potrzebował Sandy, w każdym razie wtedy - powiedziała Lu. - Nie wiem, ile by z nim wytrzymała. A kiedy Bobby czegoś potrzebował, dostawał to. Wszyscy o to dbali.

- Włącznie z jego teściową? - To pytanie było dość niegrzeczne. Takich pytań nie zadawało się osobie, którą się ledwo znało. Ale Carrie to nie obchodziło. Musiała poznać prawdę.

- Nie wiedziałam, że chce porzucić Rose - odparła Lu. - I z pewnością nie wiedziałam, że zabierze tę dziewczynę na weekend do mojego domu.

- Pozwoliłabyś mu tam pojechać, gdybyś wiedziała?

- Nie. I mówiłam to Rose. W każdym razie próbowałam.

Carrie mogła wyobrazić sobie tamtą scenę.

- Ale ci nie uwierzyła.

- Zachowywała się, jakby postradała zmysły. Krzyczała, że kłamię. Powiedziała, że mogłabym zostać jego sutenerem, gdybym tylko sądziła, że to pomoże mu szybciej skończyć musical. Że sama poszłabym poszukać dla niego dziewczyn. Mogłam tylko starać się jej wytłumaczyć, że się myli. - Lu przerwała na chwilę. - Więc kazała mi to udowodnić.

I Carrie wiedziała, że cokolwiek zaraz usłyszy, będzie to właśnie ta wielka zdrada, która o wszystkim przesądziła. Właśnie przez to Lu przeszła na wcześniejszą emeryturę.

- Czego od ciebie oczekiwała? - zapytała Carrie.

Lu zamknęła oczy. Po chwili odezwała się zmęczonym głosem:

- Chciała, żebym zadzwoniła do Bobby'ego i powiedziała mu, że rezygnuję z roli. Zażądała obietnicy, że nigdy więcej nie będę z nim pracowała ze względu na to, co jej zrobił.

Carrie nie musiała pytać, co odpowiedziała Lu. Jej babcia siedziała teraz przygarbiona. Już nie wyglądała na dziesięć lat młodszą niż w rzeczywistości. Carrie wstała i objęła ją. Wydawało jej się, że słyszy szloch, ale nie była pewna.

- Już dobrze - szepnęła. - Wszystko w porządku. Ale po chwili Lu odsunęła się i znowu wyprostowała.

- Odmówiłam - powiedziała.

- Musiałaś. To było twoje życie. Taka już byłaś.

- Twoja matka tak tego nie widziała.

- Nie mogła. Bo taka była.

- Rose powiedziała, że nie chce mnie nigdy więcej widzieć, i wybiegła z mieszkania.

Lu przytuliła się do Carrie i siedziały tak w ciszy, w promieniach powoli gasnącego słońca.

- Myślałam, że jej to minie - ciągnęła dalej Lu po chwili przerwy. - Wiedziałam, że lepiej jej będzie bez Bobby'ego, i miałam nadzieję, że jeżeli z czasem zobaczy, że jest bez niego szczęśliwsza, jej gniew zelżeje... Ale kiedy Rose wróciła do domu, znalazła wiadomość od Sandy. Bobby miał na wsi atak serca. Zapomniał swoich leków i zanim Sandy zdołała go z tego pustkowiec dowieźć do szpitala, był już w bardzo złym stanie. Sandy wyszła, kiedy tylko Rose dotarła do szpitala. Była naprawdę dobrym człowiekiem. Wszyscy przyjaciele Bobby'ego popędzili do Poughkeepsie, kiedy tylko się o wszystkim dowiedzieli. Rose była przy nim cały czas, zostawiła go tylko wtedy, kiedy weszłam do pokoju - nie chciała znaleźć się ze mną w jednym pomieszczeniu. Ale raz, kiedy nie wiedziała, że jestem blisko, usłyszałam, jak mówiła mu, że żałuje i że to wszystko jej wina. Wtedy myślałam, że czuła się winna, bo się pokłócili, i uważała, że to spowodowało atak serca.

Bobby zmarł po dwóch tygodniach. Poszłam na pogrzeb, ale po jego zakończeniu Rose powiedziała, że nie chce mnie nigdy więcej widzieć. Oznajmiła, że jeśli zamierzam mieć z tobą jakikolwiek kontakt, będę musiała zwrócić się do sądu. - Lu zamknęła oczy. - Tak bardzo cierpiała. Nie mogłam zranić jej jeszcze bardziej.

- I przeżywałaś całe to okropne poczucie winy - powiedziała Carrie. Lu spojrzała na nią. - Bo pewnie widziałaś, co się działo między Bobbym i Sandy, ale wypierałaś to, bo nie chciałaś wiedzieć. Już zawsze będziesz się czuła winna.

Lu lekko się uśmiechnęła.

- Skąd wiesz?

- To kwestia genów. Wiem, co to poczucie winy. - Obie się uśmiechnęły. - Więc to dlatego rzuciłaś pracę.

- Nie tylko. Bobby nie skończył swojego musicalu, a Rose nie pozwoliła go tknąć komukolwiek innemu, więc nic nie wyszło z mojego wielkiego powrotu. A po jego śmierci i po wszystkich kłótniach z Rose chciałam uciec. Przez rok podróżowałam po Europie, Kanadzie, Meksyku - tych wszystkich miejscach, których wcześniej nie miałam czasu zobaczyć.

Kiedy wróciłam, Rose prowadziła już działalność filantropijną i ludzie zaczęli ją zauważać. Po raz pierwszy była sobą, a nie moją córką czy żoną Bobby'ego. Myślę, że zawsze tego potrzebowała. - Lu wzruszyła ramionami. - Ja za to nie byłam jej potrzebna.

- Więc odeszłaś dla jej dobra.

- Chciałabym być taka szlachetna. Tak naprawdę nie było dla mnie pracy. Niczego, co chciałabym zagrać. A aktorstwo jest trochę jak sport. Kiedy się przerwie, trudno wrócić.

- Poza tym nie chciałaś przeszkadzać matce.

- Nie, nie chciałam. Oczywiście, gdyby pojawiła się jakaś wspaniała rola...

- Jasne. - Siedziały w milczeniu. - Więc którą część opowieści pominęłaś?

Lu wyprostowała się.

- Co masz na myśli?

- Kiedy Bobby umierał, matka wyznała mu, że to jej wina. Powiedziałaś, że wtedy myślałaś, że czuła się winna, bo się z nim pokłóciła. Ale ostrożnie dobierałaś słowa i nie wyjawiałaś, jaki był prawdziwy powód. Więc co to takiego?

Zapanowało długie milczenie, po czym Lu wstała.

- Możemy wejść do środka? - zapytała. - Robi się zimno. Nadal było ciepło, ale Carrie odparła:

- Oczywiście.

Weszły do domu. Lu zaprowadziła ją do swojej sypialni - ten wybór wydawał się Carrie dziwny, dopóki nie uświadomiła sobie, że sypialnia daje zwykle poczucie bezpieczeństwa. Jej babcia musiała się czuć bezpieczna, żeby przygotować się na to, co miało nadejść.

Pokój został urządony w zadziwiająco spartański sposób, w różnych odcieniach bieli. Jedyne kolorowe akcenty stanowił tu bujany fotel z obiciem w kolorze wyblakłego różu. Lu zamknęła drzwi i usiadła na łóżku, zbierając myśli. Wreszcie była gotowa.

- Kilka tygodni temu, kiedy zabrałaś wreszcie Rose do szpitala, chciałam ją zobaczyć - przyznała się Lu. - Nie byłam pewna, jak byś zareagowała, gdybym poprosiła cię o pozwolenie, nie znałaś mnie. Więc pewnej nocy, już po godzinach odwiedzin, poszłam do szpitala. Myślałam, że mnie nie wpuszczą, ale strażnik przy recepcji rozpoznał mnie - był moim fanem. Dzięki niemu weszłam do środka, a pielęgniarki pozwoliły mi usiąść przy Rose. Spała, więc pomyślałam, że jej nie przeszkadzam. Wtedy zaczęła się budzić, więc ruszyłam w stronę drzwi. Ale Rose poprosiła, żebym została. Podziękowała mi za to, że przyszedłam.

Lu głęboko odetchnęła.

- Wracalam każdej nocy. Zwykle siedziałam w ciemności, kiedy spała. Wydawała się zadowolona, że czuje moją obecność. Pewnej nocy zaczęła mówić. Opowiedziała mi, co się naprawdę zdarzyło tego dnia, kiedy zmarł Bobby - Lu przerwała na chwilę. Znowu wyglądała na starą i zmęczoną. - Rose nie wyszła z mieszkania zaraz po tym, jak Bobby ją zostawił. Najpierw poszła do ich sypialni.

## ROZDZIAŁ 35

Nowy Jork

1974

Bobby odszedł. Wyszedł z walizką, którą sam spakował. Przynajmniej tak powiedział. Rose pobiegła do ich sypialni. W jej głowie pojawiła się szalona myśl, że może walizka jest pusta. Może tak naprawdę się nie spakował, może to tylko kaprys. Albo okrutny żart. Albo... Rzuciła się na jego szafę, sprawdzając ubrania, które znała równie dobrze jak własne. Zniknęła zielona koszula z krótkimi rękawami, którą kupiła mu w Sacks, brakowało też tej niebieskiej z Turnbull and Asser - dlaczego, do cholery, zabrał na wieś koszulę frakową? Może nie patrzył nawet, co chwyta, tak bardzo spieszył się, żeby uciec - uciec przed nią. Brązowe spodnie z Bloomingdale nie wisały na odpowiednim wieszaku, podobnie jak te szare. Czyli jednak się spakował. Mimo to Rose przejrzała jego buty i szufladę z bielizną, gromadząc dowody, których już nie potrzebowała. Pobiegła do łazienki. Zabrał szczoteczkę do zębów, pastę, golarkę elektryczną, którą dała mu na Boże Narodzenie, i cytrusową wodę kolońską, zamówioną specjalnie dla niego u Floris.

Straciłam go.

Rose wróciła do sypialni i usiadła na łóżku. I wtedy to zauważyła. Fiolka z tabletkami Bobby'ego leżała na podłodze po jego stronie. Być może zamierzał ją spakować, ale wypadła mu z rąk albo wyleciała z kieszeni. A może spadła ze stolika nocnego, gdzie trzymał leki na wypadek ataku? Niezależnie od tego, jak to się stało, fiolka była tu, w mieszkaniu, a Bobby wyszedł bez niej. Rose podniosła buteleczkę i pobiegła na korytarz, gdzie znajdował się domofon, który łączył mieszkanie z recepcją w holu na dole. Wiedziała, że portier zdąży jeszcze złapać Bobby'ego, bo zwykle trwało strasznie długo, zanim konsjerż sprowadził auto z garażu. Bobby będzie czekał w holu albo przed budynkiem. Na pewno. Rose podniosła domofon i czekała, aż portier się zgłosi. Czekaając, wyjrzała przez okno na ulicę.

Wydawało się, że tym razem auto Bobby'ego zostało przyprawione z garażu dość szybko: jego charakterystyczny czarny kabriolet stał zaparkowany przed budynkiem. Mogła go zobaczyć cała obsługa i każdy sąsiad, który był akurat na dole. I każdy zobaczyłby, że Bobby siedzi w środku, a na przednim siedzeniu obok niego jest jeszcze ktoś. Pasażerka, którą znali, bo pojawiała się każdego ranka o siódmej, żeby zacząć pracę jako niania Carrie. Nie tylko siedziała na przednim siedzeniu, ale Bobby całował ją, jakby była ostatnią kobietą na ziemi i jakby kompletnie go nie obchodziło, kto mógłby ich zobaczyć. Rose odłożyła domofon. Odwróciła się i przeszła przez mieszkanie do sypialni, trzymając w dłoniach fiolkę z tabletkami. Minęła łóżko z baldachimem, które dzieliła z mężem przez ostatnie dwanaście lat, i rzuciła lekarstwa na podłogę, dokładnie tam, gdzie je znalazła.

„Musi zawsze nosić leki przy sobie” - nakazał lekarz. Spojrzała na buteleczkę, ledwo widoczną na grubym dywanie. „Te pigułki prawdopodobnie uratowały mu życie”. Wystarczyło, żeby pochyliła się i podniosła tabletki. Już wyciągała rękę. Może mogłaby dać je Bobby'emu, jeśli jeszcze nie odjechał... Jeśli nadal był zbyt zajęty całowaniem Sandy, żeby ruszyć... Na myśl o tym Rose wyprostowała się i zostawiła buteleczkę na podłodze.

Wtedy rzuciła się biegiem. Pobiegnęła do drzwi wejściowych ich mieszkania, krzyknęła przez ramię do służącej, żeby zajęła się Carrie, kiedy dziewczynka się obudzi - i ruszyła do windy. Przebiegła przez hol, nie dając portierowi szansy, żeby mógł zapytać ją o cokolwiek. Ruszyła pędem ulicami do mieszkania matki. Ludzie oglądali się za nią, kiedy ich mijała. Elegancko ubrana kobieta o rudych włosach i pięknych zielonych oczach, która biegła przed siebie tak szybko, jak tylko mogła.

# ROZDZIAŁ 36

Nowy Jork

2008

- Matka żyła z tym przez trzydzieści cztery lata - powiedziała cicho Carrie.

Lu przytaknęła.

- Powiedziała mi, że w chwili, w której postanowiła zostawić lekarstwo na podłodze, poczuła się, jakby cofała wskazówki zegara. Tabletki znalazły się znowu tam, gdzie je zostawiła, i nigdy ich nie widziała. Później, kiedy trochę oprzytomniała, pomyślała, że Bobby zda sobie sprawę, że zapomniał leków, i wróci do miasta. Mówiła, że chciała, by sobie uświadomił, że nadal potrzebuje jej do pakowania walizek.

- Ale mój ojciec miał atak serca i umarł.

- Tak naprawdę nie było pewności, że leki by go uratowały. Za późno trafił do szpitala. Mój dom znajdował się w lesie, wiele mil od najbliższego miasteczka... człowiek w takim stanie jak Bobby nigdy nie powinien tam jechać.

- Ale leki mogły mu pomóc do czasu, aż dotarłby do szpitala.

- Tak.

- I matka o tym wiedziała.

- Tak. I była zrozpaczona - nie tylko ze względu na to, co zrobiła, ale też dlatego, że była do tego zdolna. Uznała, że zepsuły ją ego i duma, że za bardzo skupiała się na dobrach materialnych i pozycji.

Carrie mogła sobie wyobrazić matkę wypowiadającą te słowa. Nagle się roześmiała. Po chwili zdziwienia Lu przyłączyła się do niej. Śmiały się i śmiały przez długi czas, aż zaczęły im lecieć łzy, a wtedy zaczęły płakać. Objęły się i siedziały tak długo, aż Carrie poczuła się pusta, ale i oczyszczona. Lu podała jej chusteczki i sama też zaczęła osuszać makijaż. Robiła to jak profesjonalistka. Carrie się nie malowała, więc po prostu wytarła nos.

- W rezultacie matka porzuciła całe swoje życie. Wszystko, co się dla niej liczyło - powiedziała.

- Pokuta - wyjaśniła Lu.

Przez głowę Carrie przebiegł obraz promiennego uśmiechu jej matki, kiedy pomagała w przytułku. Pomyślała o trzech beżowych sukniach, które Rose kazała sobie uszyć na publiczne wystąpienia, i o białym albumie z wycinkami, który przechowywała w tajemnicy.

- Myślę, że pokuta dobrze jej zrobiła - rzuciła. Po czym przypomniała sobie, jak siedziały z matką podczas mszy i jak Rose pochylała głowę, nie przyjmując komunii. - Przynajmniej na chwilę.

- Mam nadzieję - odezwała się Lu lekko drżącym głosem. - Chcę wierzyć, że była szczęśliwa, przynajmniej przez pewien czas.

- To zabawne. Próbowала pozbyć się pani Manning i zacząć wszystko od nowa. Ale nie mogła uciec przed legendą ojca.



- Bobby nie miał z tym nic wspólnego. Twoja matka nie mogła się uwolnić od własnego uroku gwiazdy. Wszystkie kobiety w naszej rodzinie to mają. - Carrie spojrzała na babcię, która siedziała obok na łóżku, ale Lu się nie chwaliła. Po prostu stwierdzała fakt.

Szkoda, że nie mogłam zobaczyć jej na scenie - pomyślała Carrie. - Musiała być fantastyczna.

- Obawiam się, że ten urok ominął moje pokolenie - powiedziała.

Babcia wyciągnęła dłoń i pogłaskała ją po twarzy.

- Och, w twojej sprawie ława przysięgłych wciąż obraduje, kochanie. - Uśmiechnęła się. - Nawiasem mówiąc, bardzo mi smakowały twoje czekoladowe trufle. Kiedy powąchałam tę lawendową, bałam się, że będzie smakowała jak mydło, ale była wspaniała.

- Wycofałam się z tego biznesu.

- To jasne. Nie był dla ciebie dość spektakularny. Chodź ze mną.

Wstała z łóżka i skinęła na Carrie, żeby poszła za nią do garderoby. W jej tylnej ścianie znajdował się sejf. Lu otworzyła go i wyjęła coś, co wyglądało na rękopis oprawiony w czerwoną sztuczną skórę. *Family* - tak brzmiał złoty napis, który widniał na okładce.

- To mój egzemplarz musicalu Bobby'ego - wyjaśniła Lu. - Jest skończony, z wyjątkiem tej ostatniej sceny. Ale jest tu *Carrie's Moon Song*.

Podawała wnuczce rękopis.

- Teraz należy do ciebie.

- Dziękuję. Ale co mam z nim zrobić?

- Cokolwiek zechcesz.

Nadszedł czas, żeby Carrie wróciła na Manhattan. Lu odprowadziła ją do drzwi wejściowych. Obie uznały, że nie chcą stracić kontaktu. Ucałowały się i Carrie ruszyła przed siebie. Kiedy zeszła ze schodów, odwróciła się i spojrzała na swoją babcię, która stała w drzwiach, tak jak wcześniej, kiedy zobaczyła ją po raz pierwszy. Carrie wbiegła do niej z powrotem.

- Cieszę się, że to tobie matka powiedziała o lekarstwie - rzekła Carrie. - Po tych wszystkich latach, kiedy już była gotowa, właśnie tobie się zwierzyła.

- Tak - przytaknęła Lu. - Ja też się cieszę.

# ROZDZIAŁ 37

Nowy Jork

2009

- Zoe, chcę, żebyś była moją druhną - oznajmiła Carrie, kiedy jej przyjaciółka odebrała telefon. - Howie chce zorganizować wesele w stylu „ogromne przyjęcie z milionami krewnych i przyjaciół”, a ja się zgodziłam, bo naprawdę chcę dużego przyjęcia i mam nadzieję, że ludzie będą o tym mówili przez lata... Poza tym on sprzedał dla mnie swój dom w Katonah, chociaż mówił, że zrobił to dlatego, że róże na coś chorują i że ma już dość życia na wsi, ale ja wiem lepiej... I włożę białą suknię z welonem, co prawda, nie wybrałabym jej sama, bo nie mam już dwudziestu lat, ale Howie mówi, że to naprawdę uszczęśliwiłoby jego matkę, a ona była przecież taka wyrozumiała, kiedy dowiedziała się, że nie będę miała obrączki, i opowiedziałam jej wszystko o wydobywaniu diamentów... i to ona znalazła tę fermę organiczną w New Jersey, skąd zamówimy kwiaty, żeby nie trzeba było się martwić o dzieci z Gwatemali i...

- Carrie, zrób przerwę na oddech! - weszła jej wreszcie w słowo Zoe.

Carrie przełożyła słuchawkę do drugiego ucha i głęboko odetchnęła.

- Jeśli chodzi o bycie druhną - powiedziała Zoe, kiedy już uznała, że jej przyjaciółka nabrała wystarczająco dużo tlenu czy będą tam jakieś małe siostrzenice i siostrzeńcy Howiego, którzy będą rozrzucali płatki kwiatów albo podawali obrączki ślubne na eleganckich poduszczkach?

- Za kogo ty nas masz?

- Nie włożę nic czarnego. To dość przerażające na weselu.

- Możecie z Lu ustalić kolor. To ona poprowadzi mnie do ołtarza.

- W porządku, zgadzam się.

- Dziękuję - powiedziała Carrie. Nagle poczuła, że ma ściśnięte gardło. To się ostatnio zdarzało dość często. - Zoe, jestem naprawdę szczęśliwa.

- Wiem. - Wyglądało na to, że Zoe także coś ścisnęła za gardło. - Kiedy to się odbędzie?

- Myśleliśmy o tej jesieni... - Carrie przerwała na chwilę, żeby dodać dalszym słowom dramatyzmu: - Zaraz po tym, jak wyprodukuję *Family*.

- Słucham?

- Musical mojego ojca.

- Wiem, co to jest. Nie zrozumiałam tego z „wyprodukuję”.

- No cóż, trzymałam to trochę w tajemnicy, dopóki wszystkiego nie przygotowałam, bo udało mi się już tyle razy schrzanić różne rzeczy... chociaż Lu twierdzi, że nie powinnam tak na to patrzeć i...

- Carrie, skup się. Musical twojego taty?

- Zamierzam go wyprodukować. Nigdy dotąd niczego nie produkowałam, ale chyba mam wycucie. George Standish tak uważa, ale może to dlatego, że poprosiłam go o dokończenie tej ostatniej sceny, której Bobby nigdy nie napisał. Zamieniliśmy ją na epilog i wprowadzamy nową postać - prababcie. Napisałyśmy tę

rolę dla osiemdziesięcioletniej Lu, chociaż mogłaby grać dużo młodszą bohaterkę. To ona zaśpiewa *rrie's Moon Song*. Wystarczyło, że minimalnie obniżymy tonację, i już była w stanie zaśpiewać wszystkie nuty. To niesamowite, że utrzymała swój głos w takiej formie przez te wszystkie lata.

- Zamierzasz wystawić sztukę? Ty?

- Tak. Każdy producent w mieście chce ze mną współpracować. Rozumiesz, mam ostatni musical Bobby'ego Manninga, a Lu Lawson w nim zagra, więc to będzie łatwizna... ale zdecydowałam się na mały teatr w Georgii, o którym słyszałam dużo dobrego. Nazywa się Venable Opera House. Prowadzą go dwie młode kobiety. Jedna ma męża prawnika, a druga to samotna matka. Odnosiły spore sukcesy z nowymi tekstami i myślałam, że to idealne miejsce dla nas - nie za duże, ale zapracowały już sobie na uznanie w całym kraju. Po Georgii przeniesiemy się do Nowego Jorku.

- Howie wie o tej twojej nowej karierze?

- To on wpadł na ten pomysł. Wciąż się bałam, że sztuka okaże się klapą albo że ucieknę z tej branży, tak jak robiłam ze wszystkim innym, ale on powiedział, żebym przestała się zamartwiać, bo świat potrzebuje dyletantów. I wtedy zapytałam, co zrobimy, jeśli zostanę wielką, wpływową producentką, a on oznajmił, że będzie siedział w domu i zajmował się dziećmi. On chce mieć dzieci.

- Powinien. A jest to coś, czego prawie nigdy nie mówię o swoich przyjaciółach.

- Jest dla mnie dobry, Zoe.

- Tak. Wiem.

- Matka nie pochwalałaby tego. Nie podobałoby jej się to, co robię.

- Może.

- Ale teraz to moje życie.

- Tak, Carrie. Twoje.

# EPILOG

Nowy Jork

2009

Na 83. Ulicy panował duży ruch. Carrie zapłaciła taksówkarzowi i ruszyła w stronę domu swojej matki. Sprzedaż mieszkania Rose zajęła osiem miesięcy, ale wreszcie się udało. Nowi właściciele dostaną klucze jeszcze tego popołudnia, a prawdopodobnie pod koniec tygodnia zmienią zamki. Carrie przyjechała, żeby po raz ostatni spojrzeć na swój dawny dom.

- Chcę się upewnić, że niczego nie zapomniałam, kiedy tu sprzątałam - poinformowała Zoe.
- Zamierzasz się po prostu pożegnać - powiedziała jej przyjaciółka.
- Dziękuję, Oprah.

Wejście po schodach - agent nieruchomości twierdził, że piąte piętro zniechęciło przynajmniej trzech dobrze rokujących klientów - nie wydawało się już tak nużące, jak dawniej. Zoe orzekłaby, że to dlatego, że Carrie robiła to po raz ostatni. Otworzyła drzwi i weszła do środka.

Opróżniając mieszkanie, Carrie odkurzała i szorowała wszystko tak długo, aż zaczęło lśnić. Teraz krążyła po pustych pokojach, podziwiając efekty swojej pracy. W kuchni zatrzymała się w miejscu, gdzie stała kiedyś słynna lodówka Rose. Nowi właściciele zapowiedzieli, że ją wyrzucą, więc Carrie przekazała ją przytułkowi. To było dla niej odpowiednie miejsce. Usiadła teraz na parapecie i zamknęła oczy.

To już wszystko, mamó - pomyślała. - Nie mam pewności, czy spodobaliby ci się nowi właściciele, ale zapłacę mi za to miejsce najwyższą możliwą cenę, a wszystkie pieniądze zostaną przekazane na rzecz Rose Manning House. Tak ojciec Xavier nazywa teraz przytułek. Wiem, że mówiłaś, że nie chcesz, by nosił twoje imię, ale go przekonałam. I kiedy tylko ludzie się o tym dowiedzieli, zaczęły napływać pieniądze. Widzisz, nadal jesteś najlepsza w zbieraniu funduszy. Przytułkowi będzie teraz potrzebny każdy grosz, bo na dachu budują ogród i plac zabaw dla dzieci.

Zrobiłam też parę innych rzeczy, które mogłyby ci się nie spodobać, ale muszę teraz sama kierować własnym życiem. Majątek Bobby'ego będzie nadal wspierał Rose Manning House. Nie wiem, czy on by tego chciał. Nie wiem, czy ty byś tego chciała. Ale chcę myśleć, że to by was oboje uszczęśliwiło.

Zaczęłam te... myślę, że mogę to nazwać poszukiwaniami... bo chciałam wiedzieć, kim byłaś. Dowiedziałam się wiele o tym, skąd pochodziłaś, ale nadal cię nie rozumiem. Nie szkodzi. Sama nie mam pewności, co bym zrobiła, gdybym to ja trzymała to lekarstwo, podczas gdy mój mąż całowałby inną kobietę. Wydaje mi się, że nie zachowałabym się po jego śmierci tak jak ty, ale kto wie? Lu mówi, że byłaś zawsze trochę teatralna, choć bardzo się starałaś od tego uciec. No cóż, do diabła, w końcu jesteśmy Włoszkami. I zrobiłaś w życiu wiele dobrego.

Jeśli nadal potrzebujesz rozgrzeszenia, gdziekolwiek jesteś: przebaczam ci. Mam nadzieję, że odnalazłaś spokój. Wiem tylko, że cię kocham, mamó. Zawsze cię kochałam i zawsze będę.

Carrie wróciła do salonu i rozejrzała się po raz ostatni. A potem wyszła i zamknęła za sobą drzwi.